

Mayes Frances

Słodka leniwa Georgia

7 lipca 1975

J.J. STAŁ NA SKRAJU POMOSTU, mając uczucie, że prąd wody wyrwie za chwilę cztery podtrzymujące konstrukcję pale i uniesie ją w dal niczym tratwę. Ale pomost trwał. J.J. kochał zapach rzeki. W lipcowym skwarze, w falującym powietrzu, przy monotonnym wtórze cykad, kiedy pierwszy brzask wstawał nad wodą, doznawał uczucia, które mógłby nazwać szczęściem. Pełna tarcza chylącego się ku zachodowi księżycy wзираła spomiędzy sosen, rzucając na wodę srebrny, spiralny sznur. Obserwował światło, szukając w myślach słów, którymi mógłby je opisać. Lśniące, migotliwe... - nie, to zbyt pospolite. Światło wydawało się płynne, żywe, stopione w jedno z wodą, zbyt zmienne, aby jakiegokolwiek słowo mogło to oddać. Poziom wody w rzece był wysoki po dwóch ostatnich burzach. Chmara komarów otoczyła nagle stopę J.J.-a, po czym pomknęła z prądem, unosząc się, niczym jeden organizm, nad wodnym wirem. J.J. zrzucił swoje spłowiałe czerwone kąpielówki, które automatycznie naciągał każdego ranka, kiedy wstawał z łóżka, i zszedł po drabince do wody. Jego poranne ablucje, jak nazywał ten codzienny rytuał. Podczas wszystkich ciepłych miesięcy, a czasem, z czystej przekory, i podczas zimnych, zaczynał dzień od zanurzenia się w rzece. W pobliżu pomostu mógł stanąć na dnie, czując wartki albo leniwy nurt, czasem podskakując, kiedy ryba skubnęła go za włosy na nogach lub piersi. Przez chwilę leżał na wodzie, słuchając, jak szumi wokół jego głowy, pozwalając się nieść, po czym odwracał się gwałtownie na brzuch i płynął aż do zakola z półksiężycem plaży pokrytej wyflukanym rzeczonym piaskiem, którą jego rodzice oczyścili przed wielu laty. Tutaj mógł wyjść z wody i wrócić na przystań ścieżką pokrytą sosnowymi igłami. Zauważył przewrócone młode drzewko konwalio-

we*, zaplątane w pnącza muszkatelu, i pochyli! się, by wyciągnąć je z wody. Kiedy szarpnął, żeby uwolnić korzenie, płat ziemi osunął się, obsypując jego mokre nogi. U stóp mignęło mu coś białego - kość, patyk wybielony na słońcu? Wszedł z powrotem do rzeki, żeby się obmyć.

Może to, co zobaczył, to grot strzały? Znalazł ich tu już setki. Rozgrzebał stopą ziemię. Jest. Podniósł przedmiot, dmuchnął, żeby oczyścić go z brudu, po czym opłukał w wodzie. Nigdy jeszcze nie znalazł czegoś podobnego. Trzymał w ręku idealny kościany harpun, długi na osiem centymetrów. Po obu stronach widniały misternie wyrzeźbione pazurki, przypominające kocie. Delikatny, zakrzywiony koniec każdego z nich wbijał się w ciało ryby, kiedy rybak ciągnął za linkę. Z jednego końca zobaczył ledwie widoczne rowki - w miejscu, gdzie Indianin z plemienia Creek, który kiedyś łowił na tych wodach, przywiązywał do harpuna linkę. Ginger - pomyślał. Ginger powinna to zobaczyć. Ale zielone oczy jego siostry były o całe lata świetlne stąd. Rozgrzebał rękami ziemię na brzegu rzeki i wyciągnął jeszcze kilka korzeni, ale znalazł tylko zgniecioną metalową puszkę. Jakiż piękny był ten maleńki harpun, leżący na jego dłoni! Nabrał w płuca tyle powietrza, ile tylko zdołał. Balsamiczna woń sosen zagłuszyła kielkujące w jego głowie znajome uczucie, podobne do głodu czy pragnienia. Ginger nie było, komu więc miał pokazać swój skarb? Przyglądał mu się przez chwilę uważnie. Nie pragnął niczyjego innego towarzystwa, nie potrafił odnaleźć w sobie takiej potrzeby. Strzepnął włosami i klepnął się parę razy w okolicę ucha, żeby wytrząsnąć z niego wodę. Deszczowa noc w Georgii, zakpił z siebie. Ostatni pociąg do Clarksville**.

Włożył spodni koloru khaki, nie zwracając sobie głowy bielizną. Wpół do siódmej i już upał, ciężki, parny, pogo-
da jak drut. W lodówce pustki, jeśli nie liczyć ryżu i kawałka dziczyzny sprzed tygodnia, kiedy to zaprosił do siebie Julianę, nową nauczycielkę z Osceoli. To bardzo interesujące, że on żyje tak samotnie w środku lasu, powiedziała. Choć robiła wrażenie trzeźwej i mocno stąpającej po ziemi,

* KwuSnodrzew amerykański (*Oxydendrum arboreum*) (przyp. tłum.).

** Aluzja do piosenki zespołu Monkees „Last Train to Clarksville” (przyp. tłum.).

okazało się, że boi się dotknąć stopami dna rzeki. TriymaU się kurczowo jego pleców, jej chichot przechodził momentami w pisk. Czuł na sobie jej miękkie uda. Była gorąca, nawet pod wodą. Ale potem nie mogła przełknąć pieczeni, bo przypomniał jej się jelonek Bambi. Ugotowała ryż, którego ziarenka, jak pamiętał, były twarde w środku. Na jego surowkę patrzyła, jakby to był krowi placek. J.J. często żywił się przez wiele dni wyłącznie zieleniną, której nazbierał, i rybami, które złowił. Przeżuwał jedzenie powoli, przyglądając się dziewczynie. Jeżeli była piękna, jak go zapewniał Liman McCrea, to dlaczego skóra na jej twarzy wydawała mu się tak napięta, jakby miała za chwilę pęknąć, niczym za mocno nadmuchany świński pęcherz? I te blisko osadzone oczy nadawały twarzy żaloszny wyraz.

Potał skronie i spojrział jeszcze raz. Miła twarz, z wyrazem jakby oczekiwania. Ciepła. Czego chce? - zastanawiał się, kiedy kobieta się uśmiechnęła. Nagle zauważył jej zęby, tępo zakończone, jak u starego jelenia.

- Lebioda i szkarłatka*? Słyszałam kiedyś o surówce z mleczka. To się naprawdę je? Bardzo interesujące. - Dziobała widelcem świeżą, cierpką zieleninę. Wzięła do ust jeden kęs i poczuła między zębami okruch żwiru.

Coś, co dostrzegła w oczach J. J.-a, pociągało ją, jakaś cecha, która czekała na swój czas. Nie zwyczajny podrywacz czy „swój chłop”, jakim czasem się wydawał. To ktoś, kogo trzeba dopiero rozgryźć, mówiła sobie, przebierając się w strój kąpielowy w jego pokoju. Przyglądała się uważnie rzeczom J.J.-a, porównując swój własny, przypominający pudełeczko pokoik - kapę z różowej szenili, reprodukcje tancerek Degasa na ścianach, ażurowe firanki i widok na pustą ulicę - do jego zapchanych książkami regałów, ponad dwudziestu wiecznych piór, spreparowanych rybich i jelenich łbów, szorstkiego indiańskiego pledu na łóżku. Nie mam sposobu, żeby do niego dotrzeć, pomyślała. I czy rzeczywiście bym tego chciała? Poczuła nagłe zmęczenie, ale przećwiczyła przed lustrem promienny uśmiech, unosząc w górę swoje gęste, kasztanowate włosy. Jej równe zę-

* Szkarłatka amerykańska - toksyczna roślina zielona, uważana na amerykańskim Południu za jadalną po usunięciu szkodliwych substancji przez wygotowanie w kilku wodach (przyp. tłum.).

by załśniły bielą. Nowy czerwony jednoczęściowy kostium niewątpliwie podkreślał jej talię Scarlett O'Hary.

- Czeresienka - wyszeptła. Było to jej przezwisko w liceum w Sparcie, gdzie zdobyła tytuł miss szkoły. Ale to było przed dwunastu laty. Żałowała, że nie wypłukała tej uroczej zieleniny przed jedzeniem, bo nie była amatorką żwiru. J.J. pomyślał, że jeśli jeszcze raz powie „bardzo interesujące”, chyba wbije jej widelec w oko. Nalał burbona do kieliszków.

- Za twoich siódmoklasistów, którzy spędzą z tobą cały ten czas.

Dziewczyna spuściła wzrok pod wpływem komplementu, co go zawstydziło. Czyżby robił się z niego jakiś cholerny pustelnik? Zaczął się zastanawiać, jak by się czuł z jej udami, oplecionymi wokół siebie. Zagubiony w przestworzach? Wiedział, że potrafiłby znaleźć feler u samego Pana Boga. Dziewczyna grała na flecie, miała dyplom szkoły muzycznej. Co z tego, że zachowywała się trochę dziwnie w środku lasu? Mimo wszystko czuł, że zalewa go potężna fala znudzenia, pragnienie samotności tak gwałtowne, że aż się wzdrygnął. Chociaż wcześniej przewidywał, że będzie ją odwoził do domu o pierwszej czy drugiej w nocy, z opuszczonym dachem samochodu i przy cichej muzyce z jakiejś nocnej stacji, gnał szosą na łeb na szyję już o wpół do dziesiątej.

Zaparzył dzbanek kawy i odgrzał z masłem resztkę nieudanego, zbrylonego ryżu Julianę. Na kuchennym stole wałały się kawałki krzemienia, czertu*, duży płaski kamień i dwa jelenie rogi. Ostatnio próbował nauczyć się obróbki metodą kamienia łupanego, używając wyłącznie narzędzi, którymi posługiwali się Indianie. Zamówił samouczek obróbki krzemienia i wybrał się do sklepu kamieniarskiego w Dannon, żeby zakupić odpowiednio duże kawałki. Chciał zrobić kamienny nóż do patroszenia ryb, ale jak dotąd, rozszczepił tylko mnóstwo kamieni i wyprodukował stos twardych wiórów i odprysków. Jeden z jego nieudanych noży przypadkiem przypominał skrobaczkę.

* Iwtirda skała, składająca się głównie z chalcedonu (przyp. tłum.).

Podszedł do okna i podniósł kościany harpun do światła, podziwiając jego delikatną symetrię. Niosąc kawa, miseczkę i zeszyt, z harpunem umieszczonym ostrożnie między zębami, pchnął łokciem kuchenne drzwi. Żółto-czarne, przypominające szerszenie osy obrabiały dzikie winogrona, pszczoły nurkowały w kwiatkach róż, które rozpleliły się wśród innych pnączy. Żółte róże jego matki, nadal kwitnące, choć jej nie było od wieków, od czasu samobójczej śmierci. Nie chciał o tym myśleć. Wiedział, że matka kochała ten leśny domek tak samo, jak on. Jej róże dawno wypełzły z ogródka i zaczęły się pięć po drzewach. J.J. położył harpun na kawałku białego papieru i otworzył zeszyt, żeby odnotować swoje znalezisko. „7 lipca” - zapisał. Poranne słońce, przesiane przez winorośl, rzucało cętkowane światło na stół. Być może kochał to światło nawet bardziej niż wodę - ale nie, te dwie rzeczy były nierozłączne. Szmaragdowe sosny błotne nadawały światłu szczególny kolor o każdej porze dnia, podbarwiając je błękitem o wczesnym ranku i późnym wieczorem, łagodząc ostre kontury przedmiotów w pełnym słońcu. Przesunął papier na słoneczną plamę. Harpun wyglądał jak wyrzeźbiony z kości słoniowej. Zmierzył jego długość, po czym zaczął delikatnie szkicować miękkim ołówkiem. Co to za kość? - zastanawiał się. Może niedźwiedzia, może borsucza? Ile czasu zajęło Indianinowi wyczyszczenie tego cacka?

Szybko przeciągnął technicznym piórem po ołówkowych liniach. Rysunek nigdy nie jest w stanie oddać istoty rzeczy, pomyślał. Przynajmniej mój rysunek. Może Leonardo da Vinci by to potrafił. Ale Leonardo nigdy nie słyszał o Indianach z plemienia Creek ani pępku świata - południowej Georgii. Nie sztuka uchwycić podobieństwo. Odmienność, to jest prawdziwe wyzwanie. Tam gdzie przedmiot się kończy, a zaczyna się wszystko inne wokół niego, przebiega granica niemożliwa do pokonania. Podniósł harpun i obrócił w dłoni. Postanowił obejrzeć go pod mikroskopem swojego ojca. Może zobaczy kroplę krwi ryby, która odpłynęła, unosząc go w swoim boku? Szkoda, że Ginger tu nie ma, pomyślał. Powinna to zobaczyć.

GINGER KLĘCZAŁA SKULONA W KRÓTKIEJ WANIENCIE, Spłukując szybko szlauchem okrywający ją kurz. Rzucone na podłogę wilgotne robocze spodnie i koszula również zdawały się emanować kurzem. Śpieszyła się. O tej porze roku, w pełni tokańskiego lata, studnia mogła wyschnąć w każdej chwili, skazując ją na wodę z butelek, jeśli chodzi o gotowanie i namiastkę mycia, dopóki nie spadnie deszcz i lustro wody znów się nie podniesie. Znów jestem szczupła, stwierdziła, wkładając ognistoczerwoną sukienkę na ramiączkach, którą kupiła w sobotę na targu w Monte Sant'Egidio. Marcowi spodoba się ta sukienka. Myślała z przyjemnością o jego dłoni, spoczywającej opiekuńczym gestem na jej plecach, kiedy będą iść przez *piazza*. Jego włoska dłoń. Ginger uwielbiała cudzoziemskość Marca. Wstrzymała oddech. Jestem gibka, uznała. Nie do wiary, czego jest w stanie dokonać kilka miesięcy kopania i taszczenia ciężarów. Zmieniła prześcieradła, strzepnęła poduszki, ułożyła równo książki na nocnym stoliku. Wkładając nocną koszulę i szlafrok do szuflady, zatrzymała się nagle w pół ruchu. Przypomniał jej się Mitchell, którego poślubiła, kiedy miała dwadzieścia cztery lata. Mitchell w łóżku, czytający „Time”, wyświeżony i wyczekujący, w swoich odprasowanych bokserkach. Większość nocy, w ciągu trzech lat, które ze sobą przeżyli, spędził, czekając na nią w ten sposób, podczas gdy ona starała się przeczekać go na dole, czytając lub słuchając muzyki, dopóki nie zasnął. Wtedy wślizgiwała się do łóżka, ostrożnie zdejmowała gazetę z jego piersi i gasiła światło! W czym tkwił problem? - zastanawiała się. Nie w nim. Kiedy ze sobą chodzili, miała nadzieję, że udzieli jej się jego miłość, jego pewność, że zacznie coś czuć. Że zacznie siadać, raczkować, chodzić. Że będzie jak inni ludzie, z kompletem stoło-

wych sreber, miesiącem miodowym w Nassau, kartonikiem pigulek antykoncepcyjnych, zasłonami, które trzeba wyprać, przepisami na potrawy. Mitchell był wspaniały, pomyślała. Taki cierpliwy. Za każdym razem, kiedy pojawiał się w drzwiach, cieszyła się, że go widzi. Co za koszmar.

W jej rodzinnym miasteczku, Swan, rozprawiano przez lata, pewnie po dziś dzień, o tym, że nie zeszła na dół do gości w dniu swoich zaślubin. Najpierw się po prostu spóźniała, potem Jeannie Boardman usiadła do organów, które zostały przywiezione specjalnie na tę okazję, i zaczęła grać „Światło księżyca” i „Sonatę księżycową”. W końcu ciotka Lily, po urządzeniu szeptanej awantury pod zamkniętymi drzwiami jej pokoju, podała szampana, ciastka ptysiowe z sałatką z krabów, paluszki serowe, półmiski makaroników i kocich jęczyczków. Goście jedli z apetytem zaostrozonym przez szok wywołany oświadczeniem Lily, że Ginger nie czuje się najlepiej i życzy wszystkim dobrej zabawy.

Ginger zerkała ukradkiem zza firanki na ogród, na nich wszystkich, szepczących, roześmianych. Łabędź z lodu z zamrożonymi wewnątrz płatkami róży - miejscowa tradycja - topniał, postukując o brzeg wazy z ponczem. Chciałaby dotknąć językiem jego chłodnego dzioba. Chciała być promienną, roześmianą panną młodą, opuszczającą dom swojego dziadka, aby wkroczyć w świetlaną przyszłość. Chciałaby wspiać się na dach domu i sfrunąć do nich na dół. Chciała, żeby tego wszystkiego nie było. Żeby jej matka żyła, a ojciec znów był sobą. Żeby Mitchell nie przeżywał zgryzoty i upokorzenia. Nie potrafiła *mieć*. To nie była decyzja, tylko stan rzeczy.

Później J.J. opowiadał, że ich kucharka, Tessie, zmywając w kuchni kieliszki, nuciła sobie dla uspokojenia „Przychodzę sam do ogrodu”*, ale co chwila mruczała pod nosem: „Te dzieciaki, te dzieciaki”. Tessie pracowała u Catherine i Willsa Masonów od czasów, gdy Ginger była niemowlęciem, a potem u Lily, kiedy dzieci przeprowadziły się do Domu. Kiedy J.J. wpadł do kuchni, żeby sobie strzelić burbona, usłyszał, jak śpiewa niskim głosem: „I przechadzamy się, a On mi mówi, że ja do Niego wyłącznie należę”, podnosząc do światła

* „I Côme to the Garden Alone”, pieśń religijna, popularna w kościele metodystów, muzyka i słowa: Charles Austin Miles (przyp. tłum.).

każdy kieliszek, żeby sprawdzić, czy nie ma na nim śladów warg. Chylące się ku zachodowi słońce rzucało tęczowe kręgi na jej czarny uniform i ciemną twarz.

- Sto lat, Tessie. - J. J. uniósł kieliszek. - Jeszcze jedno niezapomniane popołudnie w grajdołku Masonów.

Zostawił gdzieś swoją wizytową marynarkę, kołnierzyk koszuli miał rozpięty. Tessie patrzyła, jak wlewa zawartość kieliszka jednym ruchem do gardła, tak samo jak robił to jego ojciec po śmierci mamy. Kąciki jej warg opadły w dół i odkręciła kran z gorącą wodą na cały regulator.

Mitchell i jego rodzice wycofali się do salonu, gdzie matka pana młodego przeklinała w duchu dzień, w którym zaprosiła Ginger do swojego domu. Czy Mitchell nie wiedział, że Pattie Martin, która zawsze miała bzika na jego punkcie, nigdy w życiu by nie zrobiła podobnego przedstawienia?

Caroline Culpepper, pierwsza druhna Ginger, przemawiała do niej łagodnie zza drzwi, ale Ginger powiedziała tylko: „Przykro mi, Caroline, ale możesz równie dobrze iść do domu”. Nawet J.J. nie był w stanie skłonić jej do otwarcia drzwi, dopóki ostatni goście nie odjechali. Kiedy to wreszcie zrobiła, jej suknia leżała skłębiona na podłodze, a atlasowe pantofelki, którymi najwyraźniej ciskano o ścianę, leżały, każdy w innym kącie pokoju. Wyglądała brzydko, zapuchnięta i rozmazana, siedząc na podłodze, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Jeżeli chodzi o ubranie, zdążyła włożyć jedynie bieliznę i pas do pończoch, który miał być rzucony pomiędzy družbów.

Wyprostowała nogę i ściągnęła pofałdowany niebieski elastik. J.J. stał w drzwiach, kręcąc głową.

- Cóż, dopięłaś swego - powiedział w końcu. Ledwie dosłyszał jej odpowiedź.

- Tuż przed obudzeniem śniło mi się, że przyszła do mnie mama. Stała w drzwiach, kiedy szykowałam się do wyjścia, spryskując włosy perfumami. Spojrzała na mnie z uśmiechem i powiedziała: „Jesteś żalosna”. Moja wola słabnie coraz bardziej, J.J. - Potem się rozplakała i nie powiedziała ani słowa aż do następnego dnia.

J.J. przyniósł jej szlafrok i usiadł przy niej. Nie musiał pytać o nic więcej.

Trzy dni później dopełnili z Mitchellem zaślubin, w ogrodzie, pośród koszy przywiedłych kwiatów. Jego rodzice odmó-

wili wzięcia udziału w ceremonii i nie odzywali się do Ginger przez siedem miesięcy. Matka przepowiedziała mu, że będzie przeklinał dzień, w którym ją poślubił. I czyż nie miała racji? Ginger była w lnianym kostiumie barwy kości słoniowej, J.J. stał ze skrzyżowanymi ramionami, gapiąc się na oczko w Jaj pończosze, spodziewając się, że siostra w każdej chwili może dać drapak. Ale ona była równie blada jak jej iotrój i chwiała się, jakby dopiero co przeszła atak malarii. J.J. powiedział jej później, że wyglądała jak pies, który patrzy w lustro, nie widząc własnego odbicia.

Lily i Tessie odgrzały pozostałe paluszki serowe, żeby przywrócić im kruchość. Garstka gości, których zaproszono, za nic na świecie nie przepuściłaby takiej okazji. J.J., który wyprowadzał pannę młodą, czuł, że jego siostra kroczy donikąd.

- Skarbie, to trema, nic innego. Każdy to przechodzi, ty po prostu przeżyłaś to wyjątkowo ciężko - powtarzali goście, kiedy krojono tort weselny.

Każdy inny na miejscu Mitchella byłby wściekły. On nie odstępował jej ani na krok, jego ramię otaczało ją obronnym gestem.

GINGER USŁYSZAŁA TRZAŚNIĘCIE DRZWI SAMOCHODU MARCA. Nie myślała o Mitchellu od tygodni. Teraz żałowała, że nie zdarzyło jej się, bodaj raz, poczuć miłego dreszczu oczekiwania, kiedy ścieliła ich wspólne łóżko. Jeszcze dziś - cztery lata, odkąd go widziała po raz ostatni - czuła, jak wszystko w niej tężeje na wspomnienie jego ciała, jego doskonałego ciała.

Z okna na piętrze widziała, jak Marco zamyka kopniakiem drzwi samochodu. Ręce miał zajęte. Nigdy nie przychodził z pustymi rękami. Uśmiechał się, maszerując ścieżką w stronę domu. Miał w sobie coś z fauna lub satyra. Ginger też się uśmiechnęła, wyobrażając go sobie z kosmatym grzbietem i koźlimi nogami. Lubiła jego bardzo czarne kędziory i brązową skórę. („Czy on ma oliwkową cerę?” - zapytała kiedyś ciotka Lily, starając się, żeby wypadło to taktownie). Ginger nigdy przedtem nie spotkała człowieka, którego naturalnym wyrazem twarzy byłby uśmiech. Marco musiał się urodzić roześmiany.

Świeca na nocnym stoliku, z rodzaju tych, jakie się stawia przed świętym obrazem, powinna wypalić się szybko.

Ginger wygładziła pościel i rozsypała na poduszkach dziką mie-

tę i żółte płatki słonecznika z koszyka, który wcześniej napełniła. Poczwała w ciele radosne drżenie. Jak więzień, który drażył tunel za pomocą łyżki i wreszcie wyrywa się na wolność, powiedziała sobie. Jestem wolna. Będę szczęśliwa. Podczas gdy dla większości kobiet seksualne spełnienie wiąże się przede wszystkim z uczuciem głębokiej satysfakcji, jej pierwszą reakcją była duma, jak gdyby pobiła rekord w biegu na sto jardów albo pokonała poprzeczkę w skoku o tyczce. Jej białe stopy na chłodnych kafelkach posadzki miały ochotę tańczyć.

Schodząc do kuchni po schodach przypominających drabinę, widziała otwarte drzwi tarasu, przez które wpadały pierwsze wieczorne podmuchy wiatru, oraz pochyłość terenu, schodzącą aż do rzeki Nesse. To, co we Włoszech nazywano rzeką, w jej rodzinnej Georgii z biedą by uszło za strumień, ale Ginger kochała nocny śmiech płynącej wody. Wynajęła ten wiejski dom, bo stał tuż nad rzeką. Przez całą zimę spała przy uchylonych oknach, żeby słyszeć szemranie wody spływającej po skalnych stopniach i słodkie bulgotanie, kiedy przelewała się przez tamę, którą latem zbudowały dzieciaki. W tej chwili nurt zwolnił do ledwie uchwytnego nikłego ciurkania.

Marco wręczył jej żółte i herbaciane róże z ogrodu swojej matki, obejmując ją drugą ręką. Cóż za przemiana! Ani śladu obwarzanków brudu na szyi. Brwi Ginger podskoczyły do góry: dwa znaki diakrytyczne, dwa wygięte w łuk skrzydła. Dotknął dłonią jej twarzy. Wydawała się równie gładka jak wnętrze marmurowej konchy na wodę święconą. Pomyślał, że czasami ukrywa się za tą swoją bezbłędną niczym kamea twarzą, ale nie, tego wieczoru czuło się wyraźnie jej wibrującą obecność. Jego szwagierka skrytykowała kiedyś nos Ginger, nazywając go kościstym, ale Marco uważał, że to nos angielskiej królowej. Jego usta musnęły ucho Ginger, jej ogniste włosy - płomień, którego ciepło zawsze mu się udzielało.

Czuła jego zwarte, muskularne ciało (wstrząs - więzień na wolności, pędzący w stronę lasu), wdychała świeży zapach jego wody po goleniu. Zawsze pachniał przyjemnie, nawet po wielu godzinach pracy w słońcu było to tchnienie stajni, wilgotnej ziemi i owsa. Po miłosnym zbliżeniu jego pachy wydzielały kwaśną woń leśnej nory.

Co za wspaniałe zwierzę,

pomyślała, pozwalając się objąć. I jeszcze: dobra naua, nie schowałam się w swojej skorupie.

Marco podniósł do góry drewniane pudełko, tak że ledwie mogła go dosięgnąć.

- Nie otwieraj! To na potem!

Ginger wyrwała mu pudełko i potrząsnęła nim.

- Nie! Oddawaj! Jesteś okropna! - Odebrał jej pudełko i zaniósł do domu.

Ginger uszczknęła parę gałązek rozmarynu.

- Niespodzianka! Mamy dzisiaj piezzonego kurczaka z ziemniakami. - Jej zainteresowanie kuchnią było bardzo ograniczone, chociaż kochała jeść. Pieczony kurczak z ziołami stanowił w jej pojęciu szczyt kulinarnych osiągnięć.

- Czułem go już na dole w samochodzie.

Na stole z kamienia młyńskiego, osadzonego na grubej kamiennej kolumnie, Ginger ułożyła na krzyż dwa pędy winorośli, ustawiła talerze i szklanki. Marco, z nogami na niskiej balustradzie tarasu, sączył campari, które mu przyniosła, i obserwował jaskółki, szybujące, pikujące i, jak wiedział, pożerające przy tym tysiące owadów.

- *Rondini* - powiedział. - Te ptaki. Jaskółki. Obserwujemy je, bo mają tyle wdzięku. Latają wysoko, kiedy jest sucho, a nisko po deszczu. - Wyglądało na to, że uczy ją samych rzeczowników.

Patrzył na Ginger na tle ciemniejącego, kobaltowego nieba, gdzie dojrzały księżyc tkwił zawieszony nad górami niczym wytarty, złoty zegarek. Kiedy tak kursowała między kuchnią a stołem, miał wrażenie, że dopiero co sfrunęła na ziemię, niczym anioł ze Zwiastowania, którego koralowe szaty jeszcze nie zdążyły opaść, gdy wyciągał lilię w stronę Dziewicy Maryi. Inne Amerykanki, które spotykał wcześniej, były konkretne i wymagające, wiedziały, czego chcą. Ginger mu się wymykała. Czasem wydawała się pełna życia, jak teraz, kiedy pogwizdywała „Najlepszy biznes to show biznes”. Uwielbiał jej nogi, jego zdaniem, na wskroś amerykańskie. (Jeśli coś ją w nim irytowało, to jego zwyczaj przyklejania różnym rzeczom etykietek „made in America”). Kiedyś studiował przez dwa lata w Wirginii i Południe poraziło go swoją egzotyką. Ginger przyłączyła się jako praktykantka do jego zespołu, badającego historię Etrusków, po półtorarocznym

okresie studiów na Uniwersytecie Georgii, kiedy się zastanawiała, czy ma je kontynuować, czy nie. Jakiś lęk, którego nie pojmował, ogarniał ją, kiedy rozważała napisanie pracy dyplomowej. Jego zdaniem była urodzonym archeologiem. Chwytała w lot to, czego inni nie potrafili dostrzec, nawet jeśli im się to pokazało palcem.

Kiedy pracowali po całych dniach, odkopując jedno stanowisko za drugim, przyglądał jej się, jak przysiadła w pyłe na piętach, oczyszczając jakieś znalezisko, jak przekracza strumyczki wytryskujące z podziemnych źródeł i niweczące ich pracę. Amerykanka, myślał. To dlatego, że jest cudzoziemką, wydaje się równocześnie znajoma i obca - czasem bardzo daleka, kiedy przygryzała dolną wargę i zadzierała podbródek, jakby obserwowała go przez odwrotny koniec lunety. Kochał ją, ale myśl o budowaniu z nią wspólnego życia wywoływała zamęt w jego głowie. Być może zbyt się różniła od jego dawnych dziewczyn czy od bratowych, Lucii i Cinzii, które wprowadziły się bez szemrania do Bella Bella, domu jego rodziców, i wtopiły w rodzinę, jakby należały do niej od zawsze. Nie mógł sobie wyobrazić, że Ginger wprowadza się na piętro po drugiej stronie schodów (co nie znaczy, że tego chciał) ze podchwytuje wspólny rytm, który każdy w domu wydawał się instynktownie odnajdywać. Jeśli Lucia robiła zakupy, Cin-zia łuskała groszek i nastawiała pranie, podczas gdy jego matka sprawowała rządy w kuchni. Wszyscy wydawali polecenia dwóm latoroślom, z reguły przecząc sobie nawzajem, dzięki czemu dzieci uczyły się wybierać pomiędzy sprzecznymi dyrektywami i w praktyce robiły, co chciały.

Jako jedyny nieżonaty syn, Marco był zwolniony z udziału w obowiązkach domowych, chociaż pomagał ojcu w ogrodzie warzywnym więcej niż jego bracia. Ten dom, pełen zapachów prasowania i duszonego mięsa, spoconych chłopięcych czupryn, roboczych butów, stojących rzędem w piwnicy, różnych wód kolońskich i toników, słowem, zbiorowej woni rodziny - czy ów dom przyjąłby w swoje podwoje tę stoicką postać, tę powściągliwą, pełną rezerwy miss Ameryki? Usiłował wyobrazić sobie Ginger, jak staje w drzwiach, żeby zapytać, w czym może pomóc. Nie, do tego by nigdy nie doszło. Mieliby własny dom, a raz w roku jeździliby do Stanów, gdzie jej rodzina wiodła żywot jak z rozgałęzionych niczym labirynt,

pozbawionych fabuły powieści Faulknera, a drzewa wyrastały wprost z wilgotnych bagien. Kiedy Cinzia oglądała telewizję na otomanie, jej głowa czasem opadała na ramię jego matki. Zdarzało mu się widywać, jak Ginger cofa się przed fizycznym kontaktem, ale kiedy nie dało się uniknąć dwóch „cmoków” w policzki, uśmiechała się potem, dotykając twarzy czubkami palców.

Po kurczaku Ginger przyniosła sałatkę. Marco rozłożył ręce i zabębnił pięściami o pierś.

- *Luna, luna!* - zawołał. - Księżyc, księżyc! Nie ma pośpiechu, przypomniał sobie. Niech sprawy toczą się własnym rytmem. Niech płyta się kręci, a jak dojdzie do końca, zawsze można ją nastawić jeszcze raz.

Tego wieczoru świętowali sukces zespołu: odkopanie nietkniętej sześciostopniowej kondygnacji etruskich schodów, z mitologiczną głową wyrzeźbioną u podstawy. Gaetano, pa-linolog i szkolny kolega Marka, przyjechał tego popołudnia ze swojego stanowiska w Pompei, żeby skonsultować sprawę delikatnych odcisków roślin, które również odkryli. Przywiózł Marcowi fiołki z wonnościami, które odtworzył na podstawie resztek znalezionych w odkopanej jakiś czas temu aptece.

Ginger i Marco długo marudzili przy stole. Ginger przyniosła miskę ostatnich w tym sezonie czereśni i kapę w tureckie wzory, żeby mogli leżeć i patrzeć w gwiazdy, jak długo będą mieli ochotę.

- Widzisz ten gwiazdozbiór? - pokazała. - To słonie Hannibala przekraczające Alpy.

- To jest Orion, *amore*. - Marco zakołysał czereśnią nad jej ustami i Ginger chwyciła ją zębami.

- A to, tam na lewo, widzisz? To jest ford, model T. A tam kolejka górską.

- Co to jest kolejka górską?

- Taki kręciołek w wesołym miasteczku. Rzuca tobą we wszystkie strony. - On nawet nie wie, co to takiego kolejka górską, pomyślała. A ja tak się cieszę ze wszystkiego, czego on nie wie. Przez mgnienie ujrzała nieobecne oczy swojego ojca. Mogła zobaczyć w nich daleki horyzont.

- Czy znasz się jeszcze na czymś równie dobrze, jak na astronomii? - Marco przewrócił się na bok i pocałował ją w ramię.

Ginger objęła go drugą ręką i przysunęła się bliżej.

- Zaczekaj chwilę. - Marco pobiegł do domu i wrócił z pudełkiem. - Gaetano przywiózł to ze sobą dzisiaj z Pompei. Wyjechałaś dosłownie chwilę przedtem. Szkoda.

Rozwinął fiolkę z bibułki. Ginger rozpoznała wodnisty, przydymiony błękit szkła sprzed naszej ery. Słyszała, że Gaetano trafił przed kilkoma miesiącami na resztki wyschniętych maści olejków i perfum. Spędził mnóstwo czasu, badając ich skład i odtwarzając je. Marco rozpakował jeszcze dwie fiołki.

- Chodźmy na górę.

Idąc za nią po stromych schodach-drabinie, Marco przesunął dłonią wzdłuż jej nogi, zahaczając palcami o brzeg majteczek. Ginger zapaliła świecę i jednym ruchem ściągnęła sukienkę. Marco nie mógł wiedzieć, co to dla niej znaczy, ale dostrzegł błysk satysfakcji w jej oku. Kiedy powoli rozpinał koszulę, Ginger otoczyła ramionami jego tors, przyciskając mu głowę do piersi.

- Chcę usłyszeć twoje serce.

- A ja chcę ci pokazać swoje serce.

Leżeli, jedno w poprzek drugiego, na łóżku, nieco zapadniętym na środku, w miejscu gdzie padało światło księżyca. Marco sięgnął po jedną z fiolek. Odpieczętował ją, wyjął za-tyczkę i przysunął Ginger do nosa. Wciągnęła w płuca świeży zapach cytryny z nutką dymu i spalenizny. Marco wylał sobie złocisty olejek na dłoń.

- Zaczekaj chwilę - powiedział.

Zsunął się na dół i zatarł dłonie. Ginger zamknęła oczy, zakładając ręce za głowę. Poczula, że jego dłonie ujmują jej stopę wcierając w nią rozgrzany olejek. Uciskał każdy palec po kolei, piętę i poduszeczkę u nasady dużego palca, delikatnie wcierał olejek w podbicie stopy. Druga stopa. Czula w podeszwach rozkoszne mrowienie. Zerknęła na Marca, klęczącego przy łóżku, z wyrazem skupienia na twarzy, tak jak go czasem widywała przy pracy, ale blask świecy obrysowywał jego sylwetkę srebrzystym konturem, a usta były rozchylone niby u śpiącego chłopca. Mitchell, my nigdy... - przemknęło Jej przez myśl.

Marco otworzył drugą fiolkę i znów przesunął jej pod nosem. Dotknęła palcem otworu naczynka i Marco przechylił ampułkę.

- Trawa i goździki.

Całowali się namiętnie, ale Marco znów się odsunął, usiadł okrakiem na nogach Ginger i zaczął namaszczać starożytnymi wonnościami jej piersi, najpierw wokół sutek, potem zataczając coraz większe kręgi. Ginger poczuła we krwi uderzenie prądu. Stopniowo zapłon ogarnął nawet tę jej część, która zawsze pozostawała w odwodzie. A więc to tak. Na chwile przedtem, nim się poddała, błysnęła jej nagła myśl: musi istnieć życie po śmierci. Zwilżyła dłonie, dotykając swoich piersi, i zaczęła go pieścić.

- Dłużej nie wytrzymam - ostrzegł po chwili.

Ginger popchnęła go, przewracając na plecy, otworzyła trzecią, mniejszą fiołkę i wylała mu jej zawartość na pierś, szybko rozsmarowując olejek. Żyzne, winne serce dzikiego irysa spływało z jej dłoni, ściekając wzdłuż jego boków i ciała. Woda spadająca na skały. Marco usłyszał ciche okrzyki, wydobywające się z jego własnego gardła.

Zaskoczony tym nowym dźwiękiem, parsknął śmiechem.

- Dzięki ci, Gaetano - powiedział, po czym otoczył ją ramionami, zanurzając dłonie w jej włosach.

I mieli swoją miłość.

8 Lipca

CASS DEAL SKIEROWAŁ SWOJĄ FURGONETKĘ W stronę bramy cmentarza Magnolia. Zatrzymał się przy swojej stróżówce, żeby wypić filiżankę rozpuszczalnej kawy. Zanosi się na upalny dzień, pomyślał. Magnolie w Zakątku Konfederatów były w pełnym rozkwicie, roztaczając wokół swój słodkawy smrodek. Nienawidził tego zapachu. Ileż to trumien, opuszczających karawany domu pogrzebowego Irlandów, miało pojedynczą magnolię na polerowanym mahoniowym wieku! Elegancko - tak mu mówiono - ale on dopowiadał sobie, że po prostu taniej. Niewątpliwie ułatwiało to sprzątanie po ceremonii. Zalał wrzątkiem gryzące granulki. Coraz mniej wystawnych pogrzebów w dzisiejszych czasach. Do ziemi nieboszczyka, a sami - do domu. Ludzie żyją dzisiaj za długo -dłużej, niż trwa życzliwość ich bliskich. Cass, w wieku siedemdziesięciu lat, nie zaliczał siebie do tej kategorii.

Wrzucił grabie i wiadro na skrzynię furgonetki i pojechał w stronę nowej części cmentarza. Pogrzeb w piątek o drugiej. Musi wykopać i przygotować grób, zanim ekipa z domu pogrzebowego rozbije swój namiot i ustawi rzędy krzeseł, które miały tendencję do zapadania się w miękką ziemię pod co cięższymi żałobnikami. Jechał wolno trawiastymi alejkami, ledwie rzucając okiem na granitowego anioła na kwaterze Williamsów, wazon żółtych gladioli na grobie starego Conrada, grzechotnika wyciągniętego na grobie dziecka Adamsów, które zmarło na paraliż dziecięcy. A może to był zawał płuca? Nowa część cmentarza kończyła się pochyłością schodzącą w stronę bagna i węże często przypełzały wygrzewać się na kamieniach nagrobnych. Minał kwaterę Masonów, jedyną, która była ogrodzona. Żelazna furtka dawno zardzewiała i nie chciała się zamknąć, a splątane pnące róże, które Wills Ma-

son zasadził dla swojej niesławnej żony, zawsze opadały w upale. Bałagan, a jemu, Cassowi, nikt nie płacił za sprzątanie, chociaż była z tym dodatkowa robota. Czasem Masonowie przysyłali kogoś, żeby poprzycinał pędy. Kawalek dalej zobaczył na ziemi jakieś śmieci i stanął, żeby je podnieść. Zgnieciona puszka po napoju Dr Pepper i biała chusteczka. Brudna. Wrzucił jedno i drugie na furgonetkę i ruszył z kopyta Mignęły mu wstążki powiewające przy czterech stojących wieńcach. Pryzma czerwonej gliny, a pod nią Merrilee Gooding. Kto by pomyślał, że taka ładna dziewczyna może tak nagle wziąć i umrzeć? Mówią, że doktor Strickman usunął jej guza wielkości piłki futbolowej. Kobierzec pokrywających grob czerwonych róż wyglądał jak zaschnięta krew. Cóż, niedaleko jest, jak widać, od niemożliwego do możliwego.

Poranne słońce eksplodowało zza zasłony błotnych sosen wyznaczających granicę jego terytorium. Padało przed dwoma dniami. Ziemia powinna łatwo się poddawać. Dawno stracił rachubę, ile grobów w życiu wykopał, ale wiedział co do minuty, ile czasu mu to zajmowało, zanim dostał swojego bob-cata. Pięć godzin i dziesięć minut z zegarkiem w ręku o ile me natrafił na warstwę wapienia. Wtedy był kłopot. Dzięki zakupionej przed kilku laty miniaturowej koparce oszczędzał teraz grzbiet. I czas. Zagrabieć, wyrównać, zapuścić łyżkę koparki w grunt, sprawdzić, czy ziemia łąduje w zgrabnym kopczyku. Potem się sprowadzi Aida, żeby wylał wewnątrz cementem. Po czterdziestu latach wiedział o swojej pracy wszystko Jak często powtarzał, to właśnie mu się podobało w nieboszcykach, że wiadomo, czego się po nich można spodziewać Kiedyś znalazł półtora metra pod ziemią dwa szkielety, trochę koralików i potłuczonych naczyń. Zabrał je profesor z koledżu w Douglas i nikt więcej o nich nie słyszał. Powiedział mu że to Indianie z plemienia Creek. Czasem trafiał na wodę. Ludzie z domu pogrzebowego mieli wówczas nadzieję, że pogrążeni w smutku żałobnicy nie zauważą, jak trumna z ich drogim zmarłym unosi się przez chwilę, nim osiadzie na ziemi.

LILY MASON NIE TYLE SKIEROWAŁA, ILE WYCELOWAŁA swojego lincolna w stronę cmentarza Magnolia, wyjeżdżając około dziewiątej z ulicy Cytrynowej. Odkąd Tessie zadzwoniła, że się spóźni, bo jej sąsiadka zachorowała, zdążyła się wykapać, ubrać i zrobić sobie śniadanie złożone z herbaty i dwóch czekoladowych ciasteczek - małe szaleństwo, na które sobie pozwalała, podobnie jak na kieliszek likieru przed poobiednią drzemką i mocne martini z dżinem przed kolacją. Dżin ma czysty, klarowny smak, myślała. Tak powinna smakować woda, ale nie smakuje. Za piętnaście dziewiąta miała za sobą karmienie CoCo, swojej zielonej papugi, i spacerowała po ogrodzie, wśród ostróżek, cytrynowych lilii, zaborczej werbeny i rdzawych krzaków kamelii. Powinna się zająć irysami rosnącymi na pochyłości nad stawem. Przekwitłe kwiaty wyschły na spopieliałym błękit na swoich muskularnych łodygach. CoCo skrzeczała do niej z wiklinowej klatki. Ptak spędził swoje młode lata w warsztacie mechanicznym, więc zamiast mowy naśladował dźwięki wydawane przez silnik samochodu, metaliczne zgrzyty i klekoty, co bawiło Lily, ale nikogo więcej. Nie mając zamiaru niczego robić w tej sprawie, Lily odnotowała, że jaśmin wplątał się między długie, opadające kiści białych kwiatów tawuły. Tego lata wszystko chce przekroczyć swoje granice, pomyślała. Bukiet panny młodej, tak nazywano tawułę, ale żadna panna młoda nie stanęła z nią nigdy na ślubnym kobiercu. Tawuła jest zbyt pospolita. Gdyby ona, Lily, została kiedykolwiek panną młodą, miałyby wiązanek z błękitnych ostróżek, białych róż i pnącego bluszczu. Bukiet Ginger... nie pamiętała. Musiał być na wpół zwiędły, kiedy stała, ściskając go kurczowo tu, w tym ogrodzie.

Lily uszczknęła dwa kwiaty, które chciała zanieść na grób rodziców, wyobrażając sobie, że może pokazać je mamie, tak jak to kiedyś robiła. Mogłaby się do niej zwrócić: „Spójrz na tę białą gwiazdkę we wnętrzu powoju. Ma w sobie coś, nie uważasz?”. Albo: „Ta lilia wygląda, jakby została dopiero co zanurzona w żółtej farbie”. Ale nie była na tyle głupia, żeby powiedzieć coś takiego na głos. Wrzuciła sekator do przegródki na rękawiczki i położyła gazetę na tylnym siedzeniu samochodu. Jej najlepsza przyjaciółka, Eleonora, miała się z nią spotkać na cmentarzu, żeby naścinać róż. Potem wybierały się do Trzech Sióstr na kawę i pogawędkę.

ELEONORA POŁOŻYŁA WIĄZANKĘ fioletowych naparstnic na granitowej płycie, na której wyryte było nazwisko jej męża: Holt Ames Whitefield. Cztery lata temu, po jego śmierci, nabrała zwyczaju odwiedzania grobu każdego ranka z wyjątkiem czwartków, zarezerwowanych na fryzjera i kosmetyczkę. Kazała postawić przy grobie marmurową ławeczkę i przysiadła na niej na kilka minut, czasem czytając rozważanie z „Wieczernika” na dany dzień, czasem po prostu wspominając ich wspólne podróże na Haiti, Jamajkę, do Kalifornii, na Alaskę. Ta zmrożona, bladobłękitna woda, statek przedzierający się przez lód, góry lodowe, wyrastające nagle na czystym, błękitnym niebie. Nie mogła się oprzeć myśli, że tak musi wyglądać śmierć. Nadal niemożliwą rzeczą było pomyśleć, że Holt - Holt! - nigdy nie wróci. Czasem, kiedy wyjmowała pocztę ze skrzynki, przerzucała szybko reklamową makulaturę, jakby szukając listu od niego. Niespodziewany krwotok tętniczy z gardła po operacji i było po nim. „Przyszedł na niego czas” - powiedział ojciec Tyson, co spowodowało, że Eleonora obcięła do połowy zawartość swojej koperty z ofiarą na kościół. W kwestii ojca Tysona były z Lily podobnego zdania. Eleonora uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak jej przyjaciółka podsumowała go, mówiąc, że nie jest „ani użyteczny, ani ozdobny”. Biedny Holt. Kto miał prawo powiedzieć, że przyszedł na niego czas? Kiedy była świeżą wdową, kulila się w łóżku w pozycji embriona, budząc się każdego ranka i uświadamiając sobie, że go nie ma. W końcu, po czterech latach, ostrze bólu stepiło się. Teraz rankami była spokojna, lubiła patrzeć w dół zbocza na cisow-ce stojące w czarnej wodzie i białe pływające hiacynty. W oddali usłyszała silnik koparki Cassa Deala. Zirytował ją hałas i widok czerwonej maszyny, atakującej miejsce pod

nowy grób i wyrzucającej na powierzchnię kolejne porcje ziemi. Zastanawiała się, gdzie jest Lily. Zadeklamowała na głos kilka linijek wiersza, który Holt lubił. On uczył w liceum angielskiego, ona matematyki. Pamiętała, jak ją złościło, kiedy przybierał oratorski ton, ilekroć cytował poezję.

Mówią, że świata kres to ogień, Inni, że lód.

*Na Hem żądzę poznać zdołał, Stawiam na...**

Zapomniała, co było dalej. Czy żądza miała wskazywać na ogień, czy na lód? Nie była pewna. Holt będzie musiał sam dokończyć ten wiersz. Co nie znaczy, że chociaż przez sekundę pomyślała, że z nim obcuje. Śmierć to śmierć. Ojciec Tyson może gardłować przez cały dzień, a śmierć nadal będzie śmiercią. Po prostu lubiła widzieć jego imię i daty, tak namacalnie obecne. 1906-1971. C.b.d.o. Dowód istnienia, ważny tak długo, jak długo będzie trwał granit. Osłoniła oczy i ujrzała rozpędzony samochód Lily na zakręcie przed wjazdem na cmentarz. Dobra nasza. Miały mnóstwo czasu. Klub brydżowy spotykał się tego dnia u niej na lunchu. Hattie musiała w tej chwili dusić kurczaka na sałatkę i wyjmować z szafy nakrochmalone, różowe lniane serwetki, które Eleonora przywiozła z podróży na Jamajkę. Członkinie klubu spotykały się co wtorek, żeby zjeść razem lunch i rozegrać kilka robków. Z upływem lat dwa stoliki skurczyły się do jednego i, szczerze mówiąc, Eleonora nie była pewna, jak długo jeszcze będzie miała ochotę wysłuchiwać opowieści o niedomaganiach i fobiach brydżystek. Lily straciła cierpliwość i zrezygnowała przed trzema laty. Teraz inne miały szansę cieszyć się wygraną. Lily pamiętała każdą odzywkę w licytacji, każdą kartę, a do tego znakomicie rozgrywała. Kiedy grała w parze z Eleonorą, inne były bez szans. Eleonora miała zamiar ustawić w domu bukiety cudownych róż Lady Godiva, które zwyczajnie się marnowały, obrastając ogrodzenie kwatery Masonów. Podwójne marnotraw-

* Robert Frost, „Ogień i lód” (przyp. tłum.).

stwo, kiedy chmury tych wspaniałych wonności - jeżyna, melon, limona - przepływały nad umarłymi. Kwitły przez cały maj i czerwiec i nawet teraz, na początku lipca, wciąż była tu obfitość różowych, podwójnych kwiatów, których łodygi oplatały metalowe żerdzie ogrodu. Oczywiście, w sierpniu wszystko dawało za wygraną i wędło. Zdarzało im się ścinać tu rośliny już wcześniej, chociaż Lily nigdy nie chciała zabrać żadnych kwiatów do domu. Eleonora już sobie wyobrażała róże na kredensie w srebrnym wazonie. Powinna była zostawić Hattie karteczkę, żeby go wypolerowała.

Otworzyła z rozmachem drzwi samochodu, upewniając się, że blokada zaskoczyła i nie przytrzasną jej nogi, odbijając z powrotem. Czuła się równie silna, jak w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, chociaż mniej sprawna od czasu plastyki stawu biodrowego. Przed dwoma laty wszczepili jej w Tipton metalową endoprotezę na miejsce kości, która pękła, kiedy Eleonora przeskakiwała przez rów, żeby nazbierać rukinii. Musiała siedzieć w rowie, dopóki nie zobaczył jej przejeżdżający farmer z plantacji tytoniu. Miły człowiek. Wytaszczył ją stamtąd i sam zawiózł do szpitala. Kiedy wyzdrowiała, przesłała mu przez Holta Juniora parę słoików swoich brzoskwińskich pikli i ostrego śliwkowego sosu.

Dojeżdżała do kwatery Masonów, kiedy „ptyś z kremem”, jak bratanek Lily nazywał jej samochód, pokonał wiraż i wpadł w cmentarną bramę. Widziała, jak zahacza kołami o grób Annie Ruth Steepleheart. Samochodem zarzuciło, Lily skontrowała i po chwili gnała alejką prowadzącą do rodzinnych grobów. Eleonora przymknęła oczy. Lily była taka nieobliczalna.

Mając już obie stopy na ziemi, Eleonora wygramoliła się z samochodu i sięgnęła do torebki w poszukiwaniu nożyczek.

- Spóźniłam się? - Lily zatrasnęła drzwi i cmoknęła powietrze w pobliżu policzka Eleonory. Znały się całe życie. Eleonora, starsza o kilka lat, wzięła ją pod swoje skrzydła, kiedy Lily była świeżo upieczoną nauczycielką w przyfabrycznej szkole, ale wszystkie jej dobre rady na nic się zdały. Lily nienawidziła uczyć. Po śmierci swojego ojca, Dużego Jima, zrezygnowała z posady i poświęciła się ogrodnictwu. Obie były członkiniami-założycielkami klubu ogrodniczego imienia Roberta Lee i od tamtego czasu niemal codziennie rozmawia-

ły przez telefon, wymieniały się wycinkami, przepisami i artykułami z czasopism. Kiedy Lily zobaczyła, jak Eleonora szczeka sekatorem i podwija rękawy, ujrzała ją nagle, promienną i w pełni sił, u szczytu długiego, świątecznego stołu, kiedy Holt Junior był niemowłkiem, a ich przyjaźń dopiero się zaczynała.

- Nie bardziej niż zwykle. Jak się masz, kochanie? - Eleonora zauważyła, że Lily znów podfarbowała sobie włosy henną. Pomarańczowa poświata lśniła jak politura na tanich mahoniowych meblach. Poza tym jej wysoko upięta fryzura wyglądała dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy miała piętnaście lat i spotykały się na Carrie's Island na potańcówkach, podczas których chłopcy zawsze się kręcili koło Eleonory. Kątem oka widziała Dużego Jima, perorującego przy stole, za którym Lily zagryzała wargi, sącząc lemoniadę, a jej matka, Florence, wyglądała na beznadziejnie znudzoną. Lily byłaby dla kogoś dobrą żoną, pomyślała lojalnie, gdyby w młodości nie była tak zdominowana przez swoich rodziców. Pozostała na zawsze córką, konieczna przemiana w samodzielną kobietę nie dokonała się. Później wychowywała Ginger i jej brata, za co, oczywiście, należałoby ją ozłocić.

Przyglądały się pękcom zmysłowych róż, zwieszającym się niczym gotowe bukiety.

- Ładna bluzka. To nowa? - Lily miała skłonność do chodzenia w starych ubraniach, więc Eleonora chwaliła ją za każdym razem, kiedy pojawiła się w czymś przyzwoitym. - Ładnie ci w żółtym.

- Ginger przysłała mi ją w zeszłym roku na urodziny. - Lily zanurzyła nos w kwitnącej kiści. - Gdyby w Paryżu potrafili zamknąć ten zapach w butelce, kobiety zapłaciłyby każdą cenę. - Nie ona, oczywiście. Jej wystarczyła odrobina talku. Przycięła łydźki i podała naręczę róż Eleonorze, która zaniósła je do samochodu. Kiedy ścinała następne, coś przyciągnęło na chwilę jej wzrok - nagły rozbłysk, błękitne skrzydło sójki? Nachyliła się i zmrużyła oczy. Poprzez kaskady kwiecia dostrzegła kopiec gliny po drugiej stronie ogrodzenia, w pobliżu grobów. Co u licha? Pchnęła furtkę i stanęła jak wryta. Zatoczyła się gwałtownie, mając nagle ciemność przed oczyma. Podniosła wzrok na niebo, usiłując odzyskać zdolność normalnego widzenia. Lśniący błękit wczesnego po-

ranka zaczął już ustępować rozbielonej bladości godzin południowych, która miała się utrzymać aż do zmierzchu, kiedy pył unoszący się znad pól znaczył niski horyzont smugami oranżu i różu. Harmon Dann, aptekarz, mówił, że widział niebiesko-złote konfetti, kiedy odkleiła mu się siatkówka. Może z jej własną działo się w tej chwili to samo? Mrugnęła kilka razy, po czym powoli otworzyła oczy na widok, który miał pozostać na zawsze wyryty na ich dnie. - Eleonoro - powiedziała z trudem - ale Eleonora układała róże na tylnym siedzeniu swojego samochodu. Błękitna sukienka, czarne włosy. - Nie - wyszeptwała. Wyrwa w ziemi, strzaskana płyta nagrobna, brązowa trumna wywrócona do góry dnem. Catherine. Zachowana, pociemniała, ale zachowana, leżąca na skraju swojego własnego grobu. Nagle jej przyjaciółka była przy niej.

- O wszyscy święci... - Eleonora usłyszała swój głos, brzmiący, jakby gardło miała wypełnione wodą. Spróbowała wziąć się w garść, żeby się upewnić, że nie odeszła zwyczajnie od zmysłów, jak jej starsza siostra, Rebeka, która wyszła swego czasu od dentysty i nie wiedziała, gdzie jest. Rebeka wylądowała w łóżku domu opieki w Crossaway, skulona niczym niemowlę w kołysce. Eleonora pragnęła zemdleć albo zacząć krzyczeć przeraźliwie, ale tylko stała nieruchomo, chłonąc niepojęty widok: Catherine Mason, martwa i pochowana od wielu lat, wyrzucona z własnego grobu.

Lily chwyciła się furtki. Nie wydała żadnego odgłosu, z wyjątkiem urwanego jęku, jakby brutalne uderzenie pozbawiło ją tchu. Jej świadomością zawładnęło nagle wspomnienie z dzieciństwa. *Czy chciałabyś polecieć wysoko, wysoko, prosto w to błękitne niebo? Wznoszę się wśród gałęzi hikory, dłonie ściskają sznury huśtawki, stopy celują w niebo, ale mama rozbijała huśtawkę za mocno i wylatuję w powietrze... spadam, spadam...* Złapała Eleonorę za ramię. Od strony bagna powiał wietrzyk, podmuch akurat dość silny, żeby rozsypać płatki róż po grobach innych Masonów. Spora warstwa zdążyła już się zebrać pod stopami Catherine.

Mózg Eleonory znów zaczął tykać. Musi pomóc Lily. O Boże, stopy Catherine, jej stopy, jej bosa, rozrzucone stopy, z różowym lakierem wciąż widocznym na paznokciach. Eleonora pamiętała, jak Alan Ireland oddał jej z powrotem wyglanso-

wane lakierki Holta, które przywiozła do domu pogrzebowego razem z garniturem. „Buty nie będą potrzebne” - powiedział sucho. Catherine leżała idealnie spokojna, jak wtedy w trumnie, z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Nieruchoma jak gład i sztywna, jak przypuszczała Eleonora. Promień światła padł na włosy Catherine, wciąż lśniące. Ale jej skóra przypominała teraz wyprawiony rzemień, niemal złota, przypominająca barwą znoszoną zamszową kurtkę, wiszącą w głębi szafy Eleonory. Holt. On też byłby rozpoznawalny, dzięki tym wszystkim chemikaliom, którymi go naszprycował chłopak Irlandów. Eleonora nie chciałaby być oglądana w takim stanie.

- O nie, Eleonoro, spójrz, tatusia też... - Lily wskazała ruchem ręki drugą stronę rodzinnej kwatery. Eleonora jednym rzutem oka ogarnęła nagrobek Dużego Jima, zalany czarną farbą. Otoczyła Lily ramieniem i zdecydowanie poprowadziła w stronę samochodu.

CASS Z ZADOWOLENIEM OGLĄDAŁ idealnie prostokątny dół, który właśnie wykopał. Usiadł, żeby zapalić papierosa, zanim wróci do swojej stróżówki. Zauważył dwie kobiety, ścinające róże na działce Masonów. Chwilę potem obie wsiadły do samochodu Eleonory, zostawiając wóz Lily na środku skrzyżowania cmentarnych alejek. Eleonora była niemal jedyną osobą, przychodzącą tu regularnie każdego ranka. Większość okolicznych mieszkańców pojawiała się w niedzielę, jeżeli w ogóle. Ta stara panna Lily nie powinna zostawiać swojego lincolna, gdzie jej się żywnie podoba. Patrzył, jak żwir prysnął spod kół samochodu Eleonory, kiedy zbyt szybko nacisnęła pedał gazu. Dobrana z nich para, nie ma co, pomyślał Cass. Jedna to pirat drogowy, druga lada dzień wyląduje na jakimś słupie telefonicznym. Syn powinien jej zabronić prowadzenia samochodu. Ale ten Holt Junior to ciepłe kluski. Mówią, że to nie on tam nosi spodnie. Prędzej w piekle nastanie chłodny dzień, niż ten mięczak zabroni swojej mamusce robić, co jej się żywnie podoba.

LILY BAŁA SIĘ O SWOJE SERCE, które waliło jak młotem. Opadła na siedzenie, chowając twarz w dłoniach. Eleonora ruszyła z kopyta, rzucając na podłogę róże, które wciąż trzymała w ręku.

- Stań, Eleonoro, zbiera mi się na wymioty. - Lily otworzyła drzwi i wychyliła się, czując bolesne skurcze żołądka. Kiedy zamykała je z powrotem, przytrzasnęła sobie czubek palca. Eleonora sięgnęła do tyłu, pchnęła kłamkę w dół i wciągnęła rękę Lily do środka. Spłaszczony koniec palca i wgnieciony paznokieć posiniały. Eleonora przejechała całą milę, dzielącą je od miasta - raz omijając w ostatniej chwi-

li kota i raz omal nie zderzając się z dzieckiem na rowerze -nim zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić.

Tessie wybiegła z domu, kiedy zobaczyła, że Eleonora wyprowadza Lily z samochodu. Na jasnożółtej bluzce widać było plamy krwi.

- Porozmawiamy za chwilę, Tessie. Zaprowadźmy ją do jej pokoju.

Eleonora przygotowała łóżko. Tessie przyniosła woreczek lodu, żeby zrobić Lily okład na palec.

- Połóż się - powiedziała Eleonora. - Ja pojadę do szeryfa. Ty nie wstawaj. Po prostu leż. Poproszę Tessie, żeby tu przyniosła filiżankę herbaty. To ci dobrze zrobi. Gdzie jest J.J.?

- Pojechał na ryby. Eleonoro, jak my sobie z tym poradzimy?

- Złapią bydlaka, który to zrobił, i wsadzą go za kratki. Zadzwońię do Deaniego Robartę i poproszę, żeby przyjechał obejrzeć ten palec. I znajdę twojego bratanka. - Eleonora podniosła słuchawkę telefonu stojącego przy łóżku Lily i wykręciła numer doktora.

Deanie osobiście odebrał telefon i obiecał, że wpadnie do Lily przed południem.

- Przepraszam, że to mówię, Eleonoro, ale cieszę się, że tam ze mną byłaś. Wiesz, że mam mieszane uczucia, jeśli chodzi o Catherine. To silniejsze ode mnie, ale mimo wszystko nie zasłużyła na coś takiego. - Lily czuła się, jakby za chwilę znów miała zymiotować.

- Nie. Nikt na to nie zasłużył. - Eleonora dobrze wiedziała, że Lily zawsze żywiła wobec bratowej skrywaną zazdrość gigantycznych rozmiarów. Wyglądało na to, że Wills, młodszy brat Lily, przeniósł po ślubie wszystkie swoje uczucia na Catherine. Potem, kiedy wrócił wypalony z wojny do domu, odnosił się do siostry ciepło, ale nie darzył jej szczególną uwagą. Ponieważ Lily nie wyszła za mąż, obojętność brata zraniła ją głęboko. Od czasu powrotu sprawiał wrażenie, jakby jej słowa nie bardzo do niego docierały.

Po ODPROWADZENIU ELEONORY DO SAMOCHODU SZERYF RALPH HUNNICUTT wrócił pędem do biura, przeskakując po trzy stopnie naraz, szybko przewertował notes i zadzwonił. Odebrała sekretarka.

- Zakład pogrzebowy Irlandów, słucham?

- Niech mi pani da, z łaski swojej, Alana.

- W tej chwili odbywa konsultację z klientem. Czy mógłby do pana oddzwonić?

Konsultacje, psiakrew, pomyślał Ralph. Oprawdza Jakiegoś frajera po swoim smętnym składzie trumien, doradzając mu, żeby kupił tę z jedwabną wyściółką i ręcznym haftem.

- Proszę mu powiedzieć, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Mówi szeryf Ralph Hunnicutt. Pani szef musi się ze mną spotkać na cmentarzu. Pilnie. Mój samochód będzie stał przy kwaterze Masonów, w starej części cmentarza.

Wyjeżdżam w tej chwili. - Przytrzymując telefon przy uchu ramieniem, równocześnie zapinał kaburę pistoletu. Był szeryfem okręgu dopiero od trzech miesięcy i jedyne, z czym miał do tej pory do czynienia, to wraki samochodów i bójki na pięści.

- Można wiedzieć, w jakiej sprawie, szeryfie? Jest w tej chwili bardzo zajęty. Ma klienta.

- Niech mu pani po prostu powie, żeby tam był. Porozmawiamy na miejscu. - Ralph chwycił swój notes.

Przy wjeździe na cmentarz zatrzymał się w miejscu, gdzie Cass Deal grał sosnowe igły. Patykowata postać dozorczy przypominała złożony z kilku kresek dziecięcy rysunek.

- Jak się masz, Cass? Eleonora Whitefield złożyła mi dzisiaj bardzo dziwną wizytę. Nie zauważyłeś rano nic nadzwyczajnego?

- Nie, a co jej nie pasuje?

- Wsiadaj. - Ralph powtórzył, co mu powiedziała Eleonora.

- Kobięcina zaczyna świrować. Szkoda, że pan nie widział, jak stąd wyjeżdżała. Proszę spojrzeć: zostawiły samochód Lily na środku drogi.

- Zawsze jeździła jak wariatka. Wiesz, że jest narowista niczym dzika kobyła.

Ralph zaparkował za samochodem Lily. Wszystko się dokładnie zgadzało z opisem Eleonory.

Stali, patrząc w milczeniu. Ralph miał wrażenie, że coś się stało z jego słuchem. Słyszał tylko dzwonienie w uszach.

Wytarł kark chusteczką. W końcu Cass odzyskał mowę:

- O jasny szrag! O jasny, najjaśniejszy szlag! Chryste Panie, jeśli to nie jest największe... - Urwał i chwycił Ralpa za rękaw, kiedy płat ziemi przekrzywił się nagle, po czym

znieruchomiał. - Sukinsyn. Te kobiety tu przyszły i zobaczyły coś takiego.

Dwaj mężczyźni stali bez ruchu, aż wreszcie Ralph zmusił się, żeby podejść bliżej. Uświadomił sobie, że będzie musiał się tym zająć. Kilka pszczoł obrabiało róże, jedna krążyła, brzęcząc, wokół twarzy Catherine. Ralph był za daleko, żeby ją przegonić, ale mimo to machnął ręką w powietrzu.

- Czy coś zauważyłeś, Cass, to znaczy, coś oprócz tego?... - Wskazał gestem ciało leżące na ziemi. Dotknął zaschniętej czarnej farby na grobie Dużego Jima. - Jakieś zatrzymujące się samochody, może jakichś ludzi? - „Jakieś wampiry?”, chciał dodać, ale nie był w stanie zdobyć się na żart.

Cass pokręcił głową.

- Na tej ziemi są ślady deszczu - ciągnął Ralph - a tutaj, o proszę, brzeg sukienki jest uwalany błotem. Musi tu leżeć co najmniej od tamtej burzy sprzed dwóch dni.

- Cóż, nie mogę sprawdzać codziennie każdego grobu.

- Nie ulega wątpliwości, że pani Mason leżała tutaj w czasie deszczu. - Ralph spojrzał na jej ręce i szyję w poszukiwaniu biżuterii. Nie było żadnej. - Jedyne motyw, jaki mi przychodzi do głowy, to rabunek. Czy ludzi się chowa w obręczkach? - Cass nie sądził, żeby tak było, chociaż kiedy o tym pomyślał, uświadomił sobie, że od wielu lat nie widział żadnego zmarłego, tylko zaplombowane trumny.

Usta zmarłej były mocno zaciśnięte, na wargach błąkał się nikły uśmiezek. Dziwne, zważywszy, jaką śmiercią zginęła. Ralph nie przypuszczał, żeby rabuś szukał złota w tych zaciśniętych ustach. A jej język - czy wciąż układał się w kształt ostatniego wypowiedzianego przez nią słowa, jakiegokolwiek by ono było? Podszedł bliżej. O Boże. Żołądek podjechał mu do gardła, kiedy zobaczył firanki rzęs w zapadniętych oczodołach. W Wietnamie widywał gorsze rzeczy, ale to było co innego. Słyszał, że paznokcie nadal rosną po śmierci, jej paznokcie na wyschniętych palcach wciąż jednak miały zgrabny, owalny kształt.

Mężczyźni zobaczyli nadjeżdżającą limuzynę domu pogrzebowego i ruszyli ku niej, żeby uprzedzić Alana Irelanda, co za chwilę zobaczy.

Nawet on, który wciąż miał do czynienia z ciałami nieboszczyków, zatoczył się gwałtownie w tył i w przód, z rozpostar-

tymi rękami, jakby usiłował utrzymać równowagę na pływającym pniu. Nagle wybuchnął śmiechem, jak pomyłony. Ralph zauważył, że jego oczy robiły jeszcze bardziej niaimowite wrażenie niż oczy Catherine: przypominały oczy hipopotama, lypiące z mętnej wody. Czarny garnitur wilił na nim jak na haku. Dlaczego przedsiębiorcy pogrzebowi za WMe muszą mieć ten „zawodowy” wygląd? On sam mógłby być prawnikiem albo menedżerem, przynajmniej tak sobie wyobrażał. Miał zamiar studiować farmację na uniwersytecie stanowym, ale zamiast tego poszedł w wieku dziewiętnastu lat do wojska po roku balowania i zbierania kiepskich ocen. Jego dziadek był szeryfem przez trzydzieści lat i kiedy zmarł, pałeczka została przekazana Ralphowi, który wrócił z wojska po dziesięciu latach i zaczynał już mieć po dziurki w nosie stania za ladą u Walgreena*, mając za konkurenta czarnoskórego ważniaka.

- Zawiadomiłeś biuro śledcze czy masz zamiar sam prowadzić dochodzenie? - zapytał Alan.

Ralph nie pomyślał o tym, żeby zawiadomić GBI**, ale szybko zatuszował tę niezręczność.

- Cass, zostaniesz tutaj, dopóki nie przyjadę z kimś ze straży. Jadę do miasta to zgłosić. Alan, mógłbyś zorganizować jakiś brezent, żeby ją przykryć na dzisiejszą noc? Chyba lepiej niczego nie ruszać, dopóki się nie skontaktuję z facetami z GBI. - Żałował, że powiedział „chyba”. Powinien być bardziej stanowczy. - Zadzwoń też do gazety. Mogą przysłać fotografa, żeby zrobił dla mnie dokumentację.

CASS OPARŁ SIĘ O WYSOKI NAGROBEK naprzeciw kwatery Masonów. Co miał zrobić, jeśli ten szaleniec wróci, żeby popatrzeć na swoje dzieło? Kamień nie rzucał cienia, ale przyjemnie chłodził plecy. Cass próbował zebrać myśli. Co to był za dzień? To musiał być piątek - deszcz spadł w sobotę. Przyjechał rano i miał wrażenie, że koparka nie stoi dokładnie tam, gdzie ją zostawił, tylko jakby bliżej ściany stróżówki. Pamiętał, że musiał się przeciskać bokiem, żeby do niej wsiąść, ale

* Znana sieć amerykańskich aptek, sprzedających też inne artykuły (przyp. tłum.).

** Biuro Śledcze Stanu Georgia (przyp. tłum.).

doszedł do wniosku, że widocznie tak fikuśnie zaparkował. Kluczyk był w stacyjce, gdzie go zawsze zostawiał. Powinien o tym powiedzieć Ralphowi, ale nie chciał ponosić jakiegokolwiek odpowiedzialności za to, co się stało. Postanowił, że „przypomni sobie” o tym później, jeśli nie będzie innego wyjścia.

HATTIE USŁYSZAŁA SAMOCHÓD ZAJEŹDZAJĄCY PRZED DOM, a po chwili stłumione uderzenie o tylną ścianę garażu. Po chwili pojawiła się Eleonora. Wzrok miała błędny, włosy w nieładzie.

- Co się stało, proszę pani? Spowodowała pani wypadek? - Fakt, że do tej pory się to nie zdarzyło, Hattie uważała za cud. Obie z panną Lily jeździły jak wariatki.

Eleonora przeszła przez kuchnię i włączyła klimatyzację w salonie i jadalni. Hattie nakryła już stolik do gry. Eleonora pomyślała, że nigdy nie odzyska spokoju i nigdy nie uda jej się wyrzucić z pamięci obrazu Catherine. Co gorsza, śmierć Holta wróciła do niej ze świeżą grozą. Wszyscy umieramy, śmierć to część życia, ale ogarnęła ją furia na myśl o tym, że jesteśmy rozdeptywani jak insekty, chociaż - wiedziała, że to irracjonalne - tyle razy myliłmy głowę, płaciliśmy składki ubezpieczeniowe, czyściliśmy zatłuszczony blat, podnosiliśmy gazetę z wycieraczki. Codzienne życie było tym, co tak namiętnie kochała. Jak łatwo przyjmujemy je za oczywistość, kiedy po prostu żyjemy: pędzimy do miasta, bo przyszedł transport świeżych krewetek znad morza, obrębiamy brzeg ubrania, marzymy o unoszeniu się na wodzie w ciepłym stawie. Znów zobaczyła jasnoczerwoną krew, która trysnęła z gardła Holta na białe kafelki. Czuła palącą wściekłość. Przesunęła palcem po dolnej wardze, co ją zawsze uspokajało.

- Hattie, proszę cię, nalej nam po filiżance kawy i usiądź. Muszę- ci coś powiedzieć.

Syn Hattie, Scott, towarzyszył zazwyczaj synowi Catherine w polowaniach. Ponieważ był czarny, nikt nie powiedziałby po prostu, że on i młody Mason są przyjaciółmi. J.J. był dziwakiem, każdy to wiedział. Miał niewielu przyjaciół o jakiejkolwiek barwie skóry, a kiedy widziano go z kobietą, wiadomo było, że musi to być osoba poniżej jego poziomu. Ponieważ J.J. notorycznie przepadał w lasach, Eleonora powiedziała szeryfowi, że Hattie może wiedzieć, czy ci dwaj nie wy-

brali się gdzieś na ryby. Hattie pokazała jej w zeszłym tygodniu zdjęcie zrobione polaroidem: J.J. trzymający złowionego przez siebie okonia morskiego, piętnastokilowe monstrum wyglądające niby jakiś przedpotopowy stwór, z wodnymi skorupiakami przywartymi do skóry wokół pyska. J.J. oparł jedną nogę na ściętym pniu. Jego tors lśnił barbarzyńsko i chociaż chłopak się nie uśmiechał, robił wrażenie zadowolonego. Zaczesane do tyłu włosy były czarne niczym zwęglona zapalka, tak samo jak włosy Catherine. Tak samo, jak wciąż wyglądały włosy Catherine. Eleonora nie rozumiała, jak mógł być taki zadowolony z siebie, skoro tak niewiele sobą reprezentował. Pomimo wybitnej inteligencji i pieniędzy, którymi go los obdarzył, pędził życie włóczęgi, buszując po lasach, niczym wyrzutek społe czeństwa. I ten jego urok osobisty, który J.J. potrafił włączyć i wyłączyć na zawołanie. Widywała go wiele razy w nastroju sztormowym. Lily miała co znosić, oj, miała.

Kuchenny stół stał pod rzędem nieosłoniętych okien z małymi szybkami. Klimatyzacja ujarzmiła słoneczny blask, wlewający się do środka poprzez cienkie gałązki mimozy. Eleonora usiadła i wpatrzyła się w błękitne hortensje wielko ści ludzkiej twarzy, cisnące się do okien. Co roku traktowała je siarką, aby zachowały dokładnie ten sam odcień, jaki miały za czasów jej matki. Inaczej wracały do pospolitego różu. Kiedy wróciła myślą do Catherine, łzy zaćmiły jej wzrok. Miała wrażenie, że to dziecięce twarzyczki, pozbawione tlenu, tłoczą się za szybą. Zastanawiała się, czy nie powinna za j rzeć do Lily. Nie, postanowiła, zrobi to później, kiedy obie nieco ochłoną. Lily, jak przypuszczała, będzie musiała powia domić swojego brata, Willsa. Bóg jeden raczy wiedzieć, co MIII powie. Hattie patrzyła na nią wyczekująco. Eleonora opowiedziała jej o wydarzeniach tego poranka.

- Wstyd i hańba - zakończyła. - Catherine Mason na zie mi, w deszczu.

- Boże, Boże! - Hattie pokręciła głową. Nie rozmawiała ze Scottem od czasu niedzielnego obiadu. O ile się orientowała, pO winien być w sklepie spożywczym, który prowadził dla J.J a

Kiedy Eleonora skończyła relację, nagle przypomniała sobie o różach.

- Hattie, mogłabyś być tak dobra i przynieść tutaj te kwiaty? Musiały się zsunąć na podłogę samochodu. Ja jestem zbyt wykończona.

- Mam rozumieć, że mimo wszystko chce pani podjąć te wszystkie panie? Po tym, co pani przeszła?

- Czemu nie? Chyba będę potrzebowała towarzystwa. -Eleonorze nie przyszło do głowy, że mogłaby odwołać spotkanie klubu i leżeć w swoim wielkim łóżku, z mokrym ręcznikiem na oczach, dopóki się nie uspokoi.

- Ile razy pani spojrzy na te róże, tyle razy wszystko się pani przypomni.

- Szkoda, żeby się zmarnowały. Życie toczy się dalej, a przynajmniej powinno - zakończyła niepewnie Eleonora.

Nagle uświadomiła sobie, że nie wie, co ze sobą zrobić. Poszła do łazienki, żeby wyłożyć dla gości świeże ręczniki i mydełko w kształcie muszli morskiego małża zamiast zwykłej kostki Ivory.

Potem napełniła dzban, zaniósła róże na kredens i zaczęła je starannie układać. Jej oddech wciąż przypominał płytkie sapanie. Oddychaj normalnie, powiedziała sobie, wdychaj zapach kwiatów, zachowuj się jak zwykle, zwolnij tempo.

Ale obrazy Catherine przelatywały jej przez głowę niczym slajdy wyświetlane w przyśpieszonym tempie. Lily nigdy nie wspominała o bratowej i Eleonora nie myślała o niej od miesięcy, od lat.

Teraz widziała, jak Catherine schodzi z kościelnych schodów w futrze ciągnącym się po ziemi, widziała jej uniesioną brew, kiedy robiła blok orzechowy na świąteczny jarmark dobroczynny, jej zdjęcie w gazecie, kiedy złowiła błękitnego marlina w Apalachicoli, z Willsem wyglądającym zza pleców żony, szelmowską miną, z rozstawionymi

palcami, uniesionymi nad jej głowę. Potarła twarz o różowe płatki, pragnąc, by udzielił jej się ich spokój. Ach, Catherine w trumnie w domu pogrzebowym Irlandów. Eleonora zaszła tam podczas wystawienia zwłok, tak jak

wszyscy mieszkańcy miasteczka. Była zaskoczone, że w ogóle do tego doszło, zważywszy okoliczności śmierci.

Pomieszczenie było wypełnione wieńcami.

Mała Ginger stała z boku i wyglądała jak sierotka Marysia. Wills siedział na składanym krzeselku, z dłońmi zanurzonymi we włosach, i nie podnosił wzroku na nikogo. Ciało Ca-

therine było nie tylko wystawione, ale jeszcze uniesione do pozycji półsiedzącej (ani śladu jakiegokolwiek uszkodzenia). Eleonora przerwała oczyszczanie mięsistych kwiatów z liści, przymknęła oczy i pod jej powiekami pojawił się obraz Catherine w jaskrawoniebieskiej sukni. Bynajmniej j nie robiła wrażenia pogrążonej w głębokim śnie, ale zdecydowanie martwej na swoim nieprzytulnym łożu.

Zirytowana nieposłuszeństwem wiotkich łodyg, powtykała kwiaty byle jak do wazonu i okazało się, że same ułożyły się idealnie.

- Do licha, co za dzień - mruknęła Eleonora.

KIEDY RALPH WRÓCIŁ Z CMENTARZA, Carol, jego sekretarka na ćwierć etatu, sporządzała kopie raportu na temat dwóch osób, zatrzymanych w sobotni wieczór po bójce na Gulf Station. Jej jasne włosy były tego ranka w artystycznym nieładzie, co bardziej przypominało purchawkę bezpośrednio po wybuchu niż zamierzony „pszczeli rój”.

- Słyszałam nowinę - oznajmiła Carol. - Alan Ireland dzwonił z informacją, że zorganizował brezent, i powiedział mi, co się stało. „Dziwna historia” to za mało powiedziane! Taka sprawa wstrząśnie tą miściną aż do jej rachitycznych korzonków! - Uderzyła w maszynę do pisania dłońmi zwiniętymi w pięści i roześmiała się. - Zupełnie jak w horrorze, który włączasz o trzeciej nad ranem: matrona z szacownej rodziny, napastowana przez upiory po ekshumacji.

Ralph nie wiedział, co znaczy słowo „ekshumacja”, ale do myślał się, że chodzi o wydobywanie z grobu. Carol chciała zostać reporterem sądowym, dojeżdżała trzy razy w tygodniu na kursy do Macon. Jej wybuch śmiechu go zaskoczył. Sam wciąż był wstrząśnięty tym, co zobaczył, ale też w pierwszym odruchu najchętniej zacząłby dowcipkować o wampirach. W uszach nadal brzmiał mu zduszony śmiech Alana. Dla ludzi z zewnątrz ta historia będzie miała w sobie jakiś makabryczny komizm.

- Będą się z nas śmiać w całej południowej Georgii. Jeszcze nie upłynęło pół roku, jak gazety rozpisywały się o tym czubku, co to go znaleźli nieżywego w garażu, z osiemdziesiąt cioma klatkami na ptaki, pełnymi wiewiórek. I oczywiście różni staruszkowie, co to pamiętają dawne czasy, będą mówić, że Masonowie wreszcie mają za swoje.

- To znaczy? - Carol pochodziła z Savannah i nie była wtajemniczona w sprawy Masonów.
- Stary Mason, Duży Jim, był tutaj swego czasu szycią. Organizował „martwe dusze” podczas wyborów, zachowywał się, jakby to on stworzył świat. Nie wiem, pewnie słyszałaś różne historie. Ludzie tańczyli, jak im zagrał. Podobnie było przedtem z jego tatusiem. Niektórzy z tutejszych są przekonani, że to on zawiesił księżyc i gwiazdy. - Na przykład jego własny dziadek. Duży Jim dał dziadkowi Ralpha pieniądze na zakup obszernego domu, w którym Ralph mieszkał w dzieciństwie z rodzicami, ciotką, dziadkami i kuzynem. Dlaczego Duży Jim wyłożył pieniądze, Ralph nigdy się nie dowiedział. Krewni przychodzili i odchodzili z upływem lat. W tej chwili Ralph mieszkał w domu sam.
- Wygląda na to, że ten Duży Jim to uroczy człowiek.
Ralph siedział przez chwilę za biurkiem, próbując robić notatki, po czym zadzwonił do GBI. Czy ta sprawa znajduje się w ogóle w ich gestii? Cholernie na to liczył. Przerazały go telefony, które musiałby wykonać. Scedowałby na Carol, ile się da. Musiałby się niezwłocznie skontaktować z J.J. Masonem. A następnie, jak przypuszczał, złożyć wizytę Lily. Wolałby, żeby to Lily pojechała do domu opieki poinformować Willsa.
Próbował sobie przećwiczyć to, co miałby powiedzieć J.J.-owi. „Mam złą wiadomość...” „Zaszło coś, o czym powinien pan wiedzieć...” „Pańska matka została znaleziona...” Dla niektórych sytuacji po prostu nie ma słów; w takich chwilach pozostaje tylko improwizacja.
- Jezu Chryste, Carol, ona tam leży rzucona w błoto. Co się dzieje, u diabła? Nie żyła od nie wiadomo kiedy. Samobójstwo.
- Paskudnie, paskudnie. Nie wiem. Zatrzymujesz swój pieniążek, wojaku.
- He j, da j sobie spokój. - „Niech cię diabli porwą”, miał ochotę dodać. Zawsze się czerwienił, kiedy nazywała go „wojakiem”¹¹ - aluz ja do jego medali za Wietnam, być może niezbyt poclebua. Będzie musiał zajrzeć później do starych akt. Okręcił się na swoim fotelu w prawo, potem w lewo.
Kiedy Catherine Mason skończyła ze sobą, jej córka Ginger była razem z nim w siódmej klasie. Jej brat J.J. uczył się w liceum, o dwie klasy wyżej. Kiedy Ginger w końcu wróciła do szkoły, wszyscy patrzyli na nią z szacunkiem. Każdy wie-

dział, że znalazła matkę martwą w kuchni na podłodze, i myśliwską strzelbą leżącą u boku. Słyszał najprzeróżniejsze pogłoski: o tym, jak pani Mason nacisnęła cyngiel palcem u nogi, żeby strzelić sobie w serce, jak Ginger weszła do domu ze swoją kraciastą torbą na książki, spodziewając się zapachu czekoladowych ciasteczek, a znalazła krew matki rozbryzganą po całej podłodze, o tym, jak J.J. zaszył się po tej całej historii w lesie i nie pojawiał się przez wiele dni, a w parę lat później o udarze mózgu, który zrobił z doktora Willsa Masona duże dziecko. Po tym wszystkim Ralph nie był już taki skłonny myśleć jako o czubkach o własnych krewnych, z ich pospolitym pijaństwem i wrzaskami, z matką, która stale wierzyła w nadchodzący koniec świata. Wciąż miał w domu ścierki do naczyn, na których wyszyła czerwonymi nićmi słowo: „Pokutujcie!

Po powrocie do szkoły Ginger nie brylowała tak jak daw niej. Przedtem lubiła zadzierać nosa, teraz zostawała w kącie na przerwach i czytała w swojej ławce. Wszyscy czuli się przy niej onieśmieleni. Ralph z paroma innymi próbował ją raz wyciągnąć na softbol (kiedyś była jedną z najlepszych zawodniczek wśród dziewcząt), ale ona pokręciła gwałtownie głową, cedząc przez zaciśnięte zęby: „Zostawcie mnie w spokoju”. Późniejszy obraz dziewczyny był w jego wspomnieniach nieco zatarty. Kiedy doktor Mason odpłynął na dobre, ona i J.J. przeprowadzili się do siostry swojego ojca, mieszkającej w starej rodowej siedzibie Masonów przy Palmetto Road. W szkole średniej Ginger była jedną z tych ładnych, mających powodzenie dziewcząt, typem licealistki-moclelki. Ale żadnego wybiegania na środek boiska, żeby uściskać bohatera, i nie za wiele uciech na tylnym siedzeniu samochodu. Ralph był w tym czasie zaabsorbowany bejsbolem, pracował też w Świętej Świnie. Ich przyjęcie maturalne odbyło się na trawniku przed starym domem Masonów. Pozostało mu w pamięci jako barwna smuga: piękne dziewczyny i jedyny wyraźniejszy akcent na tym tle - widok Lily, ciotki Ginger, podającej poncz, w zielonej wieczorowej sukni. Spojrzał wtedy w dół i zobaczył, że na nogach ma poplamioną trawę tenisówki. Pamiętał, że ścisnął się jak wariat z Connie Sims, chociaż jego oficjalną dziewczyną była wówczas Ann Krasner, którą członkowie drużyny futbolowej nazywali między sobą Duże Niebieskie Oczy.

GINGER SPOJRZAŁA W STRONĘ SZCZYTU WZGÓRZA, na etruski mur, zbudowany z głazów wielkości fiatów. W cieniu lipy rozłożyła swoją pracę. Deski oparte na krzyżakach, zwanych tu pieszczotliwie koziołkami (*capretti*), tworzyły odpowiednią powierzchnię dla dwóch skrzynek kamieni, pochodzących ze stanowiska Melone III, ponumerowanych w zależności od miejsca, w którym zostały znalezione. Ginger wybrała je, żeby im się przyjrzeć podczas leniwego weekendu. Przyniosła sobie kawę i kilka kromek niesolonego tokańskiego chleba, do którego się w końcu przyzwyczała, obłożonych plasterkami pomidora i siekanej bazylii. Wciąż jej było mało pomidorów i codziennie kupowała ogromną kiść razem z łodygą. Usiadła przy stole. Tutaj wietrzyk wiał nawet w takie piekielne dni jak ten. Wszystkie te jasnozłote kamienie nosiły wyraźne ślady obróbki, czasem zaledwie wypukłość lub zawijas, świadczące o użyciu narzędzia. Ujrzały światło dzienne w pobliżu długiego, płaskiego kamienia z rzeźbionym motywem spirali. Mogło to znaczyć coś lub nic. Esy-floresy na kilku mniejszych kamieniach zdawały się mieć ze sobą coś wspólnego.

Ginger odłożyła je na bok, po czym zaczęła przyglądać się poszczególnym elementom, obracając je-w różne strony. Układanka, złożona z tysiąca wilgotnych puzzli, przedstawiająca Stany, Biały Dom lub piramidy, nad którą biedzili się z J.J.-em w domku nad rzeką, zawsze kończyła się tak samo: brakiem jakiegoś elementu w kształcie Florydy lub Montany, wierzchołka piramidy lub zwieńczenia dachu, nigdy zwykłego kawałka nieba lub trawy. Trwało to całe dnie, ukończenie obrazka stawało się ich obsesją, i kiedy w końcu zasypiała na swoim tapczanie, ustawionym obok tapczanu J.J.-a, wi-

działa puzzle przez całą noc. Ludzie i zdarzenia w jej snach też w jakiś sposób przybierały ich postać. Wstawała następnego ranka i wędrowała w szortach do stolika, przy którym zastawała już J.J.-a, jedzącego nieuważnie płatki i próbując cego dopasować kolejny element.

Ginger przesunęła dłońmi po ostrych krawędziach kl miennej płyty, świadomie odpychając od siebie wszelkie myśli na temat J.J.-a. Flirtujący pustelnik - tak go zaczęła nazywać. Chociaż rozumiała, dlaczego wciąż stoi w miejscu, chciała, żeby się zmienił. Gdzieś w głębi świadomości krył się też niejasne przeczucie, że jeśli on się nie zmieni, to i ona nie będzie w stanie tego zrobić. We dwójkę byli Remusem i Romulusem, pozostawionymi na stoku wzgórza. Ale Lily nie była wilczycą. Była cichą, łagodną obecnością, dzięki której mogli wychować siebie nawzajem.

Po udarze Willsa ich dom w Swan został sprzedany. Dentysta urządził sobie gabinet na oszklonej werandzie i mieszkał w pozostałych pomieszczeniach z żoną i trójką dzieciaków

o wystających zębach. Ginger i J.J. nie wiedzieli, co się stało z wiklinowymi meblami z ganku, z ich starymi zabawkami, z fikuśnym białym radykiem, którego ich matka słuchała, kiedy robiła czekoladowe łamańce na marmurowym blacie kuchennego stołu, a nawet co się stało z samym stołem. Kiedy Willsa zabrano do szpitala, Lily zawiozła ich do Atlanty do Ice Follies. Mieszkali w hotelu, zamawiali do pokoju imbirowe piwo i hamburgery, obejrzeli w Cykloramie „Bitwę o Atlantę”. Lily pozwalała im zamawiać lody nawet o północy. Powiedziała im, że Wills będzie musiał zostać Pod Kolumną przez dłuższy czas i że powinni zamieszkać u niej. W końcu jest to dom ich tatusia, a więc również ich i zawsze będzie ich domem.

Ginger i J.J. starali się nie patrzeć, kiedy przejeżdżali na rowerach koło swojej dawnej siedziby, nie chcieli widzieć huśtawki, nadal wiszącej na gałęzi hikory, i zbiedniałego ogrodu różanego matki. Przetrwali i każde z nich zaczęło budować przemyślnie zapory dla pamięci, które miały się stać twórczym ich osobowości i charakterów. Nie wiedzieli, czy Lily ich kocha. Wiedzieli tylko w głębi duszy, że mogą na sobie nawzajem polegać. Ale nie rozmawiali o tym.

Przypominające literę „C” motywy na etruskich kamieniach mogły być puklami włosów. Głowa, a może całe ciało, wyobra-

zona na sarkofagu. Nie ha to liczyła, chociaż kochała rzeźbiono podobizny zmarłych na wiekach etruskich grobowców. Muzea były pełne tych dowodów istnienia osób nieżyjących od tak dawna. Jej ulubiona rzeźba przedstawiała parę, kobietę i mężczyznę, na wół uniesionych, wpatrzonych w jakiś odległy punkt. Ginger stwierdziła, że nie sposób na nich patrzeć, równocześnie omal nie podsłuchując ich rozmowy. - *Spójrz* -mówi mężczyzna. - *Widzisz, tam?...* - Oboje mieli na twarzach ten sam odwieczny, ponadczasowy, pełen słodczy uśmiech, intymny i tajemniczy, fizyczną więź, istniejącą między nimi, łatwo było odczytać z harmonijnego układu fałd ich szat, z naturalnej, wzajemnej bliskości - niełatwej do znalezienia w tym życiu czy w przyszłym. Wyobrażała sobie tych dwoje nie na sarkofagu, ale na łodzi, żeglujących razem ku wielkiej szczęśliwości. Wyczuwała jakiś ledwie słyszalny szept, jakąś tajemnicę tylko pomiędzy nimi, trwającą przez te wszystkie stulecia. Jej własne małżeństwo nigdy nie miało w sobie przedsmaku wspólnej podróży w wieczność.

Na stanowisku, na którym pracowała, ekipa Marca odkryła ubiegłego lata pierwszy grobowiec, przypuszczalnie z siódmego wieku przed Chrystusem, o charakterystycznym kształcie, który włoscy archeolodzy nazywali *melone*. W ciągu ostatnich dwudziestu lat odkopano kilka podobnych poza murami miejskimi. Spojrzała na swoje zdjęcia: fragment schodów, który wykopali, i małego sfinksa. Dotarli też do innego, zniszczonego fragmentu klatki schodowej, po przekopaniu się przez kilka warstw skamieniałego owczego nawozu, pozostałości kamiennego muru, potłuczone skorupy i popiół twardy niczym lawa. Jeden ze starych włoskich robotników był zde gustowany. „Całe to miasto to jedno wielkie muzeum. A jest przecież pierwszorzędna ziemia pod oliwki!”.

Popijała kawę, zastanawiając się nad tym i popatrując na widoczny z tego miejsca fragment muru. Od czterech miesięcy rejestrowała porę, kiedy świt i południe docierały do tych kamieni. Nietrudno było wstać rano, gdyż dom, położony o kilka oliwkowych teras niżej niż mur, miał dokładnie tę samą południową orientację i rozżarzone słońce wpadało do sypialni, gdy tylko pokonało niskie, pofałdowane podnóże Apeninów po drugiej stronie doliny. Miała swoją teorię. Teksty mówiły, że mur stanowił fragment oryginalnych wałów miej-

skich Monte Sant'Egido, ale orientacja jej się nie zgadzała, nawet po przestudiowaniu wszystkich starożytnych map. Co zastanawiające, wykopaliska nie posunęły się w tym miejscu zbyt daleko od 1885 roku.

Od czasów koledżu, rozvodu, stażu w San Francisco, gdzie doszła do wniosku, że ruch hipisowski jej nie pociąga, później ponurego roku w Nowym Jorku, gdy pracowała w firmie libez pieczeniowej, nie znalazła nic, co by ją było w stanie zająć na dłużej. Wszystkie próby wyjazdu kończyły się powrotem i kolejnymi przygnębiającymi miesiącami, podczas których Lily sugerowała jej różnych, absolutnie niewchodzących w grę mężczyzn z rodzinnego miasteczka. Podczas ostatniego takiego obłędzenia Ginger zamówiła katalog z Uniwersytetu Georgii. Po części dlatego, że była wymieniona w pierwszej kolejności, prze czytała ofertę dotyczącą archeologii. Natychmiast postanowiła jechać. Cała Ginger. Ku zaskoczeniu wszystkich, jej samej nie wyłączając, pokochała swoje studia. Choć wszyscy w Swan przepowiadali, że znudzi się i rzuci je szybko, była wierna nowej pasji już ponad trzy lata. Gdyby udało jej się zdobyć stypendium Steimleicher, mogłaby zacząć pomału konkretyzować swoje domysły, że mur stanowił fragment świątyni słońca. Ale najpierw musiałyby wrócić do kraju, żeby skończyć studia. Już niemal się widziała na czele własnego zespołu.

W skrytości ducha miała dosyć badań nad obyczajami grzebalnymi Etrusków. Dwa poprzednie stanowiska, przy których pracowała w ramach swojej praktyki, były zlokalizowane w wilgotnych tunelach grobowych, drażonych w górskich zboczach, a szef ekipy miał skłonności do puszczenia wiatrow przy szybkim marszu oraz do zwalania wszystkich rutynowych prac na praktykantów. Zespół Marco pracował na otwartej przestrzeni.

Pobiegła do domu, żeby odebrać telefon. Niepozostawiający wątpliwości południowy akcent.

- Czy mógłbym rozmawiać z Ginger Mason? To ty, Ginger?

- Tak, słucham? - Rozwlekłe *Dziindziia* zabrzmiało nieoczekiwanie egzotycznie. Przywykła do wysiłku mówienia i rozumienia w obcym języku. Nikt ze Swan nie zadzwoniłby o tak sobie: jak tam Włochy, jak tam praca, czy podroczesz, jak się ma ten jak-mu-tam, Marco? Wykluczone. Odsunęła słuchawkę od ucha, bo rozległa się w niej seria trzasków.

Obcy głos, ale jednak w jakiś sposób znajomy, powiedział:

- Cześć, Ginger, przepraszam, że zakłócam ci wakacje... -Długa chwila milczenia. Kiedy wreszcie do nich dotrze, że ona nie jest na wakacjach, że mieszka tutaj, że pracuje? -Mówi Ralph Hunnicutt. Przypominasz mnie sobie?

- Oczywiście, Ralph. Jak się masz? Czy coś się stało?

- Niestety, tak. Jestem nowym szeryfem w Swan, może coś o tym słyszałaś. - Zawiesił głos. Ginger mogła go sobie wyobrazić, jak patrzy przez pusty trawnik sądowego dziedzińca na położoną w dole budkę z barbecue siostry Sissy.

- Ginger...

- Ralph urwał, po czym zebrał się w sobie i ciągnął dalej. -Tak mi przykro...

GINGER PODESZŁA DO DRZWI i wyjrzała na zewnątrz. Wiosenne ulewy pobudziły do wzrostu wszelkie możliwe dziko rosnące letnie kwiaty, jakie można było sobie wyobrazić. Jej wzrok błędził wśród wysokich traw, od plamy do plamy obrzeżających terasy późnych czerwonych maków, od kępy do kępy irysów, od dawna tutaj zadomowionych. Jabłka się zaokrąślały, twarde, węzłaste gruszki wciąż miały jadowicie zielony kolor, a rosnące rzędem śliwy zapowiadały murowany urodzaj. Skąd się właściwie wziął „mur” w tym określeniu?

- pomyślała. Zawróciła, żeby sprawdzić w słowniku, ale zamiast tego pobiegła z powrotem do telefonu i wykreśliła numer J.J.-a.

Próbowała wyobrazić sobie serię przenikliwych dźwięków, mających swój początek pod jej palcami, a kończących się ponad cztery tysiące mil stąd falą akustyczną, dosięgającą kolekcji grotów nad kominkiem i niebieskiej kanapy, skazanej na banicję do domku nad rzeką, odkąd matka kupiła nową sofę firmy Duncan Phyfe, o secesyjnych kształtach i żółtej satynowej tapicerce z zakardowym motywem napoleońskich wieńców barwy kości słoniowej. Nikt nie odbierał. Przyłożyła chłodną słuchawkę do skroni.

- J.J., gdzie jesteś? - zapytała na głos.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zadzwonić do ciotki Lily albo do szpitala i nie poprosić do telefonu taty, ale po co marnować trzydzieści dolarów? Ojciec byłby bezradny. Lily mogła spać i w tej chwili nie była w stanie jej pocieszyć. Jakie to okropne, że przytrzasnęła sobie palec.

- Druga godzina - powiedziała na głos. Co to jest ten biały pyłek na śliwkach? Siedem, osiem, dziewięć, musi być z piętnaście drzewek. Żółte zięby polatywały między gałęziami. Patrzyła, aż oczy zaczęły jej łzawić, a drzewa rozmazywać się i chwiać. Czowała się jak uderzona obuchem, niezdolna przyjąć do wiadomości tego, co jej powiedział Ralph. Zatem nawiała się, czy tak się objawia szok. Jakby się paliło w wirującym kalejdoskopie. Przepadała za podłużnymi fioletowymi śliwkami, znanymi tutaj jako uda zakonnicy. Co ja zrobię i o ile ilości śliwek? Ptaki już urządzają naloty na zielone owoce. Ale teraz może mnie tu nie być, kiedy śliwki dojrzeją. Za raz muszę zrobić trzydzieści różnych rzeczy i wsiąść w pociąg do Rzymu, samolot do Atlanty, samochód do Swan.

Przez całe tygodnie nie pamiętała o istnieniu Swan. Na reszcie była wystarczająco daleko, w sensie mil, ale co ważniejsze, również w sensie jednostek szerokości geograficznej, które zakrzywiają się w tajemniczy sposób, wymazując z pamięci wspomnienia innych miejsc i osób, jakby zostały zrzucane z płaskiego horyzontu świata.

Murowany: spodziewany z dużym prawdopodobieństwem, niemal gwarantowany. Od słowa *mur*, czyli czegoś solidnego, pewnego. Niezbyt przekonujące wyjaśnienie, pomyślała, zatrzymując słownik. Zaczęła chodzić w kółko po dziedzińcu, aż wreszcie jej rozpędzona, wirująca świadomość zatrzymała się na konkretnym, brutalnym fakcie, o którym ją poinformował Ralph Hunnicutt - chłopak, w którego niemal białą, wygoloną potylicę wpatrywała się na lekcjach matematyki Eleonory Whitefield.

Jej matka wydobyta na światło dzienne. Matka, matka, matka. Płyta nagrobna rozłupana na pół. *Mamo, manio, jestem chory* - brzmiała jej w uszach dziecięca rymowanka, skandowana do wtóru wirującej z zawrotną szybkością skanki. - *Nie pomogą tu doktory*. To było w piątej klasie. Ginger pamiętała swoje czerwone buty, uderzające rytmicznie o żwir szkolnego boiska, nagły przypływ strachu, że mama umrze, a jej pozostanie odliczać samochody na pogrzebie, Ale w wierszyku było: *Mamo, mamo, będę zdrow* - i Ginger koncentrowała się ze wszystkich sił, żeby nie skusić przy tym okropnym dalszym ciągu: *Moje dziecko, pacierz mów* kai da sylaba zaakcentowana przez podskok.

Ekshumowana - powiedział, akcentując „h”. Wydana na łup śmierci. Nie, wydana na łup ludzkich spojrzeń w swojej śmierci. Zaraz, co on jeszcze powiedział? Lily i Eleonora znalazły ciało? A o ciele co mówił?... Ubłocone. Lily musi być zdruzgotana. Powiedział, że jej matka leżała na deszczu. I jeszcze coś o cmentarnych rabusiach. Pytał, czy miała na sobie biżuterię, kiedy została pochowana. Jak coś takiego mogło się stać?

- Nie - powiedziała Ginger, patrząc na pierścionek z la-pis-lazuli i masy perłowej na swojej prawej dłoni. - Nie, a obrączka ślubna jest u tatusia w pudełku na spinki do mankietów, w górnej szufladzie. Nie, nie, nie. Słowa odrywały się od jej ust, wznosiły się w górę niczym kółka dymu, po czym bla-kły w powietrzu. Nagle uświadomiła sobie, jak młoda była jej matka, po czym ujrzała jej otwarte oczy w oślepiająco żółtej kuchni. - Nie - powtórzyła.

Wiedziała, że reszta biżuterii matki jest zamknięta w sejfie. Trzy lub cztery spinki, koralowy wisiołek, kwadratowy szmaragd, który tato podarował jej na dziesiątą rocznicę ślubu. Ginger miała sznur ładnych pereł po matce swojej matki, kilka par kolczyków. Poczula, jak znajome, cienkie jak drzazga ostrze przecina jej świadomość. Mama. Mama w deszczu. *Mamo, mamo, jestem chory...* I gdzie, u diabła, jest J.J.? Znów wykręciła jego numer. Nic. Chciała, żeby pojawił się w tej chwili na ścieżce prowadzącej od szosy. Chciałaby położyć się w zaroślach i wypłakać, ale nie płakała od lat. Ralph Hunnicutt był delikatny. Wiedziała, że nowina rozniesie się lotem ptaka po ich miasteczku, a on sam znajdzie się w centrum zainteresowania.

- Śledztwo jest w toku - powiedział, niczym jakaś postać ze sztuki.

Ginger chciała wsiąść o szóstej w pociąg do Rzymu, przemocować tam i rano złapać samolot. Ralph obiecał zawiadomić Lily o jej przyjeździe. Ralph Hunnicutt, ze swoimi flanelowymi koszulami od Searsa i włosami zawsze podgolonymi z tyłu. Waszyngton, At lanta, wynajęty samochód, obrzydliwa podróż. Horror.

Dotrzeć do rana. Musi. Pozwolić się wywindować w powietrze i przerzucić po nieboskłonie w srebrnym pocisku, aby wylądować w innym świecie. Zostać nic nierozumiejącego ojca,

siedzącego w odprasowanej białej koszuli, jak gdyby za chwilę miał znów zacząć przyjmować pacjentów. Splakana Lily, z rozmazanym makijażem, w domowym fartuchu z wypalonymi śladami po papierosach. Jej matka ekshumowana. Przerazające. Dlaczego? Nigdy nie paradowała po miasteczku, kapiąc od biżuterii. I dlaczego ktoś miałby wpaść na coś takiego po dziewiętnastu latach? Żadnego sensu. Nic nigdy nie miało sensu. Życie dopiero co zaczęło nabierać sensu. Pudełko złotych kamieni. Marco, opalony, w swoich obciętych dżinsach, wyciągający ze sterty gruzu sznur szklanych paciorków z SZÓ stego wieku przed Chrystusem. „Ginger, bosko byś w tym wyglądała”. Przebudzenie dziś rano u jego boku, jego ciało wciąż tak naprawdę zaspane. Jego oczy barwy śliwek przyprószone białym pyłem, który ociera się kciukiem. Śledzenie wędrówki słońca przez wzgórza. Schłodzone od wieków kamienie, leżące i czekające gdzieś na polu. Nienaruszony dzbanek z resztką wina, wotywno zwierzęta z brązu, zwój liny w piasku... Psiakrew, pomyślała, nawet nie zrobiłam prania.

Spakowała niewiele więcej niż kosmetyki, trochę bielizny i fotografie z wykopalisk, które chciała pokazać bratu. Pojeździe w granatowym lnianym kostiumie, który właśnie wrócił z pralni. Na miejscu zajrzy do swojej starej szafy i będzie chodziła w tym, co znajdzie. Wiedziała, że są tam szorty, porządne spodnie i bluzki, wiszące w szafie przez te wszystkie lata. W domu, pomyślała. Czy zawsze miał być dom? Miejsce, w którym będą musieli cię przyjąć, jeżeli się pojawisz, jak zwykły mawiać jej ojciec. Swan. Nie mogła sobie tam wyobrazić Marca. Jej przeszłość była dla niego białą plamą, znaną sionymi na nią nielicznymi obrazami, które odmalowywała czasem podczas popołudniowej sjeisty, po miłosnym zbliżeniu.

- Łądy był kiedyś morzem i w rzekach wciąż są piaszczyzny łachy, które wynurzają się, kiedy poziom wody opada mówiła. - Latem upał sprawia, że czujesz się, jakbyś chodził pod wodą. Rozpalone powietrze zamyka się nad tobą, i tak jak pod powierzchnią wody wyczuwasz cieplejsze i chłodniejsze prądy, idąc, poruszasz strumyczki większego i mniejszego żaru. W głębi lasów znamy - to znaczy ja i J.J. - głębokie źródła, które wyrzucają tysiące galonów krystalicznej wody na minutę. Możesz zanurkować do samego dna i czuć prąd lodowatą wodę.

Opowiedziała mu o imponującym rosarium swojej matki, o tym, jak odwiedzali na wsi krewnych, którzy dawali im szczerpki swoich najszlachetniejszych róż, o kameliowym żywopłocie, rosnącym pod jej oknem, kiedy była dzieckiem, o posłaniu z sosnowych igieł, które zrobiła sobie w odległym końcu ogrodu, dokąd zabierała pudełko kredek i papier rysunkowy. O bracie mówiła niewiele i jak najkrócej streściła historię samobójstwa maiki oraz późniejszych dziwnych losów ojca. „Ameryka, Ameryka” - powiedział Marco. Nie, on tego nie rozumie, pomyślała, ale mnie to nie obchodzi. Słuchał, jakby mu opowiadała o kimś innym. Widziała, jak raz wziął z jej toaletki zdjęcie J.J.-a, podszedł z nim do okna i odwrócił do światła. Zauważył tylko:

-Wygląda jak Montgomery Clili w tym starym filmie, w którym ta wielka dziewczucha utonęła, żeby mógł poślubić Elizabeth Taylor.

Tym, co się liczyło dla Marca, była terażniejszość. Chwila obecna, dzień dzisiejszy, specjalistyczne światy archeometalurgii i paleobotaniki, praca ich obojga, a obok tego beztraska radość obcowania ze sobą, która wydawała się coraz bardziej intensywna. Nie był w stanie wykrzesać z siebie nawet odrobiny zazdrości, kiedy mu opowiadała o swoich studenckich romansach i o małżeństwie z Mitchellem. Czasem wydawało się Ginger, że jej życie jest wachlarzem, który rozłożyła przed nim tylko częściowo, ale chciała zostawić za sobą przeszłość. I co z tego, że widział amerykańskość we wszystkim, co dotyczyło jej rodziny? Zrzucić tę skórę, zachęcała sama siebie. Dom już niczego więcej cię nie nauczy i absolutnie nic nie jesteś w stanie z nim zrobić. Kochała życie w obcym kraju, gdzie wszystko było „czymś innym”.

Lepiej wydobyć z ziemi szklaną fiolkę, odsłonić zmurszałe fundamenty świątyni, kolczyk, który kołysał się delikatnie w uchu osiem tysięcy lat temu. O wiele lepiej pójść w niedzielę do rodziców Marca, gdzie dziesięć, czternaście, czasem dwadzieścia osób gromadzi się przy tym wydającym się nie mieć końca stole, gdzie nawet ona czuła się łagodnie włączana w rytm, którym pulsuje cała rodzina. Całowano ją i nazywano *bella*, usadzano pośrodku, zachęcano, żeby jadła, jadła. Jeśli nawet mieli jakieś paskudne sekrety, nic z tego nie przenikało na zewnątrz. Śmiali się, fale śmiechu rozchodziły się

wzdłuż stołu, wraz z półmiskami z pieczonym królikiem i ziemniakami. Jak by to było - wychować się w takim domu ? Widać po Marcu, pomyślała. Widać po Marcu.

Napisała do niego karteczkę i zostawiła ją w kuchni na sto le. On i jeden z archeologów z Uniwersytetu Georgij zabrali praktykantów do Bolonii. Miała ochotę jechać z nimi, bo po pozostałości etruskiej budowli za miastem wyglądały jej na świątynię słońca o takiej samej orientacji jak ta, która kie dyś wieńczyła Monte Sant'Egido. Gdyby to zrobiła, zanąsi za szywać się tutaj, ta idiotyczna wiadomość by do niej nie do tarła. Ralph Hunnicutt w swoim rozpalonym biurze nad aresztem mógłby zedrzeć sobie skórę z palca, wykręca jąc jej numer, a ona szkicowałaaby radośnie fundamenty, raczyła się makaronem w trattorii, gawędziła bez końca z Markiem.

Drogi Marco, muszę natychmiast jechać do Georgii - pilna sprawa rodzinna. Nie znam szczegółów, ale jutro do Ciebie zadzwonię. Wróć najszybciej, jak się da! Nie zapomnij o mnie. Zupa pomidorowa w lodówce. Podarła kartkę i napisała jesz cze raz, opuszczając żalose: *Me zapomnij o mnie* i uwagę o zupie w stylu zapobiegliwej żoneczki.

Marco sam ją znaj dzie albo, co bardziej prawdopodobne, pójdzie z przyjaciółmi do pizzerii na wzgórzu.

Jako Włoch, Marco może nie być aż tak bardzo zaszokowany całą historią. Czyż nie wykopywali u siebie co chwila świę tych, których nietknięte rozkładem ciała napełniały miasteczka tajemniczymi woniami? Ralph Hunnicutt powiedział zagadkowo, że jej matka nie jest „bardzo zmieniona”. Może była świętą? Ale święci nie przenoszą się na tamten świat za pomocą strzału z dubeltówki. Samobójstwo - czy kiedykolwiek sprawdziła to słowo w słowniku? Nie było potrzeby. *Samo* - z własnej ręki - i archaiczna *częstka-bójstwo*, pojawiająca się w tak wielu strasznych słowach. Więcej niż słowo: dla niej było to działanie, potężne, ukryte, prymitywne, dojrzę wające w ciele jej matki od chwili narodzin. Samo słowo by ło absolutnie nieadekwatne do palca na cynglu.

Ginger znalazła swój paszport i kopertę z dolarami, którą trzymała na dnie szuflady z bielizną. Przed siedmioma czy ośmioma miesiącami musiała polecieć do domu, bo ojca 18 brano do szpitala, a lekarz oświadczył minorowym tonem, że chory prawdopodobnie nie przeżyje. Kiedy przyjechała

w dwadzieścia godzin później, ojciec usiłował przemycić papierosa pod namiot tlenowy. J.J. został odszukany dopiero nazajutrz rano. Polował ze Scottem na dzikie ptactwo, hen, na porośniętych suchymi trawami terenach w okolicy Retter. Ona przebyła ocean i przejechała dwieście mil, gdy tymczasem oni piekli na ogniu przepiórki, leżąc w trawie i popijając okropny biber z domowych słoików. Była wściekła. Nie odzywała się do brata przez resztę spędzonego w domu tygodnia.

Chociaż nie postawiła na nim krzyżyka, trudno jej było wyobrazić go sobie gdzie indziej niż w lesie, prowadzącego normalne życie, cokolwiek by to miało oznaczać. Starła się pamiętać go takim, jaki był tamtego wieczoru, kiedy przyjechała do niego z Wiriginii na weekend. Ona była na drugim roku koledżu, on na ostatnim. Właściwie to on ją ściągnął na wiosenny bal do Emory i zaaranżował randkę w ciemno ze swoim współlokatorem Mitchellem Sloane'em, a sam zaprosił Lisę Bowen z Augusty. Pamiętała, jak trzymał ją w tańcu w nieco sztywny, staroświecki sposób, pamiętała jego lekko uniesiony profil. Kupił smoking, zamiast go wypożyczać, co uznała za dobry znak. Wyglądał w nim najzupełniej naturalnie, jakby się w nim urodził. Włosy opadały mu, wijąc się, na kołnierz i kiedy tańczył niedaleko niej, spojrzenie jego zielonych oczu przesunęło się po niej niby po kimś obcym. Poczula w tamtym momencie, jak cudownie byłoby go spotkać, gdyby się rzeczywiście nie znali. Nauczyli się tańczyć w domku nad rzeką, topornie odliczając kroki i ćwicząc w kuchni ewolucje z przechyłami. Wyglądało na to, że żadne z nich nie miało specjalnego ucha do muzyki. Ale tamtego wieczoru widziała jego eleganckie, płynne zwroty. Pewność ruchów chłopaka nie pozostawiała miejsca na niezręczność partnerki. Lisa wtopiła się w niego i wirowali pod ogromnym kandelabrem, oświetlającym salę balową, aż tysiące świateł musiały się zlać w jedną wielką, świetlistą smugę. Ginger nigdy nie zapomni jego widoku tamtego wieczoru. Siedziała przy stoliku z Mitchellem, sącząc rum z coca-colą - może trzeciego drinka w swoim życiu - i słuchała jednym uchem tego, co jej opowiadał o swoich zajęciach z umów. Nie poznawała J.J.-a. Jej brat pójdzie na medycynę, ożeni się z Lisą, będą mieli czworo dzieci, zamieszkają w Swan. Ona być może wyjdzie za Mitchella. Będą mieli małą dziewczynkę w sukieneczce

z ozdobnymi szczypankami i chłopczyka, który będzie lubił konie. Brzęknęła kieliszkiem, pochyliła się w stronę Mitchella i obdarzyła go roziskrzonym spojrzeniem. Zawrotna trajektoria ich jasnej przyszłości - wspólne j przyszłości całej czwórki - unosiła ją, zbliżając do niego. Będą urządzić wielkie rodzinne przyjęcia w domku nad rzeką, ścinać w lesie choinki na Boże Narodzenie, piec żeberka na barbecue i spływać w dół rzeki na tratwach. Dzisiaj J.J. przepadał w dole rzeki na całe dni, jak zawsze od samobójstwa matki, albo zostawiał u Lily wiadomość, że jedzie do Okefenokee czy aż hen, do Everglades. W domku nad rzeką, gdzie przebywał przez cztery lub pięć dni w tygo dniu, spędzał nieprawdopodobną ilość czasu, czyszcząc broń i sprzęt wędkarski, wypełniając swoje notatniki, czytając albo po prostu wałęsając się po lesie w poszukiwaniu grotów od strzał czy starych skorup. Kiedy byli dziećmi, pewnego ranka po ulewnym deszczu znaleźli na skarpie porośniętej sosnowym młodniakiem coś, co musiało służyć Indianom Creek za strzelnicę. Woda spływająca w dół zbocza, złobiąca koryta w czerwonej, rozmięklej glinie, odsłoniła dziesiątki grotów, wbitych w gliniane kopczyki, uformowane przez wartki nurt. Ginger podniosła dwa duże, grubo ciosane trójkąty, które musiały być przeznaczone na jelenia lub niedźwiedzia. Potem znaleźli w jednym miejscu cały skład krzemienych grotów na ptaki, idealnie precyzyjnych, mniejszych niż jej najmniejszy paznokieć. Napelnili nimi kieszenie, potem J.J. ściągnął koszulę i nabierali jeszcze więcej, zawiązując je w nią niczym w tobołek. Kochali groty od strzał i potrafili godzinami układać je na stoliku do kawy, podziwiając różowe i białawe jak kość słoniowa żyłki na krzemieniu, wyobrażając sobie półnagich Indian wokół ogniska, obrabiających je z niezwykłą zręcznością za pomocą zaoszczędzonego kamienia. Wypożyczyli z miejscowej biblioteki wszystkie książki o Indianach, jakie tam były, i spędzali zimowe wieczory, siedząc po turecku na kanapie, podając je sobie nawzajem i czytając na głos jedno drugiemu. Kolekcja grotów J.J.-a zajmowała teraz całą ścianę wokół kominka.

Ale Ginger przeniosła swoją lojalność na Etrusków, daleko od Swan.

LILY WYWIETRZYŁA POŁOJ GINGER i starła kurz z górnych krawędzi obrazów, o czym lessie zawsze zapominała. Deanie Robart zabandażował jej palec. Mogła stracić paznokiec, ale po dwóch aspirynach ból zelżał. Ten chłopak Hunnicuttów wyrósł na całkiem przyzwoitego człowieka, pomimo tej okropnej matki, bredzącej o końcu świata. Okazał się bardzo taktowny, i to mając taką okropną sprawę do zakomunikowania. Coś chyba było nie tak z jednym z jego oczu. Pamiątka wojenna? Ale Ralph był za młody na wojnę. Wtedy przypomniała sobie o Wietnamie. To też była wojna, późniejsza i bardziej odległa. Jak to dobrze, że pomyślał, by zadzwonić do Ginger. Lily obiecała Ralphowi, że zawiadomi Willsa, postara się mu wyjaśnić najlepiej, jak potrafi, co się stało. Kiedy zadzwonił po raz drugi z wiadomością o przyjeździe Ginger, wyskoczyła z łóżka, pomimo protestów Tessie. CoCo siedziała jej na ramieniu, kiedy krzątała się po pokoju bratanicy.

Większość zmarłych nie powraca, myślała. Tak, jej własna matka pozostała po tamtej stronie. Rok po roku nadchodziła i mijała pora, kiedy jeździły do White Springs, a jej matka się nie pojawiała. Pamiętała, jak siedziały na zbudowanym na palach podeście, otaczającym źródło, i sęczyły wodę siarkową z tekturowych kubeczków. „Dobra na wszelkie przypadłości” - mawiała o tej wodzie matka. Nosiły białe lakierki, glansowane każdego ranka do połysku, i wzorzyste powiewne sukienki. Wieczorami siadywały w bujanych fotelach na ganku hotelu, po kolacji złożonej z pieczonego kurczaka i półmisek krojonych w plastry pomidorów.

W głowie Lily wciąż miała mętlik. Jak gdyby obserwowała z pewnej odległości siebie samą, sunącą lekko po falach przeszłości. Uklękła i przetarła ściereczką nogi łóżka. Nie ma

to jak dawne czasy. Nawet pomidory nie są już takie same.

Wszystko miało w sobie więcej smaku, kiedy był to dom mamymy i pokojówka prasowała falbanki ich bawełnianych halek. Pamiętała kolońską wodę matki, jej poduszcзки z pachnacyimi ziołami, kapelusze przybrane jedwabnymi kwiatami. Był kitnego packarda, przejażdżki samochodem wzdłuż Snam i Pamiętała, jak kiedyś złapały gumę, a tamten Murzyn był tak miły, że zmienił im oponę. W Charlestonie też było bardzo miło, kiedy tam bawiły, a raz wybrały się na Bermudy, pamiętała domki w barwach wschodzącego słońca, kwitnącą poinciance, kartki pocztowe, pisane na balkonie do przyjaciółek Agnes i Eleonory, mamę, starą już wówczas, wrzucającą na noc swój mostek dentystyczny do szklanki z wodą stojącej przy łóżku, światło księżycy, przesiane przez żaluzje, wydo bywające z mroku trzy białe zęby i pasek różowego dżiasta Nic nie zapowiadało późniejszych okropnych wypadków.

Lily poczłapała do kuchni i nalala sobie szklanke wody z lodem. Catherine, ponownie odnaleziona. Zauważyła, że papie ros, którego paliła podczas wizyty szeryfa, osmolił krawędź blatu od stołu. Zdmuchnęła popiół na podłogę. Może Catherine wcale nie umarła, tak jak sądzili? Może żyła przez cały czas, ucząc w szkole gdzieś w Willacoochee? Kiedyś wydawało jej się, że zobaczyła twarz bratowej w oknie pociągu. Kobieta potna chała ręką i nagle stała się kimś innym. A może Catherine uciekła z jakimś żołnierzem przed wielu laty, w 1945 roku, w tych szalonych czasach, pełnych Japończyków, Niemców i - a jakże - Włochów, chociaż Ginger nie chciała o tym słyszeć? Dlaczego Ginger pragnęła żyć w obcym kraju, gdzie nie miała nikogo, tego Lily nie mogła pojąć. Rozwiedziona, zadająca się z jakimś makaroniarzem papistą, Marco Polo, czy jak mu tam. Zdała sobie sprawę, że ręce jej się trzęsą. Opanuj się, powiedziała sobie.

Wyjęła mąkę i smalec, wyobrażając sobie szeroki uśmiech Ginger, kiedy nazajutrz zanurzy rękę w słoju stojącym na blacie. Będzie zmęczona po długiej podróży. Kruche ciasteczka i mięsny sos. Tessie przyniesie jutro świeżą kurę. Lily postanowiła zamówić produkty przez telefon. Zajrzała do lodówki. Domowe herbatniki to będzie to. Co powinna teraz zrobić?

Zostało trochę sałatki ziemniaczanej. Catherine nie miała nic wartościowego, ci złodzieje odeszli z niczym, prócz szokującego widoku martwego człowieka. A był to naprawdę szok-

jący widok. Co jest w tej zapleśniałej misce? Lily odwinęła plastikową folię. Potrawka z dyni. Dobrze im tak, dzikusom, pomyślała, ale dlaczego nie mogli jej chociaż przykryć i oszczędzić nam tego upokorzenia? Zdjęła pokrywkę z talerza z zimnym zielonym groszkiem, swoim ulubionym letnim warzywem, i zjadła trochę przy zlewie. W swoim czasie wyłuskała chyba tonę tego groszku. Mój czas minął, uświadomiła sobie. I jaki był sens tego czasu, jeśli ów czas, jeśli jakikolwiek czas mógł doprowadzić do podobnego horroru? A jakby nie dość było tamtej niewybaczalnej śmierci, osieroconych dzieci, Willsa, który dostał po tym koszmarze udam w tak tragicznie młodym wieku. Lily dała upust swojej skłonności do obwiniania Catherine o wszystko. Jakby moje życie należało do niej i mogła nim dysponować, każąc mi wychować te dzieci. Jakbym nie miała wyboru. No i nie miałam. Nie miałam wyboru. Catherine, jak mogłaś? Lily wysunęła dolną wargę, tak jak w dzieciństwie, kiedy to mama mawiała, że mogłaby zajechać do miasta na tej wardze. Na szczęście ona przynajmniej nie dożyła tego wszystkiego. Jak cicho opuściła ten świat, w przeciwieństwie do Catherine! Mama przyznałaby jej rację, że Catherine wciąż przysparzała kłopotów.

Duży Jim, ojciec, wyrósł nagle w jej myślach, jak gdyby nagle stanął w drzwiach, żądając swojego puddingu ryżowego. Luźne spodnie, przytrzymywane przez rozciągnięte czarne szelki, i włosy niczym szczecina dzika, sterczące z uszu. Był przewodnikiem stada, wielu stad, za wielu, przynajmniej
O jedno - o tamten domek na skraju fabrycznej wioski, gdzie ta lafirynda Aileen Boyd stała na ganku, w wyzywającej pozie, przegięta w pasie, a matka, patrząc prosto przed siebie, nie odwracając głowy w lewo ani w prawo, jechała swoim packardem wzdłuż Mason Road do fabrycznego biura, żeby zawieźć kwiatek w doniczce albo ciasto dla jakiejś chorej osoby. Lily pamiętała, jak weszła raz do sypialni rodziców, żeby im powiedzieć „dobranoc”. Dużego Jima nie było. Stojąc w drzwiach, zobaczyła, jak matka pochyla się nad poduszką
1 podnosi długi, jasny włos. Odwróciła się cichutko i wróciła do swojego pokoju. Nazajutrz pojechały razem do Karoliny Południowej, w odwiedziny do krewnych mamy. Lily poczuła nagły przypływ wściekłości, że mama umarła tak wcześnie. Nikt nie wiedział, że przez całe lata nękały ją te bóle. Choroba

przeżarła ją po prostu na wylot. Mamie i jej należało się więcej wspólnie spędzonych lat wolności. Mama lubiła podróżować, a jej też nic nie trzymało, bo nie wyszła za maz, chociaż w swoim czasie miała paru absztyfikantów, wysiadujących na ganku domu. Mój czas, pomyślała znowu Wyglądało na to, że „jej czas” to było wychowywanie tych dwojga dzieci po śmierci ich matki...

Rozpędzone myśli Lily zatrzymały się na temacie samobójstwa i wówczas ujrzała Catherine Phillips taką, jaką ja zobaczyła po raz pierwszy, kiedy przyjechała do Swan na Święto Dziękczynienia. Wills był wtedy na ostatnim roku medycyny Lily zobaczyła Catherine przez szklane szyby holu, kiedy Wills wprowadzał ją do domu, i cofnęła się w głąb mieszkania, przyglądając się, dopóki nie dokonano prezentacji. Catherine - ach, widziała to jak dzisiaj - była ubrana na cztery wrony, kolor, którego Lily nigdy nie lubiła, w czerwony kostium i jedwabną bluzkę w czerwony wzorek pod zakietem Och, jesteście bardzo odważni, pomyślała Lily w duchu. Ma my falujące czarne włosy, nieprawdaż, i zdziwione, niebieskie oczy. Zabawny odcień błękitu. Wills nie spuszczał wzroku z Catherine, dreptał przy niej, rozanielony i niezgrabny, przy pominając Lily czapkę ze złożonymi skrzydłami. Przeprasza li, że wpadli tylko na chwilę, ale o drugiej zaczynał się do roczny mecz futbolowy pomiędzy Tipton i Swan. Mama i Duży Jim przywitani się z Catherine i zaprowadzili ją prosto do jej dalni, gdzie Lily też się przysiadła, mówiąc, że wiele o niej słyszeli od Willsa, i pytając, jak jej się podoba w Georgia State College dla kobiet. Ona sama skończyła Agnes Scott. Catherine nie widziała specjalnej różnicy. Wyglądała młodo, młodo, młodo! Lily, wówczas trzydziestoletnia, czuła, że swoją młodość ma już za sobą. Podczas wypadów z mamą zaopatrzyła się w płukanki do włosów, żeby zatuzszować po jawiające się zatrwazające wcześniej nitki siwizny. Za nic nie kupiłaby farby do włosów w Swan. Od ośmiu lat uczyła w przyfabrycznej szkole. Miejscowi chłopcy, jeden po drugim, żenili się z innymi dziewczynami. Nienawidziła szkoły, zwłaszcza czarna brudnych nóg dzieciaków i dni, kiedy uczniowie nieb przynosić do szkoły pojemniki z próbkami kału do badania na robaki. Duży Jim powiedział, że powinna rzucić szkołę w diabły i siedzieć w domu, skoro dzieci tak jej działają na

nerwy, ale cóż innego miałyby robić, czekając, aż jej życie wreszcie się zacznie?

- Jak się poznaliście? Wills chyba nam o tym nie opowiadał - zagadnęła Lily i młoda twarz Catherine znalazła się jakby bliżej jej twarzy. Te oczy. Jakby człowiek zaglądał w głąb źródeł w Glass Lake. Rozwodniony błękit, ślepe tęczęwki, otoczone ciemniejszym pierścieniem. Nieprzyjemne uczucie, kiedy się w nie spoglądało. Ale poza tym trudno się było dopatrzeć jakiegokolwiek feleru. Każdy musiał podziwiać cerę Catherine, kremową, świetlistą, bez śladu pudru. No i kiedy włączyła ten swój stu pięćdziesięciowatowy uśmiech, nie można się było oprzeć jej urokowi. Lily zauważyła, że prawa brew Catherine frunie do góry, kiedy ktoś zadaje jej pytanie.

Podczas gdy to wszystko przesuwano się przed oczyma Lily, poczuła niespodziewane ciepło wobec Catherine - uczucie, którego nie doznała tamtego dnia, kiedy dziewczyna nie zwróciła uwagi na jej wspaniałe nadzienie z chlebkiem kukurydzianym, a zamiast tego rozprawiała o przełożonej internatu, patrolującej pokoje spotkań, o tym, że postanowiła się specjalizować we wzornictwie, i wypytywała Dużego Jima

O tekstyliach produkowane w fabryce. Jesteśmy też bardzo pewni siebie, pomyślała Lily. Nieliczne dziewczyny, które jej brat kiedykolwiek przyprowadził do domu, zazwyczaj nie odzywały się niepytane, składając cały ciężar konwersacji na Willsa, a same łykały mrożoną herbatę, prawie nie tykając jedzenia. Żadna z nich nie miała by śmiałości rozmawiać swobodnie z Dużym Jimem. Lily czuła na odległość, jak przenika ją elektryzująca energia, bijąca od Catherine. Potem Wills otulił Catherine jej płaszczem z wielbłądziej sierści. Musieli się śpieszyć, żeby być na meczu punktualnie o drugiej, Wills za nic nie przepuściłby pierwszej piłki. Do tej pory w szufladzie komody w sypialni na piętrze leżała jego czerwona bluza z numerem 35. Duży Jim, który zwykle nie zauważał nikogo, z wyjątkiem osób, które mogły coś dla niego zrobić, przyniósł torebkę Catherine i udał, że całuje jej dłoń. Wills ucałował mamę, ale zapomniał pożegnać się z Lily. Pierwsza zapowiedź tego, co miało nastąpić. Ale Catherine ujęła jej dłoń i uścisnęła ją.

- Wills mówił mi o tobie same dobre rzeczy. Nie mogę się doczekać, kiedy się lepiej poznamy. - I znów te megawaty uśmiechu.

Lily zauważyła, że Catherine ma ledwie widoczna lukę między przednimi zębami. Była tak oczarowana, że powiedziała:

- Przyjeźdź niedługo - nim zdążyła zapanować nad swoim odruchem.

Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, Duży Jim huknął:

- To ci dopiero petarda! Wills będzie miał pełne ręce roboty. - Strzelił palcami i klasnął w dłonie. - Lubię ją.

Ja też, pomyślała Lily. Nie, nie lubię.

Wzdrygnęła się, jak gdyby powietrze w pokoju wciąż jeszcze wibrowało od tamtego klaśnięcia. Starość ma swoje dobre strony, pomyślała. Kiedy była młodsza, tylko w snach zda rżało jej się widywać twarze i czasem zdarzenia z przeszłości. Teraz, nagle, ukazywały jej się całe sceny, jak żywe, z niesamowitą wyrazistością. Wspomnienie zbladło, kiedy Duży Jim zagłębił się w swój sfatygowany skórzany fotel. Zaszleściła gazeta, ojciec otworzył radio. Lily i mama poszły na górę do jej pokoju, żeby wyjąć z szafy zimowe ubrania i poprawić wykończenie obrąbków. Nie były zainteresowane meczem ani wdychaniem kłębow dymu z kubańskiego cygara, które o j cieć miał za chwilę zapalić.

Patrząc z tamtej perspektywy, kto byłby wówczas w stanie przewidzieć, że jej, Lily, przyjdzie wychowywać latorośle Catherine? Nigdy nie lubiła dzieci, ale kiedy ta dwójka do niej przyszła, ich domagające się zaspokojenia potrzeby okazały się o wiele silniejsze niż owa niechęć. To była przecież jej własna krew. Dokąd miały pójść, jeśli nie do niej? Życie Lily ukształtowało się i nadal kształtowało wokół tego, co jej przypadło w udziale.

Otworzyła szufladę i całą minutę wpatrywała się w zieloną rączkę wykrawarki do ciasteczek, zanim do niej dotarło, że to jest właśnie to, czego szuka. Pragnąc towarzyszyć, podtoczyła klatkę CoCo do otwartych drzwi. Papuga czyściła dziobem pazurki i wpatrywała się w okno żółtymi oczyma. Machinalnie, nie musząc się zastanawiać nad tym, co robi, Lily rozgniotła widelcem smalec, przesiekała go z mąką, rozwałkowała ciasto na stolnicy i wprawdzie zaczęła wykrawać idealne kółka. Tak, Ginger będzie głodna po długiej podróży. CoCo łuskała nasiona i wydawała cielec dźwięki, przypominające mruczenie silnika. Lily upiekłaby więcej ciasteczek, gdyby spodziewała się J.J.-a. Potrafił ich zjeść całą blachę.

KIEDY CZŁONKINIE KLUBU BRYDŻOWEGO, Margaret Alice, Billie i Ellen, zaparkowały swoje samochody przed domem, Eleonora pożałowała swojej decyzji. Ale gdyby odwołała spotkanie, i tak by się później dowiedziały, że to ona i Lily znalazły Catherine, i miałyby pretensje, że nic im nie powiedziała. Jakaś jej część pragnęła jak najszybciej podzielić się tą nowiną, i Eleonora wstydziła się. Brzydziła się małomiasteczkowym plotkarstwem, ale z drugiej strony, wiedziała, że na jej miejscu każda z nich pobiegłaby natychmiast do telefonu. I czyż plotka nie polega na domysłach i fantazjowaniu, podczas gdy to był fakt?

Eleonora posadziła Ellen w pobliżu klimatyzatora, żeby dym z jej papierosa mniej się dawał we znaki. Margaret Alice oznajmiła zaraz na wstępie, że zapowiadano burze, więc czuje się trochę nieswojo. Trzy pozostałe uczestniczki lękały się spotkań w burzowe dni. Margaret Alice miała fobię na tym punkcie i krzyczała przeraźliwie przy każdym uderzeniu pioruna. W miarę jak błyskawice i grzmoty zbliżały się coraz bardziej, aby w końcu uderzać niemal równocześnie, zaczynała chlipać i trzeba ją było prowadzić na sofę i okrywać pledem. Eleonora czekała na odpowiedni moment, żeby powiedzieć przybyłym, co się stało, ale na razie zbyt miło było po prostu rozdawać karty, pisać na kartce „My” i „One”, dać się prowadzić uporządkowanym regułom gry. Irytowało ją, że Margaret Alice co chwila popatruje w okno, jak gdyby pod domem czaił się włamywacz. Ellen nigdy nie przyszła całkiem do siebie po terapii wstrząsowej, którą przeszła przed wielu laty w Atlancie. Dziwne, z kartami radziła sobie całkiem nieźle, ale wydarzenia z przeszłości trochę jej się plątały i kompletnie zapomniała francuskiego, którego uczyła się w koledżu

70

przez dwa lata. Zamruczał daleki grzmot i Eleonora zauważyła, że dłoń Margaret Alice drży.

- Nie martw się, to całe mile stąd. Nie ma nawet chmurki na niebie.

Po rozegraniu pierwszego robra Eleonora zapytała

- Dojrzałyście do lunchu, dziewczyny?

Kiedy przeszły do jadalni, oczom Eleonory ukazała się kaskada róż na kredensie.

-Jakie cudne! - Ellen podeszła i przysunęła twarz do kwiatów. - Cytrynowy zapach. Wspaniałe. Skąd je wzięłaś?

Eleonora wskazała każdej z przyjaciółek miejsce za stołem. Wyglądał dobrze. Zauważyła, że Hattie wypole-

rowała nawet wiezka od solniczek. Hattie weszła z kręgiem swojej galarety pomidorowej i podała ją,

pieczołowicie układając gałązkę pietruszki na każdym schłodzonym talerzu. Tylko Eleonora zauważyła drżenie

galaretki i zaciśnięte usta Hattie. Pociągnęła łyk mrożonej herbaty i wyprostowała się na krześle.

- Właściwie mogę wam to równie dobrze powiedzieć teraz. Dziś rano przydarzyło mi się coś okropnego i ciągle jeszcze nie mogę dojść do siebie. Coś tragicznego.

Ellen zgmiotła papierosa, z którym przyszła do stołu, i na chyliła się, marszcząc czoło. Margaret Alice wykręcała

szyję, żeby wyrzucić przez okno. Billie, mająca dwadzieścia kilo nadwagi, lustrowała zawartość swojego talerza.

-Wiecie, że rano zawsze wpadam na chwilę odwiedzić Holta - zaczęła Eleonora. - Dzisiaj umówiłam się tam z Lily,

bo chciałyśmy naścinać trochę róż. - Zerknęła na kwiaty i szybko ciągnęła dalej, jak to Lily mignęło przed oczyma

cos niebieskiego i jak w chwilę potem obie ujrzały Catherine, wyrzuconą z trumny i leżącą w błocie.

- Eleonoro, ty chyba oszalałaś! - pisnęła Billie.

- To niemożliwe. Gdzie był Cass Deal? Dlaczego ktoś miał by zrobić coś takiego?

- Nie ulega wątpliwości, że w okolicy musi graseiwae |a kiś szaleniec.

- Nic takiego nigdy dotąd się w Swan nie zdarzyło. Na i gorsze, co się stało w tym roku, to tamten pożar w październiku, kiedy tartak się spalił. Pamiętacie, miesiąc był bardzo suchy i luna biła w nocy przez cztery godziny.

- Ellen, to nie ma w tej chwili nic do rzeczy - przypomniała jej Eleonora. - Taki makabryczny wypadek jak ten to zupełnie inna sprawa. - Hattie przyniosła zimną sałatkę z kurczaka i koszyk bułek, chociaż żadna z kobiet jeszcze nie zjadła swojej galaretki. - Postaw to, Hattie, dziękuję ci, same sobie nałożymy.

Przez następną godzinę cztery kobiety jadły z apetytem i rozmawiały. Masonowie byli w końcu jedną ze starych rodzin i wiedziało się wszystko na ich temat, poczynając od Johna, ojca Dużego Jima, który wybudował przędzalnię bawełny przed stu laty, w 1875 roku, kiedy całe Swan to były cztery sklepy na krzyż, przejazd kolejowy oraz trochę smętnych drewnianych domków.

Eleonora i Margaret Alice, obie urodzone w Swan, pamiętały najwięcej. Ellen i Billie sprowadziły się tu już jako dorosłe osoby, mniej więcej przed czterdziestu laty. Czasy po wojnie secesyjnej były brutalne prawie na całym Południu, ale ojciec Dużego Jima, jak pamiętała Eleonora, pochodził z Anglii i nie miał zbyt ugruntowanych przekonań co do wyższości białej rasy, przynajmniej jeśli chodziło o jego fabrykę.

- Zdumiewające, że Klan go nie dopadł - zauważyła Billie.

- Ta część stanu była tak wyludniona, że nawet Klanu tutaj nie było - przypomniała jej Eleonora. - Poza tym można powiedzieć, że dziadek po prostu kupił sobie tę miejscinę. Zatrudniał mężczyzn i kobiety, czarnych i białych, pod warunkiem że będą harować jak muły.

- Osadził mojego wujka na ziemi, do której moja rodzina zawsze rościła sobie prawo - oznajmiła Margaret Alice. Ojciec Johna, który mieszkał w Anglii, miał zakłady włókiennicze w Karolinie Północnej. John całą młodość pracował, ucząc się prowadzić interesy, i kiedy tata zaproponował mu pomoc przy założeniu własnej fabryki, zaczął przeczesywać Południe w poszukiwaniu odpowiedniej lokalizacji. Swan nie tylko miało dwie linie kolejowe, ale leżało w pobliżu szlaków żeglownych parowców kursujących po rzekach Altamaha i Ocmulgee. Stary John kupił ziemię, zbudował prosie sosnowe domy dla dzierżawców i posadził bawełnę. Ojciec Margaret Alice pamiętał, że John zawsze nazywał bawełnę swoim białym złotem. W następnym roku postawił fabrykę i zaczął budować przyfabryczną wioskę.

W końcu przyjechała z Charlotte jego żona Maria z synkiem Jimem.

- Powiadają, że przeraziło ją to wszystko, ale czy tak było, czy nie, zmarła w trzy lata po urodzeniu Calhouna - przypo mniała sobie Eleonora.

- Ten Calhoun... - zaczęła Margaret Alice i urwała. Wraz z Marią przyjechało z Karoliny Północnej dwudziestu robotników, skuszonych obietnicą przyzwoitych zarobków. W tym czasie John zatrudnił angielskiego architekta, żeby wytyczył plan miasta. W ciągu trzech miesięcy zbudowali dom z czterema kominami na niskim, szerokim wzniesieniu z widokiem na pola bawełny. Maria wybrała to miejsce ze względu na dzikie karłowate palmy, dwa rozłożyste dęby i staw zarośnięty liliami wodnymi u stóp wzgórza. Wciąż najładniejszy dom w miasteczku, zwłaszcza odkąd Lily objęła pieczę nad ogrodem.

Zaczęły od tak odległych czasów nie dlatego, że tam się kryła odpowiedź, nie dlatego, że jakkolwiek poszlakę można było wysnuć ze stuletniej historii Masonów w Swan (to oczywiście, że jakiś szaleniec uciekł z domu wariatów i dokoła tego okropnego czynu), ale ponieważ echa samobójstwa nigdy nie milkną, a ów horror, ponownie unaoczniony, wydobył na światło dzienne to, co wszyscy myśleli o sprawie wówczas, kiedy Catherine odeszła, nie zostawiając ani słowa, najmniejszej sugestii, dlaczego się targnęła na swoje życie i zostawiła tę makabryczną spuściznę Willsowi i dzieciom. Jak matka mogła coś takiego zrobić? Jakakolwiek matka? I jak mogła tak po prostu porzucić ich wszystkich? Później kobiety przeszły do omawiania czasów Dużego Jima.

- Stary łobuz - orzekła Billie. - Nic dziwnego, że Florence ciągle gdzieś wyjeżdżała.

- Jak doskonałym tworem jest człowiek* - zacytowała Ellen. Wspomniały, że Lily zrezygnowała z posady w szkole, żeby zająć się wychowaniem osieroconych dzieci.

- Nie było to dla niej wielkie wyrzeczenie - zauważyła Margaret Alice. - Zawsze uważała, że dzieciaki z fabryczne go osiedla są leniwe i tępe.

* William Szekspir, „Hamlet” (przyp. tłum.).

- Cóż, pewnie miały owsiki, krzywicę, były żywione głównie kaszą. Lily po prostu nie nadawała się na nauczycielkę - wyjaśniła Eleonora. Wiedziała, że żadna klasa nie jest z gruntu leniwa i tępa.

- Zdziwiałam, że wytrzymała tak długo - ciągnęła Margaret Alice. - Sama była takim rozpuszczonym bachorem. Zajęcie się dziećmi Catherine to najlepsza rzecz, jaka jej się w życiu przydarzyła. Wreszcie musiała zacząć myśleć o kimś oprócz siebie. - Margaret Alice zapomniała chwilowo o prognozie pogody, ale teraz za oknem zaczęły się gromadzić burzowe chmury, a gałęzie sosen ocierały się o szyby. Jej mąż zalecał się kiedyś przez krótki czas do Lily, stwierdził jednak, że nie może patrzeć w te cielejące oczy, nawet jeśli należą do córki najbogatszego człowieka w miasteczku.

- Nie powiedziałabym, że była rozpuszczona. Wyobraź sobie tylko: dorastać pod dachem Dużego Jima. To nie o to chodzi, że nic jej nie obchodziło... - Eleonora wiedziała, że Lily przekazywała spore sumy liceum, przeznaczone na dożywianie i różne opłaty dla dzieci z fabrycznej wioski.

- Kiedy się tu sprowadziłam, Wills był w szkole średniej - powiedziała Billie. - Złoty chłopak, ale pamiętam, że był pewien problem. Popadł w kłopoty, bo cisnął kiedyś nauczycielem o ścianę. O co mogło wtedy chodzić?

- Kto wie?

- Duży Jim wysłał syna do szkoły wojskowej w Beauregard, żeby się nauczył dyscypliny. W Emory od razu się rozniosło, że jest gwiazdą na swoim roku. Dostał się potem bez egzaminu na uczelnię medyczną. - Margaret Alice spojrzała za okno.

- Był taki przystojny przed wojną. - Eleonora pamiętała Holta, który przez cały okres nauki pracował jako kelner w studenckim klubie.

- Ale pił. Słyszałam, że kiedyś, za przeproszeniem, oddał mocz przez poręcz schodów na swoich kolegów z bractwa, którzy stali na dole. - Billie zaśmiała się hałaśliwie i sięgnęła po kolejną bułkę.

Były gotowe przejść do tematu Willsa i Catherine, kiedy błyskawica uderzyła całkiem blisko i potężny grzmot rozległ się w pobliżu domu. Margaret Alice poczuła go w kręgosłupie. Całe niebo rozjarzyło się bielą.

- Płaska błyskawica - powiedziała. Zaczęła pochlipywać.
- Pomyśl, a Catherine leży, tam, na deszczu. Była niezwykła dziewczyną. Kto by pomyślał, że jest zdolna do czegoś takiego. Żeby się tak po prostu zabić. Podobno to bywa dziedziczne. Dzięki Bogu, nikt w mojej rodzinie nigdy czegoś takiego nie zrobił. Te biedne dzieciaki. Same jak palec.
- Ellen miała straszną ochotę na papierosa, ale nie śmiała zapalić, dopóki Billie nie skończy jeść.
- Nie pada, więc pewnie się rozejdzie po kościach. Za po wiadają dalsze upały i wilgotność sto procent.
- Hattie wniosła tacę z kawą. Eleonora pokroiła babkę.
- Hattie, mogłabyś zabrać stąd te róże? Nie chcę na nie patrzeć ani chwili dłużej.
- Żadna nie miała głowy do następnego robra. Eleonora do szła do wniosku, że dobrze im zrobi kieliszek sherry.
- O! wo rzyła barek Holta i naląła szczerze. Ellen zaproponowała pa pierosa i chociaż pozostałe kobiety rzuciły palenie, tym razem zapaliły. Margaret Alice wydmuchnęła kółko dymu w stronę sufitu.
- Mówią, że Duży Jim umarł w motelu w Tipton. Drugi zawał. Ktokolwiek mu wtedy towarzyszył, miał dość przytomności umysłu, żeby zadzwonić do szeryfa. Odtransportowali ciało do domu, żeby można go było „znaleźć” we własnym łóżku, jak Pan Bóg przykazał. Stary cap.
- Nic o tym nie słyszałam. Co za prymityw! - powiedziała z pogardą Eleonora.
- Tak, moja droga. Podobno Florence nigdy się nie dowiedziała. Wróciły z Lily do domu po wizycie u krewnych w Ka rolinie, po czym wyprawiono mu pogrzeb na koszt władz. Po tem nie widywaliśmy jej w Swan przez całe tygodnie. Słyszałam, że miała romans z jakimś muzykiem z rodzinnych stron, chociaż był to zgrzybiały staruszek. Później zachorowała ła, tak szybko, biedactwo.
- Cóż, nie pożyła już później zbyt długo. - Eleonora przy pomniała sobie, jak Lily zadzwoniła do niej któregoś czwartku, żeby jej powiedzieć, że zrezygnowała z pracy w szkole. Powiedziałam dzieciom, że mają dwa dni wolnego i mogą iść do domu - poinformowała ją. - Uznałam, że do niedzieli znajdą kogoś na moje miejsce.

Kiedy „dziewczyny” w końcu wyszły o wpół do szóstej, Eleonora zaniósła kieliszki do kuchni. Hattie zostawiła jej wiadomość: *Znalazłam Scotta i poprosiłam go, żeby odszukał J.J.-a. Niedobry dzień dzisiaj, proszę pani.* Niedobry, to fakt. Eleonora czuła się strasznie wiekowa. W głowie jej się kręciło od sherry i papierosów. Cafe biodro otaczające sztuczny staw zapadło w sen i ledwie była w stanie poruszać nogą. Uświadomiła sobie, że nie zawiadomiła Plotha Juniora, co się stało. Wykreśliła numer syna, ale nikł nie odbierał.

Hattie bardzo przytomnie pościeliła jej łóżko. Eleonora wzięła kąpiel z solidną garścią soli leczniczych i położyła się, chociaż było za wcześnie na nocny sen, a o wiele za późno na poobiednią drzemkę.

J.J. TRZYMAŁ JEDNĄ ŁÓDKĘ w dole rzeki, poniżej domku. Kiedy zamierzał łowić poza zasięgiem mielizn, tam gdzie rzeka zaczynała się rozszerzać i zwalniać, brał dziępa i jechał na skrótym piaszczystym szlakiem, po czym wyruszał łódką z łam tego miejsca. Tego dnia złowił trochę okoni i zamierzał zjeść kilka na obiad, z gotowanymi ziemniakami. Kiedy opłynął na wolnych obrotach piaszczystą łacę, rzeński podmuch musnął powierzchnię i bryznął mu wodą w twarz. Kochał nagłą, je dwabistą gładkość bystrej toni, kiedy nurt rzeki prostował się poniżej przystani. Wyłączył silnik i uderzył dziobem w wystający z wody, sę katy korzeń powietrzny cisowca, do którego był umocowany jego łańcuch. Cisowce rosnące na płycznach, z kłakami szarego mchu i guzowatymi, sterczącymi odroślami, wydawały mu się na wpół ludzkie - widmowe istoty, wiodące swoją cichą egzystencję na bagnistych obrzeżach. Niektóre drzewa mają w sobie nie mniej osobowości niż człowiek, pomyślał. Łódka stuknęła o brzeg i J.J. zamotał linę wokół wystających korzeni. Mokasy na tego dnia nie było widać. W ubiegłym tygodniu jeden wpadł mu do łódki, kiedy cumował o zmierzchu. Piękny okaz, w obwodzie gruby jak noga. Czyja noga? - pomyślał i uśmiechnął się, wyobrażając sobie nogi kilku kobiet, w tym rosłej dziewczyny, z którą zawarł bliższą znajomość podczas ostatniej wędkarskiej wyprawy do St. Clare. Nogi, psiakrew, jak u amazonki. Tamten wąż wylądował w tyle łodzi, wyciągnął się natychmiast na całą długość i dał mu okazję do podziwiania niezwykle białego wnętrza swojej paszczy. J.J. powściągnął odruch, żeby wejść do niesięgającej kolan wody, gdzie, z tego, co się orientował, pływali niezliczeni krewniaci niezbyt sympatycznie wyglądającego skurczybyka. Zamiast tego wsu-

nał wiosło pod jego brzuch, machnął i nieproszony gość przeciął powietrze, lądując z powrotem za burta. J.J. rozejrzał się wokół siebie, żeby się upewnić, że stary drań nie leży tym razem wyciągnięty na jakimś przewieszonym konarze, po czym wtaszczył swój ekwipunek na śliski brzeg, rzucając wiązkę okoni na trawę. Ginger poszła kiedyś za tym pierwszym odruchem i wyskoczyła z łodzi, kiedy mokasyn wpadł do środka. O jciec walnął go wiosłem, równocześnie wciągając Ginger z powrotem do łodzi. Krzyknęła tak przeraźliwie, że mogła przepłoszyć wszystkie żywe stworzenia w okolicy. Oczywiście, len wąż spadł jej prosto na nogę. Na ogół nie była przewrażliwiona i nie piszcziała z byle powodu. Wills nauczył ich traktować węże z respektem, ale bez strachu. „One bardziej się boją was niż wy ich” - powtarzał im zawsze. Jako chłopiec J.J. nie był całkiem pewien, czy wierzyć tej starej maksymie. Zbyt to przypominało sytuację, kiedy ojciec wybierał kolczastą witkę, żeby przejechać któremuś z nich po nogach, burcząc przy tym: „Mnie to bardziej boli niż ciebie”.

Jego pierwsze wspomnienie, łączące się z ojcem, to dzień, kiedy Wills związał razem dwie dętki od ciężarówki, po czym położyli się na nich obaj i pomknęli w dół rzeki. Wydawało mu się, że niemal szybują, ledwie dotykając powierzchni wody. Zanurzył twarz w wodzie, żeby się napić, bo miała barwę coca-coli. Ale smakowała jak czysta woda. Nurt pieniał się i rwał, J.J. był równocześnie wystraszony i podekscytowany. Ojciec cały czas trzymał go za rękę, pokrzykując: „Hej, jak tam, wielkoludzie?”. W sklepiku Bucka, na przystani, kupili trochę przynęty, po czym Buck podwiózł ich z powrotem do ich domku nad rzeką. Chociaż Wills w tamtych czasach często jechał dziesięć mil do domku nad rzeką, po to tylko, żeby zjeść kolację, po czym musiał wracać do miasteczka, by przyjąć poród albo wyjąć guzik, który utkwiał komuś w gardle, zostawiając ich z matką, zawsze występował w jego wspomnieniach związanych z tym miejscem: wracający z polowania na kaczki, przyczepiający owoce bawełny do okiennic, żeby owady nie wlatywały do środka, wyładowujący jelenia z furgonetki, mocujący półki w spiżarni. Łatwiej było go sobie wyobrazić w tamtych czasach. Atrapa z domu Pod Kolumną nie wydawała się tym samym człowiekiem, który przy-

rzęczał duszoną kaczkę na palenisku przed domem. Jako dziecko J.J. był zafascynowany tym, że ojciec potrafi wypluć kaczy śrut, nie przestając żuć mięsa. On sam do tej pory tego nie umiał.

Jechał powoli. Sosny obrzeżały dolną krawędź tarczy słonecznej, która miała się później opuścić ku rzece, siejąc ukosne światło przez zarośla karłowatych dębów i wyzłacając powierzchnię wody. Rzeka, czasem brązowa, tego dnia była zielona, jak w często nawiedzającym go śnie, w którym woda wydawała się częścią jego samego, a bystry prąd niósł go, obracał i unosił, lekko jak piórko. Płynął, czując się w wodzie jak ryba, po czym budził się z tego euforycznego snu z nagłym uczuciem opuszczenia, niczym rozbitek na nieprzyjaznym brzegu.

Dżip wjeżdżał co chwila w płytkie, grząskie kałuże. Z jedną ręką na kierownicy, J.J. manewrował, omijając pniaki i zwalone kłody. Znał tę drogę niczym linie na swojej dłoni. Mógłby prowadzić z zamkniętymi oczyma.

Szlak biegł wzdłuż rzeki przez jakieś sto jardów, po czym skręcał w głąb łądu, gdzie teren stawał się wyższy i suchy, porośnięty lasem i karłowatymi palmami, aby mniej więcej po mili, na wysokości domku, znów zawrócić w stronę rzeki. J.J. podjechał pod dom od tyłu. Garbus Scotta stał zaparkowany nieopodal porośniętej pnączem wiaty.

J.J. wyskoczył z dżipa i zobaczył, że Scott siedzi na pomoście i majta noga mi w wodzie.

Scott czekał tak prawie od dwóch godzin. Jego matka powiedziała mu, że ma znaleźć J.J.-a, choćby miało mu to zająć całą noc. Zostawił sklep pod opieką nowej sprzedawczyni, Mindy, która robiła wrażenie niezbyt rozgarniętej.

Nie wiedział, czemu J.J. ją zatrudnił. Miał nadzieję, że nie obrabia jej tyłka, chociaż z nim nigdy nic nie wiadomo.

Scott wstał, otrząsając stopy z wody. J.J. zaniósł swój ekwipunek na ganek, wrzucił ryby do zlewu i poszedł na przystań

- Cześć, Scottie, co się dzieje?

- Chłopie, nie wiem, jak zacząć. - Scott nadal ruszał stopami i opuszczał nogawkę spodni.

J.J. pomyślał, że musiało się coś wydarzyć w sklepie. Jeśli nie liczyć kilku przyjęć do pracy, wszystkie decyzje pozostawiał Scottowi. Od czasu do czasu spotykał się ze sprzedaw-

cami, kiedy Scott musiał doglądać drugiego sklepu Masonów, we wschodniej części miasteczka. Niektórzy mieszkańcy omal nie dostali apopleksji, gdy J.J. zatrudnił Scotta jako kierownika sklepu w białej części Swan. Stopniowo dogodnie położenie sklepu wzięło górę nad ich ciasnymi przesądami. Interes zaczął nawet iść lepiej niż dotąd. Życzliwość Scotta ich rozbroiła i teraz uważali, że radzi sobie całkiem nieźle.

- Strzelmy sobie po piwku, staruszku. Te wieści nie mogą być aż takie straszne. - Było pewne, że J.J. nie będzie się zbyt interesował sklepami ani innymi dobrami czy drobnymi firmami, które pozostawił jego dziadek. - O mało nie wywierciłem dziś dziury w rzece, tyle ryb nawyciągałem - pochwalił się.

- To poważna sprawa. - Scott przysiadł na ganku, a J.J. przyniósł zimne budweisery.

Scott wbił wzrok w podłogę.

- Moja mama była dziś u pani Eleonory, kiedy pani Eleonora wróciła z cmentarza. To nie do wiary, ale to prawda, bo szeryf i Ireland też tam byli i widzieli.

- O czym ty mówisz, do cholery?

- Pani Eleonora ścinała róże na waszych rodzinnych grobach...

- I chcą ją za to aresztować?

- Nie, szefie, nie o to chodzi - prawie krzyknął Scott. - Była tam z panią Lily i znalazły twoją mamę leżącą obok własnego grobu. Ktoś ją wykopał.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę. Czyżby to miał być twój najnowszy kiepski dowcip?

- To święta prawda, jak Boga kocham. Leży tam teraz, w tej chwili. - Scott opowiedział mu wszystko, czego się dowiedział od Hattie. - Musisz jechać do domu i zobaczyć, co z panną Lily. Chcesz, żebym cię podrzucił? - Patrzył, jak J.J. osusza butelkę.

Potem oba spojrzeli na zieloną rzekę. Ryba wyskoczyła nad wodę, zawisła w powietrzu, wygięła się w łuk i gładko zanurkowała z powrotem do wody. J.J. wydał usta jak nadąsane dziecko.

- Nie, Scott, nie trzeba. Jedź do domu. Ja też zaraz będę się zbierał. Zadzwoń do Eleonory i do szeryfa, a potem zajrzę do Lily. Dzięki za to, że przyjechałeś, i za te radosne wieści.

-Na pewno dobrze się czujesz? - Scott wiedział, że J.J. jest na bakier z zasadami BHP.

- Bosko. - J.J. potarł zaciśniętą pięść o dłoń. Miał ochotę grzmotnąć nią w słup ganku.

Patrzył, jak samochód Scotta oddala się piaszczystą drogą, dopóki jego tylne światła nie znikły.

TELEFON U ELEONORY ZADZWONIŁ OSIEMNAŚCIE RAZY. Nikł nie odbierał. Może szok ją zabił? Do Ralpa Hunnicutta dodzwonił się od razu i powiedział mu, że już słyszał nowinę. Ralph dopiero co odłożył słuchawkę po rozmowie z facetami z GBI, którzy mogli przyjechać dopiero nazajutrz rano. Zamierzał wobec tego sam objąć posterunek na cmentarzu. Jego zastępca był wyznaczony do smażenia ryby na uroczystości organizowanej przez Rotary Club, poza tym po prostu odmówił trzymania warty przy grobie. Powiedział, że za żadne skarby nie zbliży się do tego miejsca. Ralph zapewnił J.J.-a, że zrobi wszystko, CO w jego mocy, aby zidentyfikować szaleńca, który to zrobił.

- W tej chwili nie mamy żadnego tropu, niestety. Policja stanowa nie ma żadnych doniesień o zbiegach z więziennej farmy czy z domu wariatów. Nigdy w życiu o czymś takim nie słyszałem. Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, daj mi znać. Zakładamy, że motywem musiał być rabunek. Z udziałem co najmniej dwóch osób. Jeden człowiek nie dałby rady dźwignąć tej granitowej płyty.

Sherlock Holmes, pomyślał J.J.

Ralph chciał wierzyć w teorię o rabusiach, ale instynkt na kazywał mu w nią wątpić. Dlaczego, u licha, nie połączycy się raczej na grób pani Coleman Swift? Tamta rodzina była jeszcze bogatsza od Masonów. Albo rodzina Pearlmansów, którzy mieli sieć sklepów odzieżowych w całym stanie.

- Matka nigdy nie lubiła ostentacji. Wiele kobiet, które tam leżą, nosiło świecidełka na każdym palcu. To nie ma sensu, z jakiegokolwiek strony by na to patrzeć. Gdzie ona teraz leży? Czy jest... jasny szlag... czy jest bardzo zmieniona? Ralph miał niemiłe przeczucie, że w grę wchodzi jakieś znacznie większe wariactwo niż rabunek grobów, i był zawiedziony, że J.J. podnosi tę samą wątpliwość.

-Nie, ona... ona... cholera, ona tam leży i wygląda mniej więcej tak, jak w dniu swojej śmierci. - Przed oczyma mignął

mu żółty kolor jej twarzy. - Zamknąłem bramę cementarza. Nie możemy niczego ruszać, dopóki miejsce nie zostanie gruntownie zbadane. Jest mi niewymownie przykro z powodu tego, co się stało. Mam nadzieję, że przekażesz to swojej rodzinie. Dzwoniłem do Włoch do Ginger. Przyjedzie jutro. Zadzwoń, jeśli będę miał coś nowego.

J.J. usiadł na stopniu ganku, zamknął oczy i wyobraził sobie, że płynie kajakiem przez rozlewiska Okefenokee*. Potarł skronie, skupiając się na chudych palemkach, odbijających się w wodzie czarnej od butwiejących szczątków, na żółtogłowej czapli w gałęziach katalpy i posępnych cisowcach z festonami szarego mchu, zwisającymi niczym włosy. Jeśli nie będziesz się poruszał przez dostatecznie długi czas, zauważysz powolny dryf palmy rosnącej na niezakotwiczonej wysepce próchnicy. Kraina dygocącej ziemi. Być może cała ziemia dygocze, pomyślał. Po prostu tego nie widzimy. Bagno o świcie z tłumem czapli podrywających się z drzew, pływające liście-poduszeczki kaptownicy, zielone wiry wciągające owady w swoją czeluść. Próbował uzmysłwić sobie żyzny zapach - czasem wydawało mu się, że wciąga w płuca oddech pradawnego słonego morza, kiedy jego żółty kajak przecinał płytkie wody dokładnie nad najniższym punktem morskiego, które pokrywało dolną Georgię na długo przedtem, nim stała się Georgia.

Gdyby Scott nie przyjechał, J.J. usmażyłby swoje okonie, obtoczywszy w mące kukurydzianej, wypiłby szklaneczkę burbona i spędził cichy wieczór, czytając książkę, która właśnie przyszła pocztą, i robiąc notatki na marginesach. Najpierw w mięśniach nóg, a potem w całym ciele poczuł sprzeczne impulsy, każące mu stawić czoło sytuacji lub zrejte-rować. Co by się stało, gdyby zniknął? Tylko Ginger domyśliła się swe go czasu, że będzie w szalasie, o którym jedynie oni dwoje wiedzieli. Przechodził tamtędy niedawno. Ścięte gałęzie wciąż tworzyły spadzisty dach, w środku nadal były dwa pniaki, które służyły im za siedziska. Rzeka była w tym miejscu głębsza z powodu podziemnego źródła. Mogli rozhuścić się na

* Największy obszar bagienny Ameryki Północnej, na południowym wschodzie stanu Georgia, z rezerwatem bagienną flory i fauny (przyp. tłum.).

pnączach i spadać prosto do lodowatej wody. Ginger w końcu go wyspała przed pogrzebem i ojciec przyjechał po niego. Znalazł syna czuwającego, skulonego w wilgotnym spiworze. W menażce były resztki wieprzowiny z fasolą, którą jadł na obiad.

-Masz mnie - powiedział łagodnie. - I Ginger. I Lili. Wszystko będzie dobrze. Musisz mi teraz zaufać.

J.J. poprzysiągł sobie, że jego noga nie postanie więcej w Swan, ale wyczołgał się ze spiwora i poszedł za ojcem do samochodu. Ilekroć przypominał mu się pogrzeb, starał się zmienić to wspomnienie w niewyraźną plamę. Zmuszał myśli do tak szybkiego biegu, żeby nie dało się ich zatrzymać na żadnym szczególe.

Ginger musi już być w drodze, pomyślał. Co za galimatias. Tu pół do ósmej, tam pół do drugiej w nocy. Samoloty do Waszyngtonu i Atlanty latały tylko rankami. Miał cały następny dzień, żeby to sprawdzić. Ginger wylądował o piątą albo szóstą, o ile wszystko będzie dobrze, o ile samolot nie spadnie do oceanu - nie, to głupie - o ile nie będzie opóźnienia. Wziął notes i odszukał strony, gdzie naszkicował świeżo wyklutego aligatora, śpiącego na grzbiecie swojej mamy - najbardziej j niezwykłą rzecz, jaką widział podczas kwietniowej wyprawy na bagna, jeśli nie liczyć napisu „Jezus zbawia”, ułożonego na stoku wzgórza z dekle samochodowych. Chciał usmażyć okonie i spędzić wieczór ze swoimi notesami, ukołyszany przez chór nadrzewnych żab.

Zarzucił brezent na otwartego dżipa i wsiadł do jaguara. Lesny domek stał o cztery mile od głównej drogi. Skręcił w stronę Swan przy wylegarni narybku, minął młyn Hunterów i koniec, dalej było tylko pustkowie. Nacisnął pedał gazu. Mając jeden zakręt na dziesięć mil i żadnych ludzkich siedzib w zasięgu wzroku, pozwolił strzałce szybkościomierza dosięgnąć setki, pragnąc w duchu, żeby samochód oderwał się od ziemi i poszybował w niebo. Zwolnił przy czarnym cmentarzyku z odrapanym, zabitym deskami kościółkiem, gdzie jako dzie ci zawsze krzyczeli, żeby rodzice się zatrzymali i pozwolili im nazbierać jeżyn. Zrywali je całymi garściami, nie przejmując się, że krzewy pienią się tak bujnie na grobach. Zapadnięte drewniane krzyże wieńczyły każdy kopczyk ziemi. Niektóre groby były udekorowane dzbankami i kolorowym szkielekami „Wudu - mawiała matka. - W dzbankach mieszka ją duchy”

Jadąc z opuszczonym dachem, J.J. wdychał fale zapachu kapryfolium, w który się co chwila zanurzał. Uczynił wysiłek, Żeby rozluźnić chwyt dłoni na kierownicy. Słońce nie prażyło już tak wściekle i nawet śladu nie zostało po burzy, na którą się zanosilo po południu. Ledwie zauważył Swan o zmierzchu. W lesie najmniejsze poruszenie ptasiego pióra czy liścia nie uchodziło jego uwagi. Lily sądziła, że go wychowała, ale on wychował się sam, według reguł na tyle bliskich Indianom z plemienia Creek, jak tylko to było możliwe. Jadąc brukowanymi ulicami miasteczka, minął trzypiętrowy budynek, sklep z pamiątkami, nieoświetlone wystawy sklepików, w których, chcąc nie chcąc, znał każdego właściciela i pomocnika, i wjechał na Centralną Aleję, z jej owalnymi wysepkami, obsadzonymi przez trzy kluby ogrodnicze. Kępy czerwonych amarylisów, które jego matka zasadziła ćwierć wieku temu, nadal kwitły jak szalone.

Pierwotny plan miasteczka przetrwał w eliptycznym kształcie szerokiej, biegnącej wokół niego alei, zwanej Bulwarem Gwiżdżącego Łabędzia, powtórzonym w czterech mniejszych, wewnętrznych replikach, obsadzonych w 1875 roku dębami. Nie licząc tych paru krzywizn, wszystkie ulice Swan przecinały się pod typowo amerykańskim kątem prostym, ale nawet najbardziej niepozorne z nich, nie szersze niż ścieżka wydeptana przez dzikie świnie, były obsadzone krzewami derenia i mirtu indyjskiego. Jego praprababka musiała być marzycielką, skoro obdarzyła trzy z czterech koncentrycznych bulwarów nazwami dalekich wysp: Minorka, Korsyka i Korfu, i dopiero przy czwartym zeszła na ziemię, nadając mu nazwę Wyspy nr 10 na cześć krwawej bitwy, stoczonej nad Missisipi w czasach wojny secesyjnej.

J.J. skręcił w tę właśnie ulicę, a następnie w bitą drogę, prowadzącą do Domu pod Palmami. Dla wszystkich Masonów był to zawsze po prostu Dom. Marmurowy blok z wykutym napisem: Dom pod Palmami, 1877, krył się w gąszczu wybujałych roz Cherokee. Tę niebrukowaną, porytą koleinami drogę wycięto niegdyś w dziewiczym starodrzewie sosny błotnej. Nad poł okiem LancPs End przerzucono drewniany most. Z upływem lat Masonowie sprzedawali po kawałku posiadłości, a dziś mieszkańcy miasteczka wyprowadzali się ze starych domów i budowali wzdłuż tej drogi przysadziste ceglane

bungalowy. J.J. rzucił okiem na kawałek podmokłego terenu, który świeżo sprzedał przedstawicielom Zielonoswiatkowego Kościoła Przymierza. Bezwartościowy nieużytek; nigdy nie przypuszczał, że się go pozbędzie. Wśród członków Kościoła istniały różnice zdań co do tańców i napitków. Niektórzy krzykacze zamierzali się oddzielić i założyć swój własny Kościół, gdzie nikt nie będzie mógł zaznać ani odrobiny przyjemności. Niech z nimi komary tańczą...

U wylotu drogi zobaczył Lily stojącą na ganku i patrzącą w przestrzeń.

Uściskał ją, a ona zaczęła szukać po kieszeniach chusteczki, po czym rozplakała się na jego ramieniu.

- To ponad moje siły. Nie jestem z żelaza. Nie mogę dać sobie z tym rady.

J.J. czuł, jak ciotka drży.

- Wyglądasz na wykończoną. - Starał się nie czuć jodyny, którą pachniała jej zabandażowana dłoń, i kwaśnego zapachu ku jej fartucha, zbyt długo trzymanego w palce. Zaprowadził Lily do kuchni i nalał jej mrożonej herbaty.

Wydawała się zagubiona w swojej domowej sukience. Niesforny kosmyk na czubku głowy sterczał w całej okazałości, pasemka włosów wymykały się z uczesania. J.J. spojrzał na zażółcone białka jej oczu, na potrójne worki pod oczami. Pomyślał, bez złośliwości, że przypomina starą szkapę.

Była wyczerpana, więcej niż wyczerpana, wyprana ze wszystkiego po wizycie u Willsa. Powiedziała bratankowi, że jego ojciec po prostu patrzył na nią tym swoim głodnym wzrokiem, kiedy przekazywała mu upiorną wiadomość, po czym powiedział:

- Catherine, Cat, Cat, jak cudownie będzie znów ją zobaczyć. - Uśmiechnął się i próbował wstać. Był poruszony. - Po daj mi grzebień, Lily. Idę na stację. - Uniósł podbródek, jakby poprawiał krawat, demonstrując swój rasowy profil.

- Tu nie ma stacji. Pociąg już tędy nie jeździ. Nie pamiętasz, że kiedyś jeździliśmy tutaj pociągiem, a teraz nie możemy? Najbliższa stacja jest przy muzeum Jeffa Davisa, pełnym spatynowanych guzików od mundurów i starych kuchni polowych. Nawet autobus tu nie dochodzi. Co nie znaczy, że chcielibyśmy z niego korzystać.

- Czy miała udaną podróż?

-Kto?

- Ta kobieta, o której mi mówiłaś.

- Wills, mój drogi, mówiłam o Catherine. Nie było żadnej podróży. Przykro mi, że musiałam ci o tym powiedzieć. Wiem, że trudno to zrozumieć, ale powinieneś był się od kogoś dowiedzieć. Nie rozumiem, jak ktoś mógł nam zrobić coś takiego.

Wills przesunął swój fotel i jęknął. Lewa strona jego ciała była sparaliżowana, z wyjątkiem wielkiej, powykręcanej dłoni. Lily pomyślała, że niebieskie żyły na niej wyglądają jak szydełkowa koronka.

- Włącz telewizor. Mam ochotę na coca-colę. Byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś o nią poprosiła. Ten hotel nie ma zezwolenia na sprzedaż alkoholu i powiedziałem im, że nigdy go nie dostaną. Bywałem w najlepszych hotelach i wszędzie mają obsługę kelnerską w pokojach.

Lily się uśmiechnęła. Czasami niemal jej się wydawało, że brat ironizuje.

- Wills, wiesz, że jesteś Pod Kolumną.

- Wyprowadzam się jutro w południe. Boli mnie tutaj. - Machnął prawą ręką, wskazując połowę ciała, od ramienia po kolano. - Wszystko mnie boli. - Zazwyczaj nie pamiętał, że był kiedyś lekarzem, i skarżył się jak dziecko, ale nie zdawał się oczekiwać, że można coś dla niego zrobić.

Nie powiedziała J.J.-owi, że poszła do pokoju pielęgniarek. Drzwi do sal były otwarte wzdłuż całego korytarza i Lily starała się, jak zwykle, nie patrzeć na wyschnięte ciała z wybrzuszeniem pampersa, usadzone w fotelach i wpatrujące się w korytarz w nadziei na ślad jakiegokolwiek ruchu. Unikała patrzenia na kobietę z guzami wielkości pięści na twarzy i karku, ale zatrzymała się, żeby porozmawiać z Bestą Warren, która pochodziła z dobrej rodziny i po prostu coś jej się zrobiło z głową, kiedy skończyła pięćdziesiątkę. Od tamtej pory robiła ohydne, turkusowobłękitne szydełkowe narzuty. Kiedy Lily w końcu dotarła na miejsce, nie pamiętała, o co prosił jej brat.

Teraz sobie przypomniwała.

- Wills tak niewiele chce. To takie przykre, że nie dostał swojej coli.

- Przeboleje to. Jak wszystko inne do tej pory, nieprawdaż? - J.J. był zaniepokojony rozkojarzeniem Lily. Jest na

granicy, myślał. Widział ją już kiedyś w takim stanie, kiedy przeżyli alarm huraganowy i ciotka bała się, że Dom zostanie wyrwany z fundamentów i uleci w niebo. – Wezmę prysznic, a potem sprokurujemy jakąś kolację.-W swoim dawnym pokoju padł na łóżko jak długi. Boże, zostawiłem te ryby w zlewie, przypomniało mu się.

LILY AŻ PODSKOCZYŁA, kiedy J.J. zszedł na dół. Wyglądał zupełnie jak zjawa Willsa, kiedy wrócił do domu ze szkoły medycznej w Emory. Tylko włosy miał za długie. Mokre po kąpieli i zaczesane do tyłu, lśniły granatowo pod kuchenną lampą. Był opalony i bosy. „Za ładny na chłopaka” - przekomarzała się z nim, kiedy był dzieckiem. Miał cętkowane oczy Willsa, ale rzęsy gęste i podwinięte. Nie był aż tak wysoki jak ojciec, za to mocniej zbudowany. Wills był szczupły i elegancki, w przeciwieństwie do niego, pomyślała. J.J. się przebrał, zmieniając coś, co wyglądało jak podarty podkoszulek, na porządną białą koszulę z krótkimi rękawami. Nigdy nie nosił in nych koszul niż białe, nigdy też nie przywiązywał najmniejszej wagi do tego, co ma na sobie. Podczas tych dwóch lub trzech dni w tygodniu, kiedy nocował w domu, zawsze wkładał świeżą koszulę, a to, w czym polował czy łowił, rzucał na podłogę, zostawiając dalszą troskę o swoje rzeczy Tessie. Dorosły mężczyzna, pozbywający się spodni niczym czterolatek.

Lily czuła się jak figurka wyrzeźbiona z wosku, który zaczyna topnieć. J.J. odgrzał trochę fasoli i szynki, która została z obiadu, i Lily usiadła przy kuchennym stole.

- W dniu, w którym umarła twoja mama... - zaczęła. J.J. otworzył słoik pikli, wyłowił parę ogórków i położył na każdym z talerzy.

-Ciociu, nie będziemy o tym teraz rozmawiać. Miałas okropny dzień. Najgorszy dzień w swoim życiu. Zjedzmy, a po tern pójdziesz prosto do łóżka. - Nie mógł znieść nawet my śli o jakichś teatralnych scenach.

Lily dziobnęła fasolę. To nie był najgorszy dzień w jej życiu,

- Co z Catherine?

J.J. opuścił widelec i pokręcił głową.

- Leży na ziemi, jak przypuszczam.

-Kiedy przyjeżdża Ginger? Gdzie ona teraz jest? Upięklam dla niej herbatniki.

J.J. podszedł do pudełka z herbatnikami.

- Rzeczywiście. Spróbujmy tych znakomitych wytworów twojego talentu. Ginger będzie tu dopiero jutro wieczorem. Może do tej pory uda ci się zorganizować świeżą partię. - Boże, gdyby Lily nie była w takim stanie, może on sam mógłby sobie pozwolić na małe załamanko? - Wiesz, że to długi rejs, a potem będzie musiała przejechać dwieście mil. Szkoda, że nie zaczekała, nim się tak zerwała do lotu. Do jutra może być po całej sprawie. Ciociu, musisz się uspokoić, staraj się nie popadać w rozstrój nerwowy. - Histeria to odpowiedniejsze słowo, pomyślał w duchu. Posmarował swój herbatnik masłem, które topniało w upale. - Złapią tych idiotów i na tym sprawa się skończy. Przynajmniej lakać mam nadzieję.

Lily zaczęła zgłębiać kwestię podróży i czasu.

- Masz rację, jestem rozkojarzona. Ginger pewnie w tej chwili smacznie śpi - gdzie ona właściwie jest? Słyszałam, że we Włoszech porywają ludzi albo przestreliwują im kolana.

- Jest w Rzymie. Na pewno w przyzwoitym hotelu. Nikt nie będzie się czepiał jej kolan. I przypuszczalnie nie śpi, tylko się zastanawia, co się tu u nas, do licha, dzieje. - Uniósł szklanekę. - Jahuuu! Słyszysz, Ginger, boska Lily i ja bawimy się przy krabach i szampanie, omawiając subtelne niuanse hodowli koni pełnej krwi. Przybywaj tu, do serca Dixielandu. „Lato już, życie coraz łatwiejsze, ryby skaczą, i dla dzikich świń raj”*

- Cicho, cicho. - Lily uśmiechnęła się mimo woli. Przy bratanku czasem wydawało jej się, że ona i Wills są znów młodzi, że siedzą razem przy stole, matka przycina zwiędłe kwiaty w ikebanie, a ojciec zagląda do salonu, żeby posłuchać radia. - Ona za szybko jeździ. Będzie tu na kolację. Może znów przywiezie trochę tego sera, co ostatnio. Ma hysia na punkcie swojej pracy: grzebanie w ziemi i wykopywanie jakichś drobiazgów, których nikt nie potrzebuje. Miała tę maleńką glinianą stopkę, którą uważała za ósmy cud świata. - Lily zapatrzyła się na kuchenne drzwi. - Każdy widział, że ma charakter. Od razu było widać, że to jest ktoś. Zawsze zadzierała brodę, kiedy się odwracała. O, tak. - Lily spojrzała na niego, a potem odwróciła głowę do ściany, wolno unosząc podbródek.

* Żartobliwa parafraza sfinnej kołysanki z opery G. Gershwina „Porgy and Bess” (przyp. tłum.).

- O kim ty mówisz?

-No, o Catherine. Ale mówiłam też o Ginger. Była takim kochanym dzieckiem. Zawsze przynosiła mi bukietek kwiatków na pierwszego maja*. A Catherine... włosy czarne jak twoje, to po niej je masz. Willsa były ciemnobrązowe, tak jak moje, dopóki nie zrobiły się białe niczym śnieg. Robili furorę wszędzie, gdzie się razem pojawili. Potrafiła mieć cięty jezyk, kiedy chciała.

- Mówisz o mamie czy o Ginger? - Zirytowany, musiał podążać tropem jej bezładnych myśli, czy chciał tego, czy nie. Przez otwarte, wysokie okna jadalni dochodziły odgłosy nocy, dziki chór, nie tak bardzo się różniący od głosu Lily.

- Ta Ginger omal nie wygrała stanowego konkursu oratorskiego, kiedy była w liceum. Chodziło o sprawę segregacji, wtedy, zdaje się, też były o to przepychanki. Dobrze, że nie mieli broni, ci demonstranci. Broń może wystrzelić. Po to jest, żeby w końcu wystrzelić. - Urwała. - I tak będzie do końca naszych dni. Catherine zawsze chciała postawić na swoim.

J.J. milczał i jadł. Lily była w rozsypce. Przypuszczalnie, ciężki szok. Niech sobie kobiecina plecie.

- Nigdy nie zapomnę tego dnia. Mała Gin-Gin, rozdygotana, szlochająca, jakby nigdy nie miała przestać. Ścisnęła tę lalkę, na którą była już za duża, i szarpała swoje włosy. Te włosy to jej chluba. Jak pożar... Ty uciekłeś, dokładając nam jeszcze jedno zmartwienie, i nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Nigdy nie pojmę tej tajemnicy. Catherine miała jechać następnego dnia do Macon. Sprowadzili tego czerwonego jaguara, którego sobie zażyczyła. Oczywiście Wills dawał jej wszystko, czego tylko mogła zapragnąć. Nigdy tego nie zrozumie: kiedy się zamówiło samochód, to czy potem... - Urwała. Trzy fasolki spadły jej na podolek.

- Masz ochotę na filiżankę kawy? Z przyjemnością ci zrobię. Wychodzę na trochę.

Lily porzuciła meandry przeszłości.

- J.J., musimy pamiętać, żeby zapytać szeryfa, czy nadal miała tę kopertę.

- Posłuchaj, wychodzę. Zostawmy te naczynia. - Powyrzucajmy je przez kuchenne drzwi. Rozwalmy je o mur.

* W USA święto wiosny (przyp. tłum.).

- Kochanie, Catherine miała w ręku kopertę, gdy ją chowali. Zastanawiam się, czy została ukradziona.
- Co w niej było? - Z trudem się zmusił do zadania tego pytania, od tak dawna wyrobił w sobie odruch wypychania ze świadomości każdego wspomnienia, każdego faktu, każdego domysłu, dotyczącego matki.
- Nie wiem. Może list pożegnalny, może list miłosny od Willsa. To byłoby okropne, gdyby zabrali kopertę, cokolwiek w niej było.

J.J. nie zapytał, kto włożył ją zmarłej do ręki.

- Jutro się dowiem od szeryfa. - Przez wszystkie te lata starał się nie myśleć o matce leżącej w domu pogrzebowym, w sukience, którą nosiła na wakacjach. Na Carrie's Island chodziła w białych sandałach, które zrzucała w piaszczystych miejscach i niosła w ręku. Kiedy się pochylała w kostiumie kąpielowym, widział rąbek białego piasku na jej piersiach i połysk olejku do opalania, pachnącego orzechem kokosowym i słońcem. Wisiorki na jej bransoletce podzwaniały, czasem chwytając ich oboje za ręce i ciągnęła za sobą, idąc tanecznym krokiem. Przez całe lato grali w kanastę, monopol, chińczyka i trik traka. W najgorętszej porze dnia robiła kanapki z ziołowym serem, otwierała wielkie torby czipsów i siedzieli we trójkę w otwartym łączniku, pijąc lemoniadę i grając w groszowego pokera. Słyszał, jak fale załamują się na brzegu, a morze szybko wsysa je z powrotem poprzez stopy odłamków muszli i koralu, z odgłosem przypominającym oddychanie przez zaciśnięte zęby.

J.J. POJECHAŁ DO FABRYCZNEJ WIOSKI, żeby wypić drinka z Mindy. Woda bryzgała mu spod kół, kiedy przejeżdżał przez niemal całkowicie zanurzony mostek nad potokiem Cherokee, stanowiący wjazd do wioski. Potok, nad którym bawili się z Ginger, kiedy przyjeżdżali do biura Dużego Jima, wezbrał po deszczach. Za potokiem zaczynały się domki pracowników. J.J. widział się z Mindy kilka razy od czasu jej rozvodu. Były mąż był kierowcą cysterny i ubiegłego lata związał się mocno z ruchem zwanym Holy Rollers, który Mindy uważała za jeden wielki pic. Jego religijny zapał opierał się na mnóstwie szlachetnych zasad, ale jakoś nie wynikał z nich moralny obowiązek płacenia alimentów na pięcioletnią Le-

tycję. J.J. zatrudnił Mindy w sklepie, gdzie układała towar na półkach i przyjmowała zamówienia. Chociaż zakład włókienniczy Dużego Jima został zamknięty przed dziesięciu laty, połowa pracowniczych domków nadal miała lokatorów. J.J. pobierał od każdego czterdzieści dolarów czynszu za miesiąc, kiedy zdarzyło mu się być w okolicy. Zerknął w stronę domu tuż za potokiem, w którym nigdy nie inkasował należności. Odkąd Scott mu powiedział, że jego mieszkanka, Aileen Boyd, była kochanką Dużego Jima, uznał, że zostawi ją w spokoju. A może to nieprawda Scott słyszał to jako kuchenną plotkę, kiedy był małym chłopcem. Na stopniach jej ganku spał kot. Dalej stały trzy puste domy, które kazał ostatnio zabić deskami, bo adwentyści skarżyli się, że okoliczna młodzież pije w nich piwo i uprawia seks. Wzdłuż kwadratu ulic otaczających fabrykę stały drewniane domki na betonowych klockach, z pochyłymi gankami i obszernymi podwórkami. Puszki z geranium, malwami, lak wysokimi, że aż się wyginały, chabrami i mizernymi ostróżkami ozdabiały niektóre z nich. Ale w większości była to po prostu ubita ziemia, gdzie w dołkach wylegiwały się zwinięte w kłębek psy. Kilka dużych białych cedrów stanowiło jedyne źródło cienia.

Mindy pomalowała swój domek na odcień zieleni, który nazywała barwą morskiej piany. Po sznurkach rozciągniętych z obu stron ganku pięły się ziemniaczane pędy. J.J. zobaczył, że kobieta siedzi na stopniach i maluje sobie paznokcie u nóg, chociaż było już prawie ciemno. Skrawek złotego nieba wciąż jaśniał nad budynkiem, gdzie jego pradziadek i dziadek przez, dziesięciolecia produkowali bawełniane tkaniny na tekstylia. Ojciec Mindy był majstrem w fabryce, a matka pracowała przy krosnach, ale teraz mieszkali na Florydzie i awansowali w hierarchii społecznej. Ojciec prowadził stację benzynową, a matka pracowała w środku, sprzedając napoje chłodzące i kajmakowe słodczyce własnego wyrobu. Ludzie przyjeżdżali z daleka, żeby kupić jej blok, nadziewany orzeszkami hikory. Rodzice byli w stanie posyłać Mindy trochę pieniędzy, zawsze ze słówkiem zachęty, żeby się wreszcie wyprowadziła z tej dziury i przeniosła do Denton, gdzie mogłyby mieszkać z Letycją w ich wolnym pokoju. Dysponując dodatkową parą rąk, rozkręciliby bez trudu kajmakowy interes.

J.J. otworzył bagażnik i wyjął butelkę dzinu. Mindy pomachała mu srebrno zakończonym pędzelkiem, przebierając w powietrzu palcami u nóg.

- Hej, J.J., nie spodziewałam się ciebie zobaczyć. Słyszałam, jak Scott rozmawiał przez telefon ze swoją mamą, i wydusiłam z niego, co się stało. Ciarki człowieka przechodzą! Trzymasz się jakoś? Biedaku!

J.J. uświadomił sobie, że to było dokładnie to, co chciał usłyszeć, i że po to tutaj przyjechał. Mindy przyniosła lód w wysokich szklankach i butelkę toniku. Letycja spała w pokoju od frontu. J.J. słyszał brzęczenie wentylatora, kręcącego się nad nią tam i z powrotem. Usiadł na stopniach i nalał. Paznokcie u nóg Mindy były koloru dziesięciocentówek.

- Srebrna fantazja. - Pomachała butelką lakieru. - To ja. Teraz, kiedy jej mąż odszedł, poświęcała całe godziny swojej cerze, włosom, paznokciom, ubraniom. Nawet po sześciu godzinach spędzonych w sklepie (mogła przychodzić do pracy dopiero o dziesiątej, kiedy odstawiła Letycję do swojej siostry), pozostawało mnóstwo czasu do wypełnienia, czasu, w którym kiedyś łuskała groszek, prasowała i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze robiła. Teraz przynosiła ze sklepu gotowe obiady w pojemnikach. Letycja uwielbiała plastikowe tacki z przegródkami. Czasem Mindy ugotowała trochę kukurydzy albo ryżu, ale mimo to obiad zajmował teraz minuty, a potem dzień trwał nadal.

Dopiero około wpół do dziesiątej, kiedy w końcu zapadała ciemność, czuła, że być może się wreszcie skończył. Tego wieczoru zrobiła sobie płukanekę z soku cytrynowego i nawinęła włosy na wałki z puszek po soku pomarańczowym. Widziała, że J.J. przygląda się jej sprężystym, jasnym włosom. Przycisnęła szklanki do policzków, żeby się ochłodzić. Wyciągnęła nogi, podziwiając swoje lśniące paznokcie.

Świetne nogi, pomyślał J.J. Stopy też ładne. Długie i wąskie, jak u króliczka.

- Moja ciotka jest bliska załamania. Wyobrażasz sobie. No, może nie jesteś w stanie tego sobie wyobrazić. Ja też nie. Moja siostra przylatuje jutro. Wezwali kogoś z GBI. Mam nadzieję, że uporają się z całą sprawą szybko, może jutro, i zajmą się mamą. Chciałbym zapomnieć, że to się w ogóle stało. -Urwał. - Marne szanse. - Brzydkie włosy, pomyślał. Jakby wpadła w tornado. Ale kiedy odwróciła głowę, poczuł świe-

ży, cytrynowy zapach i ostry chłód mocnego drinka, który przyrządził. Mindy była zwyczajna, ale lubił na nią patrzeć. Miała szczerą twarz pokrytą jasnymi piegami, zawadiacki nos i duże ciemne oczy, które zawsze wyglądały sennie. Kiedy się uśmiechała, jej wąskie usta niemal zasłaniały dolne zęby, lekko zachodzące na górne. Miała jędrne ciało. Jej piersi były zwarte i pełne, a mimo to jakoś nie była sexy, czegoś jej brakowało. A może to jemu czegoś brakowało? Pragnął towarzystwa, chciał poczuć wspaniałą dreszcz pożądania, który zaprowadziłby ich do jej brzydkiego, żelaznego łóżka. Nie zanosilo się na to. Może miejsce było wciąż jeszcze zbyt wygrzane. -Na litość boską, porozmawiajmy o czymś innym.

- Dobra. Widziałeś „Szczęki”? -Nie.

- Dobra. Zaraz. Pomyślimy. Mieliśmy dziś dostawę pasty pomidorowej i sosów do barbecue. A jeden mały skunks wy-kopnął z gniazdka wtyczkę od lady chłodniczej i wszystkie lody popłynęły. Letycja pokolorowała alfabet bez wychodzenia za linię. Odpyskowała mi dzisiaj dwa razy.

J.J. się roześmiał, oparł się plecami o poręcz i patrzył, jak na niebie pojawiają się gwiazdy. O, tam jego stara przyjaciółka, Korona Północna, pokazana-mu przez matkę na ganku ich leśnego domku, w taką jak ta letnią noc. Matka siedziała na balustradzie z drewnianych pali, a on i Ginger na huśtawce, która ledwie się poruszała. Białe hortensje matki zaglądały aż na ganek: księżycy w obramowaniu wilgotnych, cienistych liści. Matka wybrała w koledżu astronomię, żeby uniknąć matematyki. Pamiętała Plejady, Oriona, Wielki i Mały Wóz. Inne wymyślała. Spójrzcie, tam jest Mrowisko, tu Wykolejony Pociąg, a tam Gwiazda Północna, tuż nad Żydem Tułaczem.

Protestowali z Ginger.

- Nie ma na niebie czegoś takiego jak Żyd Tułacz! To roślina* w ogrodzie u Lily! - krzyczeli. Ale pewności nie mieli.

- Patrzcie, tu jest broda, a teraz, kiedy przedłużymy tę linię... kolana, stopy... widzicie? Oczywiście, że jest gwiazdozbiór Żyda Tułacza. Musi być...

* Potoczna nazwa popularnej w USA, pochodzącej z Meksyku rośliny ozdobnej, *Tradescantia pallida* (przyp. tłum.).

Pod nimi rzeka biegła z pluskiem w noc. Słyszeli, jak woda wzbiera na palach piętrzących się przy brzegu. Ojciec siedział sam na pomoście, krąg światła padającego z ganku ledwie go dosięgał. J.J. zacisnął powieki, starając się zatrzymać pod nimi ten obraz ojca.

Mindy przyniosła dwie brzoskwinie. Swoją zjadła ze skórką, nie przejmując się kapiącym sokiem. J.J. pochylił się i dotknął językiem czubka jej podbródka. Mindy wyprężyła się w odpowiedzi i zarzuciła mu ze śmiechem ręce na szyję. Poczul jej twarde usta na swoich, mały, penetrujący języczek rozdzielił jego wargi. Otworzyła szerzej usta, wdychał teraz soczystą słodycz owocu wraz z oddechem, głębokim, zmieszonym z jego własnym... jego dłonie były w jej włosach, jej dłoń pod jego koszulą... Wiedział, ku czemu to wszystko zmierza. Próbował się przymusić, ale coś w nim stawiało opór, obserwując z boku całą akcję i odmawiając udziału. Oparł się z powrotem o poręcz, przyciągając głowę Mindy do swojej piersi.

- Ciężko się z tobą rozstać, ale muszę wracać do domu. Ten dzień wydaje się nie mieć końca. Jestem wypompowany. Lily pewnie już tam chodzi po ścianach.

Nie odpowiedziała. Kiedyś też zrobił coś podobnego. Tamtego wieczoru, kiedy tańczyli w Lake T. Temperatura oscylowała w granicach trzydziestu - trzydziestu pięciu stopni nawet o dziesiątej wieczorem. Jakiś facet z Osceoli tańczył sam, potykając się, wykrzykując i wylewając sobie na głowę zimne piwo. Wyszli na dwór, gdzie było świeżo i wilgotno, chociaż równie gorąco. J.J. całował jej szyję, łaskotał trawką nagie ramiona, śmiał się z niej, że mu depcze po nogach. Był dobrym tancerzem, a jej się wydawało, że mężczyźni, którzy umieją tańczyć, są dobrzy w łóżku, przynajmniej takie było jej wyobrażenie, nim wyszła za męża. W szkole była trzy klasy niżej od niego i zawsze uważała, że jest fantastyczny, zupełnie inny niż ten stary buhaj, jego dziadek, który stał na skrzyni ciężarówki i wydawał robotnikom indyki na Święto Dziękczynienia. Jakby byli chłopami pańszczyźnianymi. Pamiętała, jak matka się cieszyła na pieczenie świątecznego ptaka. J.J. nie miał w sobie nic z szefa. Kiedy Scott chciał się go poradzić w sprawie nowego kontenera na mięso, wzruszył tylko ramionami i powiedział: „Jak uważasz, szefuńciu”.

Mindy miała świeżo w pamięci swoje małżeństwo z domowym tyranem-perfekcjonistą. Carleton nawet slipki musiał mieć wyprasowane. Każdego ranka od nowa pionizował lodówkę. Dostawał szału, kiedy wracał do domu i spotykał małą Letycję, pałętającą się po podwórku z brudną pieluszką. Miał ostre żółte siekacze, które odsłaniał przy jedzeniu. Jadł obiad, ściskając widelec w prawej dłoni, podczas gdy lewa, zwinięta w pięść, przytrzymywała talerz. Mindy lubiła niewymuszony styl bycia J.J.-a, ale domowy tyran przynajmniej chciał seksu prawie co wieczór. „Ściągaj to - mówił. - Chodź tu do mnie”. Żelazne łóżko skrzypiało i łomotało o ścianę. Uśmiechała się, przypominając sobie, jak Letycja budziła się w nocy i wołała: „Mamo, nic ci się nie stało?”. Szybkie, nie-romantyczne, to prawda, ale przywykła dostawać regularnie swoje duże „O”. Nie rozumiała oporów J.J.-a. W ciągu lat nasłuchiwała się sporo o jego różnych kobietach. Była ładniejsza od wielu z nich. O wiele ładniejsza niż Wynette Sykes, która miała uszy jak słonik Dumbo.

- Dlaczego się nie ożeniłeś? - zapytała go tamtej nocy nad jeziorem. Z baru dochodził ledwie słyszalny głos Jimiego Hendriksa śpiewającego „Purple Haze”.

- Jeszcze nie umarłem, skarbie. Nie stawiaj na mnie krzyżyka.

- Dobrze, dlaczego się nie ożeniłeś do tej pory? Jak zdołałeś tego uniknąć?

- Zadałaś trudne pytanie.

- Byłeś z tyloma kobietami.

- Chcesz krótkiej czy długiej odpowiedzi?

- A byłeś z kimś kiedyś dłużej?

- No, kto by to liczył? Nie, chyba nie. Raz, w koledżu, może z dziewięć miesięcy.

- I co się stało?

- A co się stało z twoim małżeństwem? Wszystko się chrzani. - Nie powiedział, że bardzo szybko tracił to, co konieczne, aby podtrzymać związek, robił się jadowicie krytyczny, bez względu na to, jak urocza i inteligentna była kobieta i jak dobrze do siebie pasowali. - Może się urodziłem w niewłaściwej epoce.

Wiedział, co Mindy teraz powie:

- Może po prostu nie spotkałeś dotąd właściwej kobiety?

- Niewykluczone. Może innym razem wymienimy się historiami swojego życia. Teraz wracajmy tańczyć. Tańczyli więc i wypili po parę piw. Mindy miała swój samochód i kiedy wracała do domu, J. J. nie zapytał, czy może pojechać za nią. Został, machając jej obiema rękami na pożegnanie. Potem dowiedziała się od zaprzyjaźnionej barmanki, że tańczył z niską, chudą dziewczyną i w końcu, około drugiej, zataczając się, wyszedł samotnie z baru. Mindy oparła głowę na jego piersi. Jego biała koszula wydawała się w świetle księżyca niebieska jak chude mleko. J.J. patrzył w gwiazdy, słuchali plusku strumienia, do którego za czasów Dużego Jima spuszczano fabryczne ścieki. Mindy słyszała bicie jego serca. Stuk. Stuk.

AILEEN BOYD SIEDZIAŁA w BUJANYM FOTELU NA CIEMNYM GANKU SWOJEGO DOMKU i robiła na drutach. Nie musiała widzieć. Druty poruszały się automatycznie, a wzór był prosty: biały dziecienny kocyk dla jej siostrzenicy, która spodziewała się rozwiązania w sierpniu. Odkąd zamknięto fabrykę, Aileen zarabiała na życie, dziergając i szyjąc niemowlęce ubranka dla ludzi z miasteczka. Ironia losu, bo sama nie miała dzieci. Zobaczyła przejeżdżający samochód młodego Masona, który zerknął w jej stronę, ale zasłaniała ją krata ganku. Lubiła swoje zajęcie, obszywanie koronką malutkich sukie-neczek i ozdabianie wstążeczką prześcieradełek do dzieciennych łóżeczek. Nie było porównania z jej dawną pracą: siedzenie przy krosnach przez cały dzień. A więc J.J. spotykał się z fabryczną dziewczyną. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, chociaż wydawał się całkiem uprzejmy, kiedy przychodził po czynsz. Potem przestał przychodzić, a ona się nie dopytywała. Ludzie mówili, że nie zależy mu na pieniądzach. Tylko tacy, co ich mają jak lodu, mogą sobie na to pozwolić. Duży Jim też nie wziąłby od niej czynszu. Ciekawe, czy J.J. słyszał, że była jego panienką z doskoku, metresą, kochanką? Ostatnie określenie odpowiadało jej najbardziej, kojarzyło jej się z jedwabnymi prześcieradłami. Mało prawdopodobne, żeby słyszał, zawsze byli ostrożni. W Swan człowiek musiał być ostrożny. No, panienką to nie stała się, pomyślała, i metresą też nie do końca, ale kochanką tak, przez cztery lata. Nieżyjący od dwudziestu lat Duży Jim nie wydawał się tak bardzo zapomniany jak inni, pamięć o nim była nawet jakby bardziej wyrazista. Miała dziewiętnaście lat i od dwóch lat była żoną Sonny'ego, kiedy Duży Jim po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę. Szła do pracy. Zapropował, że ją podwiezie, a ona nie

7. Słodka, leniwa..

odmówiła. Był szefem. Nagle została przeniesiona do biura. Nauczono ją wysyłać rachunki i sporządzać zamówienia. Czasem zawoziła służbowym samochodem próbki tkanin do sąsiednich miejscowości. Sonny'emu od początku się to nie podobało, ale Aileen była zachwycona awansem. Przez pierwszy tydzień dopytywał się, potrząsając ją za ramiona, czy Duży Jim się do niej dobierał, a ona krzyczała, że nie każdy ma taką obsesję na punkcie seksu, jak on, Sonny. Szybko straciła co do niego złudzenia i nie mogła zrozumieć, czemu za niego wyszła, chociaż była nim olśniona, kiedy miała szesnaście lat, Sonny zaś zajeżdżał swoją furgonetką pod jej dom. Wybiegała na dźwięk jego klaksonu, a on, z łokciem wystawionym za okno samochodu, z czupryną jasną jak jej własna, uśmiechał się i strzelał gumą do żucia. Paczkę cameli miał zatkniętą za podwinięty rękaw koszulki. Jeździli grać w kręgle i na mecze małomiasteczkowych drużyn. Sonny zatrzymywał samochód przy bocznych drogach i rozwijał cienki materac na skrzyni furgonetki. Aileen była wcześniej z wystarczającą liczbą chłopaków, aby wiedzieć, że cała przyjemność nie powinna trwać dwadzieścia sekund, ale Sonny'emu ten błyskawiczny seks wydawał się najzupełniej odpowiadać. Nie chodzili ze sobą nawet trzech tygodni, kiedy zaczął się wściekać, jeśli choćby zagadała do innego mężczyzny. A ona, głupia, brała zazdrość za miłość.

Marzyła, żeby uciec od ciężkiej ręki ojca, od zapachów i swarów siedmiorga ludzi, upchniętych w czterech ciasnych pokoikach, od kaszlącej i plującej matki. Oni też po niej nie płakali. Młoda para wzięła ślub przed sędzią pokoju, bo to kosztowało tylko dziesięć dolarów. Sonny uderzył ją w twarz w weselny wieczór, bo była zbyt miła dla swojego własnego brata. Wkrótce przeprowadzili się do przyfabrycznego domku. Sonny obsługiwał w fabryce ciężką maszynę, a ona siedziała przy krosnach po dziewięć godzin dziennie, zastanawiając się, czego, u licha, się spodziewała.

Kiedy została przeniesiona do biura, Duży Jim zaczął jej płacić dodatkowo dziesięć dolarów tygodniowo w gotówce, a ona instynktownie chowała te pieniądze do puszki po kawie, ukrytej pod domem na dnie skrzyni. Z początku czuła na sobie jedynie jego ciężkie spojrzenie, potem Duży Jim powiedział jej, że nie jest taka, jak inne kobiety, że jest gibka

niczym młode brzoskwiniowe drzewo, że jej długi warkocz ma kolor pszenicy złocącej się w słońcu. Spotykali się w motelu na drugim końcu Tipton, kiedy załatwiła swoje dostawy. Czasem dawał jej pieniądze, ale nie o nie w tym wszystkim chodziło. Musiała przyznać, że obojgu im chodziło o seks. Sonny coraz bardziej się zapiekał w zazdrości, ale nie miał dowodów, a ona nauczyła się kluczyć i zacierać ślady. Chociaż Duży Jim mógłby być jej ojcem, miał w sobie wigor i werwę, jakich Sonny nie miał nigdy. Pod jego wielkim ciałem jej własne doznawało gwałtu, ale nauczyła się zaspokajać ich oboje i Duży Jim z czasem ją pokochał. Wiedziała o tym, chociaż nigdy jej tego nie powiedział. Przeżyli razem wspaniałe chwile. Był potężny i kiedy oddawał się w jej ręce, ona też była potężna. Jego żona miała ciasno skręcone, bezbarwne loczki. Aileen rozplatała swoje warkocze, okrywając jego ciało rozpuszczonymi włosami. Lubił też, kiedy potraktowało się go mocnym słowem, więc robiła mu tę przyjemność. Czasem, kiedy jego żony i córki nie było w miasteczku, a Sonny miał nocną zmianę, wślizgiwała się nocą do biura. Duży Jim zawsze parkował pod daszkiem przy wejściu od strony lasu. Kiedy wyłączył światła i otworzył drzwi samochodu, mógł ją wpuścić do środka, tak żeby nikt jej nie widział. Klękała na podłodze i jechali do niego do domu, gdzie od razu lądowali w małżeńskim łóżu. Aileen uśmiechnęła się na wspomnienie jego wdzięczności. Brał w dłoń jej stopę i przyciskał do swojego policzka. Klękał i okrywał ją pocałunkami, kładąc swoje wielkie dłonie na jej plecach. I potrafił się sprężyć dwa razy. Sonny nie był do tego zdolny, zawsze zasypiał jak kamień. Aileen bardziej lubiła ten drugi raz, a Duży Jim ryczał z rozkoszy. Była z powrotem w domu przed jedenastą. Dzisiaj nie ryzykowałyby tak, dla nikogo. Ale w wieku czterdziestu trzech lat nie miała już takiego zapotrzebowania na miłosne podchody z dreszczykiem emocji.

A więc J. J. wydeptuje ścieżkę do wioski. To na pewno ta Mindy z kocim pyszczkiem. Cóż, nie powinna sobie robić zbyt wielkich nadziei. Mówią, że J.J. chadza własnymi drogami, ale to nie znaczy, że stanie na ślubnym kobiercu z fabryczną dziewczyną. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzają.

RZYM NIGDY NIE IDZIE SPAC, pomyślała Ginger. Okno jej hotelowego pokoju wychodziło na ulicę zbyt wąską dla samochodów, ale pełną spacerowiczów, nawet o drugiej, trzeciej czy czwartej nad ranem. W miarę jak ich liczba malała z upływem godzin, ci którzy pozostali, wydawali się coraz głośniejsi. Z powodu gorąca musiała zostawić okno otwarte. Zdjęła koszulę i leżała na prześcieradle w samych figach, z rozłożonymi rękami i nogami, tak żeby żadna część ciała nie stykała się z inną.

Marco nie odebrał telefonu o wpół do dziesiątej, kiedy wróciła z trattorii na dole. Była zaskoczona, gdy sobie uświadomiła, jaka jest głodna, i przez całą godzinę nie myślała o tym, co się stało, delektując się makaronem i winem przy stoliku na małym placyku w głębi ulicy. Chłopcy wyglądający na dwunastolatków śmigali dookoła na swoich vestach, kot leżał zwinięty w kłębek na krześle naprzeciwko niej. Po powrocie do hotelu wzięła prysznic. O dziesiątej Marco nadal nie odbierał, więc dała za wygraną. Zadzwoił o jedenastej. Wrócili później, niż planowali, i właśnie znalazł jej karteczkę. Ginger stwierdziła, że nie jest w stanie mu powiedzieć, co się stało. Później, kiedy się z nim zobaczy, nie teraz. Powiedziała tylko, że w domu jest kryzys i ciotka Lily nie może sobie z tym poradzić.

- Nikt nie wie, gdzie jest J.J. Musiał się gdzieś wypuścić na ryby. Jest kompletnie nieprzewidywalny.

- Ktoś, kto jest zawsze nieprzewidywalny, jest w gruncie rzeczy przewidywalny, prawda? Można być pewnym, że się go nie znajdzie, kiedy akurat będzie potrzebny.

- Coś w tym jest - zgodziła się, chociaż nie lubiła, kiedy mówił o jej bracie z lekceważeniem, nawet go nie znając.

- Szkoda, że musisz jechać. Będę tęsknił. Będzie mi brakowało twojej twarzy.

Ginger zasnęła, czytając, obudziła się nagle po godzinie i już nie mogła z powrotem zasnąć. Ćwiczyła opróżnianie umysłu, wyobrażając sobie, że jest lalką w stroju panny młodej, owiniętą w zieloną bibułkę i leżącą w podłużnym pudełku, że galopuje na szybkim koniu przez Andaluzję, że unosi się z łóżka i lewituje pod sufitem, odbijając się łagodnie od narożników pokoju niczym balon wypełniony helem. Od dzieciństwa wynajdowała dziesiątki sposobów, żeby „odfrunąć”. Żółty balon wypełniony helem...

To jakaś porażona sprawa i mam zamiar wrócić do Marca najszybciej, jak się da, powiedziała sobie. Jeszcze jedna totalna katastrofa w jej rodzinie. Spokojnie, po prostu musisz przez to przejść. W jaki sposób indiańscy mistycy przechodzą po rozżarzonych węglach? Opróżnij swój umysł i idź szybko. Wyobraziła sobie swoją świadomość jako prymitywne liczydło, jak to peruwiańskie, o którym kiedyś czytała: sieć sznurków z supełkami, z których każdy zawiera jakieś wspomnienie. Siłą woli zmuszała wszystkie supełki, żeby były szczęśliwe. Podczas gdy ludzie krzyczeli i śmiali się pod jej oknem, Ginger wyobrażała sobie supełek za supełkiem, niemal czując szorstki, węzłasty sznurek: objęcia pełne kudłatego, rozdokazywanego, psiego szczęścia imieniem Tish - mieszanki wszystkich dobrych psów z sąsiedztwa, wyskakującej z koszyka w jej siódme urodziny; spacer z ojcem plażą w Fer-nandinie o wschodzie słońca, zbieranie płaskich, okrągłych szkarłupni, zwanych „piaskowymi dolarami”, jazda na grzbiecie morskiego żółwia, zmykającego z powrotem do oceanu po złożeniu jaj w ciepłym piasku. Znów, jak wtedy, rozłożyła ręce, utrzymując równowagę przez całą drogę, aż po linię wody, po czym zeskoczyła i patrzyła, jak jej żółw odpływa w dal. Długo śledziła jego drogę naprzeciw falom wzbierającego przyływu. Potem przeniosła się do leśnego domku, z półką pomarańczowych książeczek o przygodach Bliźniaków* nad jej łóżkiem. Polskie Bliźniaki, francuskie Bliźniaki, szwedzkie Bliźniaki, a półkę wyżej słoje matki: pomidory, arbuzy

* „The Bobbsey Twins”, popularna seria książek dla dzieci, zapoczątkowana w 1904 r. (przyp. tłum.).

i brzoskwinie, mieniające się czerwienią i lodowatą zielenią jak drogie kamienie, brzoskwinie niczym małe, wschodzące słoneczka. Ginger widziała siebie, czytającą przy lampie naftowej, zafascynowaną egzotyką opisywanych miejsc i odkrywającą, w wieku dziesięciu lat, gdy tak czytała skulona pod kołdrą, że tę przyjemność będzie mogła mieć przez całe życie. Bez względu na wszystko. Supelki pamięci. Jak wiele ich jest w tym - jakie to urocze słowo - *quipu*. Wiele kultur miało systemy mnemotechniczne, wykorzystujące koraliki, wstążki, supelki lub kamyki. Pamiętała, że termin „kalkulować” pochodzi z łaciny, od słowa „kamyk”. Wśliznęła się z powrotem w czas teraźniejszy: opalone plecy Marca, jej usta w zgięciu jego szyi, śpiew słowika. Kiedy próbowała go obudzić, żeby posłuchał, odwrócił się na drugi bok i powiedział: „Zróbmy słowika, zróbmy księżyc nad doliną, zróbmy lisa”. Nie miała innego wyboru, jak kochać mężczyznę, który myślał w ten sposób. Marco - śmiech nawet w środku nocy. Śmiech: przeciwny biegun jej oczekiwań. Supelki teraźniejszości robiły wrażenie drobnych i śliskich, podczas gdy te stare wydawały się ciężkie, może to jednak były kamienie, złote kamienie, którymi napełniała pudełka w etruskiej świątyni. Zabiorę te kamyki do mojej świadomości, pomyślała, i odkryję coś nowego. Wreszcie usnęła.

W SWOIM DAWNYM POKOJU, który był również dawnym pokojem jego ojca, J.J. kończył ten niekończący się dzień, przeglądając jeden z podręczników medycyny Willsa. Co dziwne, rozdział o udarach był cały pozakreślany piórem. W innych rozdziałach tu i ówdzie zaznaczono jakiś fragment, a tutaj J.J. czytał: „zablokowanie tętnicy powoduje odcięcie dopływu tlenu do komórek”, i „kiedy toksyny zostają uwolnione, komórki zaczynają szybko obumierać”, i dalej „na skutek niedoboru tlenu stopniowo ustaje działanie pomp molekularnych, zaburzając kontrolę poziomu sodu, potasu i...”. J.J. zatrzasnął książkę. Niewiele lat po tym, jak pilnie opatrywał uwagami te stronicie, jego ojciec sam dostał ttdaru. J.J. przekartkował też szkolny rocznik z klasy maturalnej Willsa, porzucony tutaj, razem ze starymi egzemplarzami magazynu „Life”, po czym wepchnął go z powrotem na regał. Krótka historia ojca, posłanego na deski w wieku czterdziestu czterech lat. J.J. pomyślał o dzikiej kacze, oślepionej zachodzącym słońcem, branej na cel, kiedy leci prosto w rozszczepione światło. Strzał, szok - kiedy szybujący w przestworzach ptak zmienia się w jednej chwili w martwy ciężar, spadający z ciężkim pluskiem do wody.

J.J. wprowadził się do tego pokoju, gdy miał szesnaście lat. Lily nie pozwoliła zmienić sztywnych zasłon w żaglówki ani stołu z modelami pociągów Willsa w skali 1:87, zatrzymanych na zawsze przed wjazdem do miasteczka z miniaturowymi oszronionymi choineczkami i małym czerwonym budynkiem poczty. Stare rybackie kosze J.J.-a, jego wędki i sprzęt łuczniczy wisiały na wieszakach wokół dużego kwadratowego pokoju, identycznego z pokojem Ginger, z tą różnicą, że z jego okien widać było las rosnący za domem, a okna położonego

od frontu pokoju Ginger wychodziły na staw, po którym sunęły dwa groźne białe łabędzie Lily, podwojone o swoje odbicia w czarnej wodzie.

Lily spała na dole, w dawnym pokoju rodziców, w łóżu tak wysokim, że trzeba było podstawiać schodek, żeby do niego wejść. Jeżeli zostawiła uchylone drzwi, J.J. słyszał jej chrapanie, kiedy wracał późno i szedł do kuchni, żeby coś zjeść. W jego latach chłopięcych chrapanie było łżejsze, ale często wymykał się z łóżka i nasłuchiwał, chcąc się upewnić, że przynajmniej ona żyje, chociaż jej bezsensowne zasady doprowadzały go do szału: nie można ciąć papieru w niedzielę, to zły omen, kiedy położy się kapelusz na łóżku, do tego czy tamtego nie możesz się zniżać, taki a taki jest z dobrej rodziny i tak dalej, i tak dalej. Certoliły, tak ją między sobą z Ginger nazywali.

Dom sam w sobie stanowił w tamtym czasie oparcie, czuło się jego niewzruszoną stabilność. Woskowe, bursztynowe winogrona jego babci wciąż stały na stole w jadalni. Kiedy otwierał drzwi, zawsze czuł cytrynową politurę, nikły zapach cygar i jakiejś smakowitej potrawy, smażącej się w kuchni. W skrzyni-ławie stojącej koło pianina znalazł pożółkłe nuty prababki. Jutro Ginger zaśnie w sąsiednim pokoju, tylko ściana będzie oddzielać od siebie głowy ich łózek. Kiedy zamykał oczy, próbując spać, wciąż pędził na rowerze prosto na zaparkowanego służbowego forda z Ralphem Hunnicuttem w środku, tłukąc komary, zapadając w drzemkę, budząc się gwałtownie, ilekroć żaba zaskrzeczała, widząc matkę z kulą w sercu, leżącą pod brezentem. Ginger, tak, już od trzech, czterech, pięciu, sześciu, siedmiu godzin w powietrzu. Zmierza do domu, zostawiając za sobą Europę. Atlantyk migoce pod nią niczym kuta cyna. Nienawidził latania nad wodą. Atlantyk, potężny magnes, przyciągający jej samolot. Nie. On utrzyma ten samolot w powietrzu siłą swojej woli. Zasnął wreszcie, myśląc o Ginger śpiącej z lewą ręką podłożoną pod głowę, po drugiej stronie, ale blisko, jak kiedyś, jak zawsze.

9 *lipca*

ELEONORA SPĘDZIŁA PORANEK, czytając czasopisma na tarasie. Latem była to jedyna pora, kiedy mogła zażywać przyjemności siedzenia w ogrodzie. Powiedziała Hattie, żeby nie przychodziła, bo zostało mnóstwo jedzenia po wczorajszym brydżu, a dzień zapowiadał się zbyt upalny, żeby się ruszać. Na grobie Holta nie była, nawet nie rozważała czegoś takiego, ale ku swojemu zaskoczeniu, zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle nie zrezygnować z tych wizyt. Kiedy ocknęła się rano, jej myśl już była w ruchu.

- Catherine miałyby teraz, chwileczkę... ona i Holt Junior byli prawie w tym samym wieku, miałyby około pięćdziesięciu pięciu lat - powiedziała na gło».-

Holt Junior zdążył się dorobić gąbczastego brzucha i łysego placka na głowie, którego nie sposób było nie zauważyć, kiedy schodziło się za nim po schodach, chociaż usiłował zaczesywać nań pasmo swoich białych włosów.

Jeśli Ralph i faceci z GBI myślą, że tu chodziło o rabunek, to gonią w piętę. Dlaczego pospolity złodziej miałby się włamywać do grobu po tak długim czasie? Przewróciła kilka stron „Pięknego Domu”. Jakaś właścicielka zamku w Anglii założyła ogród, w którym wszystko było białe. Co za nuda! Czy suknie też miała wyłącznie w tym kolorze? Eleonora wyrwała stronę z przepisem na indyka z boczkiem i estragonem. Zrobi go, kiedy Holt Junior przyjdzie następnym razem na niedzielny obiad. Holt Junior - jaka szkoda, że się nie ożenił, nie znalazł odpowiedniej dziewczyny. Pomyślała o Catherine. Jakie sekrety wyjdą na jaw przy tej okazji? Cóż my tak naprawdę wiemy? Co by było, gdyby Catherine żyła? Zaczęła się zastanawiać, czy Lily miałyby wówczas własne życie.

Czas obszedłby się z urodą Catherine łagodnie, pomyślała, a Wills, gdyby nie dostał udaru, byłby u szczytu kariery jako lekarz. Przeobraziliby Dom pod Palmami. Ginger wyszła-by do gości w dniu swoich zaślubin, zamiast się zamykać w swoim pokoju. Ten biedny Mitchell jej przebaczył, chociaż i tak nic z tego wszystkiego nie wyszło. Wyobraziła sobie Dom pod Palmami, oświetlony niczym „Titanic” w nocy, z muzyką płynącą ze wszystkich otwartych na oścież okien. „Kiedy wszystko, czym jesteś, będzie moje...”*. Holt Junior mógłby poznać jedną z przyjaciółek Catherine z Macon. Nawet J.J. zapewne byłby inny - zrobiłby użytek ze swojej mądrej głowy. Lily nie pasowała do tego obrazu. Lily byłaby zmuszona wymyślić dla siebie inne życie, ale Eleonora nie potrafiła sobie jej wyobrazić z dala od Domu.

Sięgnęła po „Wakacje”. Nie była nigdzie od śmierci Holta. Może powinny wybrać się gdzieś z Lily jesienią? To by Lily dobrze zrobiło. Rejs na Karaiby - co za wspaniały pomysł! Mogłyby znaleźć partnerów do brydża i zostawać na pokładzie, gdyby ludzie w portach robili niesympatyczne wrażenie. Podczas jednej z ich podróży z Holtem pewna urocza kobieta ze stanu Nowy Jork została trafiona pomidorem na Barbados.

LILY ZADZWONIŁA DO ELEONORY, ale nikt nie podnosił słuchawki. Wiedziała, że jej przyjaciółka lubi spędzać poranki na dworze, tak samo jak ona. Pewnie odszczypuje pędy aksamitek w ogrodzie albo pije swoją poranną kawę na bujanej ławce za domem. To jasne, że nie wybrała się tego dnia na grób Holta. Lily nie mogła sobie znaleźć miejsca. Wypuściła z klatki CoCo i pozwoliła ptakowi fruwać po ganku. Ptak przysiadł jej na ramieniu, trzepocząc zielonymi skrzydłami i dziobiąc ją delikatnie w ucho. Dom był gotów na przyjazd Ginger. Pozostawało czekać. Eleonora mogłaby wpaść do niej na partyjkę scrabble'a. Postanowiła wybrać się w odwiedziny do innej swojej bliskiej przyjaciółki ze Swan, Agnes Burkhart. Miała prochowiec do skrócenia. Ponieważ planowała tylko krótką wizytę, zabrała CoCo ze sobą do samochodu.

* „AU the things you are - przebój Franka Sinatry (przyp. tłum.).

Jadąc wzdłuż Palmetto Road, minęła dawny dom Willsa i Catherine, ale nie spojrzała w tamtą stronę. Catherine zawsze wyciskała z singera Agnes najwyższe obroty. Kiedyś Lily była u przyjaciółki, która miała jej obrębić lniany domowy kitel, kiedy zjawiała się Catherine ze szkicem sukienki z powiewną spódniczką ze szwajcarskiego batystu. Agnes, z ustami pełnymi szpilek, nie przerywając naciskania gumowej gruszki wypełnionej kredowym pyłem, za pomocą której zaznaczała brzeg do podwinienia, mamrotała coś do Catherine o obciążanych guzikach i francuskich szwach. Lily powitała bratową chłodno. Cała ona: wpaść jak bomba i z marszu zażyczyć sobie tego, co umyśliła. Catherine chciała, żeby sukienka była gotowa dla Ginger na Wielkanoc, czyli za trzy tygodnie, a Agnes miała już do zrobienia furę przeróbek dla Maggie Everett, która straciła dwadzieścia pięć kilo na diecie złożonej z mięsa i martini. Trzeba było zrobić skomplikowane wstawki z wąskiej koronki w staniku sukienki. Agnes dźwignęła się z podłogi i obiecała Catherine, że sukienka będzie gotowa na czas. Ludzie mówili, że Agnes Burkhart niemal straciła wzrok od ręcznego szycia. Najbardziej lubiła szyć dla Catherine. Lily też podziwiała bratową w kościele, z córeczką w sukienkach z ręcznymi szczypankami i synkiem w świeżo odprasowanych marynarskich ubrankach. No i sama Catherine... ach, pamiętała jej twarzową granatową suknię z dużymi guzikami, i noszony którejś zimy lawendowoszary kostium z kaszmiru z wykładanym kołnierzem. Lily wertowała „Har-per's Bazaar” w poszukiwaniu pięknych sukienek i spódnic, chcąc wzbudzić zazdrość Catherine. Jej przyjaźń z Agnes datowała się od dzieciństwa. Razem chodziły do szkoły, od pierwszej klasy do ostatniej, ich wspólna miłość do pięknych tkanin zaczęła się od ubierania lalek. Lily często zapominała o swojej rywalizacji z Catherine i kupowała kupon jakiegoś materiału, bo wiedziała, że Agnes będzie nim zachwycona.

HEJ, LILY, WEJDŹ DO ŚRODKA Z TEGO UPAŁU. - Agnes otworzyła na oścież podwójne drzwi.

Lily weszła do pozbawionego powietrza holu, wachlując się gazetą. Dzieciaki omijały ten dom w Halloween z powodu sio-

* Pierwszy amerykański magazyn, poświęcony modzie (przyp. tłum.).

stry Agnes, Evelyn, która zwieszała włosy z balkonu na piętrze. Dzieci bały się, że spadają z nich robaki. W rzeczywistości po prostu suszyła je na słońcu. Kiedyś zawołała za jednym z nich: „Staniesz na szczelinie, matka ci się zmieni w świnię” - i od tej pory zawsze przechodziły na drugą stronę ulicy, chociaż tam mieszkał Lard Bascom, który miał ostrego psa. Eleganckie panie nigdy nie miały oporów przed wejściem na popękany chodnik, przynosząc Agnes wiązaną smolinosów i zostawiając przy okazji materiał, zakupiony w Macon. Agnes szła jak anioł.

W pomieszczeniu, które mogło być kiedyś salonem, Lily znalazła jedyne krzesło, niezaruszone ubraniami i zwojami materiału. Agnes usiadła przy maszynie, jakby miała zaraz nacisnąć pedał i puścić igłę wzdłuż szwu. Lily zastanawiała się, gdzie może być Evelyn. Kiedyś zajmowała się pielęgnacją stóp, wycinając żółte nagniotki i ściągając woskowate półksiężycy zrogowaciałej skóry. Wiele razy widywała ją, jak rozmasowywała odciski swoim klientom. Pracowała z białą wrzącą wodą w kuchni, podczas gdy Agnes perorowała w salonie. Mówiono, że ma w sypialni przygotowaną trumnę, ale czy ktoś kiedyś zaglądał na górę? Dwie niezamężne siostry mieszkały razem przez całe życie, odziedziczywszy piętrowy dom, jedyny kamienny dom w Swan, okropnie wilgotny w środku. Ich ojciec, rodem z Niemiec, nie potrafił wymówić „th” ani „l”. Evelyn, która nigdy nie ścięła włosów, miewała nagłe ataki epilepsji i Agnes często musiała biec do niej z łyżką, żeby nie przegryzła sobie języka na pół.

Agnes już nie szła sukienek na zamówienie. Jedyne, na co się jeszcze dawała namówić, to podłożenie spódnicy albo dopasowanie zakietu. Jej włosy, ścięte krótko jak u mnicha, lśniły bielą pod nagą żarówką wiszącą nad maszyną do szycia, a niemal całkowicie wyskubane brwi nadawały twarzy Agnes permanentnie nieobecny wyraz. Na środku pokoju stał stół do pracy, a na nim piętrzyły się tysiące wykrojów, szpilek, nożyc zwykłych, do cięcia w ząbki i poduszeczek na igły.

Pokój stanowił istne muzeum gustów i upodobań mieszkank Swan, gdyby ktoś był tym zainteresowany, czego, rzecz jasna, nie należało się spodziewać. W powietrzu unosił się szczególny, ciężki zapach. Czyżby zdechła mysz leżała gdzieś pomiędzy złożonymi, papierowymi wykrojami płaszczy i sukienek na bal maturalny?

Agnes jeszcze nie słyszała o Catherine. Wydała krótki szloch, przypominający rzenie konia, po czym przetarła pięściami oczy.

- Boże, biedaczko. Czasami mam wrażenie, że koniec świata jest bliski. Te bestie pośród nas...

Lily czekała, aż Agnes otrząśnie się z pierwszego szoku. Zerknęła w stronę parapetu, żeby sprawdzić, czy nadal stoi na nim słoik z kamieniami żółciowymi Agnes. Stał.

- Agnes, pomyślałam o tobie wczoraj wieczorem, kiedy wciąż miałam przed oczyma tę niebieską jedwabną suknię

- zaczęła Lily. - Chciałam po prostu z tobą porozmawiać. Strasznie mnie to przybiło. Możesz sobie wyobrazić. Ta sukienka to musiało być twoje dzieło? Czy to nie dziwne, że suknia...

- Lily nie bardzo potrafiła wysławić to, co czuła

-...że suknia, która z pewnością została uszyta na jakąś okazję

- ciągnęła - odegrała później rolę w czymś tak okropnym...

- Wzdrygnęła się.
- Dostałaś gęziej skórki? Rozumiem cię. - Agnes w zamyśleniu potarła niewielką wypukłość, wyrastającą tuż poniżej szyi. - Niebieski to był ulubiony kolor Catherine. Nic dziwnego, przy tych oczach. Jakie to okropne... - Odjechała z krzesłem do tyłu, żeby sięgnąć po torbę na ścinki, uszytą z narzuty na łóżko; używano takich w amerykańskiej marynarce wojennej.

- Mój brat Hugo przywiózł to z wojny. Zachowałam ją na resztki, na wypadek gdyby kiedyś przyszła mi ochota zrobić kołdrę. Zostawiłam sobie po kawałku z każdej ładnej rzeczy. - Wysypała zawartość na podłogę. - Hugo nie żyje niemal od tak dawna, jak Catherine. Jaki to był odcień niebieskiego?

- Żywy, jak morze, lekko złamany turkusem.

Agnes przeglądała skrawki materiałów, podając każdy Lily, żeby mogła ich dotknąć.

- Spójrz, ten bordowy moher. Mała Sara George nosiła ten kostium przez siedem zim z rzędu. - Mała Sara George, która odziedziczyła imię po ojcu swojej matki, wciąż, w wieku ponad siedemdziesięciu lat, była nazywana Małą Sarą George. Agnes wsunęła kraciatą wełnę i drukowane kretony z powrotem do torby, po czym wzięła do ręki pas pomarańczowego jedwabiu. - Najpiękniejsza materia, jaką kiedykolwiek widziałam, tak delikatna, że mogłaby się podrzeć od samego patrzenia.

Lily pamiętała Catherine wstającą od stołu, nagły przenikliwy szelest, jakby gniecionej bibuły. Bratowa w obu dłoniach trzymała wieczorową torebkę ściaganą na sznurek.

- Czy to nie była suknia Catherine?

- Tak, przez jedno ramię, krojona ze skosu, i wierz mi, nie każdy mógłby coś takiego nosić. Spośród wszystkich osób, dla których szylam, jedna Catherine miała styl. Po prostu wiedziała, jak materiał się ułoży.

- Wiesz, że studiowała wzornictwo przez te dwa lata, kiedy była w koledżu.

- Tak, potrafiła narysować wszystko, co chciała. Te notatniki, które przechowywała, były pełne rysunków. Nie tylko projektów ubrań, z którymi do mnie przychodziła. Widziałam całe strony pełne rysunków i uwag o tym, jak się ułożą cienie i tym podobne. Rysowała plany jak architekt: bramy, ganki, co tylko chcesz.

Lily nie chciała rozmawiać o notatnikach Catherine. Ostatnią rzeczą na tym świecie, o jakiej miała ochotę słuchać, były notatniki Catherine. Na górze rozległ się trzask, jakby się łóżko zawaliło, ale Agnes nie zwróciła na to uwagi.

Lily przesunęła palcami po zakardowych pasach koloru arbuza i szaławii, pogładziła szorstkie bawełniane płótno, potarła między palcami szkocki tweed.

- Sza, Libby wyglądała w tym tweedowym kostiumie jak nadęta pawica, tylko jej nie mów, że tak powiedziałam. To było okropne, wtedy, z Catherine. Nigdy bym nie pomyślała, że zrobi coś takiego. Po tych wszystkich latach. Tutaj jest ścinek z jej rybaczków, džinsowych, sznurowanych po bokach. Nosila je do czerwonych butów i białej bluzki. Pamiętam, jakby to było wczoraj.

Lily nagle wyobraziła sobie Catherine leżącą na brzegu grobu, z twarzą koloru herbaty. Ukryła twarz w pomarańczowym jedwabiu.

- Przepraszam cię, Agnes. Jestem rozstrojona.

- Oczywiście, że jesteś. - Agnes przyniosła jej filiżankę mocno osłodzonej kawy. Wiedziała, że Lily taką lubi. - Pij. Dobre i gorące. - Agnes przerzucała kłębki koronki barwy zwarzonej śmietany, próbkę tafty w zielono-żółtą kratkę, rdzawą flanelę, wreszcie wyszarpnęła kawałek błękitnego je-

dwabiu w kształcie krótkiego rękawa. Skinęła głową. - To z sukienki, w której została pochowana.

Lily natychmiast rozpoznała intensywny błękit.

- Rozmyśliła się potem i chciała rękawy trzy czwarte. - Agnes podniosła materiał do światła. - Nosila w tym czasie pierścionek z lapis-lazuli. Mówila, że sukienka będzie do niego pasowała.

- Pamiętasz pogrzeb? Ten tragiczny dzień? - Lily nagle sobie uświadomiła, po co przyszła do Agnes. Po to, żeby zadać to pytanie.

- Tak, któż mógłby to zapomnieć. Och! Pamiętam jej skrzyżowane dłonie. Nie miała pierścionka, ale trzymała kopertę. Zastanawiałam się, czy to list, który zostawiła. Wiesz, mówią, że samobójca zawsze zostawia list. W ten sposób odgrywają się na żyjących.

A więc inni to zauważyli.

- Nie, to było osobiste pożegnanie. - Lily nie wdawała się w wyjaśnienia.

W samochodzie Lily zorientowała się, że jej prochowiec nadal leży złożony na przednim siedzeniu. Zapomniała go zabrać. CoCo zaskrzeczała, naśladując odgłos silnika. Lily roześmiała się po raz pierwszy od czasu, kiedy widok Catherine rozorał jej pole widzenia. Wyjeżdżając z podjazdu, przeszorowała błotnikiem po żywopłocie. Nie zauważyła Evelyn stojącej na piętrze, z włosami przewieszonymi przez balkon. Jedna pierś wymknęła się jej spod koszuli i też dyndała w powietrzu. CoCo śpiewała swoją najpiękniejszą pieśń na sto samochodowych dekli.

8. Stodka, leniwa.

NA KOŃCU PODNIEBNEJ TRASY PRZYWITAŁA GINGER szaleńcza, mrówcza bieganina. Pasek podręcznej torby wpijał jej się w ramię, aż się bała, że obojczyk nie wytrzyma ciężaru. Loty opóźnione z powodu burz na Bliskim Wschodzie pozostawiły setki ludzi, koczujących w poczekalniach lub oblegających bary i stoiska z przekąskami.

Łuk, jaki pokonuje się w drodze z Europy do Ameryki, zawsze pozbawiał Ginger tego, co nazywała w myślach długim czasem. Lot nad Atlantykiem oznaczał dla niej coś więcej niż przemierzenie mil oceanu. Z chwilą gdy stanęła lekko na ziemi, znalazła się w czasie terazniejszym, podczas gdy w tamtym świecie czuła pod stopami warstwy czasu. Nawet światło pochodziło od bardziej sędziwego, spatynowanego słońca.

Niebo na dworze było zasnuwane mgłą, nie wiedziała, czy z powodu zanieczyszczeń, czy temperatury lub wilgoci. Kiedy jej wynajęty pontiac wjechał na autostradę 1-75, prowadzącą na południe, natychmiast ujrzała znajome, migotliwe, wodniste pasma, unoszące się w gorącym powietrzu nad powierzchnią szosy dokładnie w punkcie, do którego sięgał wzrok. Kiedy się zbliżała, zjawisko się oddalało, tak więc cel jej podróży wydawał się czymś w rodzaju ustawicznej, gorączkowej fatamorgany. Rakotwórcze wyziewy, wydzielane przez topniejący asfalt, napływały przez otwory wentylacyjne. Pstryknęła wyłącznikiem klimatyzacji.

Południe, godzina opóźnienia z powodu przeciwnych wiatrów. Spała kiepsko w Rzymie i w ogóle w samolocie. Zapomniała zabrać czegoś do czytania i udało jej się znaleźć jedynie czasopismo przeznaczone dla pasażerów oraz biuletyn klubu golfowego, pozostawiony przez kogoś w kieszeni oparcia fotela. Gapiała się przez kilka minut na zdjęcia wschodzącej gwiazdy kobiece-

go golfa, dopóki na powierzchnię jej pamięci nie wypłynął fakt, że matka zainteresowała się w pewnym okresie golfem. Pamiętała białe i czerwone „skarpetki”, naciągane na kije golfowe, które miała wielką ochotę przerobić na kapelusze dla swoich lalek. W odzyskanym wspomnieniu ujrzała, jak matka wybija piłkę z rzutni. Schyliła się, wciskając w ziemię żółtą podstawkę i ustawiając na niej lśniąca piłeczkę, po czym zastygła, wychylona w przód. Ginger spłoszyła się, słysząc nagły świst kija przecinającego powietrze. Piłka nie spadła na bieżnię, tylko wzbija się stromym łukiem w powietrze, lądując w pobliskim bagnistym oczku wodnym. Matka znikła, Ginger widziała teraz tylko siebie, zbiegającą ile sił w nogach po pochyłości w stronę wody. Żółwie błotne zeskakiwały w panice ze swoich pni, kiedy rozglądała się za piłką, znajdując ją w końcu nie w wodzie, tylko w błotnistym szlamie, zbyt daleko, żeby można jej było dosięgnąć. Kto jeszcze tam był? Mrok niepamięci skrywał część sceny. Długonogi żuraw stapał nieufnie, jak gdyby zamoczenie nóg było poniżej jego godności, ale nie odfruwiał. Pojawił się jakiś mężczyzna, ale daleko, i kiedy Ginger znalazła się z powrotem przy matce, już go nie było. Ginger gapiała się przez jakiś czas na pięknego ptaka, po czym znów odnalazła wzrokiem matkę, która machała do niej, ciągnąc swój wózek po trawie.

Koniec migawki, ale Ginger czuje przyływ radosnego uniesienia. Jej matka była młoda, młodsza niż ona w tej chwili, grała sama w golfa w swoich brązowych tweedowych spodniach i brązowo-białych schludnych butach z kolcami. Teraz plan się poszerzył, ujrzała siebie, jak macha kozły na zwa-rzonej mrozem trawie. Czasem źle wymierzyła i lądowała z poślizgiem na kolanach. Trawa zwarzona mrozem... to musiała być późna jesień. Cieszyła się, że udało jej się odzyskać to wspomnienie, i długo zatrzymywała pod powiekami obraz matki maszerującej w stronę następnego dołka.

GINGER PSTRYKNĘŁA REGULATOREM WENTYLACJI, przestawiając dźwigienkę o kolejne oczko w górę. Nacisnęła pedał gazu, wyprzedzając za jednym zamachem trzy, a potem jeszcze cztery ciężarówki o wyjących silnikach. Spaliny, zaduch i ścisk lotniska zostały poza nią. Miała uczucie, że się rozprostowuje po ciasnocie ostatniego rzędu siedzeń w samo-

locie. Autostrada biegła przez samo serce Georgii, mijając miejscowości, które prosperowały dzięki temu sąsiedztwu. Miliony ciężarówek i samochodów, pełnych Jankesów mknących ku Florydzie, zatrzymywały się przy stacjach benzynowych, sklepikach ze słodyczami nadziewanymi orzeszkami hi-kory i przyfabrycznych sklepach z tekstyliami. Miejscowości, które autostrada omijała, podupadały, ich dwupasmowe, niegdyś zmalretowane szosy zmieniały się w polne drogi, a większość położonych przy ryneczkach kafejek spod znaku Błękitnej Wierzby czy Purpurowego Kaczora była obecnie zamknięta na głucho. Kto tędy jeździł, jeżeli nie musiał?

W Perry skręciła w szosę, biegnącą nieśpiesznie wśród sadów i małych miasteczek, którym oszczędzona została brzydota rozbudowy na łapu-capu. Porośnięte kudzu* farmy dzierżawców graniczyły z polami opuszczonymi w latach sześćdziesiątych. Ginger zwolniła i opuściła szybę, żeby wpuścić zapach brzoskwiń, pylistą woń hikorowych zagajników i rzędów kukurydzy, którym właśnie zawiązywały się kolby. Którejś nocy wymieniła Marcowi nazwy miejscowości, które jej się szczególnie podobały: Unadlilla, Hahira, Osierfield, Lax, Omega, Mystic, Enigma, Headlight, Friendship, Calvary, Lordamercy Cave, Milksick Cove - litanie, którą porównywał z włoskimi nazwami. Marco zawsze twierdził, że Ameryka wciąż musi wynajdować samą siebie od nowa, i Ginger gotowa była przyznać mu rację, ale nie tutaj. W upale wczesnego popołudnia prostą jak strzelił szosę zasnuł senny błękit. Gdyby miała pewność, że żaden nieświadomy niczego farmer lub ciężarówka z papką drzewną nie wyjedzie niespodziewanie z bocznej drogi, mogłaby spokojnie dodać gazu, mknąc szybciej niż na autostradzie, wśród wznoszących się i opadających pól, które wkrótce miały pokryć białe cętki bawełny, przecinając strumienie, którym nazwy nadali Indianie. Pontiac sunął tak cicho, jakby płynęła po powierzchni szosy.

Uświadomiła sobie, że nie miała racji, myśląc o sędziwym słońcu Włoch i o czasie terażniejszym Ameryki.

Rozcinała na-

* *Pueraria thunbergiana*, rozpowszechnione na południu USA azjatyckie pnącze o fioletowych kwiatach i długich strąkach, uprawiane na paszę, korzeń stosowany w kuchni i w ziołarstwie (przyp. tłum.).

sycone, błękitne powietrze, mknąc przez pustkowia o niezgłębionej historii. To płytkie zagłębienie, to łagodne wzniesienie zostało uformowane przez przyływy i prądy ciepłego, płytkiego morza, którego wody przetaczały się kiedyś po tych polach. Będę musiała porozmawiać o tym z J.J.-em, pomyślała. On będzie rozumiał geologiczny czas. Oboje kochali piaszczyste plaże, które odkrywali w pobliżu domku nad rzeką. Skoro było tu morze, myślała, ci, którzy się tutaj urodzili, muszą mieć na ten temat jakąś wiedzę, jakąś podwodną, przed-intelektualną inteligencję. A może to ten piekielny upał sprawia, że ludzie wyglądają, jakby chodzili pod wodą, śniąc z otwartymi oczyma. W swoim pokoju w domku nad rzeką miała dowód na to, że kiedyś było tutaj morze: ułożone rzędem na parapecie zbiegające morskie muszle, które znajdowali z J.J.-em w wyschniętych łożyskach potoków. Leżały tam od niepamiętnych czasów, dopóki ich nie znalazła i nie napełniła nimi kieszeni swoich szortów.

Ze szczytów wzniesień widziała morze ciągnących się, jak okiem sięgnąć, sosnowych lasów, w którym się zanurzała. Bezbrzeżne, jak gdyby sama nie istniała. Zapach sosn owiewał jej włosy, głęboki i świeży, jedna z najbardziej podstawowych woni, jaką zarejestrowała jej pamfęc. Nawet w publicznych toaletach, gdzie używano ostrych środków dezynfekcyjnych o sosnowym zapachu, zdarzało jej się przystanąć i odetchnąć głęboko. Wiatr w sosnach: głos człowieczej duszy, jak kiedyś powiedział J.J., o ile człowiecza dusza ma głos. Nikt nie potrafiłby tak tego wyrazić, tylko on. Nikt nie miał jego ostrej jak brzytwa przenikliwości.

Ginger pomyślała, że wśród takiej pustki czuje, jak jej dusza się rozszerza. We Włoszech wszystkiemu nadało kształt dotknięcie człowieka, dlatego czuła się tam ogrzana. Ale ci, którzy uprawiali tę ziemię, nie pozostawili po sobie prawie niczego. Niemalowane drewniane domki chylą się od paru dziesiątków lat, okrywają się srebrną patyną, po czym rozsypują się w kupę desek, które szybko porasta dzikie pnącze. Nawet groby, ze swoimi prostymi krzyżami, są pochłaniane przez ziemię, która odzyskuje pierwotny kształt. To dlatego, że używali jako budulca drewna, pomyślała. Jak Etruskowie, których miasta zostały całkowicie starte przez czas, jeśli nie liczyć grobowców, kamiennych fundamentów i gigantycznych murów.

Zatrzymała się w Hakinston, żeby coś zjeść w przydrożnej knajpce. Zdecydowała się na kawę i kawałek placka bezowego, chociaż pod plastikową kopułką uwięziona była mucha. Wydawała się bardziej zainteresowana szukaniem wyjścia niż daniem nurka w cytrynową masę. Kelnerka mówiła do niej „złotko” i Ginger uśmiechnęła się na wspomnienie swoich zmagania z włoskim formalnym „pan” i „pani”. We Włoszech było nie do pomyślenia, żeby ktoś odezwał się poufale do obcej osoby. Słyszała *buon giorno, contessa*, wypowiedane pod adresem jakiegoś reliktu miejscowej arystokracji, drepczącego pomalutku w stronę *piazza*, a w piekarni *buon giorno, architetto*. „Dzień dobry, panie architekcie” -powitanie niemożliwe w Ameryce - tutaj powtarzało się każdego ranka. Życie jest nieprzetłumaczalne, pomyślała. Nagle stałam się „złotkiem”. Dlaczego nie, w końcu jestem prawie w domu. Czterdzieści mil dalej był zakręt do domku nad rzeką, ale minęła go. Lepiej, żeby J.J. nie był na jednej ze swoich wędkarskich wypraw. Kiedy ujrzała w oddali dachy Swan na tle nieba, zaczęła w końcu myśleć o tym, czemu miała stawić czoło. Bardziej niż ten idiotyczny akt i zapewne równie idiotyczne rozwiązanie kryminalnej zagadki przerażała ją walka z nawałem wspomnień. Przeżyła już dreszcz emocji, wyobrażając sobie matkę, wykonującą zamach kijem golfowym. Była jeszcze żalosna egzystencja jej ojca, trudniejsza do zignorowania niż los matki, ponieważ nadal żył, spleciony z tym ohydny czynem. Czuła napór wspomnień gdzieś pomiędzy łopatkami, między piersiami. Dokładnie w miejscu, gdzie, jak sobie uświadomiła, jej matka przyłożyła lufę. Zerkając na wschód, ponad polami sięgającej kolan bawełny, widziała w oddali smugi szarego deszczu, sunące w jej stronę, ścigające się z samochodem, aby przeciąć jego drogę w jakimś punkcie trasy. Jej ojciec nazywał to chodzącym deszczem i Ginger uwielbiała tę metaforę. Deszcz idący przez ziemię, dokonująca się na twoich oczach zmiana pogody. W okolicy Swan trzeba było zachowywać nieustanną czujność wobec natury. Porowaty wapień mógł zapaść się bez ostrzeżenia, pozostawiając idealnie okrągły otwór, a pod nim zieloną topiel bez dna. Na horyzoncie mogło się pojawić tornado: wyraźny, stożkowaty kształt, odcinający się na potężnym

nieboskłonie. Albo huragan, ze swoim tajemnym okiem, kto wie, w co czy w jaki rejon wymierzonym. Po tym, jak przesadziła jednym skokiem ocean, nagle przestało jej się śpieszyć do Swan. Bębniła palcami o kierownicę. Niech GBI się z tym rozprawi, nim tam dojadę, myślała. Mogłabym się zobaczyć z J.J.-em, pocieszyć Lily, która musi być kompletnie rozbita, i zobaczyć, co u taty. Moglibyśmy skoczyć z J.J.-em do domku nad rzeką; leżałabym na pomoście i słuchała rzeki. Nie odwiedziłabym Caroline Culpepper, swojej najlepszej przyjaciółki od czasów przedszkola. Caroline spędzała cały lipiec nad morzem, ze swoimi dziećmi i rodziną siostry. Na myśl o Caroline poczuła falę ciepła. Dorastając, spędziły razem niezliczone popołudnia, grając w brydża. Przez całą szkołę średnią Ginger zostawała u niej na noc w soboty. Gdyby tylko J.J. się z nią ożenił! Caroline postawiła w końcu krzyżyk na tym projekcie i wyszła za Petera Banksa, który zaczął łysieć, nim skończył dwadzieścia lat, ale był przemiły, no i miał czwartą lokatę na kursie przygotowującym do studiów prawniczych w swoim Florida College. W ciągu ostatnich lat, kiedy chaos zdominował jej życie, Ginger zawsze się cieszyła na spotkanie z Caroline i Peterem, ile razy wracała poobijana do Swan. Jej inny bliski przyjaciel z lat dziecińczych, Braxton Ridell, teraz ją nudził. Kiedyś uważała, że jego lazurowe oczy przypominają greckie posągi. Teraz wydawały jej się nienaturalnie puste. Nie zobaczę się z nikim, pomyślała. Tylko z J.J.-em, z Lily i Tessie. Będę mogła wrócić do Rzymu na początku przyszłego tygodnia.

Pod wpływem impulsu skręciła w stronę cmentarza Magnolia. Brama była otwarta. Skręciła w lewo, a potem w prawo przy kwaterze Bryonów. Trawiasta aleja doprowadziła ją do grobów rodzinnych. Róże nadal kwitły w niewinnej obfitości, jak gdyby nic się nie stało. Spodziewała się, że ktoś będzie stał na straży, ale był tam tylko Cass Deal, kopiący w oddali nowy grób. Wysiadła z samochodu i podeszła ostrożnie do furtki. Dół w ziemi wyglądał na świeżo wykopany. Strzaskane kawałki płyty były złożone w kącie, a noszący ślady gliny żwir został spłukany gumowym węzem. Ciało matki i trumnę zabrano. Ginger potarła swój sztywny kark.

- Jeszcze raz ją zawiedliśmy - powiedziała na głos. Pradziadkowie, wuj taty Calhoun, Duży Jim i Mama Fan - wszyscy spoczywali na swoich miejscach, pod kamieniami

z miejscowego granitu, pobielalymi od słonecznego żaru, z wyjątkiem grobu Dużego Jima, zasmarowanego czarną farbą.

Na nagrobku Dużego Jima połyskiwały zygzaki śluzu, pozostawionego przez pełzające ślimaki. Kto zakłócał spokój grobu? Na sterście strzaskanych kawałków płyty nagrobnej zobaczyła wykute w kamieniu imię i nazwisko matki. Bryła gliny zasłaniała napis. Ginger wytarła glinę, po czym za pomocą odłamka marmuru poprawiła każdą literę.

Catherine Phillips Mason. Wróciła do samochodu, wyjęła z torebki chusteczkę i oczyściła napis. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Cass Deal idzie w jej stronę.

- A, Ginger. Zastanawiałem się, kto tu węszy. Nic się nie zmieniłaś, śliczna jak obrazek. Nie masz pojęcia, jak nam wszystkim przykro z powodu tego wariactwa. Odstawiliśmy samochód twojej cioci do domu. Nigdy tutaj się nic podobnego nie zdarzyło. Siedzisz w Europie, tak? Kiedy przyjechałaś?

- Dopiero co. Jeszcze nie byłam w domu. Przyjechałam prosto tu. - Stała ze skrzyżowanymi ramionami, jakby jej było zimno. Czy to możliwe, żeby on to zrobił? Oczywiście, że nie.

- Ralph siedział tutaj przez całą noc, on i jego pies. Spał w samochodzie. Komary o mało go nie zjadły. Chłopak z GBI przyjechał z nim jakiś czas temu i zarządził, żeby zabrać szczątki do domu pogrzebowego na oględziny. Znalazł na kamieniach odpryski farby, ustalił, że gość, który to zrobił, używał mojej koparki. Przypomniałem sobie, że kiedy wróciłem tamtego dnia, faktycznie stała nie w tym miejscu. - Nie dodał, że postanowił zachować tę informację dla siebie, o ile nie będzie musiał sobie „przypomnieć”. - No więc uważają, że mógł to zrobić ktoś działający w pojedynkę. Doczyszcze nagrobek Dużego Jima i mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli zakończyć całą sprawę. Koniec świata, co się wyrabia...

- Dziękuję ci, Cass, doceniamy to, co zrobiłaś. Wszyscy są dla nas tacy dobrzy - powiedziała automatycznie. - Tobie też na pewno nie było łatwo.

Deszcz nadszedł, lunął od razu ostro, żłobiąc w gliniastej ziemi czerwone strumyczki. Cass pognał do swojej furgonetki. Ginger stała jeszcze chwilę. Z dawnego nawyku odchyliła głowę i otworzyła usta, żeby poczuć smak ciepłego deszczu. Potem wsunęła się do samochodu i ruszyła w stronę domu.

GINGER ZASTAŁA LILY I TESSIE W KUCHNI. Tessie wałkowała ciasto, a Lily tłukła muchy zwiniętą gazetą.

- Boże drogi, nie słyszałyśmy, jak wchodzisz, skarbie, jak się masz?

Lily upuściła gazetę. Dłonie Tessie były umączzone po nadgarstki. Pomieszczenie pachniało jak stary miód w ulu. Obie kobiety ją uściskały, usadziły i postawiły przed nią szklankę ananasowej herbaty. Tessie włożyła do szklanki gałązkę mięty.

- Och, Lily... - zaczęła Ginger.

- Ani słowa o tym, co się stało. To może poczekać. Niech się na ciebie napatrzę, skarbie. Tak się cieszę, że jesteś w domu.

Tessie szybko wykrawała z ciasta kółka za pomocą szklanki i układała je na patelni.

- Tak jest, kruche ciasto z truskawkami. Wiem, co lubisz.

I JJ. też.

- Gdzie on jest?

- Pojechał do szeryfa podpisać jakieś papiery. Nie ma go już z godzinę, więc niedługo powinien być z powrotem. - Lily otworzyła zewnętrzne drzwi z siatką chroniącą przed owadami i bezskutecznie usiłowała przegonić muchy, podczas gdy inne wlatywały do środka. Ginger była zaalarmowana jej dzikim wyglądem: włosy opadające -wokół twarzy, plama truskawkowego dżemu na przodzie bluzki. Lily zapytała ją o lot i o drogę z Atlanty. Zawsze się bali z J.J.-em, że stracą również i ją. Ginger piła zimną herbatę w kojącym otoczeniu swojskiej kuchni, z okrągłym stołem i wysokimi szafkami, których drzwiczki były od wewnątrz wytapetowane notowanymi na fiszkach przepisami. Za stołem stały oszklone kredensy pełne kompletów naczyń. Kolekcja szklanych wyciska-czy do cytryn babci Fan wciąż okupowała górne półki, a niżej piętrzył się serwis do lodów z czasów wielkiego kryzysu. Jak to możliwe, że zielony komplet stał tutaj przez te wszystkie lata - żadne z dwunastu naczyń się nie stłukło - a jej matkę wyrzucono z własnego grobu? Porcelana z Limoges w gałązki kwiatów i porządne talerze ze złotym brzegiem zajmowały dół kredensu.

- Chyba się wykapię i przygotuję... - Przygotuję? Na co?

- pomyślała.

Tessie i Lily odprowadziły ją na górę, włączyły górny wentylator w holu i otworzyły drzwi do jej wysokiego, złotego po-

koju. Firanki łopotały w podmuchach wilgotnego powietrza, wprawianego w ruch przez wentylator. Wcześniej odchyliły lnianą kapę i postawiły przy łóżku wazonik cynii i groszków. Ginger miała wielką ochotę wyciągnąć się w wannie, chciała być czysta, pragnęła się rzucić na swoje łóżko, przy akompaniamencie turkoczącego wentylatora, chciała, żeby nie działo się nic złego.

- Czy to boli? - Zauważyła, że Lily odchyła zabandażowany palec.

- Szczypie. Wczoraj pulsował, a to znaczy, że idzie ku lepszemu. - Lily posiadała dar przechodzenia do porządku nad nieprzyjemnymi sprawami. Zamykała temat i szła do przodu.

GINGER ZASNEŁA BEZ PROBLEMU. Obudziła się, jak tyle razy w swoim życiu, czując, że ktoś ją łaskocze w nos piórkami CoCo. Zaskoczył ją widok zielonych oczu brata.

- JJ-, ty draniu! - Usiadła na łóżku i ucałowała go z dubeltówki w oba policzki.

- Włoskie lenistwo! - Chwyił jej stopę i zaczął ją łaskotać w podeszwę. Wyrwała nogę i pchnęła go do tyłu, wbijając mu paznokcie pod zębra, gdzie, jak wiedziała, miał straszne łaskotki. Zataczali się po pokoju, śmiejąc się na cały głos. Lily wchodząca po schodach z naręczem czystych ręczników pomyślała, że powariowali. Ta dwójka! Co ich tak mogło rozbawić? W tej sytuacji.

J.J. zrzucił z nóg espadryle, które mu kiedyś przywiozła.

- Wszystko w porządku, mała? Pytanie brzemiennie w podteksty, zważywszy okoliczności twojego triumfalnego powrotu na łono rodziny. Jak ci się widzi stary kraj? - J.J. usiadł w okiennej wnęce, a Ginger podsunęła sobie poduszki pod plecy.

Tak wiele ich rozmów rozpoczynało się w ten sposób: J.J. patrzący w okno, ona z rękami zaplecionymi wokół kolan.

- Praca szła mi dobrze, czułam się we Włoszech jak w raju - kiedyś ci o tym opowiem - ale w tej chwili czuję się już o miliony mil stamtąd. - Próbowała wyobrazić sobie gęste kędziory Marca, jego wygląd gwiazdora filmowego, kiedy wkładał ciemne okulary, jego kurtkę zarzuconą na ramiona. -Wszystko było w porządku, dopóki nie wstąpiłam na cmentarz w drodze do domu...

- O Boże, dlaczego? Chryste, Ginger, czemu zrobiłaś taką głupią rzecz?
 - To wszystko wydawało się nierealne. Teraz jest realne, ale czuję się odrętwiała, jakby wysuszona na wiór. Czy to ten upał? Czy ktoś dostał pomieszania zmysłów z gorąca?
 - Może to ktoś, z kogo Duży Jim zrobił kiedyś durnia? Jakiś idiota, cięty na Masonów albo przynajmniej na mamę? Jakiś szaleniec szukający diamentów lub złota?
 - A jeśli ma jeszcze inne pomysły? Zechce torturować Lily, przypalać ją papierosem czy podpalić dom?...
- J.J. się uśmiechnął.
- A może to nasz stary znajomy, diabeł? Wyskakuje z pudełka, znudzony kantowaniem Persefony w podziemnym świecie i myśli: Zaraz, zaraz, ileż to czasu minęło, odkąd daliśmy popalić tym Masonom? Zawsze jest z nimi niezły ubaw. Co by tu za draństewko wymyślić, żeby zalać im sadła za skórę? - Podrzucił w górę swoją bejsbolową czapkę i wymierzył jej w locie cios pięścią.
 - Przestań, mówmy poważnie. - Przynajmniej nie uciekał w manierę „chłopka roztropka”, której, jak jej to kiedyś wyjaśnił, używał często jako zasłony dymnej.
 - W porządku. Spokojnie. Zastanówmy się wspólnie. Co można z tego wywnioskować? Odkładając na bok polowanie na diamenty? Może ktoś chciał ją zranić, chociaż nie żyła od tak długiego czasu? Niezbyt wyrafinowana forma, ale w każdym razie udało mu się zwrócić moją uwagę.
 - To się robi coraz bardziej makabryczne. Nie jestem w stanie tego ogarnąć. Myślisz, że ktoś, kto się w niej kochał, taił swoje uczucia przez te wszystkie lata? Ale w tym jest wściekłość. I ta czarna farba, prymitywne piętno. - Ginger znała kultury, w których w ten sposób naznaczano domy grzeszników. Może to była aluzja do tej praktyki.
 - A jeśli cała sprawa to po prostu przypadkowy akt szaleństwa? Szukamy na siłę wyjaśnienia, żeby zaczęło to wyglądać racjonalnie. - J.J. przygryzł kostki dłoni swoim dawnym gestem. - Nasz poczciwy Ralph mówi, że faceci z GBI zapakowali ją w karawan i zawieźli do domu pogrzebowego na obdukcję, na wypadek gdyby to był przypadek nekrofilii czy Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze. Powiedział, że jutro się odezwą. Jedyne dowód rzeczowy, jaki wpadł mu w ręce, to brud-

na chusteczka do nosa, którą znalazł Cass Deal. Ci z GBI też ją zabrali, jako element tego, co bardzo dowcipnie nazwali podejrzanymi okolicznościami. Jak bardzo podejrzliwi możemy tutaj być? Ta podejrzana chusteczka to był elegancki, ładnie złożony len, nie jakaś tanioccha po trzy sztuki w opakowaniu. Ten czubek najwyraźniej po prostu wytarł w nią ręce, nawet się nie spuścił. Nie, panno Nancy Drew*, nie było monogramu ani logo sklepu. Zero szans na „Sprawę upuszczonej chusteczki”.

- J J przestań. Kiedy mama umarła...

- Proszę cię, nie fundujmy sobie rozmowy na jej temat. Lily mówiła, że tata przypuszczalnie włożył jej w dłoń jakiś list, ale Ralph powiedział, że nic takiego nie znaleźli. Ja sobie nie przypominam żadnego listu.

- Ja też nie. J. J. wstał.

- Zróbmy sobie wypad do domku nad rzeką. Moglibyśmy zabrać parę piw i popływać.

- Lily planowała obiad. Kiedy przyjechałam, robiły właśnie kruche ciastka, poza tym czuję zapach kurczaka Tessie.

- Kurczak Tessie był powszechnie znany jako kurczak na ostro, bo zawsze szcudrze przechylała słoiczek z pieprzem, kiedy dusiła kawałki mięsa w śmietanie. - Mam nadzieję, że robi też ziemniaki puree. - Ginger nagle poczuła się strasznie głodna. - Ciekawa jestem, co ojciec napisał. I czy to możliwe, żeby pamiętał? Czy w domku jest mój kostium kąpielowy?

- Lily tak jakby nie była pewna tego, co mówi. Powiedziała, że być może ojciec napisał list miłosny, kto wie. Twojej ko-módki nikt nie ruszał, z wyjątkiem pewnej uroczej młodej istoty, która chciała pożyczyć sweter.

- Kto to taki? Założę się, że to nieważne.

- Nikt, kogo znasz.

- Tak myślałam.

* Młoda bohaterka serii powieści detektywistycznych, pisanych przez różnych autorów pod wspólnym pseudonimem Carolyn Keene (przyp. tłum.).

PRZED DWOMA LATY Alan Ireland wyposażył garaż na dwa samochody, znajdujący się za domem pogrzebowym, w zlew, długi stół i otwór odpływowy w betonowej podłodze. Nie chciał kłaść swojej głównej kostnicy, kiedy w Swan zdarzył się jakiś paskudny mord, albo zapychać jej, kiedy wypadek drogowy lub epidemia grypy, która skróciła żywot trojga czy czworga staruszków, spowodowała nagle spiętrzenie. Większość prac związanych z balsamowaniem odbywała się w domu, który przez pięćdziesiąt lat był rodową siedzibą. Imponująca, ceglana budowla z kolumnami, wyrastająca pośród rzędów azalii, duma i chluba Irlandów. Potem jego ojciec urządził dom pogrzebowy, eksmitując po wsze czasy rodzinę na górę. Jeszcze dziś Alan bywał zaskoczony, kiedy wchodził do frontowych pokoi swojej babki, teraz zawieszonych ciężkimi draperiami, dusznych od zapachu wieńców i kwiatowych dekoracji, otaczających wnęki, gdzie żałobnicy i ciekawscy przychodzili złożyć ostatni hołd umarłym. Nikt o tym nigdy nie wspomniał, nawet jego żona, ale wydawało mu się, że przez mdlącą woń róż i gardenii przebija jakiś inny zapach. Zalatujący żelazistą czerwienią, czepliwy, niedający się zagłuszyć zapach krwi. Może to wyobraźnia płatała mu figle? Nie miał nic przeciwko temu, kiedy jego ośmioletnia córka, Janie Belle, bawiła się w chowanego w pomieszczeniu, w którym wybierano trumny, albo widziała leżącego spokojnie zmarłego, wystawionego we frontowej sali. Widywała nawet, jak układał zwłokom fryzury czy przypudrowywał twarze. Nie bywała świadkiem innych czynności, tak przynajmniej sądził. Janie Belle zawołała go z tylnych schodów: - Tato, mama zrobiła kawę! - Ostrożnie zniosła po schodach papierową torbę, podając Alanowi termos i filizanki.

- Idź się pobaw, aniołku. Tatuś ma sprawę do załatwienia. - Nazywał ją aniołkiem, bo wyglądała jak aniołek, pulchny amerek z kędziorami niczym blade strużyny i buzią o tak mało charakterystycznych rysach, że przypominała malowane jajko. Obawiał się, że odziedziczyła fizyczną nijakość Irelan-dów. Obcy nigdy nie pamiętali, że już go kiedyś spotkali. Dopiero w późniejszym wieku, kiedy skórę porysowały zmarszczki, fizjonomie członków rodziny nabierały nieco charakteru.

Janie Belle objęła posterunek na tylnym ganku, przyglądając się, jak nieznajomy mężczyzna zajeżdża pod dom czarnym samochodem. Podważyła paznokciem ostatni strupek po wietrznej ospie, który został jej na policzku. Nie przestawała się drapać, chociaż mama ją straszyla, że będzie miała brzydkie blizny na twarzy i nikt nie będzie się chciał z nią ożenić. Nie przestała nawet wtedy, kiedy jej zagroziła, że wezwie policję. Teraz serce zabiło dziewczynce szybciej, bo zobaczyła, że za obcym panem skręca na podjazd auto szeryfa. Przewinęła się na poręczy i schowała pod gankiem.

Gray Hinckle, śledczy z GBI, który jechał od cmentarza za samochodem Alana, wysiadł i pomógł Ralphowi wytoczyć nosze. Alan szarpnął za sznur przy drzwiach od garażu, które opadły z łoskotem na betonową podłogę.

- Alan, chcesz pobudzić nieboszczyków? - krzyknął Ralph. Umieszczony pod sufitem klimatyzator warczał i ociekał kroplami wody.

Gray zsunął brezent z ciała Catherine.

- Załatwmy to szybko - powiedział. - Prawdę mówiąc, ona nie jest w moim typie.

- Ludzka natura jest niepojęta. Kto mógłby aż tak pożądać pierścionka czy naszyjnika, żeby zmierzyć się z tym oko w oko w środku nocy? - Alan podał im gumowe rękawiczki, zawiązał fartuch i cofnął się o krok.

Gray rozciął sukienkę wzdłuż lewego boku, potem wzdłuż prawego. Rozpruł sztywną halkę i bieliznę, która zdążyła się częściowo rozsypać. Odsunięty materiał odsłonił kościstą klatkę piersiową, pępek jak pestka oliwki, poczerniałą linię żeber i trójkąt zmierzwionych włosów.

- Brak świeżych śladów obcych substancji, takich jak mocz czy nasienie - powiedział. - Nie ma śladów wskazujących na nekrofilie.

Ralph, stojący obok ze styropianowym kubeczkiem kawy w ręce, usiłował panować nad wyrazem twarzy. Widział w życiu wiele martwych ciał. Żołnierze, których zdarzało mu się dociągnąć do punktu pomocy medycznej, wciąż wyglądali normalnie, jak gdyby mogli wrócić do życia, gdyby lekarze potrafili jakoś tego dokonać. Skóra pani Mason przypominała skórę na gruszcze bokserskiej, która wisiała u niego na strychu.

Ponieważ rana, znajdująca się niemal na środku klatki piersiowej, była zamaskowana gazą i plastrem, zmarła została pochowana bez biustonosza. Kiedy Ralph zobaczył na opatrunku brązową plamę w kształcie skrzydła - ostatni ślad jej krwi, która wysączyła się z serca - gardło mu się ścisnęło i za-krztusił się przelitym kawą. Kilka kropel prysnęło na rękaw białej koszuli Graya Hinckle.

- Strasznie przepraszam. Gray był zirygowany. To była koszula z najlepszej bawełny z Barbadosu. Położył nożyczki na brzuchu Catherine, podszedł do zlewu i delikatnie oczyścił rękaw koszuli wilgotnym papierowym ręcznikiem. Nie z poczucia obowiązku, ale na skutek zakłopotania po incydencie z kawą, bojąc się wyjść na mięczaka przed Grayem, Ralph naciągnął gumowe rękawiczki, wziął nożyczki i przeciął pożąłkły bandaż. Strzał w dziesiątkę, pomyślał. Pociągnął za prześcieradło, odwracając ciało na plecy. Rana wylotowa też była niewielka, co wskazywało na mały kaliber.

- Zastrzeliła się z dwudziestki dwójki? - zapytał Gray.

- Aha, musiała być krótsza lufa. - Ralph cofnął się od jej równocześnie starych i młodych piersi o poczerwiałych sutkach i dziury w ciele, która zakończyła jej życie.

Alan zacisnął dłonie na krawędzi stołu. Czuł się niewyraźnie. Nie pamiętał, czy jako dziecko przechodził wiatrówkę, czy nie. Czy to mógł być początek choroby? Czy jego twarz obsypią krosty? Zahipnotyzowany widokiem tego ciała, które musiał zabalsamować jego ojciec, nie zauważył szeroko otwartej buzi i szoku malującego się na jajowatej twarzyczce Janie Belle, która zaglądała przez boczne okno, stojąc na czubkach palców na odwróconej do góry dnem donicy.

- Na ciele nie ma śladów jakiegokolwiek ingerencji w ostatnim czasie. Nasza rola skończona. Może wracać, skąd przy-
127

sza. Jest twoja, Alan. - Gray wyglądał, jakby miał coś jeszcze na końcu języka.

Ralph pomyślał, że tamten ma ochotę rzucić jakimś dowcipem, ale boi się wyjść na grubianina.

Ralph ścisnął palcami nasadę nosa. Zbierało mu się na kichnięcie. Gray rozłożył duże muślinowe prześcieradło i zawinał w nie zmarłą niczym niemowlę w powijaki. Alan podkreślił klimatyzację. Przynajmniej sprzeda jeszcze jedną trumnę, a Masonowie zawsze wybierali brąz.

Ralph przeprosił ich na chwilę i wszedł do domu, żeby zadzwonić do Carol do biura.

Po odłożeniu słuchawki stał przez jakiś czas przy oknie, patrząc na cementową sadzawkę z fontanną, z której sączył się przez mech cienki strumyczek wody. Janie Belle klęczała w rozwidleniu pnia gruszy, szykując się do skoku.

Złota rybka zastygła nieruchomo, zawieszona w zielonym szlamie. Młody kocur skoczył na kamienną cembrowinę i zaczął się jej uważnie przyglądać. Ralph czuł, muskając palcami swój medal za Wietnam, który zawsze nosił przy sobie w kieszeni, że jego myśli krążą uporczywie wokół czegoś, ale czego?

Koc pacnął łapą o wodę, ale ryba nadal się nie poruszyła. Stojąc na skraju cembrowiny, wyciągnął przed siebie chude przednie łapy, wygiął grzbiet, spojrział obojętnie na wzdętą rybę, po czym skoczył zręcznie między azalie. Wśród liści przez chwilę widoczny był idealnie okrągły otwór rozmiarów kota.

Ralph patrzył za nim, kręcąc głową. Samobójstwo. O jasny gwint, o jasny gwint, jak mogli tego nie zauważyć?

Popędził z powrotem do garażu, gdzie Gray zapisywał coś w notesie.

- Hej, przeoczyliśmy jedną rzecz. Jeśli ona sama pociągnęła za cyngiel, to otwór wylotowy nie powinien być na tej samej wysokości co rana z przodu. Powinien być wyżej, ze względu na pozycję, w jakiej musiałaby trzymać strzelbę. Coś cuchnie w państwie duńskim*.

- My tu badamy ewentualność nekrofilii, profanacji zwłok, a nie szczegóły samobójstwa sprzed nie wiadomo ilu lat - powiedział Gray, ale spojrział na Ralpha uważniej spod zmarszczonych brwi. - Wiesz co, ty masz rację, skurczybyku! Rzućmy no sobie na to okiem jeszcze raz.

* Aluzja do „Hamleta” W. Szekspira (przyp. tłum.).

- Najmocniej was przepraszam, chłopcy, ale muszę wracać do domu. - Alan czuł się chory- To z pewnością wykraczało poza jego obowiązki jako przedsiębiorcy pogrzebowego. Stał w drzwiach. Koszula lepiła mu się do piersi i pleców.

Ramiona okrągłe jak u dziewczyny, pomyślał Gray.

- W porządku, Alan, dzięki, że poświęciłeś nam tyle czasu. To będzie tylko drobne uzupełnienie. Pewnie okaże się bez znaczenia. Pozamykamy tu wszystko. I możesz się nie obawiać, nigdzie ci jej nie porwiemy. Po prostu przetrzymaj ją w swojej lodówce do poniedziałku.

Zmierzyli ranę cyrklem Graya.

- Myślę, że uda nam się jedynie coś oszacować. Biorąc pod uwagę, że skóra wokół rany się obkurczyła, że denatka musiała nacisnąć cyngiel palcem od nogi w pozycji siedzącej, z lufą strzelby przystawioną do piersi, biorąc pod uwagę to wszystko, nie jesteśmy w stanie stwierdzić niczego na sto procent. Ralph, gdybyś nie oblał mi kawą całej koszuli, mogliśmy w ogóle nie zwrócić na to uwagi.

Ralph zwrócił uwagę na liczbę mnogą, której użył Gray.

- O ile się nie mylę, to „ja”, a nie „my”, zwróciło na coś uwagę. - Kiedy był zdenerwowany, zdarzało mu się wpadać w gramatyczne pułapki, chociaż usiłował nad tym panować.

- W porządku, w porządku, chyba współpracujemy, nie? Przyjrzę się dokładnie tej ranie na plecach. Jeśli to ona sama pociągnęła za cyngiel, otwór na pewno nie będzie na równym poziomie z wlotowym. - Gray znów przewrócił ciało na plecy. - Powinien być, powiedzmy, jakieś trzy do czterech cali wyżej, zgadza się? Wezmę rolkę filmu i spotkamy się w twoim biurze, żeby przejrzeć akta.

- Zgłodniałem. Spotkajmy się w Trzech Siostrach, przy głównym placu.

- Teraz mówisz do rzeczy, chłopie.

115. Słodka, leniwa...

DZISIAJ PRZYJEŹDŹA CATHERLINE. Myśl w jego głowie była jasna, ale chciał o tym powiedzieć kobiecie trzymającej tacę z jedzeniem.

- Zzzz...

- O co chodzi, doktorze Mason? Życzy pan sobie czegoś jeszcze? - Mary June pracowała na dwie zmiany, starając się odłożyć dość pieniędzy, żeby zabrać swoich chłopców na tydzień nad morze. Biegała od jednego łóżka do drugiego od dziewięciu godzin. Grypa krążyła wśród pacjentów w tym letnim upale.

Pokręcił głową, zde gustowany.

- Chciałbym... Mary czekała.

- Jeśli ją pani spotka, chciałbym...

Wydawało się, że zapadł w drzemkę... Skok z samolotu, rosnąca w oczach szachownica spustoszonych wojną niemieckich pól... Jego głowa podskoczyła z niekontrolowanym szarpnięciem.

- Kogo, Ginger? Słyszałam, że ma pana odwiedzić. Czy to nie miło z jej strony? Przylatuje z daleka.

Huk, pęd powietrza, łopoczący, opadający jedwabny spadochron...

- To mnie nie interesuje. Kto przyjeżdża? Catherine, co Lily mówiła o Catherine?

- Wiem, że pan tak nie myśli. - Zastanawiała się, czy nie miał przypadkiem kolejnego mikroudaru. Tego dnia jakby gorzej sobie radził z mową. - Jak pan się czuje? - Zazwyczaj poświęcała mu mniej uwagi niż innym pacjentom.

Wyglądał zupełnie dobrze, może tylko wydawał się trochę nieobecny, jak posąg starożytnego bożka, zapomniany gdzieś na deszczu.

W końcu miał dopiero sześćdziesiąt jeden lat. Pamiętała z dzieciństwa, jak jej zaglądał do gardła. Potem dostała od niego drewnianą szpatułkę, którą przytrzymał język; zabrała ją do domu, domalowała jej twarz i przykleiła papierową wieczorową suknię, obrzeżoną brokatem. Później, kiedy ona i Ginger były w tej samej drużynie, zabrał kiedyś harcerki na wyprawę z noclegiem pod namiotami. Piekł kiełbaski nad ogniskiem i uczył je śpiewać na głosy „Z Gór Skalistych na mustangu dziki kowboj gnał”. Marzyła wtedy, żeby to on był jej tatusiem, a nie ten pijak i brutal, imający się różnych dorywczych prac, który kiedyś tak mocno wykręcił jej mamie rękę, że kość pękła na dwoje. „Proszę zażyć dwie aspiryny, popić dużą ilością płynu i położyć się do łóżka”. Przekomarzała się z nim kiedyś, że lekarze zawsze tak mówią, i była to jedna z nielicznych rzeczy, jakie zapamiętał na jej temat. Jego mózg pracował w szczególny sposób: jak gdyby woda ruszyła nagle korytem, po czym znalazła sobie boczne ujście. Rozpoznawał wszystkich, wiedział, kim dla niego są: siostra, syn, przyjaciel - tyle że wydawało się to bez znaczenia. Domyślała się, że jego kora mózgowa musi być w opłakanym stanie. Czasem łzy napływały mu do oczu, kiedy J.J. lub Ginger zbierali się do wyjścia, ale z chwilą, gdy drzwi się za nimi zamknęły, zapominał. Potrafił wykonać jedno logiczne przejście, ale przy kolejnym się gubił. Na przykład, prosił o gazetę, a kiedy człowiek obiecał, że mu ją przyniesie, pytał, co przyniesie. Nigdy nie udało jej się rozszyfrować żądania: „Dajcie tym głodnym ludziom jeść”, które ciągle powtarzał. Mary June wiedziała, że pojawiające się czasem przebłyski jego dawnego „ja” są dla jego dzieci niesłychanie bolesne. Zdarzało jej się widywać Ginger, opartą o drzwi samochodu z twarzą ukrytą w dłoniach, po tym, jak rozpoznała jakiś charakterystyczny przejaw jego dawnej witalności. „Dzisiaj jest pierwszy. Czy zawołałaś rano «Królik!»?*. Przydałby ci się uśmiech fortuny”. - Skąd wiedział, która jest godzina, nie mówiąc o dniu miesiąca? Innym razem poprosił: „Daj mi trochę cukru, zanim wyjdiesz”. Ginger powiedziała jej, że był to jego stary sposób upominania się o pocału-

* Przesąd popularny w krajach anglosaskich. Zawołanie „Królik” zaraz po obudzeniu ma zapewnić pomyślny miesiąc (przyp. tłum.).

nek na dobranoc. Nigdy nie pytał o stan swojego zdrowia ani o to, dlaczego od tylu lat mieszka tutaj, zamiast u siebie w domu. „Światła się palą, ale nikogo nie ma w domu” - odpowiadała, kiedy mieszkańcy Swan zagadywali ją o niego. - Przykro mi z powodu tego, co się stało, doktorze. - Po trosze naprawdę tak było, a po trosze była ciekawa jego reakcji.

Mason szturchnął widelcem smażoną szynkę na talerzu.

- Co to za ofiara ciężkiego poparzenia? Tatuś nie gustuje w takich specjałach.

GINGER WYOBRAŻAŁA SOBIE RZEKĘ w te noce, kiedy nie mogła zasnąć. Nie była tam od półtora roku - podczas ostatniej choroby ojca przyjechała na tak krótko - ale nawet o tysiące mil stamtąd potrafiła sobie wyobrazić, jak jedzie białą piaszczystą drogą, skręca koło wielkiego dębu, widzi zza drzew duży kamienny komin i nagle wyjeżdża na zalaną słońcem polanę. J.J. zatrzymał samochód obok swojego ubłoconego dżipa.

- Znowciu w domciu - powiedziała Ginger, naśladując dziecinne powiedzonko J.J.-a.

W dwudziestym wieku lustro wody nigdy nie podniosło się wyżej niż o cztery i pół metra nad linię brzegu, ale w roku 1897, na rok przed zbudowaniem tego domku, rzeka zalała całą porośniętą karłowatymi palmami równinę na dwa tygodnie. Dzięki temu John Mason mógł kupić pięćset akrów, w tym sześćdziesiąt wzdłuż rzeki, po piętnaście dolarów za akr. W najwyższym punkcie terenu zbudował ten domek z sosnowych bali, który zawsze, gdzieś na poziomie metabolizmu, był dla Ginger i J.J.-a domem.

Ginger myślała o tym miejscu jako o innej, odwrotnej stronie ich życia.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała cicho, zagryzając dolną wargę. - Czy to nie jest przedsiónek rajy?

- Może nie w tej chwili. Idź na parę minut na pomost, a ja tu tymczasem wywietrzę. Kiedy Scott mi powiedział, co się stało, w pośpiechu zapomniałem wyjąć okoni ze zlewu. Muszą nieźle cuchnąć.

Ginger mimo wszystko weszła do środka, zatykając nos.

- Nie jest tak źle.

J.J. otworzył na oścież tylne drzwi i popędził z rybami do lasu. Ginger chodziła z pokoju do pokoju. Chociaż J.J. miesz-

kał tu prawie przez cały czas, niewiele się zmieniło. Kiedy byli dziećmi, Catherine wyrzuciła połowe łóżka i zardzewiały sprzęt rybacki, pozostawiony przez dwa poprzednie pokolenia. Duży Jim nie bywał tutaj, odkąd jego dzieci dorosły, bo Mama Fan nie zносиła domku nad rzeką. Mysz, która wyskoczyła z puszek z mąką, zostawiając drobne, białe ślady na podłodze, wystarczyła w zupełności, żeby jej obrzydzić to miejsce, a potem na domiar wszystkiego znaleziono węża, zwiniętego w kłębek pod łóżeczkiem, w którym spała mała Lily. Mama Fan wyjechała do domu w środku nocy i więcej nie wróciła. Z jej starych, spróchniałych krzeseł i zapleśniałych materaców zrobiono którejś niedzieli piękne ognisko, kiedy Catherine opróżniła pomieszczenia przy pomocy trzech wynajętych ludzi. Od tamtej pory domek nad rzeką był jej ustroniem, miejscem, gdzie Wills mógł się schronić przed ciągłymi telefonami, dzieci mogły się wyszaleć, a ona sama nastawiała głośną muzykę, szkicowała w swoich notatnikach i wędrowała po lesie w poszukiwaniu dzikich azalii, róż Cherokee i fiołków, które mogłaby przesadzić w pobliże domu. Tak jak kiedyś ich rodzice, Ginger i J.J. kochali długi, biegnący wzdłuż całego frontu ganek, podwójne drzwi z siatką od owadów, otwierające się na potężny, niemal na dwa piętra wysoki główny pokój z kamiennym kominkiem, o ścianach wykładanych drewnianymi balami. Z tego pomieszczenia prowadziły drzwi do kuchni i trzech sypialni. Catherine znalazła wiejskiego stolarza, który zrobił łóżka z sosnowego drewna. Przechodziła okolicę w poszukiwaniu kołder z motywem „ślubnej obrączki” i „drzewa życia” (zarówno w jej rodzinie, jak i w rodzinie Willsa wszyscy mieli po dwie lewe ręce do szycia) oraz miejscowych rustykalnych mebli. Jej najcenniejszym znaleziskiem były dwa osiemnastowieczne myśliwskie stoliki z orzecha, do dzisiaj stojące po obu stronach drzwi.

Ginger zajrzała do pokoju, o którym wciąż myślała jako o pokoju rodziców, chociaż J.J. dawno się do niego wprowadził. Znad jego biurka, stojącego pod oknem, widziała łuk rzeki w kształcie wielkiej litery C. Dzienniki J.J.-a, dwadzieścia czy dwadzieścia pięć identycznych szkolnych zeszytów w czarno-białe ciapki, stały rzędem wzdłuż tylnej krawędzi blatu. Ostatni leżał otwarty okładką do góry, pióro obok niego. Ginger zawsze miała ochotę przeczytać te dzienniki, ale

udało jej się tylko zerknąć czasem do środka, kiedy porwała któryś i uciekała z nim, dopóki J.J. jej nie dogonił i nie odebrał swojej własności. Nie chciała być wścibska, chciała po prostu zrozumieć tego swojego brata, pogromcę niewieścich serc o ciętym języku, ukrytego pod maską myśliwego-zbieracza, człowieka z lasu. Ale te ukradkowe spojrzenia ujawniły jedynie notatki na temat indiańskich rytuałów inicjacyjnych i ptasich głosów, spisy przeczytanych książek i szczegółowe opisy tego, co widział wokół siebie, z rysunkami wykonanymi kolorowymi kredkami: kwitnący dereń przed domem któregoś z dzierżawców, szarobłękitna czapla, stojąca nieruchomo na jednej nodze w potoku Yellow Jacket Creek, krucha bladozielona ćma, która usiadła mu na dłoni, niebieskawy kamień w kałuży cienia. Nawet te migawki - ta delikatność i precyzja rysunku - odbierały jej odwagę do dalszej lektury. Narożnik przy łóżku był zabudowany półkami na książki. J.J. ustawił obok skórzany fotel, przetransportowany z dawnego gabinetu ojca. Była tam wyłącznie historia, mitologia, książki o ptakach i rybach, geologia. Wyobraziła go sobie, jak czyta i robi notatki przez całe przedpołudnie, gdy ona jest o tysiące mil stamtąd. Orzeł i reszka, inny świat. Poza tym pokój wyglądał jak dawniej. Ginger spojrzała na ciężką zasłonę, pochodzącą z dziecinnego pokoju Catherine. Przesunęła książkę leżącą na marmurowym blacie, żeby zobaczyć skazę, którą jej mama zrobiła przed wielu laty, kiedy postawiła na nim wilgotną butelkę zmywacza do paznokci. Ginger obwiodła palcem ledwie wyczuwalny, owalny kształt. Catherine pozwalała jej malować paznokcie, nawet kiedy była małą dziewczynką, chociaż Mama Fan twierdziła, że to strasznie pretensjonalne u takiego małego dziecka. Drzwi do jej pokoju nie chciały się otworzyć. Pchnęła je ramieniem i rozsunęła zasłony w białe i niebieskie pasy. Okna wychodziły na otwartą, porośniętą pnączem wiatę. Obok było kamienne palenisko z rusztem, gdzie ich rodzina jadła latem prawie wszystkie obiady. Jutro, powiedziała sobie. Jutro będę leżeć na plecach w tym łóżku i słuchać pszczoł brzęczących w winogronach. Nastawię stare płyty i upiekę czekoladowe ciastka. Pójdę pieszo aż do naszej kryjówki. Na ścieżce znajdę piękne groty od strzał. Włożyła kostium kąpielowy i przebiegła pędem obok J.J.-a, który mył ręce w kuchni.

Stała na skraju pomostu, zbierając się w sobie przed skokiem do zimnej wody. Wreszcie skoczyła z głośnym krzykiem, zatykając nos, i popłynęła w górę rzeki, dla przyjemności późniejszego spływania z prądem. Powyżej oczyszczonych brzegów w pobliżu przystani zaczynały się gęste zarośla dzikich jagód, karłowatych palm i owitych pnączem sosen. Tam gdzie brzegi zbliżały się do siebie, gałęzie dębów rosnących po obu stronach rzeki splatały się ze sobą. Przez półprzymknięte powieki Ginger widziała groty światła przebijające liście. Unosiła się przez chwilę na wodzie, po czym zawróciła i znów popłynęła pod prąd, w stronę źródeł, ostro pracując nogami. J.J. skoczył na główkę z pomostu i po chwili znalazł się obok niej. Wygramolili się na piaszczysty skrawek, po czym, chwytając się korzeni, wspięli się po śliskiej glinie na wysoki, trawiasty brzeg.

- Dobra, O Hisagita Immisee! - Ginger pobiegła pod górę, w stronę źródeł. Lina była żółta, zrobiona z jakiegoś tworzywa. Kiedyś huścili się na pnączach, potem na konopnym sznurze, a teraz J.J. zawiesił tę linę, przypuszczalnie aby mieć pewność, że się nie zerwie. - Ty pierwszy. Ja nie wiem, czy się zdobędę na skok w ten lód.

Jako dzieci wymyślali kunsztowne rytuały, inspirowane książkami o Indianach z plemienia Creek. Hisagita Immisee, imię plemiennego boga, tłumaczyło się jako „wstrzymujący oddech”. Sądziło się, że nazwa ta musi oznaczać znakomitego pływaka, który potrafi wstrzymać oddech na tak długo, żeby dotrzeć do źródeł wody bijących na dnie. Kiedy J.J. po raz pierwszy dopłynął do dna i włożył palec w błękitny otwór, został wielkim Hisagitą Immisee. J.J. chwycił linę, cofnął się dla lepszego rozbiegu, śmignął i spadł do wody. Wypląnął na powierzchnię i dał nurka z powrotem. Ginger patrzyła, jak obrysowana światłem jasna plama jego ciała zachodzi błękitem, w miarę jak parł w dół przez warstwy coraz głębszego chłodu, aż w pobliżu dna stał się jedynie niewyraźnym cieniem. Wiedziała, że tam, na dole, wrażenie zimna zmienia się w odczucie gorąca, bo jeszcze większy chłód zamieniłby człowieka w kawał lodu. Jej płuca czuły napór jego wstrzymywanego oddechu. Przyciągnęła linę za pomocą kija, rozhuściła się, opierając stopy na dużym węźle, raz, drugi... wreszcie puściła się i spadła do wody. Wyplą-

nęła na powierzchnię, chwytając gwałtownie powietrze pod wpływem lodowatego szoku. Zanurkowała i płynąc z otwartymi oczyma, minęła J.J.-a, mknącego jak strzała w górę. Ich oczy się spotkały - jego rozszerzone głodem czy strachem: tors jak z białego marmuru, nogi pracujące niczym odnóża jakiegoś prymitywnego płaza i te oczy, nagle niepoznawalne, niby oczy posągu, wywindowanego na powierzchnię z jakiegoś zatopionego przed wiekami wraku. Myślała, że nie zdoła dotrzeć do dna, ale rozgarniała wodę niczym ciężkie aksamitne zasłony, pracując nogami z wystudiowaną siłą, i oto była przy białej, piaszczystej szczelinie i trzech granatowo-niebieskich otworach, które mieli straszną ochotę spenetrować jako dzieci, wyobrażając sobie królestwo, gdzie meble z drewna wyrzuconego przez morze inkrustowane były perłami i muszlami, gdzie prawdziwy Hisagita Immisee mieszkał wśród bajecznych, wymarłych rzecznych istot bez oczu, gdzie z wnętrza ziemi tryskała ogniście lodowata, nieskazitelnie czysta i święta woda. Słyszeli też, że zmarli niewolnicy zamieszkiwali krainę rozciągającą się pod dnem rzek. Choć czuła, że jej płuca tężeją, podstawiała dłonie pod rwącą wodę, żeby poczuć zawsze tak samo rozkoszny dreszcz energii rozchodzącej się wzdłuż ramion i kręgosłupa, po czym zaczęła się wspinać ku sklepieniu światła, ku powierzchni. Leżąc na trawie i dysząc ciężko, J.J. poczuł, że głowę rozdziera mu ból: ostry nóż, rozcinający cienką kopertę. Migrena. Z lewej strony, na obrzeżach pola widzenia pojawiły się świetlne zygzaki. Ginger stała nad nim, strząsając z włosów krople wody na jego pierś.

- Hola - powiedział, siadając. - Zbierajmy się lepiej. Słońce już nisko.

Ginger wyglądała, jakby znów była sobą, taką jak dawniej, gdy tak skakała na jednej nodze, stukając się w okolice ucha, żeby wytrząsnąć wodę, i rozczesywała palcami włosy, których kolor ich matka określała jako „truskawkowy blond”. Pod wodą wyglądała, jakby mogła płynąć w nieskończoność, niczym nimfa, która powraca na ziemię raz do roku. Ciągające się za nią włosy były koralowe w prześwieślonej słońcem wodzie, usta otwarte, jak gdyby woda przepływała przez nią na wskroś, oczy rzucały szybkie, prześlizgujące się po otoczeniu spojrzenia - wszystko to, gdy się

mijali, on w drodze ku górze, ku powietrzu, o tyle łatwiejszej niż jej droga w dół, w głąb wody rozgarnianej drobnymi strzałkami dłoni. Małe bąbelki powietrza, wypływające z nosa, biały spieniony szlak, pozostawiony przez jej pracujące z wytężeniem nogi... i znikła, a on wyprysnął na powierzchnię. Patrzył na nią teraz spod zmrużonych powiek, a w jego głowie pęczniała ogromna cisza.

W TOALECIE u TRZECH SIÓSTR Ralph i Gray namydliłi po łokcie, po czym starannie wyszorowali ręce. Było późno, ale Marta wciąż miała w piekarniku sporo rzymskiej pieczeni.

Trzy siostry, właścicielki kawiarni, wyglądały i ubierały się identycznie, chociaż w różnych kolorach. Obsługująca kasę Angela nosiła się na żółto, kelnerka Emily na czerwono, a kucharząca Marta na zielono. Wszystkie miały krótkie, kręcone fryzury w kolorze o nazwie „Bronze Aura” i używały niebieskiej kredki do oczu, które wydawały się dzięki temu okrągłe jak u lalek. Wychowały się w Swan ze swoim owdowiałym ojcem i, o ile komukolwiek było wiadomo, żadna z nich nie widziała nigdy potrzeby jakiegokolwiek związku poza ich własnym ścisłym kręgiem. Kiedy się posilali, Ralph otworzył raport swojego dziadka w sprawie śmierci Catherine Mason. Był napisany na starym remingtonie, wciąż stojącym na biurku w jego gabinecie.

SPRAWA nr 802 3.09.1956 r.

Catherine Phillips Mason, zmarła na skutek rany postrzałowej po samobójczym strzale w serce. Nie podejmowano prób reanimacji. Znaleziona pod domowym adresem przez córkę Wirginię, lat 12, o godz. 15.30, na podłodze w kuchni obok przewróconego krzesła (Załącznik nr 1). Zgon ok. godz. 13.00, według oszacowania dra Dare'a.

Ralph zerknął na małą fotografię, przyklejoną do kartki popękana, przezroczystą taśmą. Catherine leżąca na podłodze w kałuży krwi. Boso, co wskazywało, że nacisnęła cyngiel

125

palcem od nogi. Ubrana w białą letnią sukienkę w czarne grochy. Boże, co za widok dla Ginger. „Spodziewała się ciepłych pierniczków, a oto, co zastała” - słyszał słowa powtarzane przez lata. Strzelba leżała obok zmarłej, niemal przytulona do jej boku.

Emily przyniosła koszyk kukurydzianych paluszków w kształcie małych kolb kukurydzy. Zerknęła na kartkę leżącą przed Ralphem.

- Dobry Boże - powiedziała. Jeden rzut oka wystarczył, żeby rozpoznała szlachetne czoło i niezapomniane oczy Catherine Mason.

Raport mówił dalej:

Posterunek został zawiadomiony przez Carla Rowena, najbliższego sąsiada, który znalazł Wirginię (Ginger) Mason na środku Palmetto Road w pobliżu jej domu. Według zeznań dra Willsa Masona, jego żona miewała okresy depresji, ale nic nie wskazywało, żeby kiedykolwiek wcześniej próbowała się targnąć na swoje życie. Przypominał sobie, że przed urodzeniem ich córki Wirginii była zamknięta w sobie, ale w ostatnich latach nie było czynników źle wpływających na jej stan psychiczny. Broń, strzelba automatyczna marki Savage, kaliber 22, należała do dra Masona. Pocisk został wyjęty ze ściany. Dr Mason zeznał, że trzymał ją w niezamykanej szafce, razem z trzema strzelbami większego kalibru do polowania na zwierzynę płową. Nie był pewien, czy przedmiotowa broń była nabita. Pokojówka, Tessie Mae Cartwright, miała wolny dzień i przebywała w miejscu swojego zamieszkania przy West Orange. Zeznała, że między 11.00 a 12.00 robiła zakupy w Dixie Market i McMillan's Five-and-Ten, a potem odwiedziła swoje kuzynki Sally i Precious Cartwright, zamieszkałe przy East Oconee, z którymi spożyła południowy posiłek. Zostało to potwierdzone przez kuzynki Cartwright. Dzieci państwa Mason przebywały w szkole. Dr Mason opuścił swój gabinet o 10.00, aby dokonać obchodu szpitala, który trwał do ok. 11.00, po czym, jak zeznał, pojechał do swojego letniego domu nad rzeką, gdzie miał się spotkać po południu z rodziną. Pani Mason nie miała znanych wrogów. Nie było śladów włamania czy walki. Zmarła nie zostawiła listu pożegnalnego.

Ralph podał kartkę Grayowi, który czytał dalej:

140

4.09.1956 r.

Dalsze przesłuchania najbliższych sąsiadów oraz przyjaciół i krewnych nie dostarczyły materiału do kontynuowania śledztwa. Cała społeczność jest wstrząśnięta i oburzona tym bezbożnym czynem.

Dwa kolejne wpisy zostały dodane ręcznie. Dziadek rzadko pisywał listy, nawet podczas ostatniego pobytu Ralpa w Wietnamie, po którym wystąpił z wojska. Ralph rozpoznał jego charakter pisma głównie na podstawie staroświeckiego, wymyślnego podpisu, który widywał na kartkach urodzinowych.

Ta smutna sprawa znalazła swój finał podczas wczorajszego pogrzebu (w załączeniu wycinek ze „Swan Flyover”). Porządna rodzina osierocona na skutek egoistycznego czynu. Nie rozumiem, jak ktoś mógł zrobić coś takiego swoim dzieciom. Kapłan odprawiający nabożeństwo powiedział, że jej znękana dusza znalazła pokój, ale pozostawiła kilka znękanych dusz tu, na ziemi.

7.09.1956 r.

Dzwoniła pani (Charlotta Anna) Crowder, zamieszkała w Macon, stan Georgia. Domagała się kontynuowania śledztwa. Twierdziła, że jako współlokatorka i przyjaciółka zmarłej z czasów koledżu wie ponad wszelką wątpliwość, że pani Mason nie popełniłaby samobójstwa. Wyjaśniłem, że nie ma śladów wskazujących na inną ewentualność.

Wpadła w histeryczny ton i powiedziała, żebyśmy ich poszukali. Twierdziła z uporem, że Catherine na pewno próbowała się bronić za pomocą tej strzelby. Żądała, żebym zapoznał się z notatnikami, które prowadziła pani Mason. Przeszukanie domu, które przeprowadziłem rano, nazajutrz po zabójstwie, wykazało, że w szafce z bronią znajdowały się cztery pudełka naboju i dziesięć pudełek łusek. Jedna z pozostałych trzech strzelb, winchester .30-06, była nabita. Nie widziałem żadnych notatników. Po telefonie pani Crowder zadzwoniłem z wielkimi oporami do dra Masona. Powiedział mi, że jego żona czasem coś pisała w zeszytach, ale on ich nie widział.

Gray podniósł zdjęcie do góry.

127

- Popatrz, ta strzelba. Ona wciąż ją trzyma po upadku z krzesła. Czy to jest pozycja człowieka, który dopiero co wysłał sam siebie na tamten świat? Wygląda, jakby spała, gdyby nie ten bałagan. Co się dzieje z jej dziećmi?

- Są w Swan. Muszą mieć przyjemne sny. - Ralph przeczytał ostatni wpis.

16.09.1956 r.

Analiza odcisków palców ujawniła odciski Catherine Mason. Stwierdzono również zamazane odciski innych osób, ale ślady te nie mają definitywnego charakteru. Cały materiał dowodowy wskazuje na śmierć przez samobójstwo.

Sprawa zamknięta.

Kiedy Ralph podawał Grayowi ostatnią kartkę, zwrócił uwagę na odwrotną stronę teczki. Jakieś gryzmoły. Odczytał naskrobane wzdłuż brzegu, charakterem pisma dziadka: *Duży Jim, R.I.P.* Pod spodem z trudem odcyfrował inicjały: *S* i coś, co wyglądało jak *B* albo *D*. I jeszcze: *Rotary Club 12.30.*

Gray dosłownie się rzucał na każdą kartkę. Wyraźnie radował go obrót, jaki przyjęła sprawa. W nagłym przypływie wyrozumiałości Ralph pomyślał, że jego dziadek pewnie nie był sobie po prostu w stanie wyobrazić, że Mason mógłby zamordować albo zostać zamordowany bez powodu, chociaż przeszukanie domu dzień po samobójstwie nie wydawało się zbyt mądre. Oni z Grayem w ciągu jednego poranka rozpracowali to, co najwyraźniej umknęło jego dziadkowi, który był na miejscu zdarzenia. Poczuł, że rozpiera go duma. „Bystrzak” - mawiał o nim dziadek, kiedy był dzieckiem.

Do jego świadomości utorowała sobie drogę scena sprzed wielu lat. Gdy był młodym chłopcem, jego dziadek często zabierał Dużego Jima w okolice Tallahassee na polowanie na przepiórki i gołębie. Dziadek w mundurze, służący za kierowcę i tragarza, i Duży Jim, ze swoimi lśniącymi sztucercami, ubrany w zamszową myśliwską kurtkę z tuzinem wewnętrznych kieszeni. Ralph pamiętał, jak Duży Jim rozłożył kiedyś szeroko poły tej kurtki. W kieszeniach były gołębie, z opuszczonymi główkami, jakby drzemały i mogły się w każdej chwili obudzić i odlecieć.

Babcia Ralph'a zawsze chodziła naburmuszona podczas nieobecności męża. Kiedy zmywała naczynia, trzaskała talerzami tak mocno, że Ralph się obawiał o ich całość.

128

- Ten stary kogut! Mówiłam twojemu dziadkowi i zawsze będę powtarzać, że Duży Jim załatwił mu fabryczne głośy, załatwił nam ten dom, i teraz ma go w garści. Duży Jim mówi: „Skacz!”, a on pyta: „Jak wysoko?”. Gotów jest wszystko rzucić. Po czym przynosi mi gołębie do skubania.

Już wtedy Ralph wiedział, że w niedzielę dziadek zazwyczaj obsługiwał radar przy drodze do Osceoli, zatrzymując Jankesów jadących polować na śnieżne zięby i kasując od ręki po dwadzieścia pięć dolarów za przekroczenie prędkości. To nie było łapówkarstwo. Każdy szeryf na Południu miał prawo do tego drobnego bonusu. Babcia nie lubiła, kiedy dziadek tracił tę część swojego dochodu.

Ralph wytarł czerwony sos kukurydzianym paluszkami, podczas gdy Gray kończył czytać. Miał nadzieję, że nie będzie kpił z przeszukania domu w dzień po śmierci denatki.

Gray odłożył akta i skupił się na jedzeniu. Chociaż nie zamawiali deseru, Emily przyniosła im dwie solidne porcje czekoladowego ciasta.

- Premia dla ostatnich klientów.

- Jesteś piękna - Gray błysnął zębami w uśmiechu. Ralph czuł się w obowiązku zwrócić uwagę na zapiski na odwrocie teczki.

- To mój dziadek był szeryfem - przyznał się.

- Cóż, nie bądź dla niego zbyt surowy. W tamtych czasach nie potrafili ustalić toru pocisku z taką dokładnością, jak teraz. Mam dziewięćdziesiąt procent pewności, że to nie ona pociągnęła za cyngiel. Sprawdzimy to wszystko z moim szefem. To najłatwiejsza zbrodnia pod słońcem: mąż strzela do żony i albo twierdzi, że nie wiedział o naboju w magazynku, albo pozoruje samobójstwo, po czym ją „znajduje” i jest do głębi wstrząśnięty. Zazwyczaj gdzieś tam w tle czai się kochaś. Trudna rzecz do udowodnienia, nawet dzisiaj. Wykrywacz kłamstwa może szaleć, a żaden sąd i tak na faceta nie spojrzy, bo to przecież nie jest kryminalista. Albo - Gray wycelował palec w Ralpa - może to właśnie zawiedziony kochaś wkroczył do akcji? I kto miałby ochotę otwierać tę puszkę? Samobójstwo to poręczny sposób na wymiganie się od śledztwa. No i zawsze jest jeszcze trzecia możliwość: ktoś przypadkowy.

Ale dlaczego jego dziadek tego nie pociągnął? - zastanawiał się Ralph. Nawet jeśli zawdzięczał Dużemu Jimowi stanowi-

sko i dom, to jego dobroczyńca już wówczas nie żył. Małomiasteczkowy bonza. Czyżby jego władza sięgała poza grób? A jednak dziadek odpuścił sprawę i właściwie sknocił robotę.

- Mój dziadek miał chyba zbyt wysokie mniemanie o tej rodzinie, żeby w ogóle rozważać taką ewentualność. - Kiepska wymówka, wiedział o tym. Wiedział też, że jego dziadek był lojalny jak pies.

- Może kogoś chronił? Słuchaj, w tej chwili nie to jest najważniejsze - powiedział Gray. - Interesuje nas przede wszystkim, kto rozkopał grób. Przy okazji, skoro ślady czerwonej farby na kamieniach zgadzają się z farbą na koparce tego ciecica, to oczywiście, że nasz człowiek umiał się czymś takim posługiwać. Co z tym grabarzem? Jest możliwe, że to jakiś zboczony typ? Facet wiedział, że jego maszyna była ruszana z miejsca, takie odniosłem wrażenie.

- Boże, nie. Staruszek po prostu zapomniał. Pracuje tam, odkąd pamiętam.

- Porozmawiaj z dziećmi, zorientuj się, co pamiętają, i zastanów się, kto jeszcze mógłby wchodzić w grę. Jeżeli doktor rzeczywiście ma kuku na muniu, to nie ma co sobie nim głowy zawracać. - Gray wziął ze stołu rachunek. - Macie tu w Swan niezłe przypadki. Pamiętam tego świrusa, który mieszkał nad garażem i chomikował w dzbankach własny mocz. Wezwano nas, kiedy mu to wszystko łupnęło... - Gray klepnął się po udzie z uciechy. - Był cały... był cały pochlasta-ny. Jeszcze w szpitalu pielęgniarki go nakryły, jak siusiał do dzbanka stojącego przy łóżku. - Lekko szturchnął Ralpa w ramię. - Coś wam tu chyba musieli dosypać do wody.

Po POWROCIE DO BIURA Ralph zadzwonił do Domu. Powiedział Lily, że chciałby się rano zobaczyć z J.J.-em i Ginger, że ma wieści z GBI, które mogłyby ich zainteresować.

- Jakie wieści? Czyżby znaleźli sprawców? - zapytała.

- Niestety, nie, proszę pani. Ale ogłosili stan pogotowia we wszystkich okręgach i przypuszczalnie rozprawią się z tym dość szybko. Chciałbym porozmawiać z J.J.-em i Ginger o kilku sprawach.

- Spodziewam się ich lada chwila. Przekażę im.

LILY TRZASNĘŁA KARTAMI O STÓŁ. Było to jej trzecie podejście do pasjansa. Duszony kurczak Tessie czekał na kuchni, stół był nakryty, napełniła nawet kominek kwiatami magnolii, kiedy skończyła grać w scrabble'a z Eleonorą. Nie przejmowała się tym, że Ginger i J.J. się spóźniają. Spóźniali się zawsze, a ona potrzebowała czasu, żeby ochłonać. Pociągnęła łyk dubonnetu z lodem z wysokiej szklanki. Telefon się urywał przez cały dzień, a teraz żaby zaczynały swoje irytujące rzepolenie. Ludzie dzwoniли tak, jak się dzwoni po czyjejś śmierci. Rowenowie, mieszkający po sąsiedzku, przynieśli nawet owocową galaretkę ze śmietankowym serem, której - wiedziała o tym - żadne z tych dwojga nie tknęło. Francuskie pieski, książkę i księżniczka od urodzenia, i Lily obawiała się, że miała w tym swój udział. J.J. nie jadł białka smażonego jajka, Ginger nie jadła żółtka. Ginger nie jadła ciemnego mięsa, J.J. jasnego, chociaż kłócili się o kość życzeń*, mimo że, o ile wiedziała, żadne z nich nigdy nie wypowiedziało ani jednego życzenia. Nie wiedząc, jak być dla nich matką, dogadzała im po prostu, jak umiała, i w sprawach jedzenia, i w innych, dając im to, czego, jak jej się wydawało, pragnęli. Zebrała karty ze stołu. Tym, co ją uwierało, był telefon od Ralph'a Hunnicutta. Ten człowiek coś przed nią ukrywał.

Lily zobaczyła światła reflektorów, omiatające drzewa przed domem, podskakujące na nierównościach podjazdu. Widząc opuszczone ramiona Ginger, wiedziała od razu, że jej bratanica jest w dołku. J.J. wchodził po schodach jak luna-

* Obojczyk kurczaka w kształcie litery „V” (dłuższa część po rozłama-niu przez dwie osoby wskazuje na osobę, której życzenia się spełnią (przyp. tłum.).

10. Słodka, leniwa..

131

tyk. Jego usta, otwarte niby u zziajanego psa, mogły oznaczać tylko jedno: ból głowy.

- Gdzie wyście się podziewali, przecież padacie na nosy!

- Wstąpiliśmy odwiedzić tatę. To nie było zabawne. Patrzył przez nas na wylot, jak przez szybę wystawową.

Powiedziałam: „Tato, to ja, Ginger”, a on na to: „Wiem. To hańba, że mnie nie odwiedzałaś”. Powiedziałam:

„Tatusiu, byłam o tysiące mil stąd, ale teraz jestem w domu”. A on: „Krwi się nie zaprzysz”.

- Zrobił listę rzeczy, których sobie życzył, kompletnie ignorując Ginger. Były tam krople do oczu, czekoladowe wafle, skarpetki. Rzeczy, których nie potrzebuje. Zawiozłem mu to samo niecałe dwa tygodnie temu. - J. J. przyniósł wodę z lodem, w której miał ochotę zanurzyć twarz. - Zjedzmy, i niech to już będzie za nami. Długo tu nie wysiedzę.

- Zaraz ci znajdę jedną z tych twoich tabletek - powiedziała Lily stanowczo. - Ty sobie usiądź tu w chłodzie i odpoczywaj, dopóki nie zaczniesz działać. Ten szeryf chce się z wami zobaczyć jutro z rana.

- Po co? Ustalili, kto to zrobił? - Ginger zrzuciła buty z nóg.

- Nie, coś tam z GBI. Nie powiedział mi. Miałam wrażenie, że unika konkretów.

Unikał konkretów? Nie brzmi ci to aby znajomo? - pomyślał J. J.

Oboje najchętniej poszliby na górę i zamknęli się, każde w swoim pokoju. Na granicy pola widzenia J.J.-a nadal zapalały się świetlne zygzaki. Ginger zaczynała się w tym wszystkim gubić. Zbyt łatwo zerwana została łączność z jej pracą i z Markiem. Wystarczyło kilka godzin spędzonych w domu i zawsze działo się to samo. Jej prawdziwe życie złuszczało się jak stara skóra, a dawna egzystencja zajmowała jego miejsce. Nikt nigdy nie pytał Ginger, co robi. Udzielało jej się ich tempo, ich problemy, unosił ją nurt życia, które toczyło się tutaj, z nią czy bez niej. „Kiedy wracasz do domu, dziecińo?” - pytali wciąż od nowa. Zbyt dobrze wychowana, żeby powiedzieć: „Nigdy”, kontrowała ich, mówiąc: „Jestem w domu w tej chwili”.

Klimatyzator w narożnym oknie jadalni pracował jak śmigłowiec przed startem. Lily odgrzała obiad zostawiony przez Tessie i otworzyła słoik pikli z arbuza. Swojskie krochmalone serwetki z wyhaftowanym przez Mamę Fan kaligraficznym

monogramem FML, kojący zapach magnolii z kominka i nieprawdopodobne zapachy domu łączyły się ze sobą. Jakim cudem Fleur de Rocaille - perfumy Mamy Fan - i ciężka woń cygar Dużego Jima mogły przetrwać tak długi czas? Ginger nagle poczuła się kompletnie wyczerpana, poza granicą odczuwania zmęczenia. Makabra. Jak mogła o niej zapomnieć tego popołudnia i skoczyć radośnie do źródła?

Lily nałożyła jedzenie na talerze i podała. J.J. pomyślał, że powinien jej pomóc. Lily musiała lecieć z nóg, ale jego własna głowa pulsowała do wtóru piosenki: „Zabierz mnie na mecz”*. Idiotyczna rąbanka rozsadzała mu głowę przy każdym uderzeniu krwi w skroniach.

- Lily, dzięki za ten cały trud. Przykro mi, że nie jesteśmy w najlepszej formie. Żadne z nas.

Kiedy Lily podawała sosjerkę w kształcie łódki, Ginger i J.J. uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

Rozpoznali sos „z gwoździa”, jej specjalność.

- Powiedzcie mi, jeśli ziemniaki są nie dość gorące. Te pikle, które Tessie zrobiła zeszłego lata, są palce lizać. Jaka szkoda, że Wills nie może być tutaj ze swoją rodziną. Wiem, że by tego pragnął. Serce mi się kraje, że siedzi tam sam rok po roku. Gdyby wasza matka nie...- było to zdanie, którego nigdy nie kończyła - ...myślę, że to by go nie spotkało.

J.J. odłożył widelec. Ścisnął dłońmi skronie w miejscu, gdzie czuł świdrujący ból. Wszystko, co kiedykolwiek się stało, było winą jego matki. Ginger nie zakrztusiłaby się podczas stanowych finałów konkursu oratorskiego, on poszedłby na medycynę, a ich ojciec nigdy by nie tknął kieliszka. Nazywali to udarem i był to udar, ale potężne ilości wypitego alkoholu i wyrznięcie głową o fajans przy upadku w łazience nigdy nie były uwzględniane w równaniach Lily. Czy było też winą matki, że ktoś zakłócił jej spokój po śmierci? Że ziemniaki nie były dostatecznie gorące?

Powiedział tylko:

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Ginger i J.J. nigdy nie stawiali Lily okoniem. Z jednej strony, po prostu nie było warto. Z drugiej, była wszystkim, co

* „Take Me Out to the Bali Game” - piosenka napisana w 1908 r. przez Jacka Norwortha, która stała się popularnym hymnem kibiców bejsbola (przyp. tłum.).

mieli przez te długie lata. Była, jaka była, ale starali się ją chronić bez względu na wszystko. Że nie ma co liczyć na prawdziwą rozmowę, zdawali się wyczuwać od dzieciństwa i nigdy tego nie próbowali. Zasada: „Nie rozmawiać przy służbie” wydawała się nabierać uniwersalnego charakteru, zmieniając się w: „Nie rozmawiać o niczym istotnym”. Jak gdyby Tessie i tak nie wiedziała o nich wszystkiego! Lily miała swoje zdanie na różne tematy, ale nie zgadzała się go weryfikować. W jej sposobie myślenia nie było miejsca na niejednoznaczność. Pierwotny wniosek stawał się definitywnym przekonaniem. Podczas pierwszych lat, które z nią spędzili, pragnęli jedynie zapomnieć o tym, co zrobiła ich matka, zapomnieć o miesiącach, kiedy ojciec wracał z gabinetu i nalewał sobie kielich burbona, zapomnieć o jego „wypadku”. Przeprowadzka do Domu była dla nich wybawieniem. Byli bezpieczni z Lily w domu Dużego Jima, w którym ich ojciec spędził dzieciństwo. Mama Fan, zamiast umrzeć zaraz po mężu, jakby stopniowo zbladła. Dużego Jima pamiętali jako mężczyznę w szorstkich brązowych ubraniach, który porywał ich na ręce, po czym dawał im kolorowe żelki. Kiedy byli starsi, pozwalał obojgu wybierać sobie bloczki papieru, czerwone ołówki i zszywacze z szafki z materiałami biurowymi. Pamiętali jego paznokcie u nóg, zakrzywione jak orli dziób; postukiwały o podłogę, kiedy chodził. I jego pogrzeb w deszczu, kiedy Lily dostała histerii na widok leżącej przy grobie wiązanki przewiązanej szpagatem, z karteczką: „Zawsze i na zawsze...”.

- Jedzenie na stole - zadumała się Lily. - Zawsze jedzenie na stole. Nie każdy może to powiedzieć. Żeby nie wiem co, człowiek musi jeść. Skoro tak, lepiej jeść dobrze. - Sama odsunęła się od stołu i zapaliła papierosa. - Prezydent zapewnił, że nasz narodowy koszmar się skończył, kiedy w zeszłym roku zamknęli połowę rządu. I wszyscy ci chłopcy wyglądali tak sympatycznie. Nie Nixon, oczywiście. Ten wyglądał, jakby go wystrugano z kartofla.

- Co to ma wspólnego z czymkolwiek? - zapytał J. J.

- Och, chciałabym po prostu, żeby nasz koszmar się skończył. To mi przypomina, że przestępca może być człowiekiem w eleganckim garniturze, kimś, o kim by się nigdy nie pomyślało.

Tylko Ginger rzuciła się na jedzenie, dokładając sobie ziemniaków puree, drugą porcję kurczaka, biorąc kolejny herbatnik.

- Brzoskwińskie babeczki. Powiedzcie mi, że Tessie zrobi jutro na deser brzoskwińskie babeczki. - Pamiętała, że w dniu jej przyjazdu Tessie szykowała kruche ciasto z truskawkami.

- Znasz Tessie. Jutro rano przynosi białe brzoskwinie.

- Nie mogę się doczekać. - Ginger, smarując herbatnik masłem, poczuła, że jej słowa odrywają się od niej i ulatują w powietrze, że jej ręka jest oddzielona od noża, który trzyma. - To surrealistyczne - powiedziała. - Mama z powrotem w zakładzie pogrzebowym.

- Skarbie, jedz na zdrowie i nie myśl o niczym.

- Przynajmniej tata mógłby wyjść z tego fałszywego futerału. - Była to fantazja z czasów dzieciństwa. Lalka o czarnej buzi, którą kiedyś miała, stała się blondynką, kiedy się ją odwróciło do góry nogami. Inną lalkę się rozkręcało, odkrywając kolejne, coraz mniejsze laleczki, włożone jedna w drugą. Miś panda się rozpinał, a w środku była piżama i nocna koszula. On też był tam gdzieś w środku.

J.J. wiedział, że zostało mu mniej więcej pięć minut. Nalał sobie kieliszek burbona, żeby Wspomóc swoją głowę. Poczł pieczenie w żołądku. Poszedł chwiejnym krokiem do łazienki i z wymiotował. Zazwyczaj przynosiło mu to ulgę. Sączył wodę z lodem, podczas gdy Ginger pochłaniała górę bitej śmietany i bardzo, bardzo czerwonych truskawek, na które nie mógł patrzeć.

- Pozwolicie, dziewczyny, że was przeproszę. Dzięki za uroczy dzień, jeszcze jeden spośród tak wielu uroczych dni, które odnotują kroniki rodu Masonów.

Ginger pomogła Lily powkladać naczynia do zlewu i splukać je, żeby Tessie nie zastała rano zbyt wielkiego bałaganu. Zrobiła dla Lily kawę, jak każdego wieczoru, kiedy tutaj mieszkała, i zaniósł ją do pokoju. Lily rozpuściła włosy, przebrała się w nocną koszulę i usiadła z filiżanką kawy w łóżku swoich rodziców, wsparta na poduszkach. Ten dzień wydawał się trwać tydzień. Chciała powiedzieć Ginger, że żadne z nich na coś takiego nie zasłużyło, ale czuła się pusta w środku. Ginger usiadła w nogach łóżka. Lily pamiętała ją, jak wisiała niczym małpka na drążku od baldachimu, aż

strach ją ogarniał, że drewno trzaśnie. Ginger uwielbiała pokój dziadków, organdynowy baldachim nad łóżkiem, toaletkę ze ślicznymi srebrnymi grzebykami, lusterkami i kryształowymi buteleczkami na perfumy, nawet nieczynny kominek ze zdjęciami nieżyjących ciotecznych babek, wujków, pradziadków i prababek na gzymsie. Galeria typów spod ciemnej gwiazdy, jak mawiała Mama Fan. Lily zastąpiła ciężki zielony jedwab rodziców perkalem w żółte kwiatki, na miejsce pachnącego stęchlizną wschodniego dywanu położyła wykładzinę, ale ozdobne lustro w złotych ramach i kryty niebieskim aksamitem niski fotelik o wytartych podłokietnikach były te same.

- Zanieś swojemu bratu dzbanek wody. Bardzo się męczy, kiedy go dopadnie ta migrena. Nie masz pojęcia, jak często przychodzi do domu niczym przepuszczony przez wyżymaczkę. Myślę, że to przez czekoladę. Podobno ser i czekolada wywołują te migreny. Ale Catherine też je miewała. Może J.J. odziedziczył tę skłonność po niej? - Lily żałowała, że to powiedziała.

Ginger milczała.

NAWET KLIN ŚWIATŁA PADAJĄCEGO Z PRZEDPOKOJU zdawał się pięścią wbitą w oko. Przelykanie było bolesne i miał uczucie, że galopuje na koniu pod nieustannie opadającym i unoszącym się namiotem z gazy. Siłą woli starał się zmusić dwie tabletki, żeby rozpuściły się w krwiobiegu i dotarły do rozpadlin kostnych i rozgałęzionych rzek w jego głowie. Kanaliki, kanaliczki pełne płynnego ognia. Czuł smak krwi. Zawsze bał się, że dostanie udaru, tak jak ojciec. Bańka krwi pęka - i po tobie. Spokój, powiedział sobie. Spokój. Niech będzie, co ma być. Dalekie poszczekiwanie sztućców i naczyń rozbrzmiewało zwielokrotnione w jego uszach, później woda lejąca się do wanny wydawała się przepływać z hukiem przez niego. Ginger miała kiedyś zwyczaj podśpiewywać w kąpieli „Błękitne Hawaje”. Tego wieczoru była cicho, chociaż J.J. wyobrażał sobie, że usłyszałby, jak mydło wpada do wody, prześlizgując się przez niego na wylot. Światło lampy z przedpokoju biło oślepiającym blaskiem w zaparowane lustro gdzieś w tyle czaszki. Ucisk w gardle, kręgosłupie, piętach.

Zwymiotował jeszcze raz, do miski, którą przyniósł ze sobą na górę, po czym zapadł z powrotem w coś, co znał jako czarną otchłań bólu nie do wytrzymania, bólu jak wizg elektrycznej piły, świdra, młota, bólu, który musiał pochodzić z zewnątrz, bo niemożliwością było, żeby zwykła ludzka czaszka mogła eksplodować z taką siłą. Przez godzinę leżał, nie otwierając oczu na torturę światła, nie mając sił zawołać Ginger, żeby zamknęła drzwi, nie będąc w stanie zrzucić butów z nóg. Pióra w poduszce dokuczały mu swoim szelestem, jakby znów chciały zacząć fruwać. Bicie własnego serca, zbyt głośne, tam-tam na wyniosłym płaskowyżu.

Zapadł w sen, unoszony falą gwałtownego przypływu. Zdawało mu się lub śnił, że idzie na operację mózgu. Obskurne szpitalne ściany, żelazne łóżka jak na oddziale malarycznym w tropikach... i nagle uświadomił sobie, że to szpital w Swan, nim ojciec go przeobraził. Widział ten szpital w wieku trzech lub czterech lat, i rozpoznał teraz, kiedy miał się za chwilę znaleźć pod wielką lampą, wielką jak słońce. Ojciec szedł szybko długim korytarzem, z oślepiającym słonecznym światłem na końcu. Ojciec we wczesnych męskich latach (może trzydzieści trzy, wiek perfekcji, jego własny wiek, wiek, do którego zbliża się Ginger), kiedy był tym kanciastym mężczyzną z fotografii, wspartym na opływowej masce swojego samochodu ze składanym dachem, którego klakson wygrywał kilka pierwszych taktów piosenki „Darktown Strutters' Bali”*. „Będę czekał na dole w taksówce, kochanie...”, ale w Swan nigdy nie było taksówek. Ogarnęła go radość na widok ojca w pełni sił i energii, chociaż szedł do niego, żeby go zoperować. J.J. nie pamiętał przeprowadzki z mieszkania w Emory, kiedy Wills zakończył staż, do jednego z domów Dużego Jima w Swan, który Catherine zawsze nazywała „chatką na miesiąc miodowy”. Teraz widział ojca, który znów był sobą. Wspaniałego mężczyznę. „Operacja mózgu, ale dlaczego? Co się dzieje?” - zapytał pielęgniarki. - „Niedorozwój szyszynki”. - J.J. chciał się roześmiać, ale żołądek mu się ścisnął. „Co to jest szyszynka?” - krzyknął w jej krótkowzroczne oczy. „To taka mała sosenka w twojej głowie, synku”. Kto to powiedział? Wieźli go szybko szerokim korytarzem, z czasów, nim ojciec przeciwstawił się staremu doktorowi Dare'owi i przebudował oddział, urządzając wyłącznie separatki. Duży Jim był burmistrzem i dopilnował tego. Jego syn miał mieć wszystko, czego zapragnął. „Możecie mieć wszystko, czego zapragniecie na tym świecie” - lubił powtarzać swoim dzieciom i wnukom. Kiedy ojciec dopiero co rozpoczął praktykę i miał właśnie przyjąć swój pierwszy poród w Swan, zastał na sali operacyjnej doktora Dare'a, nastawiającego złamaną nogę swojemu psu. Wills strzepywał psią sierść ze stołu operacyjnego, kiedy wwieziono kobietę z pełnym roz-

* Standard wylansowany w 1917 r. przez jeden z pierwszych zespołów jazzowych z Nowego Orleanu (przyp. tłum.).

warcie. Majaki zaczęły nagle odpływać. J.J. czuł się, jakby jego myśli przesączały się przez warstwy deszczu, przez sypką ziemię, niemającą dna. Pozostał tylko obraz ojca idącego w jego stronę, jego wielkie ciało, teraz bezsilne i apatyczne przy oknie w domu opieki, energia roztrwoniona, dwa ludzkie istnienia, zmarnowane w beznadziejny sposób, spirala cierpienia, w którą wpadł jego ojciec na skutek ekwilibrystycznego wyczynu matki. Czy i przedtem było cierpienie? Czym spowodowane? Wojną? Wills nigdy nie mówił o wojnie. I żadne z nich nie mówiło potem o Catherine, wstyd zamknął ich we własnym kręgu, punkt był zbyt czuły: jej miłość, która miała zostać unieważniona na zawsze.

Mówili o czasach: „przed wypadkiem”, kiedy Wills szedł po przyjeździe z pracy prosto na oszkloną werandę, opuszczał żaluzje i otwierał barek. Stojąc w drzwiach, J.J. widział, jak pije prosto z butelki, nim jeszcze odstawił torbę. Pozostawała Tessie, żeby się nimi zająć, dać im jeść. Mówiła łagodnie: - Po prostu nie zwracajcie na niego uwagi. - Jedyna sensowna rzecz, jaką można było powiedzieć w tej sytuacji. Po szkole niedzielnej, do której ich zawoził, czekali na chodniku, aż po nich przyjedzie. Czasami zapominał. Na zajęciach z Biblii uczyli się o kobiecie, która obejrzała się-za siebie i zamieniła się w sól, o ojcu, który chciał złożyć w ofierze swojego syna, o bracie, który zabił swojego jedyne brata. Latem wysłano ich na długi obóz w Karolinie Północnej, a potem do Vidalii, do Memy, ich babki ze strony Phillipsów. Babka była niewidoma i miała hipochondryczne skłonności, perorowała na przemian o tym, jak to ojciec rozpuszczał Catherine, i o tym, że ta nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, gdyby nie weszła do bezwstydного klanu Masonów. Pomstowała na Willsa, że się stacza, nazywała go egoistą. J.J. i Ginger uciekali i bawili się przez cały dzień w wapiennych grotach za domem. Chociaż byli już na to za duzi, lepili figurki koni z czerwonej gliny z klepiska grotu i suszyli je na słońcu. Na koniec senna wizja przenosi się nad strumień za domem Memy. Znow, jak kiedyś, szukają z Ginger skarbów, w pewnej chwili on zanurza dłonie w płytkiej wodzie i natrafia na złożę idealnych kwarcowych kryształów, przejrzystych niczym woda ściekająca między palcami jego złożonych dłoni. Sen znow się zmienia i J.J. tkwi zawieszony bez ruchu niczym pstrąg w przezroczystej wodzie. Bez ruchu.

WYGLĄDAŁ, JAKBY SPAŁ. Ginger weszła po cichu, niosąc dzbanek wody i szklanę.

- Jak się czujesz? Przyniosłam ci mokry ręcznik. - Tak jak robiła to w czasach, kiedy chodzili do ogólniaka, zawinęła w ręcznik kostki lodu i przyłożyła mu do czoła. Wyplukwała w łazience miszkę. Delikatnie zsunęła mu z nóg buty.

- Boże, wciąż jest pod górkę. To światło... - Zrobił słaby gest w stronę drzwi.

- Zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Zostawię drzwi otwarte.

Ginger zgasła światło w przedpokoju i poszła po omacku do siebie. Zegar Dużego Jima wydzwonił jedenastą.

„Dzwony Westminsterkie” - tłumaczyła im kiedyś Lily i Ginger jako dziecko zawsze wyobrażała sobie mglisty Londyn i koncentryczne kręgi kurantów, rozchodzące się nad dachami. Wiedziała, że kolejne dźwięki są dla J.J.-a jak uderzenia obuchem. Człowiek musiał odliczać wraz z zegarem każdą godzinę dnia - lekkie *bim* co kwadrans i pół godziny, odmierzające wzrost i przybór godzin, kasowanych potem, aby wszystko mogło się zacząć od początku. Pełne godziny brzmiały uroczyście, odliczane z namaszczeniem w ciemnościach. Smutne *jeden*, urwane *dwa*, rytmiczne *trzy*, schludne, optymistyczne *cztery*, natarczywe, rozpychające się *pięć*, po nim *sześć* - nagłące *już, już, już*, twarde *siedem* - godzina wstawania do szkoły, *osiem* - godzina pszczołki robotnicy, *dziwięć*- trochę magiczne, *dziesięć* jak rozsypane kamyki, *jedenaście* - coraz większy chaos, za dużo tego, i wreszcie dwanaście twardych uderzeń, czas przeobrażeń, szklany pantofelek zmienia się w drewniany chodak. Szła po ciemku, wyczuwając pod stopami szerokie deski podłogi, wyciągnęła rękę w stronę łóżka

z toczonymi gałkami dokładnie w chwili, gdy się przy nim znalazła, po czym odrzuciła kapę. Gry liczbowe, sny liczbowe, przez ileż to nocy przychodziły jej w sukurs. To musiało się zacząć w pierwszych latach pobytu w Domu, kiedy zasypiała przy dźwiękach Big Bena, budząc się w środku nocy z uczuciem przerażenia, że jest ostatnią osobą, która pozostała przy życiu na całej planecie. Wtedy mnożyła bez wytchnienia jakąkolwiek liczbę, na przykład cenę batonika czy swetra, przez dwa, cztery, sześć, osiem, dziesięć, i tak dalej, i tak dalej, a potem od początku przez jeden, trzy, pięć... Eleonora Whitefield, nauczycielka matematyki, była zdumiona jej umiejętnością niemal automatycznego wykonywania działań. Wszyscy wiedzieli, że Duży Jim umie dodać w pamięci kolumnę trzycyfrowych liczb - widocznie wnuczka odziedziczyła po nim tę zdolność. Ginger nauczyła się zasypiać z głową wypełnioną liczbami. Liczby przenikały do jej snów, rozrastając się i wymykając spod kontroli. Ile jest 582993 razy 93886? Zaczynała szaleńcze rachunki na palcach, ale liczby rozplływały się w przestrzeni i budziła się z uczuciem bolesnego niedosytu. Nienawidziła tych liczbowych koszmarów i wtedy zaczęła praktykować inne sposoby: szczęśliwe wspomnienia, zwierzęta, które kochała, najpiękniejsze miejsca, jakie widziała, a ostatnio ulubione etruskie obrazy i figurki wotywnie.

Chciała myśleć o swojej pracy i o Marcu, chciała go jakoś w tym wszystkim odnaleźć. Nie potrafiła przywołać zapachu pomarańczy, trawy, irysów. Ostatnio czuła się spokojniejsza i często udawało jej się zasnąć bez tych rytuałów. Jej umysł był jasny i skoncentrowany na pracy. Nie musiała walczyć z irracjonalnym poczuciem beznadziejności, które ją prześladowało, albo z nagłymi przypiływami nieśmiałości, graniczącej ze wstydem, o którą mało kto by Ginger podejrzewał. Marco. Usiłowała wywołać w wyobraźni jego twarz, ale widziała tylko radosnego flecistę z malowidła w mrocznym etruskim grobowcu w Tarquinii, jego wesoły krok i kędzierzawe włosy. Próbowala wyobrazić sobie melodię, którą grał. Piskliwą, przeszywającą, nieziemską. Jakie to dziwne. Kiedy zaczynała nareszcie poznawać smak wolności, smak bycia dorosłym, matka w brutalny sposób opuszcza grób. Ginger wiedziała, że wyszukane gry zaczynały się, kiedy nie mogła, w żaden sposób nie mogła my-

śleć o matce, kiedy jej gniew i poczucie bezradności nie potrafiły sobie znaleźć ujścia. Wiedziała, że musi przetrwać. Wiedziała to, kiedy miała dwanaście lat, nawet wtedy na drodze, kiedy biegła nieprzytomna, spłakana, po znalezieniu matki leżącej z nienaruszoną twarzą w kałuży krwi, krwi, ha której się pośliznęła. Własny krzyk, którym do tej pory rozbrzmiewało całe jej ciało, spalone odpryski ciała matki na sukience, huk zatrzaskiwanych drzwi, bieg, zalewająca ją fala gorąca, kurz, pani Ro-wen, pytająca: „Kochanie, kochanie, co się stało?”, próbująca ją objąć, podczas gdy ona wrywała się jak szalona, aż w końcu wykrztusiła, że ktoś zastrzelił mamę, że mama nie żyje. Miała tę świadomość w różnych późniejszych sytuacjach, takich jak wtedy w toalecie w restauracji, kiedy ogarnęła ją niespodziewana panika, że jej przyjaciele odjechali i zostawili ją samą na drodze, albo kiedy umysł nagle przestawał działać i w ogóle nie była w stanie myśleć. Wiedziała, że musi przetrwać.

Zaczęła przeżywać to od początku. Jej zwykłe ćwiczenia gimnastyczne nie były w stanie tego oddalić. Te same pulsujące jak w stroboskopie kolory, ten sam przeraźliwy krzyk w jej głowie, czy to była migrena J.J.-a pod inną postacią?

Próbowała wywołać obraz pudełka pełnego etruskich kamieni. Co z tymi złotymi kamykami - niektóre z nich ze spiralnym motywem, rozbitym na fragmenty? Dwadzieścia pięć wieków pod ziemią, teraz wydobyte na światło dzienne jej własnymi rękami. Podniecenie, kiedy oczyszczała je z ziemi. Marco obok niej, na odgrodzonym sznurami terenie, dwie inne praktykantki, Cynthia i Jessica, każda na swoim odcinku - wszyscy wydobywają z ziemi fragmenty układanki. Ale jej myśli skreśliły w kierunku porannej sceny na cmentarzu, kiedy oczyszczała wyryte w ubłoconym kamieniu imię matki. Musiała się zmuszać do szperania w pamięci, wymagającego myślenia o matce. Sprzeciwiała się temu wszystkie jej wypraktykowane techniki. Pytanie, które obracała w myślach, brzmiało: Dlaczego? Dlaczego nie wiedzieli? Samobójstwo wymaga planu, być może całych miesięcy rozważania i odrzucania kolejnych wariantów. To niewyobrażalne, żeby jej matka wybrała jakąkolwiek broń palną.

Jak gdyby to było nagrane, odtwarzała sobie w kółko, podczas pierwszych tygodni po śmierci matki, ich ostatnią rozmowę. Szkoła dopiero co się zaczęła.

Ginger była w siódmej klasie. Mama zrobiła na śniadanie gofry, ale Ginger nie chciała ich jeść. Chciała tosta z cynamonem i sok pomarańczowy. Tessie zawsze robiła tosty, takie jakie ona lubiła, ale tego dnia miała wolne. Ginger siedziała na kuchennym blacie i stukwała piętami w drzwi od szafki.

- Nie rób tak. Farba odpryśnie. Zejdź stamtąd i zjedz śniadanie, bo się spóźnisz. Tatuś musi iść. - Mama obierała ogórek nad zlewem. Zawinęła go w woskowany papier razem z marchewką i gałązką selera i włożyła, oprócz kanapki, do jej woreczka na drugie śniadanie. Tato wszedł do kuchni i nalał sobie kawy. Zerknął na pierwszą stronę gazety, która leżała już rozłożona na stole, i usiadł obok J.J.-a.

- Jak tam, młody człowieku, masz swój referat? - Ojciec pomagał J.J.-owi wyszukać informacje o Seminolach na zajęcia z historii stanu.

J.J. skinął głową.

- Mogę zjeść twojego gofra, Gin? - spytał. Jego włosy były mokre. Wyglądał jak mała wydra. Miał na sobie nową koszulę w kratę, porobił zgrabne okładki na swoje zeszyty z brązowych torebek. Był w pierwszej klasie ogólniaka. Dziewczyny już się za nim oglądały, nawet drugoklasistki.

- Sprawujcie się dobrze. Wieczorem jedziemy nad rzekę. - Mama dała jej na drogę dwa tosty z cynamonem i pojechali.

Pojechali i zostawili ją. Jej dłoń na klamce. Ginger pamiętała dokładnie dotyk tych drzwi, czarną metalową zasuwkę. Uniosła dłoń w zwykłym, pożegnającym geście. Drzwi się zamknęły, sylwetka matki zniknęła. Odjechali i zostawili ją, a ona się zastrzeliła. Nie, wróciła do chłodnej kuchni i zastrzeliła się dopiero po kilku godzinach. Co robiła przez ten czas,

O czym myślała? Czy wspominała dni, kiedy urodzili się J.J.

1 Ginger, ich główki pokryte dziecięcym meszkiem, które tuliła w swoich ramionach? Ich powieki jak białe płatki kwiatów? A może myślała o swoim ojcu, który nosił ją na barana? Ginger miała starą fotografię. Catherine z wijącymi się włosami, ściągniętymi wstążką, trzymająca na ręku małego cętkowanego pieska imieniem Pansy. Jego wilgotny, przypominający guziczek nosek dotykał jej policzka. Czy myślała o koronkowej kokardce na szyi szczeniaka?

Ginger wyskoczyła z łóżka. Chciała wejść do tej kuchni w innej roli - jako ktoś, kto wstrzymuje akcję, zmienia jej

bieg. Absolutna zwyczajność i banalność porannej sceny była bez sensu. Dlaczego człowiek miałby obierać ogórki i czytać gazetę, kiedy zamierza odebrać sobie życie? Jej matka miała żywy umysł i poczucie humoru. Po tylu latach Ginger nie bardzo już pamiętała konkretne sytuacje, ale pamiętała, że Catherine taka właśnie była. Lepiej zapamiętała łuszczącą się farbę i obracanie się zamka w kuchennych drzwiach, ich skrzypienie na dwojaką nutę, kiedy się je otwierało, wszystko to pamiętała lepiej niż błyskotliwość własnej matki. Jakże barbarzyńską rzeczą jest pamięć.

J. J. PSTRYKNAŁ WYŁĄCZNIKIEM PRZY ŁAZIENCIE i wsunął rękę do środka, żeby zamknąć drzwi od strony Ginger.

- Jesteś z powrotem między żywymi? - zawołała. Pojawiła się po kilku minutach.

- W tej chwili to pusty pociąg, tylko wagony klekoczą. - J. J. umył zęby, twarz i szyję, przetarł całe ciało mokrym ręcznikiem.

- Właśnie myślałam o tym poranku, kiedy umarła mama.

- Cóż, nie będę zakłócał chwili wspomnień.

- Gdybyśmy potrafili to zrozumieć...

- Mieliśmy za rodziców dwa niezłe modele, ot i wszystko... - J. J. zajął swoje zwykłe miejsce pod oknem.

- Nie myślisz tak.

- Nie? Matka samobójczyni. Śliniący się ojciec. Biedna Lily jako wzorzec osobowy z łapanki na trudne lata dojrzwania.

- To przez to nasze sielskie dzieciństwo. Dlatego to się wydaje takie brutalne. Może znieśliśmy to łatwiej, gdybyśmy od początku byli nieszczęśliwi? Przynajmniej wiedzielibyśmy, czego się spodziewać.

- Stare pocziwe nieszczęście. Nie kazało na siebie długo czekać.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś. Co czułeś, kiedy się dowiedziałeś? Ktoś przyszedł do ciebie na trening piłki nożnej i ci powiedział, a potem nie widziałam cię przez dłuższy czas. Dlaczego nie zabrałeś mnie ze sobą do naszej kryjówki? Zostałam sama u Rowenów. Pani Rowen wciskała mi na okrągło owsiankę. - Zastanawiała się, jak powiedzieć, że tego dnia jej życie rozpadło się na kawałki, a ona pędziła, usiłując utrzymać równowagę, na najmniejszym okruchu.

- Proszę cię, tylko bez wpędzania się w poczucie winy. Ale wtedy - rzecz szczególna - tak się właśnie czułem. Winny. Nie byliśmy dla niej dobrzy. Miała z nami urwanie głowy. Później, kiedy Tessie zawoziła nas na cały dzień do domku nad rzeką, zanim sam nauczyłem się prowadzić, szedłem do stojaka z bronią i sprawdzałem, jak to jest, kiedy się dotyka cyngli tych wszystkich strzelb. Kiedy miałem jakieś piętnaście lat, sypiałem z tą małą berettą Dużego Jima pod poduszką. Pistolet nie był naładowany, ale lubiłem wsuwać rękę pod poduszkę i znajdować chłodny cyngiel. Mama nie cierpiała odgłosu wystrzału z broni palnej. Nie było sposobu, żeby ją wyciągnąć na kaczki.

Ginger milczała, licząc, że będzie mówił dalej, ale on nie powiedział nic więcej. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz rozmawiali bez jego sarkastycznych czy ironicznych uwag, które trzymały ją na dystans. Nie znosiła też, kiedy przyjmował swoją pozę prostaka z prowincji.

- Myślę, że od tamtego czasu nigdy nie zaufaliśmy nikomu. No, może Lily, o tyle, o ile, i przyjaciołom (pomyślała o Marcu), ale to dogłębne, osobiste, całkowite zaufanie... tego, prawdę mówiąc, nie widzę.

Milczenie. Po chwili J.J. powiedział:

- Na przykład Mitchell. Myślałem, że z Mitchellem pokuśtykasz w stronę szczęścia.

- Dostałam alergii na jego punkcie. Nic nie mogłam na to poradzić. Działał na mnie jak trawa w porze kwitnienia.

Myślę, że zawsze byłeś mi bliski, bo byłeś jedynym człowiekiem, który rozumiał. Wciąż mimo woli się zastanawiam, jak by to było: zwykle, normalne życie. Ja wykopuję różne skorupy o tysiące mil stąd, ty spędzasz życie w lesie, niemal jak pustelnik, czytając o gadach i Indianach. Kiedy się nad tym zastanowić, jesteśmy po prostu powiększonymi dziećmi. - Ja taka byłam, pomyślała. Ale teraz zaczynam żyć jak inni ludzie. Nie jestem tak zahamowana, jak on.

- Cóż, ostatnie wydarzenia niespecjalnie sprzyjają odzyskaniu zakłóconej radości życia.

Znowu zaczyna, pomyślała Ginger.

- Zawsze myślałam, że będziesz pisarzem. Faulkner, Eudora Welty, Carson McCullers, Flannery O'Connor, James Agee, ktoś taki.

- Piszę przez cały czas. Tylko nie książki. Nie mam ambicji na miarę „Pieśni Południa” czy „Nie! Nie! Nie czuję nienawiści!”, wydyszanego w jankeskim akademiku”*. Nikt, jak dotąd, nie rozgryzł fenomenu Południa - wiesz o tym? Ale zbyt wielu strawiło życie na próżnych usiłowaniach.

- Południe jest jak antyczny grecki dramat. Różne sprawy dzieją się w Idaho i w Michigan, ale dzieją się w inny sposób niż tutaj. Tu jest inaczej.

- O tak. Te wszystkie stare mroczne sprawy, to bagno archetypów wciąga, wciąga... Coś dotyka małe dzieci już od kolebki: cień rozłożystego drzewa, generał Robert E. Lee, odjeżdżający w siną dal na Travelerze. I my wszyscy, znarkoty-zowani przez zapach magnolii.

- Nie kpij, to jest prawda. A mama? Czy dopuściliśmy kiedykolwiek myśl, że to pospolita makabra, bez tragicznego podtekstu? Ona też nie potrafiła wytłumaczyć, czemu, ile razy wyjeżdżała ze Swan, zawsze było to coś więcej niż wyjazd.

J.J. nie odpowiedział, więc ciągnęła dalej.

- Nawet Żydzi, którzy uciekli przed Hitlerem i Bóg wie czemu przybyli tutaj, wkrótce zaczęli dobudowywać kolumny na gankach swoich domów i stawać na baczność, kiedy orkiestra grała „Dixie” przed meczem. To miejsce wślizguje się do twojego wnętrza. Nawet ten nauczyciel przyrody z New Jersey, który się tu sprowadził, już po roku mówił dwa razy wolniej i co chwila wtrącał: „psze pani”. J.J., przyznaj, że coś w tym jest.

- Dobra, masz rację. Tylko widzisz, ja nie sądzę, żeby to się zaczęło od wojny secesyjnej, niewolnictwa czy magii starej plantacji. Pierwotna przyczyna jest bardziej związana z narkotycznym zapachem magnolii. W jakimś sensie to jest silniejsze niż wszystko inne, silniejsze niż ewolucja. Napletek wciąż pokrywa penis mimo pokoleń obrzezania. Natura nie drgnęła ani na jotę. Ale Feldenkreissowie, nazywający swoją córkę Lee Ann, zwracający się do niej „missy” i pijący miętowe koktajle, to jest właśnie efekt działania tego zaklęcia, które zostało na nich rzucone. To, co myślimy na temat Południa, do-

* Aluzja do powieści „Absalomie, Absalomie” W. Faulknera, której bohater, południowiec studiujący na Harvardzie, gwałtownie zaprzecza, kiedy współlokator pyta go, dlaczego tak nienawidzi Południa (przyp. tłum.).

ciera do nas wyłącznie za pośrednictwem kultury. Ale to sama ziemia trzyma nas w potrzasku: lasy, upał, woda. Wciąż mam nadzieję złowić jedną z tych bezokich ryb, o których wiemy, że gdzieś tam żyją w głębinie. Gdybym miał kiedykolwiek pisać, a jest to wielki znak zapytania, chciałbym napisać coś prostego i prawdziwego o ziemi. Ale trzeba też mieć fabułę. A żadnej z tych opowieści, które znam, nie chcę.

Ginger chciałyby otoczyć go ramionami albo zarzucić na niego wielką niebieską pelerynę. Czekala, czy będzie mówił dalej.

- Niestety, wszystko, co znam, nie licząc przyrody, to szurnięci dziwacy, fundamentaliści, rodzina złożona z nieudaczników i oznaki zbliżającego się dnia Sądu Ostatecznego. Nie mam zamiaru tego tykać.

- Ale ja chciałabym przeczytać to, co mógłbyś napisać. Nikt nigdy nie widział twoich notatników. Zostawmy w spokoju starych mistrzów, naszą rodzinę, stryczki na krzywej gałęzi czy fanatyków oplatających się drutem kolczastym. Thoreau* jest piękny. Ty żyłeś wśród lasów dłużej niż on. -W szkole średniej przepadali za „Waldenem”**, rozkładali się przed kominkiem - Ginger pod kocem na kanapie, on z nogami przerzuconymi przez fotela każde ze swoim egzemplarzem i czytali na głos, pojadając pikle. - Mógłbyś wyruszyć w podróż po Amazonii i odkryć nowe lecznicze rośliny albo orchidee, które uważano za wymarły gatunek. Może jesteś Bartramem*** albo Darwinem naszych czasów?

- Raczej nie. - Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego nie pisze. Instynktownie czuł, że życie w południowej Georgii każdego dnia przebija wszelką powieściową fikcję. Więcej nieprawdopodobnych zdarzeń, przemocy i szaleństwa niż na jakimkolwiek kilometrze kwadratowym na świecie. Ale nie tylko o to chodziło. Było coś jeszcze: uczucie ogromnej ciszy,

* Henry David (1817-1862), amerykański pisarz i filozof, okrzyknięty przez niektórych pierwszym environmentalistą (przyp. tłum.).

** Książka, w której H.D. Thoreau opisuje swój trwający ponad dwa lata eksperyment, polegający na życiu wśród lasu, na łonie natury (przyp. tłum.).

*** William (1739-1823), wybitny amerykański naturalista i podróżnik (przyp. tłum.).

11. Słodka, leniwa.

z której wyrywało się słowa, a potem brak, wielka biała przestrzeń, zamykająca się wokół nich z chwilą, gdy zostały zapisane. Kochał Ginger. Była kimś, z kim miał mieć do czynienia przez całe życie. Postanowił, że spróbuje jej wytłumaczyć, o co chodzi. - Znasz odgłos, z jakim ryba wyskakuje z wody? Gdybym potrafił zapisać to słowem, wiedziałbym, jak być pisarzem. Albo pszczoła, ten przenikliwy dźwięk, kiedy wraca do swojego roju? Słowa są wszystkim, co masz, żeby pisać, a większość rzeczy nie daje się zamknąć w słowach. Ginger czuła, co J.J. chce powiedzieć.

- Chodzi ci o to, że nie da się przeliterować wołania sowy albo odgłosu rozłamywania arbuza na dwoje?

- Tak. Uczą nas, że alfabet załatwia wszystkie dźwięki, ale on załatwia jedynie słowa. A słowa... - Brnął z coraz większym trudem. - Ciało. To, jak żyjemy wewnątrz ciała. Migrena. Seks. Strach. Władza. Czy można zapisać odgłos wystrzału, którego się nawet nie słyszało, ale który eksploduje w twoim ciele każdego dnia? Właśnie. - Czuł się słaby, ta przeklęta migrena zostawiła w nim pustkę. Zbliżył twarz do okna, dłoń położył na szybie, wsłuchując się we wszystkie razem odgłosy nocy: nadrzewne żaby, nocne ptaki, wdzięczny plusk źródlanej wody wpadającej do stawu - nokturn, który znał na pamięć. - Posłuchaj. - Na skraju stawu majaczyły dwa niewyraźne zarysy łabędzi Lily. - J-J-5 po prostu spróbuj. Pisz, co zechcesz. Nikt nie potrafi skopiować krzyku sójki czy plusku wody, ale czy nie po to właśnie jest muzyka? Bo nie potrafimy. Więc musimy tworzyć substytuty.

- Ginger, moja grzeczna dziewczynko, zawsze zwijająca sznurek od latawca. Mógłbym odfrunąć, gdybyś nie trzymała mnie na uwięzi.

- Lepiej nie odfruwaj. Jak możesz w ogóle mówić coś takiego?

Oboje się bali, że samobójstwo może być zaraźliwe. Teraz dowiedziała się o rosnącej nieufności brata wobec zajęcia, do którego, jej zdaniem, był stworzony. Będzie musiała przemyśleć to, co powiedział. Czy to była prawda? We Włoszech często nachodziły ją podobne myśli. Ziemia, pięknie obłaskawiona przez ludzi, gospodarujących na niej od niepamiętnych czasów, wydawała się tak ludzka w swojej skali, tak przyjaz-

na. Być może nawet siejący spustoszenie Wizygoci pewnego dnia odkrywali, że stają się Włochami.

- J.J., jesteś najlepszym bratem. Spośród wszystkich braci, jakich mogłabym mieć, ty jesteś najlepszy.

Stojąc w ciemnym oknie, J.J. zobaczył światła samochodu i zgasił lampę, żeby lepiej widzieć. Samochód przejechał wolno obok ich domu, chyba się zatrzymał, po czym zawrócił przy końcu ślepej drogi. Kiedy mijał dom po raz drugi, światła były zgaszone. J.J. widział tylko jego czarną sylwetkę.

- Co to było?

- Pewnie ktoś chciał zobaczyć dom, w którym się gnieździ to dziwaczne plemię Masonów.

- J.J., ja znikam. Zawołaj mnie, kiedy wstaniesz.

10 Lipca

KUCHIĘ TESSIE NAPEŁNIAŁ zapach dojrzałych brzoskwiń, leżących rzędem nad zlewem. Tessie ścisnęła każdą po kolei, sprawdzając, czy są wystarczająco jędrne. Wujek przywiózł jej wielki kosz ze swojego niewielkiego sadu koło Perry, bo Tessie lubiła przyrządzać co roku brzoskwiniowe pikle. Wybrała sześć najładniejszych na babeczki, które zamierzała zrobić. Ginger lubiła je nawet na śniadanie. „Te dzieci”, jak Tessie wciąż myślała o Ginger i jej bracie, miały bardzo szczególne obyczaje, jeśli chodzi o jedzenie. Jej zdaniem, przyczyną był brak matki. Czasem przychodziła do pracy i zastawała ich, jedzących na śniadanie lody, razem z ojcem, więc wszystko, co mogła powiedzieć, to: „Boże zmiłuj się, dlaczego nie zjecie sobie grzanek z syropem albo jajek na szynce?”. Później Lily też nie mogła sobie z nimi dać rady. Robili oboje, co chcieli, chociaż zawsze w grzeczny sposób.

Usiadła przy kuchennym stole i wypila swój kubek kawy. Dom był pogrążony w ciszy. Myślała, że będzie jej brakowało dwojga dzieci, które wyjechały na Północ, i Roberta, zmarłego męża, ale prawdę mówiąc, lubiła dom, który był czysty i schludny. Lubiała niewielki stosik rzeczy do prania, który zbierał się co sobotę. Wyprać, powiesić, wyprasować wieczorem za jednym zamachem. Parę grządek fasoli i kilkanaście krzaków pomidorów nie przysparzało zbyt wiele pracy. Lubiała swoje zimne kolacje na tacy ustawionej na tylnym ganku, z radiem grającym muzykę gospel - cicho, żeby nie przeszkadzać sąsiadom, chociaż najbliższa sąsiadka, pomylona panna Jetta, chyba się tym specjalnie nie przejmowała. Kiedy Ginger odwoziła Tessie do domu po pracy, zatrzymywała samochód po drugiej stronie ulicy, żeby popatrzeć, jak Jetta maniacko zamiata swoje podwórko, odgrażając się diabłu.

Tessie trzymała się od niej z daleka: może rzeczywiście jest opętana? Wiedziała, że nosi bransoletkę z dziesięciocentówek, stara wiedźma. Jakim cudem trwała w tym stanie umysłu i mimo to wciąż jeszcze żyła, tego nikt nie był w stanie zrozumieć. W nocy, kiedy w jej domu było cicho, sąsiedzi zostawiali kobiecie na ganku torbę słodkich kartofli czy cebuli albo zawinięty w papier kawałek ciasta. Miała dość rozumu, żeby zbierać jajka, znoszone przez kilka kostropatych kur, biegających po obejściu. Catherine przynosiła jej czasem wiązanek róż. Wszyscy bali się wchodzić na podwórze, bo Jetta wymachiwała miotłą jak czarownica, ale kiedy Catherine kładła na stopniach parę róż albo słoneczników, Jetta chowała się za białym cedrem i zerkąła zza niego jak nieśmiałe dziecko. Tessie chodziła do pracy wcześniej rano, nim zrobił się upał. Późnym popołudniem, kiedy przygotowała wszystko do kolacji, Lily odwoziła ją z powrotem do domu. Szła powoli bocznym odgałęzieniem asfaltowej szosy, które łączyło się z drogą prowadzącą do Domu. Mijała dom dentysty - dawny dom Catherine i Willsa. Kiedyś to tutaj skręcała, Ginger i J.J. bawili się już w piaskownicy albo robili bałagan w kuchni, Catherine przycinała róże w ogrodzie, doktor Mason był w drodze do pracy. Teraz, kiedy tędy przechodziła, przymykała jedną powiekę i modliła się w duchu, bo dom wciąż był naznaczony złym okiem, czuła wręcz, jak prąd przebiega jej wzdłuż kręgosłupa. Minęła dom Rowenów i szła dalej, prawie do końca gliniastej drogi. Deszcze zrobiły swoje, więc kroczyła poboczem, brodząc wśród liliowej wyki, żeby nie wdepnąć w czerwone błoto. Kiedy skręciła na podjazd, zobaczyła otwartą skrzynkę pocztową. Wyjęła małą paczuszkę, zawiniętą w pogniecioną białą bibułkę i przewiazaną sznureczkiem. Nie wyglądała na prezent. Zaniosiła ją do domu i położyła na tylnym ganku razem z torebką brzoskwiń.

Po ATAKU MIGRENY J.J. często budził się ze wspaniałym samopoczuciem. Nie był pewien, czy ustępowaniu bólu towarzyszyła jakaś rzeczywista chemia, czy była to po prostu fizyczna reakcja ciała na psychiczny negatyw bólu. Ginger też odżyła po nocy. Siedzieli w Trzech Siostrach, maczając pączki w filiżankach z kawą, Ginger przeglądała gazetę, nie komentując małej notatki poświęconej ich matce na pierwszej stronie.

Wczesnym rankiem zajrzeli do ojca, kiedy jadł z tacy swoje płatki i grzanekę.

- Nie wchodzić - usłyszeli na powitanie.
- Dobrze, tatusiu, jedz sobie spokojnie, wpadniemy później.
- Nie, to mi nie pasuje.

Ginger przywiozła ze sobą słoik jeżynowego dżemu Tessie.

- Może chciałbyś trochę do grzanki? - Ginger posmarowała grzanekę dżemem pod ponurym spojrzeniem ojca.

W pewnej chwili zobaczył w lustrze swoje odbicie i wskazał je ręką trzymającą grzanekę.

- Kto to jest i dlaczego nigdy nic nie mówi? J.J. i Ginger popatrzyli na siebie.
- Kto taki? - zapytał w końcu J.J., ale Wills już zapomniał o swoim pytaniu.
- To wszystko - powiedział rozkazującym tonem.
- Oczywiście, wasza wysokość, służy uniżeni. - J.J. się z nim nie patyczkował, kiedy ojciec przybierał taką pozę.
- Stary wypchany cap - mruknął. - Stary zgred.

Ginger spróbowała jeszcze raz:

- Może ci strzepnąć poduszki?

Odbicie ojca w lustrze rzuciło jej nagle złowieszcze spojrzenie.

- Gdzie byłaś? Dlaczego to tak długo trwało? Czekałem i czekałem. - Wills podniósł wzrok na Ginger. Sączące się przez żaluzje łagodne światło poranka padało na jego kościste kolana, wystające spod szlafroka niczym niedorozwinięte czaszki. Jego smutne, chude łydki wyglądały rachitycznie, jego stopy... Odwróciła wzrok, koncentrując się na ostrej jak brzytwa linii jego nosa, na pochyleniu głowy, w którym dostrzegła jakiś cień z czasów, kiedy był jej ojcem, dostrzegła nawet dwunastoletniego chłopca z fotografii na toaletce Lily, trzymającego na linie złowioną rybę.

- Wstaliśmy wcześniej rano i od razu przyjechaliśmy tutaj.

- Cóż, możecie się zabierać z powrotem tam, skąd przyjechaliście. Nawarzyliście piwa, to je teraz pijcie.

GINGER JESZCZE RAZ NAPEŁNIŁA ICH FILIŻANKI. Uwielbiała te niebieskie stoliki i kolekcję zwariowanych solniczek i pieprzniczek. Na stoliku stały kotek i but z cholewą. Marta, siostra, która odpowiadała za kuchnię, robiła najlepsze pączki na świecie, delikatne, przyprószone cukrem pudrem. Ginger zjadła trzy. J.J. nigdy nie był w stanie zjeść więcej niż dwa.

- Jeśli twój metabolizm motyla kiedyś cię zawiedzie, będziesz tusta jak świnia.

- Ach, cukier i tłuszcz. To jest to, co kocham na Południu. Czuję, jak moje tętnice twardnieją z każdym kęsem.

Cy Berkhalter siedział w jednym z boksów pod ścianą. Skinął posepnie głową i wbił wzrok w swoją kawę. Jego syn i wspólnik w kancelarii prawniczej też zginął samobójczą śmiercią. Strzał w usta w pomieszczeniu na zapleczu.

Maso-nowie zawsze unikali Berkhaltera, a on ich. Ginger zajrzała do kuchni.

- Marto, warto było przyjechać do domu tylko po to, żeby spróbować twoich pączków.

- Witaj, skarbie. - Marta nabrała dwie garści ze stosu pączków i włożyła do torebki. - Tak nam przykro z powodu waszych kłopotów. Daj znać, jeśli mogłybyśmy w czymkolwiek pomóc.

- A ty daj mi znać, kiedy będziesz robić duszone mięso po brunswicku.

- Nie robimy go w tym morderczym upale. Chybabyśmy tego nie przeżyły.

Pożałowała ponieważż niefortunnego doboru słownictwa.

- Ale mogę ci zrobić smażonego zębaczka z knedlami z chlebka kukurydzianego, to jest dobre o każdej porze roku. Ginger miała ochotę oprzeć głowę o jej obfity, macierzyński gors i rozplakać się. Chciały tu siedzieć, pozwolić, żeby siostry ją karmiły, i słuchać przez cały dzień, jak Emily przekomarza się i dowcipkuje z klientami. Stuknęły zamykające się za nimi drzwi kawiarni. Siedzenia w jaguarze już zdążyły się nagrzać. J.J. zawrócił na Korsykańskiej o sto osiemdziesiąt stopni, objeżdżając miniaturowy park zwany Oazą, usytuowany na środku ulicy, dokładnie w geometrycznym środku miasta. Rudy labrador chleptał wodę z fontanny, opierając łapy na marmurowej cembrowinie. Mały chłopiec, wyglądający na najmłodszego synka Raya Evansa, ochlapał go wodą. Centralny punkt Oazy stanowiła wysoka, złamana kolumna w obramowaniu aksamitek, cynii i żółknącej trawy. Plusk spadającej wody stwarzał w tej mikroskopijnej przestrzeni złudzenie chłodu. Marianne Shustoff wysiadła z samochodu przed pralnią, niosąc naręczę bielizny. Ktoś krzychał: „Edna, pamiętaj, o szóstej!”. J.J. skręcił w prawo, w stronę cementarza, mijając panią Woods, która prowadziła agencję ubezpieczeniową. Kobieta szła powoli chodnikiem ze swoim dorosłym synem, który powłóczył nogami, a język wystawał mu z ust. Gałęzie sykomorów splatały się nad ulicą. Ginger i J.J. mknęli tunelem wypełnionym zielonym wodnistym cieniem, czasem na szybie samochodu lub na ulicznym bruku załśniła słoneczna plama o nierównych brzegach. Na wystawie sklepu z galanterią Gladys odpinała guziki żółtej, marszczonej sukienki. Nagi manekin owinięła papierem pakunkowym. Maud Richards zastukała w szybę, pokazując torebkę, którą Gladys zdążyła już ustawić przy szybie, udrapowawszy ją odpowiednio dobraną apaszką. Żadne z nich nie zauważyło kołyszącego się, sięgającego bioder jasnego warkocza Aileen Boyd, która przechodziła na czerwonym świetle, niosąc torbę dziecięcych ubranek, żeby je oddać w komis. - O, Skeeter Brooks, najprzystojniejszy chłopak, jaki kiedykolwiek chodził do naszego ogólniaka. - Ginger pomachała mu ręką, ale Skeeter ładował właśnie worki na swoją furgonetkę. - Szkoda, że wpadł z tamtą dziewczyną z innego miasta i musiał się ożenić.

Małe sklepiki przesuwały się za oknem: sklep z karmą dla zwierząt, pachnący lucerną i zakurzonymi nasionami, sklep z narzędziami wujka Remusa, sklep spożywczy, gdzie Jackie Hellman taszczył właśnie przez frontowe drzwi ociekającą wołową półtuszę, sklep wielobranżowy Grossmana, z wystawionymi na zewnątrz workami tanich butów. Mignęła jej Ann-Scott Williams, układająca z powrotem brylanty i zegarki na wystawie sklepu jubilerskiego Teebowa. Tam została kupiona jej ślubna obrączka. Wewnątrz miała wygrawerowane dwa słowa: „na zawsze”.

CHARLOTTA CROWDER NALEWAŁA HERBATE, trzymając czajnik wysoko w górze. Lubiła patrzeć, jak dymiący strumień wpada z pluskiem do kwiecistej filiżanki. Zsunęła gumkę z porannej gazety. Jaśminka zeskoczyła z parapetu i zwinęła się w kłębek między jej stopami. Charlotta podniosła ją za ogon, co Jaśminka lubiła, po czym posadziła ją sobie na kolanach.

- Ty dzikusko. - Zmierzwiała cętkowane futerko kociaka (stworzenie musiało odziedziczyć szatę po setce dachowców), po czym potarła kostkami dłoni jej łeppek. Jaśminka odwróciła się i delikatnie chwyciła ją zębami za nadgarstek. - Niedobry kot - strofowała ją Charlotta, stukając palcem po nosie, ale podobało jej się, że kociak, którego znalazła na wysypisku, nigdy nie stał się do końca udomowiony. Kiedy uporowała się z przycinaniem jaśminu konfederatów*, który rozpanoszył się ubiegłej wiosny za domem, stos gałęzi sięgał jej ponad głowę. Zamiast czekać na ogrodnika, załadowała je do samochodu i sama zawiozła na miejskie wysypisko do Macon. Cała Charlotta. Lubiła natychmiastowe efekty. Kociak przybiegł do niej w podskokach spomiędzy dymiących dołów na śmieci. Nie mogła go tak zostawić na pastwę rzecznych szczurów. Wyciągnęła z bagażnika zdrewniałe, zakurzone gałęzie jaśminu i rzuciła na stos opon. Kociak natychmiast zaczął atakować kwiaty. Stąd imię Jaśminka dla stworzenia, który zdążyło stoczyć wystarczającą liczbę potyczek z gryzoniami, aby dowieść swojego wojowniczego usposobienia. Kotka pełna ciepła, ale gotowa pokazać pazury przy najmniejszej prowokacji. Tak jak Charlotta, z którą dobrze się rozumiały. W drodze do domu Jaśminka skoczyła

* Jaśmin zwany inaczej gwiaździstym, o kwiatkach w kształcie gwiazdek (przyp. tłum.).

z tylnego siedzenia na głowę Charlotty, wysuwając pazurki akurat na tyle, żeby utrzymać się w tej pozycji przez resztę trasy.

Mąż Charlotty, Mayhew, miał do czynienia z pazurkami Ja-śminki o jeden raz za dużo i trzymał się od niej z daleka. W skrytości ducha bał się, że pewnej nocy kotka skoczy mu na twarz i wydrapie oczy. Upewniał się, że jest zamknięta w kuchni, kiedy się kładli spać.

Mayhew zrobił Charlottcie niespodziankę, przynosząc jej dwa tosty z funtowego ciasta* - jej ulubione śniadanie. Był w różowym nastroju, mając w teczce tłusty kontrakt, który zostanie podpisany w banku o dziesiątej rano.

- Och, jesteś genialny - Charlotta ułamała kawałek i chciała go poczęstować.

- Dziękuję, kochanie, muszę pędzić na spotkanie z magikiem.

Lubił ją rankami, wyciszoną, zanim dzień wziął ją w obroty. Jadąc, myślał, że Charlotta jest jak okręt, który płynie, pchany tym czy innym wiatrem, pozostawiając na wodzie spieniony szlak. Zawsze ciągnęła za sobą „kilwater”: bilonu, szminek, chusteczek higienicznych, pocztówek, okularów przeciwsłonecznych. On sam był schludny i poukładany. Kiedy wracał do domu po dniu spędzonym na interesach, mając głowę pełną wykazów i protokołów inspekcji sanitarnej, Charlotta widziała, jak zbiera po jednym liście, które spadły w ciągu dnia z rosnącego w patio fikusa. Każdego popołudnia wynurzała się ze swojej pracowni, zarzucając mu ręce na szyję, z różnokolorową farbą za paznokciami, z włosami sterczącymi we wszystkich kierunkach (z podniecenia - myślał - albo znów je sama ostrzygła). Teraz przetykane siwizną, jej krótko ścięte jasne kędziory wciąż wyglądały jak na fotografii z jej piątych urodzin, na której stała na krześle i zdmuchiwała świece na torcie. „Wyrwać się stąd, z tego zatęchłego domostwa!” - krzyknęła, kiedy spytał ją, jakie życzenie sobie wtedy pomyślała. Pachniała lnianym olejem, potrząsała głową, śpiewając: „Let's twist again”, szła w stronę do-

Ciasto, do którego bierze się w równych ilościach mąkę, masło i cukier (przyp. tłum.).

** Słynny przebój amerykańskiego piosenkarza Chubby Checkera, który wylansował twista we wczesnych latach sześćdziesiątych (przyp. tłum.).

mu posuwistym krokiem, szurając sandałami, które przyozdobiła sztucznymi kwiatami i cekinami. Mayhew, ostrożny z natury, pełen respektu dla jej siły witalnej, szedł za nią do kuchni, przygotowując się na to, co mogła zamajstrować na kolację. Charlotta lubiła orzechy kokosowe i potrafiła wynajdywać dla nich nieoczekiwane zastosowania.

Uśmiechał się do siebie, skrecając w lukę w bukszpanowym żywopłocie, otaczającym teren firmy Macon Properties. Miał bzika na punkcie Charlotty. Nigdy nie zdarzyło mu się z nią nudzić, chociaż nieraz życzył sobie w duchu, żeby przestała sprawiać mu ciągle, męczące niespodzianki. Charlotta miała najbardziej niezwykły śmiech, jaki kiedykolwiek słyszał, hałaśliwy, niekobiecy, wprawiający go w zakłopotanie w towarzystwie znajomych, ale przebywanie w jednym pomieszczeniu z tym śmiechem wynagradzało mu wszystko, co musiał znosić ze strony rozbisurmanionych klientów Macon Properties, uważających, że powinni zamieszkiwać plantacje otoczone wieńcem omszałych dębów.

Na najbardziej elementarnym poziomie, kiedy człowiek słyszał taki śmiech, jak ten, czuł się przyciągany z nieodpartą siłą, czuł, że śmiech go zagarnia i rzuca z powrotem w objęcia radości, którą gdzieś zagubił, znów odnalazł, której szukał przez całe życie, ale najczęściej nie znajdował.

Charlotta pozwoliła Jaśmince zlizać masło ze swoich palców. Pierwszą stronę gazety czytała zawsze na końcu, bo tam właśnie znajdowały się wszystkie niedobre wieści. Wołała stronę z przepisami i relacje ze ślubów, bo można się było pośmiać. Wiadomości zazwyczaj pomijała, ale tym razem chciała zobaczyć, czy wspomniano o kontrakcie Mayhewa na pola golfowe. Spojrzała i wstrzymała oddech.

- Nie! - powiedziała, rozpoznając fotografię na skraju prawej kolumny. - Catherine! - Te przykuwające wzrok, nieruchome oczy, te wrażliwe usta.

Z OSTATNIEJ CHWILI RAINEY GROVER

„SWAN FLYOVER”

8 lipca na terenie rodzinnej kwatery Masonów na cmentarzu Magnolia zostało znalezione wydobyte z grobu ciało Catherine Phillips Mason. Grób innego członka rodziny, Jamesa J. (Dużego Jima), został zbezczeszczony czarną farbą. Władze badają motywy tego niecodziennego przestępstwa. Szeryf Ralph Hunnicutt ze Swan powiedział nam, że prawdopodobnym motywem jest rabunek. Ciało zostało znalezione o 9.00 przez szwagierkę zmarłej, Lillian Elizabeth Mason, która odwiedzała rodzinne groby, oraz Eleonorę Whitefield, emerytowaną nauczycielkę matematyki z liceum w Swan, która przyszła odwiedzić grób swojego świętej pamięci męża Holta Whitefielda. Cass Deal, dozorca cmentarny, powiedział nam, że nie zauważył tego dnia nic podejrzanego. Pani Mason zginęła śmiercią samobójczą w 1956 roku. Poprzednio zamieszkała w Vidalii, poślubiła doktora Willsa Masona, którego przodkowie byli jednymi z pierwszych osadników w Swan. Zmarła pozostawiła męża, który przebywa w domu opieki w Swan, i dwoje dorosłych obecnie dzieci.

Catherine! Charlotta trzasnęła filiżanką o spodek. To niemożliwe! Co za odrażająca historia. Biedna Catherine. Wstała, strącając przy tym gazetę. Jaśminka sturlała się na podłogę. Szok był jak spięcie przebiegające wzdłuż kręgosłupa. Rękaw szlafroka zahaczył o łyżeczkę od herbaty, opryskując rdzawymi kroplami leżącą na krześle poduszkę.

Poły jej szlafroka się rozjechały. Pod spodem miała pasiaste bokserki Mayhewa. Ruszyła bosą biegnącą wzdłuż domu

ścieżką, brukowaną w „jodełkę”. Odkręciła wodę na cały regulator, atakując za pomocą gumowego węża spragnioną wodę gąszcz, który widziała z kuchennego okna. Potem spryskała żółte dalie, zapominając, że ich liście nie lubią być mokre i przy tej wilgotności z pewnością zaczną pleśnieć. Kiedy szła przez trawnik, jej myśl znów zboczyła w stronę Catherine. Tak, to ona wpadła na pomysł pergoli prowadzącej do strumienia. W jakimś innym życiu, jak się teraz wydawało. Od czasu jej śmierci piał się po niej milin, wistaria, i co jeszcze? Teraz Mayhew zasadził ten różowy groszek, któremu życzyła rychłego uwiądu. Chociaż miały już wtedy z Catherine po dwadzieścia parę lat, robiły z radości gwiazdy na trawniku, kiedy Mayhew kupił jej ten ceglany dom, stojący pośrodku dwóch akrów derenia i kamelii.

Catherine, znów wydobyta na światło dzienne. Kiedy żyła, światło było jej żywiołem. Cała ta pasja i humor, cała delikatność, zdmuchnięte jak świeca. Charlotta tęskniła za nią z zimną furją. Za jej ustami, strzelistymi niby wieże mostu Golden Gate. Za tym, jak stawiała kroki, niczym sarna stąpająca przez leśne poszycie. Spośród wszystkich ludzi, jakich spotkała, jedynie Catherine miała do życia podejście na miarę jej własnych oczekiwań. Catherine była, jak by to powiedzieć, kompletna. Charlotta nie mogła odżałować tych lat, kiedy wynajmowałyby na spółkę letnie domki nad morzem i łowiły kraby z dziećmiakami, podkrecały radio przy piosence Bobby'ego Shorta, dźwięczącej w kuchni w dalekim hotelu Carlyle, przyrządzając w tym czasie wielkie rondle krewetek po kreolsku, albo, któż to wie, może wsiadały w samolot odlatujący do Paryża, żeby nasycić się sztuką, i pisały kartki pocztowe przy małym, żelaznym stoliku. Catherine nigdy nie spróbowała mojego kurczaka, orzecha kokosowego ani zupy z limony, pomyślała. Wyobraziła sobie, jak Catherine pociąga łyk, po czym przymyka oczy, żeby się lepiej skoncentrować na smaku. „Hej, Mambo, na czym polega sekret?”. Sekret polegał na tym, że Charlotta żyła, była na półwyspie Jukatan i próbowała tamtejszej pikantnej zupy, podczas gdy Catherine leżała w ziemi.

Charlotta nie pamiętała już, dlaczego Catherine nazywała ją Mambo - ochrzciła ją tak w pierwszych dniach pobytu w Georgia State College, koledżu dla kobiet, gdzie zakwaterowano je w narożnym pokoju Fali Hall. Ona i Catherine to był

12. Słodka, leniwa...

po prostu tandem. Nie pytając o pozwolenie, pomalowały beżowy pokój na kolor lawendy, z kiściami winogron w narożnikach. Nawet ta drobna rebelia okryła je sławą. Oczywiście, były inne miłe sercu wybryki. Obie dziewczyny studiowały sztuki piękne. Charlotta kochała malarstwo olejne, chociaż później przerzuciła się na akwarelę, która bardziej odpowiadała jej spontanicznemu, jak by niektórzy powiedzieli, bałaganiarskie-mu stylowi. Kiedy zaczęła się historia sztuki, Catherine oszalała na punkcie Matisse'a i postanowiła, że będzie robić ceramikę w jaskrawych kolorach, potem chciała projektować wzory na jedwabiu, zainspirowana jego błękitami i żółciami. Przez cały rok żyły sztuką. Charlotta chyba ze sto razy narysowała talerz z błękitną obwódką i dwiema pomarańczami. Catherine chciała robić różne rzeczy własnymi rękami. Haftowała pszczoły i jaszczurki na poszewkach poduszek, dziergała wielkie wełniane szale w geometryczne wzory. Zapełniała blok po bloku szkicami architektonicznych detali, wypatrzonych na fotografiach francuskich katedr: łukami, gargulcami, dekoracyjnymi ornamentami. Później, na początku drugiego roku, poznała Austina, a zaraz potem Willsa. Charlotta zaangażowała się w przedstawienia teatralne, potem zainteresował ją taniec i chociaż kochała Catherine, uważając dziewczynę za przyjaciółkę na całe życie, niezbyt pasjonowały ją długie nocne dyskusje o tym, czy można kochać dwóch mężczyzn równocześnie. Często zasypiała, podczas gdy Catherine rozwodziła się dalej nad wybitną inteligencją Willsa i szaleńczą brawurą Austina. Nagle, zbyt nagle, Catherine wróciła ze Swan po Święcie Dziękczynienia jako narzeczona Willsa. Charlotta straciła kontakt z dziećmi Catherine po jej śmierci. Ten idiota szeryf zachowywał się, jakby sprzeniewierzyła się zasadom etykiety, kiedy do niego zadzwoniła.

„Niech pan posłucha! - krzyczała. - Catherine Phillips nigdy by tego nie zrobiła, rozumie pan? Wiem z całą pewnością, że nigdy, przenigdy nie odebrałaby sobie życia". Kiedy przeczytała notatkę w gazecie, przypomniała sobie, że pytała go o notesy, na co on stwierdził, że nie znaleziono żadnych notesów na miejscu tragedii. „Myśli pan, że będą na pana czekać na kuchennym blacie?" - krzyknęła. Pamiętała, że nazwała go wypierdkiem mamuta z powodu tego beznadziejnego śledztwa. Jakie było pochodzenie tej kopalnej obelgi, nie miała po-

jęcia. Na jej list do sądu okręgowego, w którym domagała się dochodzenia, nawet nie odpowiedziano. Wills nie chciał z nikim rozmawiać. Ból, w którym się pogrążył, był przerażający. Nie odpowiadał na listy i kartki, choć wysyłała je przez wiele tygodni. Kilka razy wybrała się po południu do Swan, mając nadzieję, że zobaczy dzieci, ale Tessie mówiła, że są w domku nad rzeką. Mimo swojego nieustraszonego charakteru nie była osobą, która narzucałaby się Willsowi, kiedy w oczywisty sposób nie chciał jej widzieć. Może po prostu zbyt boleśnie przypominała mu o Catherine. Po katastrofie z jego zdrowiem nigdy więcej go nie widziała. Przez kilka lat posyłała Ginger i J. J.-owi prezenty na urodziny i na święta, otrzymując w zamian krótkie liściki z podziękowaniem. Potem zamieszanie, jakie czyniła trójka jej własnych nastolatków, zaczęło brać górę nad innymi sprawami, i przestała. Dziś, po tylu latach, obserwując tęczową grę światła w wodnym pyłe, zaczęła się zastanawiać nad śmiercią Catherine. Podejrzewała, że jej przyjaciółka miała, no, może nie kochanka, bo nie sądziła, aby zdradzała Willsa, ale kogoś w Macon, przypuszczalnie platoniczny romans. A może jednak go zdradziła? To były wojenne lata. Jej wielbiciel z czasów studiów, Austin, mieszkał wtedy niedaleko miasta. Był okres, nie pamiętała już dokładnie dat, kiedy Catherine zaczęła ją nagle częściej odwiedzać, ale nigdy nie zabawiła dłużej. Kawa, szybki lunch u Davisona, i odfruwiała. Kiedyś Wills zadzwonił - tak, to było w czasie wojny, bo był na przepustce - i chciał rozmawiać z Catherine, a Charlotta w ogóle się z nią tego dnia nie widziała. Instynktownie powiedziała: „Wyskoczyła coś kupić dzieciakom”. Catherine nigdy nie wspomniała o tym telefonie. Charlotta huśtała wężem, zastanawiając się, co się stało z Austinem, a przy okazji wbijając w ziemię świeżo posadzoną smagliczkę Mayhewa.

WIDZIAŁAŚ GAZETĘ? - Klientka Aileen, pani Williams, zadzwoniła, żeby zamówić parę złotych niemowlęcych bucików na przyjęcie z okazji bliskich narodzin dzidziusia. - Stała się okropna rzecz.

Opowiedziała jej o Catherine.

- Brrrr! - Aileen poczuła, jak żołądek jej podjeżdża do gardła.

- Czarna farba na grobie starego Masona - czytała dalej pani Williams. - To brzmi jak jakaś stara klątwa. - Kochana, nie śpiesz się z tymi bucikami. Przyjęcie jest pierwszego sierpnia. Musisz do mnie niedługo wpaść.

Od czasu śmierci Dużego Jima Aileen nie chciała słyszeć

o Masonach. Została przeniesiona z powrotem do krosien, jak tylko nowe kierownictwo objęło rządy. Stopniowo rozwinęła swój własny biznes i kiedy zamykano fabrykę, była już w stanie się utrzymać. Z tym, co zarabiała i co zdołała odłożyć w ciągu trwającego cztery lata romansu, mogła sobie pozwolić na wygodne życie.

Nadal dreszcz ją przechodził, ile razy wspominała tamtą noc w motelu, kiedy wróciła do sypialni spod prysznic (prysznic był luksusem, u siebie miała tylko małą wannę i ciepłą wodę od czasu do czasu), a Duży Jim, w szortach i podkoszulku, leżał przewrócony na bok na łóżku. Myślała, że się wygłupia,

1 szturchnęła go w bok. Wtedy zobaczyła różowy strumyczek śliny, sączący się z jego ust. Chwyciła go za puls, krzycząc: „Obudź się, nie, nie, nie!”. Wiedziała, że miał już kiedyś zawał, ale zawsze się przechwalał, że jego serce jest po naprawie mocniejsze niż przedtem. Naciągnęła mu spodnie i koszulę. Zadzwoniła do szeryfa Hunnicutta i ściszym głosem powiedziała, żeby przyjechał i zabrał Dużego Jima do domu.

180

Po czym się ulotniła. Nim wyszła z pokoju, zobaczyła jego portfel, leżący na stoliku przy łóżku, i zabrała całą gotówkę, prawie dziewięćset dolarów. Przeczytała później w gazecie, że Duży Jim został znaleziony w swoim łóżku przez pokojówkę, która przyszła nazajutrz o siódmej rano. Prawdopodobnie, jak stwierdzono, umarł na zawał podczas snu. Hunnicutt zawsze kiwał jej głową, kiedy go widziała, ale nigdy nie powiedział ani słowa. Wiedziała, że jego lojalność dla Dużego Jima była niewzruszona, chociaż nie wiedziała dlaczego. Duży Jim wspominał tylko kiedyś, że miał okazję wyświadczyć Hunnicuttowi kilka przysług.

Aileen zmarszczyła brwi, wyglądając przez okno swojej kuchni. Czarna farba. Wielu ludzi nienawidziło Masonów, większość z zazdrości. Ale nic się nie dało porównać z nienawiścią, jaką żywił do nich przed laty jej były mąż, Sonny. Ale lata za latami mijały. Na szczęście, mieszkał teraz w Arizonie. Nawet jego mama się tam przeprowadziła. Miała nadzieję, że się pieką na słońcu. Od czasu, kiedy odkrył jej romans, modliła się, żeby nigdy więcej nie zobaczyć jego szpetnej twarzy, w tym życiu ani w przyszłym.

Nigdy się nie dowiedziała, czy to był przypadek, że Sonny został wzięty do wojska, czy Duży Jim maczał w tej sprawie palce. Wkrótce po tym, jak został wysłany do Fort Benning, niespodziewanie przyjechał do domu na weekendową przepustkę. Wzdrygała się na myśl, że miałyby pojechać z nim do Niemiec, chociaż ze strachu obiecała, że dołączy do niego za kilka miesięcy. Gdy tylko Sonny opuściłby kraj, Duży Jim miał ją poinstruować, jak uzyskać rozwód. Wtedy Sonny utknąłby po drugiej stronie oceanu. Duży Jim śmiał się na samą myśl o tym. Aileen miała nadzieję, że do czasu zwolnienia ze służby znajdzie sobie inną kobietę. Albo, marzyła, ona i Duży Jim mogliby uciec razem, a nawet się pobrać. Duży Jim często wspominał o angielskiej miejscowości Bath, skąd pochodzili jego przodkowie.

Aileen była w fabryce, kiedy Sonny przyjechał w tamten weekend. Ponieważ się go nie spodziewała, zostawiła na łóżku białoniebieski peniuar, który Duży Jim przywiózł jej z Nowego Jorku. Powiedział, że następnym razem zabierze ją ze sobą. Zostawiła też zwitek banknotów w swojej kasetce z biżuterią. Sonny znalazł pieniądze i ametystowy wisiołek,

który nosiła wyłącznie pod bluzką, bo był zbyt wytworny i rzuciłby się w oczy.

Poszła do pracy po godzinach, żeby uporządkować rachunki. Na szczęście Duży Jim był u siebie w domu. Sortowała papiery, czując dumę, że tu jest. Może zrobiłaby kurs dla sekretarek w szkole rolniczej w Tipton? Mogłaby znów awansować. Siedziała przy swoim biurku w poczekalni gabinetu Dużego Jima, kiedy za szybą bocznych drzwi ukazała się ociekająca potem twarz Sonny'ego. Zanim zdążyła się podnieść, wpadł do środka, wrzeszcząc:

- Dziwka, suka!

- Wynoś się, stracę przez ciebie pracę! - krzyknęła.

Sonny pchnął ją na podłogę i kopnął w brzuch. Potem dostał ataku szału, przewrócił biurko Dużego Jima w jego gabinecie. Odgrażał się, że zabije tego kundla, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

- Puszczaj się z tym szmaciarzem, ty zdiro! - Kopnął fotel, podarł papiery, wepchnął je do kubła na śmieci, po czym podpalił swoją zapalniczką.

Płomień wystrzelił w górę, liżąc sufit, ale przygasł, kiedy Aileen wyczołgała się do sąsiedniego pomieszczenia, zatrzęsnęła drzwi i zamknęła je na zamek. Przez ścianę krzyknęła, że chce rozwodu, że to nie jest żadne małżeństwo. Zadzwoiła do szeryfa. Duży Jim powiedział jej, że jeśli kiedykolwiek będzie czegoś potrzebowała, niech dzwoni do Hunnicutta. Sonny rozwalił drzwi krzesłem i wtargnął do środka. Złapał telefon i uderzył ją w głowę. Upadając, widziała, jak ucieka.

Wietrząc plotki, które mogłyby zaszkodzić reputacji Dużego Jima, szeryf Hunnicutt przyjechał do fabrycznej wioski nierzucającym się w oczy, starym fordem swojej żony. Znalazł Sonny'ego w domu i zamknął na noc w areszcie, chociaż nie napisał raportu. Nazajutrz odwiózł go służbowym samochodem z powrotem do Fort Benning.

Aileen przypuszczała, że Duży Jim pociągnął za jakieś sznurki, bo Sonny został wysłany za ocean w następnym tygodniu.

- Mamy z głowy małego szajbusa - śmiał się. - Rzuciłem go aligatorom na pożarcie.

Nie wolno tak mówić, pomyślała Aileen. Nie wolno, bo Bóg cię pokarze. Strach przenikał całe jej ciało. Strach o Son-

ny'ego, który lubił podśpiewywać sobie w wannie, kiedy wylewała wiadra gorącej wody na jego chude ciało. To było dawno, zaraz po ślubie. Miał wtedy zaledwie dziewiętnaście lat, gorąca głowa. Potem lęk o siebie zagłuszył tamte obawy. Sonny mógł wrócić i udusić ją albo podpalić dom. Mógł zagiąć parol na Dużego Jima. Jak w Starym Testamencie, dumny i pyszny niechybnie ściągał na siebie to, do czego sam wcześniej przyłożył rękę. Lęk osiadł w szpiku jej kości. Oczywiście nie było nikogo, komu mogłaby o tym powiedzieć, tak żeby romans się nie wydał. Duży Jim kupił jej komplet mebli do dużego pokoju i powiedział: - Krzyżyk na drogę. Wyglądało na to, że coraz bardziej się w niej rozsmakowuje. Przeżyli razem jeszcze trzy dobre lata. Aileen zaczęła lubić inne strony swojego życia: pracę, szycie, kościelną grupę biblijną. Kiedy Sonny był za morzem, rozwiodła się z nim i zwała jego rzeczy na ganek domu jego mamy w Osceoli. Mama pewnie też nie chciała go z powrotem. Jako nastolatek dał jej się nieźle we znaki. Aileen sprawdziła, czy ma w koszyku wystarczającą ilość jedwabistej bawełny na żółte buciki^ędzie musiała wypełnić czymś ten dzień. Otworzyła Biblię na niedzielnym czytaniu, ale jej wzrok padł na słowa: grzech, niegodziwość, nikczemny, gniew... Nastawiła starą płytę zespołu Soul Searchers. Postanowiła upiec blachę czekoladowych ciastek. Prawdziwych, nie z torebki.

CAROL SIEDZIAŁA JUŻ ZA SWOIM BIURKIEM, kiedy Ralph wszedł do pokoju.

- Dzwoniła pani Whitefield, zanim zdażyłam otworzyć drzwi. Prosiła, żeby ci przekazać, że Catherine Mason została pochowana z listem w dłoni. Mówiła, że to pamięta i że Lily też pamiętała, kiedy ją zapytała.

- A w liście jest cała prawda? - Nie widział żadnego listu, być może wiatr go zwiął. Będzie musiał przeczesać cmentarz. Na szkolnym boisku po drugiej stronie ulicy chłopcy szykowali się do gry w bejsbol, głusi na wszystko prócz odgłosu uderzenia pałki o piłkę. Nic nie wiedzieli o zdewastowanych grobach ani o spalonych wioskach w Wietnamie. Powinniśmy więcej grać w piłkę, pomyślał. Latem zorganizuje dwie drużyny, kiedy już będzie miał to wszystko za sobą. Zobaczył, że J.J. zajeżdża przed budynek i parkuje koło więziennej rampy.

Ginger uściskała go krótko i wyjęła z torebki pączki.

- Z Trzech Sióstr. Poczęstuj się. - Ralph przyniósł krzesło z gabinetu Carol i usiadł.

- Ależ ty zmężniałeś. Szeryf. Jak to jest, kiedy się siedzi za biurkiem swojego dziadka?

Ralph uśmiechnął się do Ginger.

- Świetnie wyglądasz, nie da się ukryć. Szmata czasu. J.J. stanął za krzesłem siostry. Ginger potrafiła się zdobyć na kurtuazję. On nie.

- Szkoda nóg. - Ralph wskazał zapraszającym gestem puste krzesło, ale J.J. powiedział, że postoi.

Ralph zapytał, jak biorą ryby.

- Słyszałem, że Ralph Rogers złowił w ostatni piątek w Potoku Zmartwychwstania dwudziestokilowego okonia morskiego.

J.J. skinął głową.

- Musiał tam siedzieć od stworzenia świata, co? Czasem to zgroza patrzeć, jak się takiego gościa wyciąga. Niczym przedpotopowa gadzina. Ale właściwie to nawet ładne, te szczęki, no nie? Czasem to cztery albo pięć żyłek się za takim ciągnie.

Ginger przewróciła oczyma, konstatując, że J.J. wskoczył od rana w skórę „swojego chłopca”.

Zapadła cisza i Ralph wyjął teczkę podpisaną *Catherine Phillips Mason*.

- Wiem, żeście przeżyli szok, i strasznie mi przykro, że to się stało. Do dziś tego nie rozumiem i zastanawiam się, czy kiedykolwiek to zrozumiemy. Mam obowiązek powiedzieć wam coś jeszcze. Coś zupełnie nieprzewidzianego. Nie wiem, jaki będzie ostateczny wynik, ale przeprowadziliśmy rozeznanie, Gray Hinckle z GBI i ja, zbadaliśmy dowody, te akta i... - zniżył głos - ...oczywiście, ciało. Zaczyna wyglądać na to, że... ponieważ wykonaliśmy różne pomiary i w ogóle... - Wbił wzrok w podłogę, bo Ginger i J.J. wpatrywali się w niego, jak gdyby potężna fala miała im się za chwilę zwalić na głowy. -To są wstępne wyniki. Trzeba będzie sprawdzić to wszystko jeszcze raz.

Ginger i J.J. śledzili ruch jego warg, spodziewając się usłyszeć, że ciało ich matki zostało zbezczeszczone, kiedy powiedział:

- Ale sądzimy, że wasza matka nie popełniła samobójstwa. To znaczy, nie pociągnęła sama za spust... - Urwał.

Nie miał pojęcia, jaki skutek wywołały jego słowa. Wydawały się docierać do nich z wielkiej odległości, przesiane przez powietrze.

Żadne z nich się nie odezwało. J.J. położył rękę na ramieniu Ginger, a ona nakryła ją swoją dłonią.

- Ponieważ kął, pod jakim kula opuściła ciało - Ralph zerknął do notatek, które zrobił podczas telefonicznej rozmowy z Grayem - nie zgadza się z tym, co powinno być, gdyby ofiara sama trzymała broń. Nie chcę zarzucać was szczegółami, ale czasem kaliber 22 w ogóle nie przebija ciała na wylot. Wiecie, to jest właściwie strzelba na króliki. Ale pani Mason - wasza matka - musiała być szczupła. Czytałem raport napisany po tamtym wydarzeniu. Mój dziadek był wtedy szeryfem, pewnie to wiecie. Nie mieli w tamtym czasie tych

wszystkich urzędzeń co teraz. Chłopcy z GBI mają dzisiaj najróżniejszy sprzęt. Sprawdzili, czy nie ma śladów prochu w nosie i na dłoniach. Mają jakiś taki proszek, który wyłapuje mikroskopijne cząsteczki.

- Co ty mówisz? - Ginger przycisnęła łokcie do kolan i patrzyła w podłogę.

J.J. osłonił dłońią oczy, jakby go słońce raziło. Słowa Ralpa były jak daleki szum.

- Wielkość i układ rany wskazują, że nie mogła sama do siebie mierzyć. - Ralph pomyślał, że nawet w tamtych czasach ktoś mógł to zauważyć. Być może dlatego, że był w Wietnamie, gdzie widział wszelkiego rodzaju rany postrzałowe, podczas gdy jego dziadek widywał przede wszystkich Murzynów zakłutych nożem w sobotnią noc. - Chciałem was prosić, żebyście przeczytali raport i powiedzieli, czy możecie do tego dodać coś, co zapamiętaliście z tamtego czasu. Wiem, że to wszystko jest dla was cholernie dziwne. Gray powiedział mi przez telefon, że jego szef, ekspert, sądzi, że strzelba została włożona jej do ręki po śmierci. Może ktoś jej ją wyrwał, kiedy próbowała się bronić. Mogła ją chwycić w obronie własnej. Będą próbowali zbadać, czy nie ma oparzeń od prochu, ale po tak długim czasie mogą nie uzyskać pewnych wyników. Gray i jego szef sądzą, że została zastrzelona z odległości dwóch do dwóch i pół metra.

Przemyśle to później, powiedziała sobie w duchu Ginger. Odezwała się pierwsza.

- Kiedy będą mieć pewność? Jak mogą to stwierdzić po tak długim czasie? Ktoś ją zastrzelił? Ale to niemożliwe. Kto? Kto?

Ralph wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- A ten list, wiecie, co w nim było?

- Nie, Lily nie wie. Myślała, że to mógł być list miłosny od tatusia.

Ralph wpatrywał się w nią w milczeniu, niezdolny wypowiedzieć na głos swojego podejrzenia, że mogło tam być przyznanie się do winy i prośba o wybaczenie. List zaginął albo został zabrany. Co za szeryf? Jak brzmiał ten stary werset? „Ojcowie jedli cierpkie jagody, a synom zdrętwiały zęby”*. Dobrze powiedziane. Dziedzictwo potępienia.

* Księga Jeremiasza 31,29 (przyp. tłum.).

J.J. wziął do ręki teczkę. Nagłe uniesienie rozsadzało mu skórę. Pomigrenowa euforia? Czyżby to, co Ralph przed chwilą powiedział, było tym, co pragnął usłyszeć od czasu, gdy po raz pierwszy zabrzmiało mu w uszach słowo „samobójstwo”? Czytał szybko. Nie spojrział na fotografię matki leżącej na podłodze, ale mimo to ją zobaczył - zobaczył to, co zawsze widział oczyma duszy, chociaż naprawdę nigdy jej nie widział. Tylko Ginger. Ona przyjęła w siebie Całe uderzenie.

Ginger sięgnęła po raport. Zdjęcie musiało być zrobione w jakąś godzinę po tym, jak pani Rowen znalazła ją na drodze. Patrzyła. Znow słyszała swój własny zduszony krzyk. Jeśli matka nie pociągnęła za spust, ona musi spojrzeć jeszcze raz na to zdjęcie. Otwarte drzwi szafki, rozrzucone nogi matki, jeden but zdjęty, w tle łuszcząca się farba na drzwiach. Niewątpliwie, coś tutaj wskazywało, że Catherine tego nie zrobiła. To coś, gdyby ktoś to wtedy zauważył, mogło zmienić ich życie. Zmusiła swoją pamięć do działania. Znow brała za kłamkę, drzwi otwierały się powoli, widok matki jak podmuch eksplozji, nieusuwalna, wżerająca się we wszystko krew. Szukała po omacku, tak jak szukała drogi do łóżka w ciemnościach. W pierwszym odruchu chciała pojechać do ich dawnego domu, w którym teraz mieszkał*dentysta, i poprosić, żeby pozwolili jej spojrzeć na kuchnię. Podobno zerwali tam wszystko, wszystko zmienili, powiększyli nawet kuchnię i dobudowali patio, żeby zatrzeć ślady ohydneho incydentu.

Próbowała odtworzyć to sobie dokładnie: okrągły stół pod oknami, półka na książki kucharskie, szklana szafka na broń myśliwską, białe sprzęty kuchenne o opływowych kształtach. Jej pamięć i fotografia zgadzały się ze sobą.

- Widzicie coś nowego? - Ralph czekał, aż skończą czytać. Zastanawiał się, czy już im przeszło przez myśl, że to Wills mógł pociągnąć za spust.

J.J. natychmiast zauważył szafkę na broń. Swoją własną zamykał na klucz, ale w tamtych czasach nikt tego nie robił. Wychowali się z Ginger wśród broni i wiedzieli, że nie wolno jej ruszać. Przeczytał raport Ginger, która słuchała, gryząc paznokieć.

- Jest pewna możliwość... - J.J. dostrzegł tajemniczą minę Ralpa. Sukinsyn, myśli, że to ojciec. - Mój ojciec nie mógłby podnieść na nią ręki. Czy tamten szmondak coś ta-

kiego powiedział? Nie wierz mu. To bzdety. Przez te wszystkie lata mieliśmy samobójstwo. Teraz mamy ojca mordercę? Mamy sobie wybrać, co wolimy?

Mówiąc to, J.J. wiedział bez cienia wahania, co by wybrał. Nic nie mogło być gorsze niż matka strzelająca sobie w serce.

- Nikt tego nie twierdzi. Nikt nikogo nie oskarża. Owszem, agent uwzględnił taką ewentualność. On nie znał waszego ojca, nie wie, co to za człowiek. Nie mamy zbyt wiele materiału, prawda? Chcecie kawy? Carol zawsze robi duży dzbanek.

Żadne z nich nie odpowiedziało.

- Poza tym tatuś jest w tej chwili jak duże dziecko. Połowę czasu trwa w stanie otępienia. Z pewnością nie ma wystarczającego ilorazu inteligencji, żeby włamać się do jej grobu. Gdyby w ogóle mógł istnieć jakiś wyobrazalny powód. - Odsunęła od siebie pytanie o winę Willsa, gdy tylko J.J. poruszył tę kwestię. Dziwnie jest myśleć o ilorazie inteligencji taty. Kiedyś był młodym lekarzem, idealistą, który nie chciał wejść w rodzinny biznes. Przez cały okres jego nieobecności czuła gdzieś w środku irytujące ukłucie złości. Sam to na siebie sprowadził. Ale to, co go spotkało, daleko wykraczało poza granice sprawiedliwej odpłaty. Inni ludzie miewali napady niepoczytalności albo pijackie ciągi, wychodzili z tego i wracali do normalnego życia. To się nie powinno przydarzyć nawet psu. Ginger czuła to samo przytłumione radosne mrowienie, co J-J- Przypadkowa zbrodnia to był zupełnie inny ból.

W przywołanym wspomnieniu wciąż wyciągała rękę, ogromny spokój dzieciństwa miał się za chwilę zawalić, zaraz otworzy drzwi, ale w tym momencie w pamięci pojawia się szczelina. Zawsze najpierw wołała: „Mamo, hej, to ja, wpuść mnie!”.

Wpuść mnie! Zawsze, zawsze mama zamykała drzwi na zasuwkę, odkąd tamci Cyganie, co się wałęsali po miasteczku, ukradli jej bieliznę ze sznura. Prawie nikt w Swan nie zamykał drzwi, nawet w nocy. Catherine zamykała. Ale tamtego dnia drzwi ustąpiły. Mama musiała je komuś otworzyć: znajomemu, sąsiadowi, majstrowi, który przyszedł coś naprawić. Ginger wyrzuciła to z siebie:

- Ktoś, kogo znała. Albo po prostu tym razem zostawiła drzwi otwarte.

Ralph notował. Dobrze. Będzie miał coś do zakomunikowania Grayowi.

- J.J., jak mogłam zapomnieć o czymś takim?

- Z powodu tego, co było po drugiej stronie drzwi.

Nigdy sobie nie przypomniała drogi ze szkoły. We wspomnieniach z tamtego dnia opuszczała boisko, a zaraz potem był widok matki jak uderzenie obuchem. Pobiegła, wciąż biegnie, białą drogą, otaczają ją umęczone ręce pani Rowen, potem znów nic, aż do pogrzebu. Kiedy przypominała sobie ciemny krąg krwi na podłodze, nadal miała dwanaście lat i chciała walić głową o podłogę.

- Spójrz tutaj - powiedział J.J. - Charlotta Crowder, przyjaciółka matki z dawnych lat, zadzwoniła... - czytał dalej, przesuwając palcem po tekście. - Ale nie ma żadnego dalszego ciągu? Co ona wiedziała? - J.J. pamiętał, że Wills odciął się od wszystkich po śmierci Catherine. Charlotta z początku pisała i dzwoniła, potem przestała. J.J. nie myślał o niej przez całe lata. - Zastanawiam się, czy doszło do rozmowy między nią a tatą, czy Lily wiedziała o jej telefonie do szeryfa.

Ginger wyszła do sąsiedniego pomieszczenia i wróciła z kubkiem kawy. J.J. wpatrywał się w kilka słów, nagryzmołonych ręką dziadka Ralpha, częściowo pokreślonych: odcy-frował literę „S”.

- Moglibyśmy tak spekulować cały dzień. Wybaczcie, że to mówię, ale to najłatwiejsza zbrodnia pod słońcem. - Ralph gładko powtórzył to, co usłyszał od Graya. - Mąż zabija żonę i masz jego świadectwo przeciwko twojemu. Nikt niczego nie może udowodnić.

- Ale jak on mógł w ogóle pomyśleć, że tatuś mógłby zrobić coś takiego? - Ginger była oburzona. - Ralph, wiem, że nie możesz mówić za niego, ale przychodzi ci coś w ogóle do głowy?

Ralph nie chciał kontynuować spekulacji Graya na temat „kochanka w tle” ani wchodzić w szczegóły zobowiązań swojego dziadka wobec Dużego Jima, który mu ustawił wybory.

- Powiem po prostu: wasz tata to w tej chwili jedyny trop. Oparty na statystykach, nie na faktach. Dlaczego mój dziadek nie przeprowadził bardziej sumiennego dochodzenia? Myślę, że przez całe życie był w kieszeni u Dużego Jima. Może miał wobec niego jakiś dług wdzięczności. Istnieje możliwość, że chciał chronić waszą rodzinę.

Kobiety, wiadomo, bywają nieszczęśliwe, nie widzą innego wyjścia, popełniają samobójstwo. Morderstwo mogłoby wydobyć na światło dzienne jakieś

stare niechlubne sprawy. Bóg jeden wie... - Czyżby jego dziadek był aż takim gamoniem, żeby sądzić, że nie wypada być zbyt dociekliwym? Pokręcił głową. - Mamy dwie drogi. Wszczęć śledztwo w sprawie morderstwa albo mieć nadzieję, że sprawa się wyjaśni, kiedy ustalimy, kto... no, zbeczczeć grób. Jeśli chodzi o mnie, muszę wybrać tę drugą. Jestem pewien, że wy będziecie chcieli zbadać obie. - A może nie, pomyślał w duchu. - Ale agent GBI mówi, że po tak długim czasie, o ile ktoś sam się nie przyzna, nie ma sposobu, żeby wpaść na ślad zabójcy. Powiedział, że jeśli trop zupełnie ostygł, można liczyć jedynie na to, że ktoś nagle coś ujawni, gnębiony wyrzutami sumienia. Tak bywa najczęściej. Złożmy ją z powrotem w ziemi, kiedy nam oddadzą ciało w poniedziałek, i miejmy nadzieję, że zamkniemy sprawę.

Ginger spojrzała na nekrolog wycięty z lokalnej gazety. U góry rozpoznała fotografię zaręczynową, która zawsze stała na biurku Willsa w jego gabinecie. Catherine - wysokie czoło i bezpośrednie spojrzenie. Usta układały się w idealny łuk Amora z tamtej epoki. Na szyi miała płaski złoty naszyjnik, który dał jej ojciec, kiedy miała osiemnaście lat, pomimo sprzeciwu matki. Ginger niemal słyszała głos Memy: „On ją psuje. Dziewczyna nie wiadomo co sobie wyobraża”. Jej matka zawsze kochała ten naszyjnik. W spojrzeniu Catherine był głęboki spokój: nic złego nie może się przydarzyć. Patrzyła z przeszłości oddalonej o trzydzieści pięć lat w przyszłość, która nie uwzględniała jej dwojga zdezorientowanych dzieci, przeglądających akta sprawy w biurze szeryfa, ani męża usadzonego w krześle przy oknie wychodzącym na zarośnięty kort tenisowy domu opieki.

HOLT WHITEFIELD ZAZWYCZAJ ODWIEDZAŁ cmentarz razem z matką we wtorek rano. Było to coś, co mogli robić wspólnie. Tym razem matka odmówiła stanowczo, co przyjął z ulgą, zważywszy szok, jaki ostatnio przeżyła. Zamiast tego zabrał ją do Trzech Sióstr. Tłok był tego ranka tak wielki, że musieli siedzieć przy drzwiach. Holt czytał gazetę z Macon, a matka gawędziła z każdym, kto akurat wchodził albo wychodził. Na pierwszej stronie gazety był krótki artykuł o ekshumacji Catherine, ale co tu właściwie można było powiedzieć? Nikt nie miał zielonego pojęcia, co o tym myśleć. Emily przyniosła półmisek boczku z kaszą kukurydzianą i zamówiony dodatkowo tost, tak anemiczny, że nawet domowe konfitury z gruszek nie były w stanie tego zrekompensować.

- Mój Boże, jakie to straszne dla ciebie i Lily. Tych dwoje było tutaj dziś rano, J.J. nastroszony jak zawsze, Ginger kochana, jak to ona. - Idąc w stronę wyjścia, ojciec Tim Tyson nachylił się, żeby poklepać Eleonorę po plecach. Holt zauważył, że matka się prostuje, jakby chciała strząsnąć jego dłoń. Pastor dłubał wykałaczką w zębach i szary okruch jedzenia wylądował przy tych manewrach na stole.

Holt opuścił gazetę i wbił w nią wzrok, marszcząc z niesmakiem górną wargę. Nie był przyjacielem Kościoła episko-palnego i ledwie skinął ojcu Tysonowi, kiedy ten go mijał ze słowami:

- Nie stój z boku.

- Mamo, możesz mu pokazać środkowy palec. Daję ci dyspensę - powiedział.

- Ach, Holt. - Eleonora odwzajemniała właśnie uścisk Rainey Grover, której baniaste pośladki, obciążone różowym materiałem, były tak wystające, że można by na nich postawić kieliszek.

- Eleonoro, jak ty będziesz mogła spać po tym wszystkim? - Dziennikarka czy nie dziennikarka, Rainey nie miała zamiaru wyskakiwać z niedelikatnymi pytaniami. W swoim czasie była z niej prawdziwa pogromczyni męskich serc, kręcili się koło niej mężczyźni z trzech powiatów. Teraz pracowała dla gazety, którą wydawał w Swan jej mąż. Kto by przypuszczał, że skończy jako żona Johnny'ego Grovera? No, a kto by przypuszczał, że Holt, ze swoim ponadnormatywnym ilorazem inteligencji, skończy jako dyrektor prowincjonalnego liceum? Twarzyczka Rainey, lśniąca jak świeżo wypolerowana salaterka, wyrastała z ciała godnego starożytnej bogini płodności. Holt pamiętał, jak Buddy Perrin mówił przed wielu laty, że noc spędzona z tą kobietą zabiłaby chlerlaka, a z si-łac2a zrobiła inwalidę.

Błękitne oczy Rainey, dar niebios, spojrzały na Holta uważnie. Kiedyś pomógł jej synowi uzyskać stypendium do Mercer College. Nie jest taki stary, myślała, a spójrzcie no na te szelki dziadunia i kosmyk włosów, który sobie zaczesuje na ten łysy placek. Uśmiechnęła się na pożegnanie do Eleonory, demonstrując komplet dorodnego, białego uzębienia. Holt uśmiechnął się w odpowiedzi oszczędnie, aby zatuszować swój nieco cofnięty zgryz.

- Masz ochotę się przejechać, mamó? Eleonora uznała, że to dobry pomysł.

- Podjedźmy pod dom Biliie. Zobaczymy te sosny, którymi ponoć obsadziła swój podjazd. Potem moglibyśmy zobaczyć, co u Lily.

- Jak myślisz, jak się skończy ta cała historia z Masonami?

- Jeżeli list się znajdzie, to by raczej wskazywało na przypadkowy czyn jakiegoś szaleńca. Jeśli nie, być może komuś właśnie o ten list chodziło. Albo o co innego. Poczekamy, zobaczymy.

- A co, jeśli stan Willsa nie jest aż taki zły, jak się wydaje?

- Lily by o tym wiedziała. Poza tym jeśli nawet, wątpię, czy byłby w stanie to zorganizować ze swojego ośrodka. I czemu, u Boga Ojca, miałby to robić?

Nie spytała, co mu chodzi po głowie. I dobrze. Pomimo lat, które upłynęły, nie miał zamiaru zdradzać tajemnicy Catherine. Ona nie wydała jego sekretu.

OJCIEC TIM TYSON podjechał na pocztę, znajdującą się o trzy przecznice dalej, żeby wysłać swoje podanie o przydzielenie innej parafii. Swan to był prawdziwy dopust boży, zwłaszcza po dwóch latach spędzonych w Newman w okręgu Meacham, gdzie ludzie byli sympatyczniejsi, a warunki bardziej odpowiednie dla jego żony, Rosemary. Tutaj utyskiwała co miesiąc, że na spotkaniach kółka biblijnego co najmniej dwie osoby muszą siedzieć na krzesłach w holu, gdzie prawie nic nie słyszą, bo salon jest za ciasny. Pięć lat i nadal nie czuł się akceptowany. Dopiero co Eleonora Whitefield zrobiła mu jawny afront, tak samo ten jej synalek, o którym wszyscy mówili, że odrzuca naukę Jezusa i uprawia sodomie. Przez chwilę jego uwaga zatrzymała się na tym, czym właściwie jest sodomia. Współzycie wbrew naturze, to wiedział, ale przed oczyma nadal miał jedynie plądrujące i siejące zniszczenie biblijne hordy pod wodzą Charltona Hestona*. Teraz znów ta sprawa z Masonami. Wstyd i hańba. Mówiono mu, że przed laty Duży Jim ufundował kandelabr do kościoła, a jego ludzie zbudowali kręty mur z cegły dziurawki wokół Ogrodu Pamięci, ale obecny klan dawał na kościół paręset dolarów rocznie, o ile w ogóle jego członkowie o tym pamiętali. Lily nadal przynosiła kwiaty na ołtarz w dniach urodzin swoich rodziców - wielkie, niechlujne bukiety z własnego ogrodu. Noga J.J.-a nigdy nie postąpiła w kościele. Kiedy on, Tyson, jako nowy pastor składał wizyty parafianom, J.J. zaproponował mu whisky i zapowiedział, żeby na niego nie liczył, bo niedziela to dla wędkarza dzień święty. Złość wykrzywiła wargi ojca Ty-

* Aluzja do filmu „Dziesięcioro przykazań”, z Charltonem Hestonem w roli Mojżesza (przyp. tłum.).

13. Słodka, leniwa...

177

sona na wspomnienie jego okrutnego uśmiešku. Modli się po swojemu, tak powiedział. Wykręt stary jak świat. Jak gdyby człowiek był stworzony do samotności. Jak gdyby Kościół nie miał pomagać ludziom trwać we wspólnocie, czego ten grzesznik niewątpliwie potrzebował.

Zatrzymał się przed straganem Tony'ego Pappasa, gdzie na chodniku stały rzędem wiadra kukurydzy, kosze śliwek i brzoskwiń.

- Pyszne brzoskwinie, ojcie. Chce ojciec spróbować? - Uśmiech Tony'ego wydawał się sięgać od ucha do ucha. Jego wielkie, czarne oczy nadawały mu wygląd ikony sprzed kilkuset lat. Wszyscy w Swan przychodzili do Tony'ego.

Ojciec Tyson zapatrzył się na kopczyki cytryn i lśniących jabłek, wyobrażonych na jego zielonym fartuchu.

- Wierzę ci na słowo. Daj mi torebkę tych. - Wskazał żółte śliwki, które Tony zebrał wcześniej przy drodze do Osce-ola. Miał na głowie ważniejsze sprawy niż owoce na placek dla Rosemary. Patrzył w przestrzeń, kiedy Tony oglądał każdą śliwkę, sprawdzając, czy nie jest robaczywa albo obita. List wpadł do skrzynki z cichym metalicznym stuknięciem. Może biskup przyśle tu jakiegoś młodego człowieka zaraz po seminarium. Próba ognia, jak się wkrótce przekona. Najwyższy wskaźnik samobójstw w stanie, najwięcej zachorowań na robaczycę i czubków wszelkiej maści pod dostatkiem. Boże, czego ja tu nie miałem, myślał. Podpalenie, kradzież pieniędzy z kościelnej tacy, dwunastolatki w ciąży. Trudno się dziwić, że nie miał zdrowia na kolejną awanturę - o ten kawałek papieru znaleziony na ziemi. Postąpił roztropnie. Będzie się modlił za nich wszystkich, ale wystarczy mu dotychczasowych kłopotów.

Tony pogwizdywał, wkładając śliwki do torebki. Dodał parę brzoskwiń na szczęście i dotknął niebieskiego amuletu w kształcie oka, który nosił na szyi. Jego babcia mówiła, że duchowni potrafią rzucić zły urok. Ojciec Tyson wyglądał, jakby miał za chwilę dostać apopleksji.

Poprzedniego dnia zawiózł Mattie Tucker i jej wazon gladioli na grób biednego Hama. Kiedy usadził ją z powrotem na przednim siedzeniu i obchodził samochód, żeby usiąść za kierownicą, zobaczył na ziemi kopertę. Małą, przybrudzoną. Odczytał słowo *Catherine*, napisane drukowanymi literami.

I pod spodem: *Ostatni dzień*. W miasteczku mówiono, że Catherine Mason została pochowana z listem w rękę. I oto był ów list. Wiatr przywiał go pod nogi kapłana Kościoła, do którego kiedyś należała. Czy to nie był palec boży, czy Bóg nie chciał mu czegoś przez to powiedzieć? Wsunął kopertę do kieszeni i odwiózł Mattie do jej chylącego się domku, z kilkoma kotami czekającymi na ganku. Ona i cztery inne parafianki stanowiły dla niego w Swan jedyne oparcie. Mattie, zawsze nienaganna w swoich nijakich, brązowych lub szarych sukienkach, prasowała bieliznę ołtarzową, piekła ciasteczka na spotkania Wspólnoty Młodych i zawsze siedziała w trzeciej ławce, ilekroć kościół otwierał swoje podwoje. Nie zasłużyła na to, żeby Ham skończył, tak jak skończył: nagle, podczas mycia samochodu w sobotnie popołudnie. Ojciec Tyson nie wspomniął o kopercie, wetkniętej ukradkiem do kieszeni.

Po powrocie do kancelarii wyjął nadwątloną przez czas kopertę i wyciągnął z niej perforowaną kartkę o poczerwiałych brzegach, wyglądającą, jakby została wyrwana z notesu. Charakter pisma był inny niż ten na kopercie:

Piękno jest czymś, co sięga poza grób

To jasne olśnienie bez skazy

Nigdy nie rozsypie się w proch

I prędzej czas zaćmi (słowo zamazane)

Nim zblaknie albo przeminie

Nasze (słowo zamazane), w tym krótkim życiu

Spełnienie.

Podniósł liniowaną kartkę do światła. Papier był miękki, poznaczony cętkami pleśni. Przeszedł go nagły dreszcz, kiedy sobie uświadomił, że zmarła miała go w swojej dłoni tam pod ziemią, przez te wszystkie lata. W miejscach, gdzie tekst był zamazany, domyślał się słów *księżyc* i *tutaj*. Upuścił kartkę na biurko i wytarł ręce o spodnie. *Czas zaćmi księżyc. Nasze spełnienie tutaj*. Czy można znaleźć odciski palców na czymś tak zniszczonym? Nie sądził.

Jako duchowny wiedział, że jego odciski i tak nie figurują w żadnej kartotece, więc sprawa go nie dotyczy. Zawinał list w pogniecioną bibułkę, którą wyjął z kosza na śmieci. *Spełnienie*. To kojarzyło się

z seksem. Kąciki jego ust opadły. Nie będzie spekulował na ten temat. Wsunął list pod notatki do kazania. Nie chce nic o tym wiedzieć. Tak, jej życie było krótkie, ale samobójstwo niewątpliwie zasługuje na potępienie. Wstyd. Jej rodzina musiała opuścić Eden, zakrywając twarze. I na co im przyszło? Bardziej niż jakiegokolwiek wizyty bał się comiesięcznych odwiedzin u Willsa Masona, który patrzył na niego, jakby był karaluchem na ścianie.

Ubiegłej nocy, czytając w świetle nocnej lampki w kącie sypialni, odczekał, aż jego żona Rosemary uśnie na dobre, z włosami zwiniętymi w ciasne serdelki ściągnięte gumkami, z zieloną maseczką nałożoną na twarz. Czuł się spokojniejszy po przeczytaniu fragmentu Księgi Hioba. Powieki Rosemary zatrzepotały, kiedy brał kluczyki od samochodu. Odczekał, aż zachrapie i przewróci się na drugi bok. Minał bulwar imienia Wyspy nr 10, podjechał pod dom Masonów, zgasił światła i wsunął paczuszkę do skrzynki na listy.

Kiedy zajeżdżał pędem pod swój dom, Rosemary czekała na niego pod tylnymi drzwiami.

- Tim... w nocy, o tej porze? - Jej głos był bliski krzyku. Białe światło lampy oświetlającej garaż padało na jej zieloną twarz. Wyglądała przerażająco.

Żadne kłamstwo nie wchodziło w grę. Cokolwiek by wymyślił, wydałoby się za dzień lub dwa. O każdym wypadku, zgonie, nagłej sprawie wiedziałyby najpóźniej do południa. Powiedział jej prawdę.

- Nie chciałem się mieszać w ich sprawy. Spojrzała na niego w sposób trudny do określenia.

- Ale mogłeś zaproponować im... - Ciężarówka przejechała z łoskotem dwie ulice dalej, zagłuszając jej słowa.

Powiedziała coś jeszcze i wróciła do łóżka.

Wydawało mu się, że usłyszał słowo „wstyd”.

GINGER SKIEROWAŁA WYLOT WENTYLATORA na swoją twarz, kiedy J.J. wzniecał tuman kurzu pomiędzy samochodem a biurem szeryfa. Samotna postać w niebieskim ubraniu przyglądała im się przez zakratowane okno aresztu na pierwszym piętrze. W pierwszym odruchu chciała pomachać, ale powstrzymała się.

- Jeżeli powiemy mu o tym bez żadnych wstępów, być może jego reakcja coś ujawni.

- Myślisz, że tego rodzaju nowiny docierają bezpośrednio do pnia mózgu?

- Coś w tym rodzaju. - Już samo rozważanie możliwości wywołania u Willsa reakcji wstrząsowejsprawiło, że zabrakło jej tchu. Jej gardło wydawało się zbyt ściśnięte, żeby oddychać. Próbowła przywołać twarz Marca, ale uświadomiła sobie, że w jego wzroku zobaczyłaby niedowierzanie. Obawiała się, że nie był w stanie tego pojąć. Czy ktokolwiek był w stanie? Ona i J.J. byli uwięzieni w brzuchu wieloryba. A może nie doceniała Marca, z góry zamykając się na taką możliwość? „Najłatwiejsza zbrodnia pod słońcem” - powiedział Ralph. - Istnieje racjonalny świat, w którym można żyć, prawda? - zapytała, ale J.J. tylko westchnął i pokręcił głową. Próbowalam znaleźć do niego drogę po omacku, pomyślała, i jeśli to, co usłyszeliśmy, jest prawdą, być może uda nam się obejść minione lata i odnaleźć z powrotem dawny świat, w którym tatuś pozwalał mi osłuchiwać lalki swoim stetoskopem i uczył mnie bandażować im nogi. Samym skrajem świadomości wyczuwała jego ciepło. Ojciec wbiegający do domu z deszczu, chwytający ją ze śmiechem w objęcia. Jego parasol w czerwoną kratę nad nimi, jej drobna rączka obejmuje go za szyję, jego policzek przy jej policzku. Słyszy śmiech i równocześnie czuje go

w piersi ojca, tuż przy swojej. Nawet najmniejszą cząstką jaźni nie wierzyła, że jej ojciec mógłby być mordercą. Co za gigantyczny pech go spotkał. - Wyglądasz, jakbyś był o mile stąd. Kamień na księżycu. Zejdź na ziemię.

- Do mojego pnia mózgu dociera, jak niewiele wiemy o tym, co wiemy. Chcesz spróbować z nim porozmawiać, zawiozę cię. - Zajechał przed Złotą Gwiazdę i zamówił piwo na wynos, chociaż była dopiero jedenasta. Budynek lokalu należał do Masonów, ale J.J. prawie nigdy nie wchodził do środka, co najwyżej zatrzymywał się tu czasem, żeby zebrać się w sobie w drodze do domu Pod Kolumną.

- J-J-j słońce nie za nisko?

- W piwnicy słońca nie widać.

Ginger zamówiła lemoniadę, zimną i kwaśną. Miała wrażenie, że zaczyna ją boleć gardło. Przycisnęła chłodną szklankę do czoła, po czym wylała zawartość na ziemię.

Różnili się z J.J.-em w poglądach na stan psychiczny ojca. Ona często dostrzegała przebłyski prawdziwego Willsa. Wydawało jej się, że jego umysł jest jak wielokrotnie naświetlona klisza. Widział ponakładane na siebie fragmenty różnych obrazów, ale nie potrafił złożyć ich w całość. Kiedy drażyła, wypytyując go o dom nad rzeką w czasach jego dzieciństwa, o studia medyczne, o Dużego Jima i Mamę Fan, zdarzało jej się widzieć, jak na jego twarz powraca dawna siła.

- Twoja babka - powiedział kiedyś - lubiła zapach gardenii. Miała wielki krzak, wysoki na dwa i pół metra.

- Gdzie? - Ginger знаła odpowiedź, bo gardenie wciąż kwitły pod oknem sypialni Lily, nad którym było okno jej pokoju.

- Nie wiem.

Ale powiedział „babka”, pomyślała. Miał dość rozumu, żeby skojarzyć, że jego matka to jej babka.

Nadzieja, że kiedyś do nich wróci, nigdy właściwie nie przestała się w niej kołatać. Substancje chemiczne odzyskują właściwy skład czy poziom, przesącza się do wysuszonych obszarów, zniszczone neurony znów się powiążą w sieć, synapsy zaiskrzą. Usiłowała zmusić je siłą woli do nawiązania łączności.

- Co, u licha, mamy robić? Podkręć wentylację, na litość boską. - W tej chwili mówiła jak J.J. Gdyby tutaj mieszkała, przypuszczalnie stałaby się taka, jak on. „Gdybyś tu mieszkał,

byłbyś w tej chwili w domu" - głosił napis na planszy umieszczonej przez Izbę Handlową na rogatkach miasteczka. To, że ojciec pił przez dwa lata po śmierci Catherine (podupadał, jak to nazywała Lily), oboje z J.J.-em składali na karb bólu po stracie. U niej budziło to współczucie, którego J.J. nie chciał do siebie dopuścić. *Niewysłowione współczucie kryje się w sercu miłości* - podkreśliła w swoim tomiku wierszy Yeatsa.

J.J. uważał, że Wills jest skończony. Osądzał charakter ojca: słabeusz. Folgując swojej słabości, zrobił z nich faktyczne sieroty. Podopiecznych Lily. Jeżeli się kogoś kocha i jeżeli ma się wybór, to się go nie wystawia do wiatru. Oni zawsze byli wystawiani do wiatru, zawsze, to był jeden cholerny przeciąg, mówił z zapiekłą, tłumioną wściekłością. Śmierć Catherine naznaczyła ich wszystkich troje, ale tylko Ginger potrafił wybaczyć. Widział jej niewinność, lecz ani siebie, ani tym bardziej ojca nie potrafił rozgrzeszyć. Pamiętał uczucie, jakby zamieniał się w drewno, kiedy Lily, zajeżdżając przed Dom pod Palmami, oznajmiła niespodziewanie: „Jesteście w domu, to jest wasz dom”. Ich własny dom stał zamknięty przez wiele miesięcy, zanim Lily zdecydowała się go sprzedać. Zdejmowali z Ginger klucz z gwoździa na kratownicy ganku i wślizgiwali się do środka, żeby odszukać jakąś grę albo kurtkę. Niektóre ich ubrania nadal wisiały w szafie. Wszystko, co należało do Catherine, zniknęło. Osy zbudowały sobie czteropokojowe gniazdo w nogawce dżinsów J.J.-a. Nikt nie wyłączył lodówki z kontaktu. Uciekali z tych pograżonych w ciszy, pokrytych warstwą kurzu pomieszczeń do miejsca, które było teraz jedynym domem, jaki mieli. Kiedy Wills do reszty zszedł z pokładu, musieli wymyślić sobie od nowa. Skrzydlata dziewczynka, skrzydlaty chłopiec, skarpetki nie od pary, dwoje Tarzanów huśtających się na lianach, poszukiwacze petroglifów*, żółwie wodne, ananasy z ostatniej ławki, psy wyjące do księżyca... wybierz kartę, dowolną kartę, miejsce ukrycia skarbu zaznaczono krzyżykiem. Choć dawno powinni byli z tego wyrosnąć, biegali jak szaleni po lesie, wyjąc niczym Indianie na ścieżce wojennej. Ich rozwój przebiegał z subtelnością szmaty nasączonej naftą.

* Rysunki ryte na skałach, pozostawione przez przedstawicieli dawnych cywilizacji (przyp. tłum.).

J. J. w najlepszym razie tłumil złość, zgrywając „sługę unizonego”, niczym rozpuszczony smarkacz. W najgorszym - nie odwiedzał ojca tygodniami, po czym wpadał któregoś popołudnia i zastawał go poirytowanego, bo musiał czekać w kąpieli na pomoc albo ktoś mu ukradł dolarowe banknoty, które miał odłożone na papierosy. Doniesienie o wypadku samochodowym, w którym zginęło siedem osób i rozlaną szklanę wody przyjmował z jednakowym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Nieobecność syna nie trapiła go ani trochę. J.J. opierał się o klimatyzator wydzielający zapach pieluch, bandaży, worków do kroplówek, zasikanych materaców, smażonych potraw i ogromu cierpienia, którym nasiąkały ściany tego domu przez lata powolnego ludzkiego umierania, nie odzywając się, zaciskając usta, czasem zastanawiając się, czyby go przyłapano, gdyby przycisnął ojcu poduszkę do twarzy i skrócił jego cierpienia. Czyje cierpienia? Swoje własne. Arogancja i władcze maniery ojca wydawały mu się tak nieznośne, że w tych rzadkich chwilach, kiedy Wills okazywał słabość, patrząc mu w oczy wzrokiem zająca schwytanego w sidła, albo wyciągał drżącą rękę, żeby złapać równowagę, wychodził stamtąd najszybciej, jak się dało. Jadąc z Ginger do ojca, zastanawiał się przez krótką chwilę, czy go podświadomie nie podejrzewał, ale myśl rzucona przez Ralpa była absurdalna.

Pod Kolumną nie było kolumn, tylko przysadziste słupy, podpierające ganek wzdłuż fasady niskiego, jednopiętrowego budynku, zbudowanego z gazobetonowych bloków i pomalowanego na beżowo. Pacjenci, ulokowani w bujanych fotelach, siedzieli w milczeniu, zwróceni twarzami w stronę parkingu, niczym posągi z Wyspy Wielkanocnej, zwrócone w stronę morza. Kilku wachlowało się tekturowymi wachlarzami z wizerunkiem Jezusa, pozostali oklapli, półprzytomni z upału, dogorywający powoli. Młody mężczyzna bez rąk i nóg był przywiązany do ogrodowego fotela.

- Na litość boską... - J.J. chwycił Ginger za łokieć i pociągnął do przodu.

- Przestań - powiedziała. - Proszę cię, przestań.

- Zróbmy sobie „ścieżkę zdrowia”. - Przez całą szkołę średnią przerażał ich ten odcinek drogi między samochodem a korytarzem prowadzącym do pokoju Willsa. Później, kiedy

mieli po dwadzieścia kilka lat, też nigdy się na to nie uodpornili. - Kto będzie drugi, ten jest zgniłym jajem. Na lewo był oddział dla chorych psychicznie. Na prawo - dla osób w podeszłym wieku. Choć Wills był w tej chwili po trosze jednym i drugim, mieszkał ze starszami. W większości pokoi mieszkało po dwóch lokatorów, ale Wills miał swój własny, ze skórzanym fotelem z opuszczanym oparciem i zabytkową komodą z rzędem fotografii i świeżymi paprociami, które Lily uzupełniała, ilekroć któraś uschła, czego Wills zresztą nie zauważał. Jego stare gabardynowe i lniane garnitury wisiały w szafie, jego dyplom ukończenia studiów medycznych z wyróżnieniem - nad lustrem. Żelazne szpitalne łóżko Lily przykryła niebieskim piernatem. Z okna widział kort tenisowy, zbudowany bez sensu za federalne dotacje dla ludzi, którzy ledwie mogli ustać na nogach, nie mówiąc o machaniu rakieta. Siatka obwisła, chwasty wyrastały w szczelinach spękanej ziemi.

Drzwi wzdłuż korytarza były pootwierane, lokatorzy mieli nadzieję, że przechodzący pozdrowi ich lub zajrzy na chwilę, ale Ginger i J.J., znający dobrze tutejszą galerię typów, tego dnia nie oglądali się w lewo ani w prawo. Drzwi do pokoju Willsa były zamknięte. Ginger zapukała.

- Tatusiu, to my.

Zajrzała przez szparę, po czym otworzyła szerzej drzwi. Wills leżał na boku, stopy miał przykryte kapą. Dłonie, złożone jak do modlitwy, trzymał pod głową. Weszli po cichu, ale on ocknął się i usiadł.

- Kto, co? - Rozglądał się nieprzytomnie po pokoju. Po chwili ich poznał. - Musiałem się zdrzemnąć.

- Co ci się śniło? - zapytała Ginger.

- Spanie.

Ginger potrafiła być bezceremonialna, ale mimo to J.J. był zaskoczony, kiedy ucięła zwykłe przekomarzanki.

- Tato, dowiedzieliśmy się niespodziewanej rzeczy. Sprawa jest poważna. Wiesz, że mama została wyrzucona z grobu, prawda? Lily ci mówiła.

Wills wpatrywał się w nią przez chwilę, potem przeniósł wzrok na J.J.-a.

- Catherine. Była cudowną kobietą.

- Tak, słuchaj, stała się jeszcze dziwniejsza rzecz. Ludzie z GBI zbadali ciało i mówią, że mama się nie zastrzeliła.

- Nie? O czym ty mówisz? J.J., co ona mówi o mojej żonie?

- Tato, Ginger mówi to, co słyszysz. Policja ma teraz nowe techniki. Mama została zamordowana. - Powiedział to z całą brutalnością, chociaż nie był do końca pewien, czy sam w to wierzy.

Wills cofnął się, jakby ktoś chlusnął mu wodą w twarz. Wydał zwierzęcy pomruk, odepchnął się od łóżka i zatoczył w stronę fotela, na którym siedział J.J. Nachylił się, zbliżając twarz do jego twarzy.

- Gdzie jest moja strzelba? Wiem, że wystrzeliła. Zrobiła „pif-paf”! - Przyłożył sobie palec do skroni.

J.J. okręcił się w fotelu.

- Zrobiła „pif-paf”! Słyszałaś? - krzyknął do Ginger. - Niewiarygodne. Co takiego zrobiliśmy w poprzednim życiu, żeby na to zasłużyć?

- Przestań, J.J.! - Ginger próbowała zaprowadzić Willsa na krzesło. - Tatusiu, posłuchaj. Mama nie wystrzeliła z tej strzelby. O to właśnie chodzi. Nie pociągnęła za spust.

Wills oklapł, kolana mu się rozjechały.

- Spróbuj sobie przypomnieć. Kto mógł ją zastrzelić? Czy ktoś jej nienawidził?

- Ja nienawidziłem, kiedy wyjeżdżała z domu. - Wyciągnął rękę i włączył telewizor. Na ekranie pojawił się Lawrence Welk, wywołując uśmiech na jego twarzy.

J.J. wstał i wyłączył telewizor zdecydowanym ruchem.

- Muszę zadać ci to pytanie. Czy to ty... Czy to ty ją zabiłeś? Czy zabiłeś Catherine? - Miał ochotę chwycić go za gardło i wydusić z niego choć jedno inteligentne zdanie.

Wills uniósł podbródek. Jego twarz przybrała wyzywający wyraz.

- Nie bądź śmieszny.

- Kto mógł to zrobić, na Boga, pomyśl chociaż raz. Kto? Wills patrzył w pusty ekran.

- Co się z tobą dzieje? Pora na moje programy.

- Zaczyna do mnie docierać, że nic się nie dzieje, ani ze mną, ani z Ginger. Co się stało z zeszytami mamy? Pisała w takich kołonoatnikach. Było ich mnóstwo. - Pamiętał wycięte reprodukcje obrazów i karton pokryty papierem, który naklejała na okładkach - na każdej inny.

- Nie wiem. - Wills robił wrażenie zaniepokojonego, jak gdyby czegoś od niego chciano, a on nie rozumiał czego.

- Dlaczego nie chciałeś rozmawiać z przyjaciółką mamy, Charlottą? - parł dalej J.J.
- Zawsze rozmawiałem z Charlottą. Charlottą. Bardzo miła osoba. - Wills uśmiechnął się słodko i poklepał Ginger po nodze. - Skarbie, jesteś taka śliczna.
- Tatusiu, czy mógłbyś wrócić tu nie wiem skąd i zareagować na to, co usłyszałeś? Czy nie szokuje cię, że to, w co zawsze wierzyliśmy, okazało się nieprawdą?
- Jestem wykończony. Zadzwoń po drinka, skarbie, dobrze? Szkocka i soda, odrobina dżinu.
- Możesz się napić soku, jeśli masz ochotę. - Ginger dała za wygraną. Opłukała twarz w łazience Willsa. - Zimna woda, J.J. Ochłap sobie twarz i postaraj się ochłoniąć. Czy coś do niego dotarło, nie mam zielonego pojęcia. Kiedy ostatni raz w czymś nam pomógł?
- Będziesz musiała się udać na jedną ze swoich ekspedycji archeologicznych, żeby to ustalić. Drzwi się otworzyły i stanął w nich mały człowieczek o lasce.
- Serwus, doktorcu, nie zagrałby pan w walety? - Jego uśmiech odślaniał lśniące, bezzębne dziąsła. Ginger rozpoznała Gene'a, recepcjonistę z hotelu Ogle-thorpe z czasów swojego dzieciństwa. Nadal miał pełne życia oczy koloru chabrów.
- Nie.
- Gene, jak to miło cię zobaczyć. - Ginger szybko zatuszowała nieuprzejmość ojca. - Może wpadłbyś nas kiedyś odwiedzić? Tatusiu, będziemy się zbierać. J.J. się wybiera na ryby, a ja mam sprawę do załatwienia z Lily. - Chciała zadzwonić do Marca, obudzić go, jeśli będzie trzeba, po to tylko, żeby usłyszeć tembr jego głosu. Marco, nieświadom całego tego chaosu, wciąż przekonany o ich wspólnej, jak przed trzema dniami, egzystencji.
- Hej, tato, potrzebujesz czegoś? Moglibyśmy wpaść później, jeśli tak. - J.J. wyszedł z pokoju, nie czekając na odpowiedź, biorąc po drodze kluczyki od samochodu.
- Ginger ucałowała Willsa w policzek. Musiała się przemóc, żeby to zrobić. Gene mimo wszystko wyjął karty z kieszeni szlafroka, a Wills okazał zainteresowanie.
- No więc, doktorcu, jak wyciągnę waleta, to pan go przyklepiesz. Prosta sprawa.

GINGER WRÓCIŁA DO DOMU z misją, chociaż nie wspomniała o tym J.J.-owi. Było oczywiste, że jej brat wszedł w fazę „ryby wyrzuconej na brzeg”, niemal miotając się ze złości i zniecierpliwienia. Kierowcy mijanych samochodów im machali, ale on nie pomachał nikomu, ścinał zakręty w milczeniu, a na bulwarze Wyspy nr 10 wcisnął gaz do deski. Ginger czuła przynajmniej dwadzieścia rodzajów zmęczenia. Kiedy zajechali pod dom, ruszył z powrotem, nim dobrze zdążyła zamknąć drzwi.

- Przyjeżdż potem nad rzekę. Upiekę jakieś ptactwo. *Ari-vederci, Roma.* - Ruszył z piskiem opon, omal nie wpadając w poślizg.

Ginger była zirytowana. To był jego stały numer. Robili coś razem i w pewnym momencie (mogła wyczuć, że ten moment się zbliża) on się wyłamywał i szedł dalej swoją drogą.

Podeszwa jednego ze starych mokasynów, które znalazła w szafie, odkleiła się i kurz dostał się do środka. Przystanąła, zdjęła buty, wytrzepała miarki pyłu i poszła dalej boso po trawie. Dzejdzejdzejdzejdzejdzej - trajkotały cykady w gałęziach dębów. - Dzejdzejdzejdzejdzejdzej. - Mogły doprowadzić człowieka do szału. Cisnęła kamieniem w drzewo i hałas ucichł jak nożem uciął. Jakim cudem robiły taki rejwach? Czy rzępoliły smyczkiem po strunach? Znowu zaczęły. Będzie musiała poszukać w starym wydaniu „Encyclopaedia Britannica” w holu na parterze. Na Krecie, gdzie kiedyś pojechała, cykady w ruinach były dziesięć razy głośniejsze niż tutaj. Przypomniał jej się wtedy dom, omszałe dęby, wibrujące w lipcowym upale, dźwięk wrzynający się w głowę niczym piła, kiedy rozczesywała grzebieniem mokre włosy, hałas zabijający wszelkie myśli, wszystko prócz miazdzącego upału.

Tam, w Knossos, czuła, jak natarczywy śpiew cykad w akacjach zapada się w otchłań czasu - grecki chór, chrapliwy odgłos bębna towarzyszący minojskim budowniczym, układającym cegły lepione z błota i pociągającym kwaśne wino z amfor chłodzonych w podziemnych komorach. To jest poza zasięgiem archeologii: ta nuta, ta bezlitosna monotonia cykady w letnie popołudnia, dźwięcząca poprzez epoki. Tylko pamięć jest w stanie przywołać krople potu, spływające wzdłuż mojego kręgosłupa, moją młodą twarz w zaśniedziałym lustrze, sukienkę z haftem angielskim, teraz wiotką, wiszącą na drzwiach szafy, pamięć jest w stanie tego dokonać, kiedy cykada nagle milknie, po czym znów podejmuje swoje straszliwe wibrato, pamięć - dopóki trwa. Potem wszystko jest archeologią, przesiewaniem warstwy za warstwą, zabezpieczaniem stanowiska na zimę, zaczynaniem od nowa z nadejściem lata. Cykada dojrzewa przez siedemnaście lat, po czym wybucha nagle nie śpiewem, tylko chrzęszczącym jazgotem, odbijając sobie za wszystkie lata podziemnej inkubacji. Ohyda wydobywania matki na światło dzienne. Czy potrafi o tym myśleć w kategoriach archeologii? Co starożytna mumia może powiedzieć o tych, którzy ją pochowali? Ciało pogrzebane przed wiekami w torfowiskach nielnością nic dobrego - ich głowy zostały rozszczerzone siekierą tak dawno, że można jedynie pytać, jaki to rodzaj siekiery, nie: dlaczego? Jak został obrobiony kamień? Skąd był wydobyty? Pytania pomocnicze.

Otworzyła drzwi do szerokiego holu. Na środku stał okrągły stół z kluczami, pocztą i bukietem pomarańczowych nasturcji Lily w niebieskim wazonie z siateczką delikatnych rys na glazurze, który Catherine zrobiła w koledżu na zajęciach z ceramiki. Ginger знаła ten wazon od zawsze, odkąd pamiętała płamę światła na drugim końcu holu. Od czasu, kiedy bawiła się z J.J.-em w „Mamo, mamo, mogę wstać” w deszczowe popołudnia, dawno, dawno temu, jako bardzo mała dziewczynka. Po obiedzie mama z Lily i Mamą Fan szły na górę, żeby pooglądać wykroje w pokoju Lily. Po kawie Duży Jim drzemał, a ojciec czytał gazetę.

Gra polegała na tym, że „mama” wydawała polecenie: zrób trzy wielkie kroki, zrób dwa tip-topki, okręć się trzy razy, machając „skrzydłami” jak motyl. Trzeba było dojść w ten sposób do oszklonych drzwi na drugim końcu holu. Aby po-

suwać się naprzód, trzeba było pamiętać, żeby zapytać: *Mamo, mamo, mogę?*, przed każdym skokiem czy obrotem. Czy zawsze będziemy pytać: *mogę, mogę?* J.J. zawsze wygrywał, bo nigdy nie zapominał o tym niezrozumiałym wymaganiu, ale Ginger, niecierpliwiąca się, żeby jak najszybciej wykonać swoją „gwiazdę”, cwał boczny albo trzy fikołki, ciągle wracała na początek trasy.

Zegar Dużego Jima wybił pierwszą. Horror oględzin, którym poddana została matka, jej obnażone ciało jako obiekt makabrycznych żartów. Mumia w Zagrzebiu, którą pamiętała, ta mumia owinięta w wąskie pasy płótna, okazała się młodą dziewczyną, być może z Egiptu, ale na płóciennych powijakach, kiedy je wzięto pod lupę, znaleziono ledwie widoczne znaki, które pomogły częściowo rozszyfrować etruskie pismo. Jej matka, wydobyta z ubrania, została oczyszczona z zarzutu popełnienia zbrodni samobójstwa. *Mamo, mamo, mogę skoczyć dwa razy jak konik polny?*

MARCO PODNIÓSŁ SŁUCHAWKĘ po pierwszym dzwonku.

- *Cara, cara, gdzie jesteś?* Gdybym złapał samolot, mógłbym jutro do ciebie przylecieć. Powiesz mi, co się dzieje? Wiem, że to coś poważnego.

Ginger powiedziała mu, co się stało, podkreślając, że nic tu nie można zrobić, musi po prostu dotrzeć do końca tygodnia, kiedy, jak miała nadzieję, sprawa zostanie zakończona, a jej matka spocznie z powrotem w ziemi. Było to mniej krępujące, niż się spodziewała; może zresztą całe zdarzenie uodporniło ją ostatecznie na coś tak powszedniego jak skrepowanie. Pewnie nauczy się w końcu wymawiać słowo „samobójstwo” tak, by język nie przywierał jej do podniebienia.

- Opowiedz mi o pracy, opowiedz mi wszystko. - Chciała słyszeć jego głos, chciała, żeby jego głos ją otulił, głos dochodzący z miejsca, które nie ma nic wspólnego z tym miejscem, żyje własnym życiem, bardziej ludzkim, piękniejszym. Nie, piękniejszym nie, poprawiła się w myśli. Marco znalazł maleńką sówkę, jeszcze pokrytą puchem. Jego szwagierki karmiły ją kroplomierzem i drobniutko siekanym mięsem. Sówka siedziała z nimi przy obiedzie na oparciu krzesła i pozwalała dzieciom głaskać się po grzbiecie. Praca posuwa-

ła się naprzód, ale od tego upału wszyscy dostawali głupawki. Układali przy robocie słone przyśpiewki. Ginger poczuła, że oczy ją pieką, a gardło się ścisza. Nie rozplakała się, ale łzy napłynęły jej do oczu i wylały się spod powiek. - Tęsknię za tobą. - Próbowwała powiedzieć to lekko, ale usłyszała w swoim głosie nutę paniki. Tęskniła za całym światem, który poznała dzięki niemu. - Porozmawiamy później. Dużo później.

W jadalni Lily przypinała do zasłon kawałki materiału: koralowy róż, żółta jedwabna satyna i okropne złoto-różowe pasy.

- Ten pasiasty to nie bardzo, Lily. Za ciężki, nie wydaje ci się? - Odetchnęła z ulgą, widząc Lily znów w formie, w granatowym kostiumie i bluzce w grochy, z okularami na łańcuszku ozdobionym koralikami, z włosami zwiniętymi w zgrabny koczek. Lily była niezawodna. Przyjąć cios, pozbierać się i iść do przodu - to była cała ona.

- Masz rację. Ale ta cudowna blada żółć i ten czysty łososiowy róż? Chyba się nigdy nie zdecyduję. - Rozłożyła większe próbki na krzesłach i cofnęła się o parę kroków, przyglądając się im z przyjemnością. - Agnes wolałaby ten różowy.

- Czy te niebieskie nie są jeszcze całkiem nowe? - Ginger pamiętała próbki z ostatniej wizyty, ale może to było w gabinecie? Lily ciągle zmieniała gdzieś tapicerkę, tapety, coś prze-malowywała, przesadzała. Jej torebka była pełna kolorowych ścinków, kawałków kafelków, frędzli wyrwanych z magazynów, kartek przedstawiających sypialnie obwieszane angielskim perkalem i przedpokoje, których wystrój składał się z francuskich stojaków na chleb i gigantycznych żółwich skorup.

Niech J.J. jej powie. Dlaczego takie rzeczy miały zawsze spadać na nią? Postanowiła przemilczeć to, co im powiedział Ralph. Nie miała dość energii, żeby stawić czoło reakcji Lily. I co, jeśli okazałoby się, że to nieprawda? Usiadły za stołem, na którym wciąż stało puste nakrycie dla J.J.-a. Kiedy Tessie nakładała kotlety z kurzych piersi i zrobione specjalnie dla niej ziemniaki puree, Ginger próbowała wyobrazić sobie twarz Marca, siedzącego naprzeciwko niej przy tym stole. Lily rozprawiała dalej o Bonny Vinson, która zdobyła stypendium na obóz muzyczny, chociaż w szkolnym chórze zawsze miała kłopoty z górnym „C”, o tapetach i szorstkim

szantungu, którego nie wybrała. Ginger nie miała zamiaru poruszać żadnych nieprzyjemnych tematów. Na dzisiaj wystarczy, pomyślała.

Lily spędziła poranek w fabrycznym sklepie, który nadal funkcjonował, chociaż fabryka Masonów była od dawna zamknięta. Bennie Ames przekształcił punkt sprzedaży produkcyjnych resztek i braków w sklep z materiałami tekstylnymi i tapicerskimi. Często odwiedzały go razem z Agnes, ale w trudnych chwilach Lily zawsze jeździła tam sama. Szczęśliwe popołudnia, które spędzała w dzieciństwie, drepcąc za Dużym Jimem, nadzorującym kobiety przy krosnach, podziwiając żylaste grzbiety czarnych robotników, dźwigających stu pięćdziesięciokilogramowe bele materiału, i skacząc z ogromnej wagi na worki pełne bawełnianego puchu, sprawiły, że już sam zapach lnu i bawełny miał na nią przez całe życie kojący wpływ. Lubiła przesuwac tkaniny między palcami, wyczuwać osnowę i wątek, myśląc o matce, która robiła to samo, o jej szafie pełnej kuponów kwiecistych materii, bładoniebieskiego lnu i sennego zielonego jedwabiu, który mama nazywała „wodą Nilu”. „Jesteśmy ludźmi tkanin - mawiała - tak jak inni są Siuksami czy góralami”. Jej rodzina też była związana z branżą włókienniczą. W fabrycznym sklepie Lily czuła się bliżej swoich rodziców. Półki pełne leżącego się jedwabiu i haftowanej organdy, kosz ze szpulkami kolorowych nici, stół do cięcia, z precyzyjną miarą krawiecką, przymocowaną z jednego końca, postukiwanie rozwijanego rulonu materiału - żaden problem nie miał prawa tu zagrzać miejsca. Żadne groteskowe wspomnienia czy brutalne czyny, tylko piękno, perspektywa przeobrażenia łóżka czy fotela, tak jak robiła to mama.

Ginger coś do niej mówiła.

- ...klucz od szopy.

- Co, kochanie? Jestem dziś ogłuszona przez ten upał.

- Chciałabym przejrzeć pudła w szopie, te z naszego starego domu. Wiesz, nigdy nawet nie spojrzałam na żadną z tych rzeczy. Nawet na moje lalki, przedstawiające różne postacie, ani na domek dla lalek, który zrobił mi tatuś. -

Urwała. Nie chciała popaść w rodzinną manierę owijania w bawełnę. - Ale nie o to chodzi. Chciałam zobaczyć, czy nie ma tam rzeczy, które należały do mamy. - Miała zamiar poszukać notesów matki, o których była mowa w raporcie. Chciała za-

dzwonić do Charlotty Crowder, która zrobiła wtedy awanturę szeryfowi.

- Nie wiem, po co rozgrzebywać tę upiorną sprawę. Zostawmy to szeryfowi, a ty spędzaj miło czas, zamiast przetrząsać zapleśniałe koce i stare szkolne roczniki. Nie dajmy się zwariować. - Lily podniosła próbki materiału do światła.

- Chyba zamówię ten różowy, bo żółty mam u siebie w sypialni. Potrzebujesz czegoś jeszcze, skarbie?

- Nie, dziękuję. Dobry wybór. Mnie też się podoba ten różowy. Posiedzę parę minut, żeby ochłonać po tym upale.

- Klucz wisi tam gdzie zawsze, na tylnym ganku. Tessie ci pokaże. Właśnie łuska zieloną fasolkę na kolację.

Tessie zdążyła już nałuskać pełen durszlak.

- Och, Tessie, zielona fasolka! Przepadam za nią.

W szopie wciąż stały dwa kremowe lincolny Lily, rocznik 1950 i 1960. Wobec argumentu, na który się powoływała, ilekroć J.J. próbował ją namówić, żeby je sprzedała lub oddała na złom, jej bratanek dał w końcu za wygraną. „Mój drogi, ja kochałam te samochody” - mówiła po prostu. Ginger też je dosyć lubiła. W liceum zakradli się parę razy z Tonym Pappa-sem do tego z 1950 roku i całowali się na tylnym siedzeniu.

Otworzyła drzwi do pomieszczenia w głębi szopy, które kiedyś służyło za mieszkanie pokojówce. Chociaż lata minęły, odkąd była tu po raz ostatni, w szopie nadal stały pudła ślubnych prezentów, których nie chciała. Wszystko było tak jak przedtem: bezgłowy manekin Lily, kufry z porzewiałymi zamkami, pudełka z rozmięklej tektury, wiklinowe „rogi obfitości”, których Mama Fan używała podczas przyjęć w ogrodzie, wyściełane krzesła, eksmitowane tu przez Lily, regał periodyków medycznych, czasopisma poświęcone urządzeniu domu, do których Lily mogła jeszcze kiedyś zajrzeć, i zapleśniałe czterotomowe wydanie historii Georgii, zawierające, jak wiedziała, wielką fotografię ojca Dużego Jima, mężczyzny o krzaczastych brwiach, sumiastych wąsach i śmiałym, surowym, przykuwającym wzrok spojrzeniu, które widziało się nadal po zamknięciu książki.

W pierwszych pudełkach, jakie otworzyła, znalazła swoje blaszane serwisy do herbaty, meble dla lalek zawinięte w gazety, kurtkę J.J.-a i cienkie, ozdobione monogramami prześcieradła Mamy Fan, które postanowiła zabrać ze sobą do

193. Słodka, leniwa.

209

Włoch. Przetrasnęła stare formularze podatkowe, dokumenty i wyciągi bankowe. Wysypały się duże białe czekci, wypełnione charakterem pisma matki lub ojca. Wypłacić Spółce Wodociągowej w Swan siedem dolarów dziesięć centów. Pod spodem złożony obrus i słoik z guzikami z bakelitu i masy perłowej. Wysypała je sobie na podolek. Jako mała dziewczynka kochała słoik z guzikami. Przesypywała je teraz między palcami, tak jak wtedy, gdy była dzieckiem. Mama uszyła żółte zasłony do jej pokoju i ozdobiła je kolorowymi guzikami. Kto to wszystko pakował? Rzeczy były poutykane bez ładu i składu, pudła nieopisane. Ginger nie przyniosła ze sobą taśmy, żeby je z powrotem pozaklejać, i buszując wśród nich na oślep, powodowała jeszcze większy bałagan. Ale kogo obchodziło to wysypisko odpadków? Wszystko dawno powinno zostać spalone. Jeden z kartonów był pełen niemowlęcych ubranek, jej własnych batystowych sukieneczek, pajacyków z plamami od jedzenia na przodzie, śliniaczków haftowanych w misie i gąski. Znalazła zawiniętą w dziecinny kocyk rodzinną szatkę chrzcielną z długim trenem, z okrągłymi koronkowymi wstawkami. Odłożyła ją na bok razem z prześcieradłami, które chciała zabrać ze sobą. Być może wyjdzie za Marca, może będą mieli dziecko, które zostanie ochrzczone daleko stąd. Gdzie były rzeczy mamy? Czyżby ktoś wyrzucił jej podręczniki z koledżu, listy, zdjęcia z dzieciństwa i notatniki, tak podobne do zeszytów J.J.-a?

W pewnym momencie zauważyła karton od Richa* z Atlanty, w czerwone pasy, podpisany, wyglądający inaczej niż pozostałe: *Ubrania ciążowe* - dobrze znane, pochyłe pismo matki. A więc został zaklejony na długo przed wyprowadzką, i to porządnie zaklejony. Podczas opróżniania domu wylądował tu pewnie razem z innymi pudłami, w które popakowano rzeczy. Ginger rozerwała taśmę i wytrząsnęła ze środka różowy aksamitny bezrękawnik i satynową bluzkę do noszenia pod spodem. Spodnie z elastyczną wstawką z przodu, czarną sukienkę z czarnym rypсовym pasem biegnącym dookoła spódnicy. Pod ubraniami zobaczyła dwa szkicowniki i zeszyt. Odetchnęła głęboko. Znała to uczucie. Kiedy drugi stopień kondygnacji etruskich schodów ukazał się, oczyszczony przez

* Sieć domów towarowych (przyp. tłum.).

ich pędzle, w całej okazałości, wiedzieli, że znaleźli coś nadzwyczajnego. Pod zeszytem odkryła szpulę taśmy filmowej i kilka listów związanych wstążką. Niezaadresowanych, bez znaczków. Na każdej z niebieskich kopert ktoś napisał równymi, drukowanymi literami: *Catherine*. Było jasne, że znalazła coś, co Catherine chciała zataić na długo przed swoją śmiercią. Zataić przed kim?

Schowała sekrety Catherine do poszewki od poduszki i owinęła prześcieradłem. Jej matka, nóż od tak dawna wbity w sam środek pleców, ukazała się teraz jako niezapisana karta, zagadka, którą należało dopiero rozwiązać. Pozostałych pięć kartonów ujawniło niewiele, chociaż ucieszyło Ginger odnalezienie pudełka z przepisami kulinarnymi matki, czerwono-białej książki kucharskiej, do której, jak pamiętała, mama czasami zaglądała, oraz przepisów zebranych od miejscowych członkiń klubu ogrodniczego i parafialnego. To też zanieś do domu. Kiedyś wypróbuj przepis na domowy majonez i ciastka pieczone po schłodzeniu ciasta w lodówce. Wyobraziła sobie Marca przy pracy, rozebranego do podkoszulka w upale. Co za zdumiewająca rzecz, wykopalisko. To, że po trzech tysiącach lat nadal coś znajdujemy, kiedy nawet te pudła wydają się stare. Ginger szła wzdłuż szpaleru azalii, licząc na chłodny powiew między ogrodem a domem. A gdyby to się działo tysiąc lat później i ktoś szukałby śladów Swan? Dziwaczne obyczaje ludzi wznoszących białe kwadratowe domy, płodzących dzieci i spędzających swój krótki żywot wśród porośniętych sosnami, nieurodzajnych okolic, noszących kiedyś nazwę Georgia. Etruskowie nazywali sami siebie *Rasenna*. Dziś byli jedynie Etruskami, ich własna nazwa została niemal zupełnie zapomniana. *Catherine*, tak były podpisane listy. *Lato 1943* - przeczytała na zeszycie. A więc czy jest na to gotowa, czy nie, zobaczy coś z Catherine takiej, jaką ona sama siebie widziała. Czując się ciężka jak ołów, z trudem rozgarniała powietrze, które wydawało się zamieniać w ciało stałe. Jedna stopa, potem druga. Pokonała dwadzieścia sześć stopni prowadzących do jej pokoju, włączyła wentylator i zamknęła drzwi.

J. J. SIEDZIAŁ POD WIATĄ POROŚNIĘTĄ PNĄCZEM. Wszystko się klei do wszystkiego, myślał. Jego plecy lepiły się do oparcia

krzesła. Ściągnął jednym ruchem koszulkę, tak przeupoconą, że na plecach wytrącił się biały, słony osad. Jego ręce wydawały się przyklejone do blatu stołu, palce czepiały się ołówka, włosy przywierały do karku. Termometr firmy Dr Pepper, przybity do ściany domu, wskazywał 37 stopni w cieniu, upał bliski temperatury ścinania się białka. Mogłoby dojść do samozapłonu, Ginger znalazłaby tylko tłustą plamę na ziemi, kiedy zjawiałaby się tu późnym popołudniem. Nie, nie, nie, żadnych więcej niespodzianek dla Ginger. Zawsze będzie na siebie uważał, przede wszystkim dlatego, żeby Ginger znów nie została zraniona. Rysował małe muszelki, które znalazł w piaszczystym uskoku przy gliniastej drodze, prowadzącej na przystań. Małże, które kiedyś oddychały w wilgotnym, morskim piasku? Czy po prostu zguba, którą upuścił ptak, szybujący z podmuchem wiatru wiejącego od morza? Miał wrażenie, że nałykał się tego żaru. Niewiele skosztował ze specjałów, które Tessie przygotowała na niezbyt triumfalny powrót Ginger, więc dlaczego nie miałby zjeść upału? Talerz upału, torebka upału, szklanka upału. Zeszłej nocy, kiedy już się wywnętrzył przed Ginger, próbował zasnąć z mokrym ręcznikiem na oczach. O czwartej wyskoczył z łóżka i stał długo pod zimnym prysznicem, po czym położył się bez wycierania. Leżąc na wilgotnym prześcieradle, myślał, że tak musi się czuć dziecko w brzuchu matki: zamknięte oczy, łomocząca pompa serca, obracanie się z boku na bok w słonej zalewie, na jawie, ale nie po tej stronie, objijając się o miękką ścianę, ze zwiniętym prześcieradłem niczym pępowiną wzdłuż brzucha, między nogami... Próbował leżeć zupełnie nieruchomo, przywołując sen, ale kiedy był już tuż-tuż, ocknął się z nagłym wstrząsem całego ciała i znów żeglował w objęciach upału.

Plasnął dłonią o twarz, odganiając muszki cisnące mu się do oczu. Rysunek był koślawy. Przedarł go na pół i jeszcze raz z góry na dół. Ile miał czasu do przyjazdu Ginger? Postanowił pojechać do zakrętu rzeki. Wyobrażał już sobie siebie, półleżącego w łódce pod wierzbą, w zakolu nieruchomej, przejrzystej wody przy tamie zbudowanej kiedyś przez bobry i na wpół rozniesionej przez rzekę. Ryby powinny brać. Pstrągi. Ławica pstrągów. Będzie widział na wskroś przez tę przejrzystą wodę, aż po gruby piasek i żwir na dnie.

LILY STWIERDZIŁA, że nie może uleżeć w łóżku podczas poobiedniej drzemki. Tył jej głowy wydawał się gotować na poduszce. Motyl uwięziony w pokoju tłukł się o szybę. Nikt z Masonów nie lubił klimatyzacji w domu, na ogół wystarczał im wentylator na poddaszu, ale dzisiaj zasysał tylko gorące powietrze. Powędrowała do kuchni, żeby zrobić sobie szklankę herbaty. Tessie też piła herbatę, na wpół drzemiąc nad przeglądającym magazynem.

- Ginger wciąż jeszcze siedzi w tej szopie w taki upał? Tessie podskoczyła.

- Ginger jest u siebie na górze. Miała pełne ręce różnych rzeczy. Pewnie śpi. - Tessie wskazała gestem zawiniątko w pogniecionej bibułce. - Panno Lily, to było rano w skrzynce na listy. Zupełnie o tym zapomniałam. Nędznie wygląda jak na prezent.

Lily odwinęła bibułkę. Koperta. Pożółkła, poznaczona cętkami ze starości, odnalazła z powrotem drogę do jej rąk.

- Co to jest?-Tessie podniosła wzrok.

- List. Po prostu list z wyrazami współczucia. Dziękuję ci, Tessie.

Pociągnęła długi łyk herbaty, po czym poszła z powrotem do swojego pokoju. Wiedziała, że wewnątrz koperty znajdzie kartkę wyrwaną z jednego z notatników Catherine. To nie Wills, tylko ona uniosła tę chłodną dłoń i położyła kopertę na drugiej dłoni Catherine. Podarunek, pożegnanie, po trosze z powodu wstydu - wstydu, który wciąż czuła po tym, co zrobiła tamtego pamiętnego dnia. Kiedy przyjaciółki Tessie doprowadziły dom do porządku, a Wills, nieprzytomny z bólu, szoku, gniewu, płaczący i równocześnie przeklinający Catherine, wyszedł, żeby poszukać J. J.-a, Lily próbowała dać Ginger kanapkę, ale zęby dziewczynki były zaciśnięte - dygotała tylko, leżąc na łóżku, aż w końcu usnęła. Wówczas Lily, sama wściekła (jak ta suka mogła zrobić coś takiego jej bratu?), poszła do pokoju krawieckiego Catherine, napełniła kosz na śmieci papierami leżącymi na biurku, wyszarpnęła na wpół ukończoną spódnicę z maszyny do szycia i podarła na kawałki. Pozrywała rysunki zatknięte za okienne ramy, zgarnęła notatniki stojące rzędem między podpórkami, szkicowniki, oklejone materiałem pudełka z listami i zdjęciami. Wszystko to zawiązała w koc i zaciągnęła do śmietnika za ga-

razem. Catherine miała wszystko. Lily zagryzła dolną wargę. Miała wszystko, czego ona pragnęła, i wżgardziła tym. Włożyła kartkę pod obwolutę książki. Kto ją wrzucił do skrzynki? Szaleniec, który rozkopał grób? Przyływ adrenaliny - nieznane uczucie - obiegł jej ciało. Sprawca tego czynu wciąż był na wolności.

Po najściu na pracownię Catherine poszła wtedy do jej sypialni, wygarnęła z szafy ubrania i wyrzuciła je przez okno od strony garażu. Catherine była próżna, to nie ulegało wątpliwości. W tym momencie Lily ochłonęła już nieco w swoim zapamiętaniu, ale mimo wszystko ułożyła stos i podpaliła go. Odpowiednie zakończenie dnia. Ale Wills nie wrócił do domu. Kiedy ogień wygasł, zaczęła się zastanawiać, czy i ona oszalała, tak jak musiała oszaleć Catherine. Zobaczyła w popiele niedopalony kawałek notatnika i kopnęła go nogą. Kogo obchodziła jej egoistyczna bazgranina, jej rysunki drzwi? Prawie zupełnie spalony, czarny zeszyt wciąż jeszcze dymił.

Ponieważ Ginger wierzgała i drapała, kiedy próbowała ją obudzić, Lily spędziła noc w łóżku J. J.-a. Nie żeby spała - nie w tym domu, gdzie popełniono zbrodnię przeciw naturze. Wczesnym rankiem poszła na miejsce wczorajszego całopalenia i podniosła ostatni zeszyt, teraz chłodny i wilgotny od rosy. Kupka popiołu, to prawie wszystko, co zostało z Catherine Mason, z domu Phillips, pochodzącej z Vidalii, która unieszczęśliwiła męża i dwoje dzieci. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Jej ciało w kostnicy z dziurą zamiast serca. Lily otworzyła zeszyt i zaczęła czytać. Były tam jakieś bzdety o produkcji kaszmiru, o kozach i czesaniu wełny. Przewróciła strony z rysunkiem krzesła. Rozpoznała sprzęt z domku nad rzeką, z siedziskiem z wołowej skóry i rzemieniami wiążącymi ze sobą poszczególne elementy. Catherine narysowała je przynajmniej ze czterdzieści razy. Potem była strona, którą Lily wyrwała. Zawsze się broniła przed Catherine, ale zawsze przychodziła w końcu taka chwila, kiedy Catherine zwyciężała i Lily niechętnie dopuszczała do siebie miłość. Choć tego dnia nienawidziła jej z całej duszy, poruszył ją wiersz, napisany, jak sądziła, przez nią, przywołujący obraz Catherine na pomoście nad rzeką, w białych szortach i plażowym topie w arbuzy, obłożonej książkami o sztuce, notującej coś w swoich zeszytach i recytującej na głos.

Ktoś tak

pełen życia - nagle unicestwiony. Wrzuciła nadpalony zeszyt do kubła na śmieci.

Ginger nie przyszła do kuchni po sok pomarańczowy. Lily zostawiła Willsowi karteczkę z informacją, że zaczęła uprzętać rzeczy Catherine.

Im prędzej znikną, tym lepiej dla ciebie, napisała. Spakowała podręczną torbę, zabrała Ginger, ponurą i milczącą, i pojechała do Domu, gdzie czekała na nich matka Catherine i kilkoro dalszych krewnych.

LILY ODEBRAŁA TELEFON W holu.

- Panno Lily, tu Ralph Hunnicutt.

- Eee, tak, szeryfie? - Czyżby ktoś wiedział, że koperta się znalazła? Czy powinna mu o tym powiedzieć? Nie.

- Miałem właśnie telefon z GBI. Chciałem tylko przekazać, że testy potwierdziły to, co mówiłem rano Ginger i J.J.-owi. Ich matka została ponad wszelką wątpliwość zamordowana. Agent powiedział mi, że po tak długim czasie nie ma, oczywiście, mowy o śladach mogących wskazywać na sprawcę.

- Zamordowana - powtórzyła Lily oszołomiona. No, tak, z własnej ręki. - To znaczy... jeszcze raz? Chodzi o to, że została zamordowana jeszcze raz? - Co on wygaduje?

- Nie, proszę pani. - Czy nie mówił po angielsku, u licha?

- Wtedy. Pierwszy raz. Kiedy zginęła. Ktoś ją zamordował.

Cisza.

- Jak mówiłem dziś rano... - Cholera, nie powiedzieli jej.

- Przepraszam, panno Lily, ale Ginger i J.J. wszystko wyjaśnią. Widocznie rano byli za bardzo przybici, żeby o tym mówić. Sprawa nie była pewna - dodał.

Lily trzymała słuchawkę w milczeniu, po czym ją odłożyła i wróciła do kuchni. Tessie prasowała fartuchy.

- To był szeryf. Powiedział, że Catherine się nie zabiła, że została zamordowana. Tak mówią ci z GBI. - Usiadła i zapaliła papierosa.

- Słodki Jezu! Czy to dobra wiadomość, czy zła? Chyba dobra, ale może być i zła, zależy, kto ją zabił. - Żelazko

Tessie wypaliło czarny trójkąt na białym fartuchu. - Boże, zmiłuj się nad nami. - Kto, zadawała sobie w duchu pytanie. Miała wciąż w pamięci obraz tamtej kuchni, którą szorowała ze swoimi dwiema przyjaciółkami. Wycieranie krwi mopem, wyci-

skanie gąbki nad zlewem, wir krwawych, gorących mydlin. Wyrzuciła też orzechowe rolady Catherine, czekające w lodówce na upieczenie. Kto miałby ochotę to robić po jej śmierci? Teraz mówią, że to morderstwo. Jej przyjaciółka Rosa snuła takie domysły, kiedy sprzątały razem tamtego dnia, ale Tessie powiedziała jej, żeby nie gadała głupstw. - Co pani myśli, panno Lily?

- Myślę, że mam ochotę rwać sobie włosy z głowy. - Ale zamiast tego ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. - Morderstwo. Samobójstwo było przynajmniej... czymś zamkniętym. Teraz będą o tym plotkować do skończenia świata. - Nie mogła znieść tej myśli. Wills zostanie w to wszystko wciągnięty. Zabójstwo w afekcie? Przemknęła jej przez głowę myśl o samobójstwie. Garść pigułek, kończący wszystko strzał, jak z Catherine. Ale nie, nie teraz. Mogą zapomnieć o jej samobójstwie jako o czymś zaraźliwym, co może się udzielić innym.

- Czy J.J. nie mógłby tego wyciszyć? Pan Duży Jim na pewno dałby radę. Pan Duży Jim wszystkim tutaj kręcił.

- Te czasy minęły. - Lily poczuła nagły przyływ nienawiści do Dużego Jima. - Gdzie jest J.J.?

- Pognął do lasu, jak zawsze.

Lily dźwignęła się na nogi. Kochała Willsa. Zbierając wszystkie siły, powiedziała:

- Tessie, proszę cię, przekaż Ginger, że wiem. Jadę Pod Kolumnę, odwiedzić mojego biednego brata. Czy mogę zawieźć mu trochę tej fasoli? Bardzo by się ucieszył.

Byłoby miło, gdyby J.J. był tutaj i mógł ją zawieźć, pomyślała Tessie, ale nic nie powiedziała. Mąż powtarzał ze sto razy, że sprawy Masonów nie powinny jej obchodzić. Nie twoje małpy, nie twój cyrk, przypominał.

HOLT ODCZEKAŁ, AŻ ELEONORA ZAŚNIE. Po przejeździe zjedli u niej zimny lunch. Matka zaczynała dochodzić do siebie po przeżytych wstrząsach, ale widok Catherine obudził w niej wspomnienie śmierci męża. Roztrząsała szczegóły jego choroby, aż wreszcie zaproponował, żeby kiedy znów jej się przypomni coś przykrego, spróbowała przywołać zamiast tego jakąś szczęśliwą chwilę. Lunch okazał się potem całkiem przyjemny. Matka opowiedziała mu o wycieczce wzdłuż kalifornijskiego wybrzeża, na którą się wybrali, kiedy miał sześć lat. Ożywiła się przy temacie maleńkich fok, który ją zajął na dłużej. Teraz drzemała wygodnie w klubowym fotelu męża, z nogami opartymi na otomanie.

Holt wyszedł na palcach, nie budząc jej, i pojechał do swojego domku naprzeciw szkoły, w której pracował jako dyrektor. Nigdy nie nudził go widok zbudowanego z różowej cegły budynku w kształcie litery U, z mnóstwem okien z małymi szybami. Od pierwszej lekcji z dziewiątą klasą czuł się dobrze wśród tych przestronnych sal i wypastowanych korytarzy, wykładanych szlachetną sosną. Lubił swoich uczniów, dobrze wychowane, szykowne dziewczęta z miasteczka i poważnych chłopców z okolicznych farm. Z nauczycieli też był zadowolony, z wyjątkiem jednego pijaka, który pociągał z flaszki bimber zmieszany z mlekiem, próbując równocześnie odmieniać łacińskie czasowniki. Ich liceum wygrywało stanowe konkursy teatralne, debaty międzyszkolne i zawody lekkoatletyczne. Chór co roku awansował do finałów regionalnych. Holt dziękował Muffy Starns za prowadzenie zajęć trzy razy w tygodniu. Ten sam skład rady szkoły był wybierany co kolejne trzy lata, wszyscy byli jego przyjaciółmi, więc zarządzanie szkołą przebiegało bez zgrzytów. Na

ścianie dyrektorskiego gabinetu wisiały fotografie emerytowanych nauczycieli, w tym obojga jego rodziców, młodych i tryskających energią.

Zerknął na szkołę z okna pokoju, w którym jadał śniadania. Mieszkając tak blisko, miał budynek pod swoją opieką. Sprawiało mu przyjemność, że wystarczy przejść przez ulicę, żeby znaleźć się w pracy, po czym wrócić w południe do domu na drugie śniadanie i krótką drzemkę.

Prawdę mówiąc, sprawa Catherine obudziła wspomnienia również u niego. Spotkali się z nią kiedyś w okolicznościach niemal równie szokujących dla obojga, co koszmar, jaki Eleonora musiała przeżyć na cmentarzu. Nie, to przesada, pomyślał. Tak czy inaczej, do chwili tamtego spotkania miał złudzenie, że udaje mu się wieść z powodzeniem życie w ukryciu. Chwila zmiany nadchodzi i chcesz się cofnąć, skrócić w inną stronę, wybrać inną drogę, ale oto już widać znak, dzielący wszystko na „przed” i „po”. Odtworzył w pamięci tę ciekawą skibkę czasu -sceny, wciąż dziejące się jakby teraz, których wszystkie nakładające się na nie lata nie zdołały przyćmić ani zniekształcić.

Zajechał wtedy przed lokal U Panny Biby, restaurację z dancinżem na przedmieściach Macon, sto mil od domu, gdzie ani jego, ani Catherine nie należało się spodziewać, stanął w najciemniejszym kącie parkingu pod billboardami i skulił się na siedzeniu, żeby być mniej widocznym. Drzwi restauracji się otworzyły, ujrzał kobietę w towarzystwie mężczyzny mniej więcej tego samego wzrostu, co ona, w mundurze pilota marynarki wojennej, z medalami połyskującymi na piersi. Kiedy podeszli bliżej, rozpoznał Catherine Mason. Jego uwagę przykuł profil mężczyzny. Nawet teraz poznałby ten prosty nos, bez garbka, śmiałą linię od czoła w dół, zmysłowe usta. Sposób, w jaki szli, zgrany rytm ich kroków sugerował coś więcej niż wspólny wieczór dwojga przyjaciół. Byli sobie bliscy, uśmiechali się do siebie, w pewnej chwili zobaczył, jak mężczyzna muska wargami jej włosy. Co dziwne, scena utrwaliła mu się w pamięci jako czarno-biała. Wills był daleko, odbywał przeszkolenie lotnicze w Karolinie Północnej, jego jednostka medyczna czekała w stanie pogotowia na rozkaz odlotu do Europy.

Holt wyciągnął nogi pod stołem. Jego kolano wydało dźwięk przypominający zardzewiały zamek błyskawiczny.

Miał kategorię 4F*, z powodu kontuzji, której się nabawił, uprawiając futbol. Otworzył piwo i przeszedł do dużego pokoju. Ponieważ nigdy nie zależało mu na gromadzeniu dóbr, jego dom był schludny. Eleonora pilnowała doboru mebli i stopniowego pozbywania się zbyt sfatygowanych sprzętów.

Chciałby, żeby wspomnienie kończyło się w tym momencie. Mieli swoich pięć minut, swój śmiech, swój skok w bok i wystarczy. Usiłował przywołać twarz Catherine - mały dołeczek w podbródku, jasna karnacja... tak, miała kręcone włosy, ale obraz był niewyraźny, zatarły go lata. Lepiej pamiętał otaczającą ją aurę, nie tyle wyższości, ile powściągliwej rezerwy. J.J. musiał odziedziczyć podwójny gen tej cechy. Catherine żyła jeszcze trzynaście lat, Wills budował w Swan swoją reputację, ona hodowała swoje róże. Dzieci, podróże, cały kram... aż do samobójstwa. Któż to wie, co się naprawdę dzieje między ludźmi? Wydawali się wybrańcami losu. Ale Holt zawsze się zastanawiał, czy to samobójstwo miało coś wspólnego z oficerem

O śmiałym profilu i pełnych wargach. Gdyby wspomnienie na tym się urywało, jego życie mogło być o wiele prostsze. Ale zamiast odpłynąć w przeszłość, chwila eksplodowała.

Co za pech. Ich samochód był zaparkowany tuż obok niego. Kiedy mężczyzna otwierał drzwi-przed swoją towarzyszką, Catherine spojrzała w stronę Holta. Dokładnie w tym punkcie ich losów z bocznych drzwi restauracji wyszła Lucy Waters i pośpieszyła w stronę jego samochodu. Z twarzą rozjaśnioną uśmiechem, w którym była radość, oczekiwanie, wszystko, wyciągała rękę do klamki. Catherine jednym spojrzeniem ogarnęła jego zaskoczona twarz. Spojrzała na niego, potem na nią. „O, cześć” - rozległ się nad dachem samochodu niepewny, lekko drżący głos Lucy. Mężczyzna cofnął się pośpiesznie, czujny i nieufny, podczas gdy oczy Catherine

I Holta się spotkały. Holt dostrzegł w jej spojrzeniu zmieszanie. Oboje zostali przyłapani na gorącym uczynku. Po chwili Catherine wzruszyła ramionami, poprawiła płaszcz, wsunęła się do samochodu i odjechali.

O ile się orientował, Catherine nigdy nikomu nie powiedziała, że spotkał się wtedy z Lucy. Gdyby to zrobiła, nie pa-

* Niezdolny do służby wojskowej ze względu na zły stan zdrowia (przyp. tłum.).

trzyłby teraz na dwuskrzydłowe białe drzwi szkoły, w której piastował funkcję dyrektora, nie miałby swojej ukochanej pracy. Nieporównanie cięższa zbrodnia niż wojenna przygoda Catherine. Brudny skandal: Holt Whitefield, kryjący się nocą w ciemnym kącie parkingu przed trzeciorzędnym klubem, w oczekiwaniu na osiemnastoletnią, jasnoskórą siostrzenicę Hattie, zatrudnioną niedawno u „Biby”, tak jak jej matka i babka, które przez lata obierały cebulę i ziemniaki w kuchniach białych mieszkańców Swan. Echa tego skandalu nie umilkłyby w ich miasteczku po dziś dzień. Boże, Boże. Gdyby ktokolwiek wiedział, gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że opłacał jej mieszkanie nad warsztatem samochodowym w kolorowej dzielnicy Macon, że przyjeżdżał tam późno, wyjeżdżał wczesnym rankiem...

Często, kiedy przyglądał się szkolnym lekcjom gimnastyki, myślał o smukłym, pełnym gracji ciele Lucy. Gdyby był człowiekiem pióra, mógłby napisać książkę o tym, jak ją po raz pierwszy zobaczył. Pomagała w kuchni swojej ciotce przed przyjęciem, które urządziła jego matka, kiedy przyjechał do domu z koledżu. Śmiała się, odrzucając głowę do tyłu. Urwała, kiedy wszedł. Jaka szczuplutka była, jak ołówek, a jej dłonie wydawały się takie zręczne. Oczywiście zauważył odcień jej skóry - przydymiony, jakby osoba o jasnej karnacji stała w głębokim cieniu. W innych czasach byłaby tancerką, pomyślał. W innych czasach mogliby spacerować razem po Corfu Street, ale nie w tym życiu.

Dwa tygodnie później spotkali się z Catherine na przyjęciu weselnym. Wzięli kieliszki z ponczem z tej samej tacy. Catherine uniosła swój w jego stronę. Powiedziała zaledwie parę słów - o tym, jaką piękną panną młodą jest Camille Stevenson. Żadne z nich nigdy nie wspomniało o wieczorze w Macon. Żyjemy tym, o czym się nie mówi, pomyślał. Gadamy, gadamy, wciąż gadamy, a tematy o kluczowym znaczeniu są połykane bez jednego dźwięku.

Nie zachował żadnych zdjęć Lucy. Gdyby go przejechała ciężarówka z arbusami, nie chciałby, żeby jego matka znalazła tę twarz wśród jego osobistych rzeczy. Ponieważ przekroczył barierę koloru skóry, nigdy nie potrafił oddzielić swoich kulturowych lęków i autocenzury od tego, co czuł do Lucy. Nawet jego wspomnienia były wytrawione. Ona, ze swojej

strony, była przerażona. W końcu to Lucy zerwała ich związek i wyjechała do Waszyngtonu, gdzie znalazła pracę w rodzinie jakiegoś polityka. Też nigdy nie wyszła za mąż. Ile razy odważył się zapytać od niechcienia: „Co słyhać u Lucy?”, Hattie nieodmiennie odpowiadała: „Wszystko w porządku. Dobrze jej się żyje tam na Północy, całkiem dobrze”.

Kiedyś odebrał telefon o trzeciej nad ranem i usłyszał w słuchawce ciężki oddech. W pierwszej chwili zląkł się, że ktoś się dowiedział o Lucy, ale człowiek po drugiej stronie słuchawki powiedział w końcu:

- Jak ci nie wstyd uczyć młodych ludzi, kiedy wszyscy wiedzą, że sam jesteś patentowanym pedałem? - po czym się rozłączył.

Niech sobie myślą, że jest pedałem, niech sobie myślą, co chcą, byle nie prawdę.

ŻALUZJE W POKOJU BYŁY OPUSZCZONE. W przyćmionym, błękitnym blasku telewizora Wills wpatrywał się w ekran, na którym rozgrywał się jakiś teleturniej. Nie podniósł wzroku, kiedy do pokoju weszła Lily, niosąc przykryte naczynie.

- Jak się masz? - Ucałowała go w czoło.

Wills skinął głową, ale nie spojrzał na nią. Wydawało jej się, że przyjechała tu, żeby pocieszyć brata, ale teraz zrozumiała, że sama potrzebuje pociechy.

- Straszny upał na dworze. Dobrze ci, że masz tu taki miły chłód. - Usiadła przy nim i zdjęła buty. Klimatyzator dmuchał jej prosto na nogi. Idiotyczne brzęczyki i piski współzawodników stanowiły dobry pretekst. Mogła chwilę odsapnąć, uspokoić się, oprzeć rękę na ramieniu brata i zapomnieć o chaosie, jaki zapanował w Domu. Mogła zamknąć oczy i wyobrażać sobie, że Wills i ona, znów młodzi, siedzą w ich dawnym pokoju i słuchają w radiu „Samotnego jeźdźca”. Zerknęła na niego. Boże, był wtedy przystojny, najprzystojniejszy chłopak w Georgii. Kim jest ten stary kołek?

Lily jechała powoli z powrotem. Przyszło jej do głowy, że musiała wyjeździć koleiny w tej szosie, tyle razy kursowała tam i z powrotem między Swan i Kolumną. Miasteczko mdlało w popołudniowym skwarze. Ogrody, tak bujne w czerwcu, zaczynały blaknąć, hortensje wyraźnie schły, hibiskusy zrzucały pąki, nim zdążyły się rozwinać. Tessie dwa razy dziennie podlewała donice z żółtymi pnącymi nasturcjami Lily, ale już o trzeciej kwiaty wyglądały mizernie.

W ogródkach dzieciaki co chwila wbiegały pod spryskiwacze i przewracały się nawzajem na mokrą trawę. Więcej szczęścia miały te, którym udało się namówić matki, żeby zapakować się w samochód razem z przyjaciółmi i pojechać do

Lake T. Kąpielisko w Swan było od lat zamknięte z powodu segregacji. Najbliższe miejsce, gdzie można było popływać, znajdowało się o dziesięć mil stamtąd. Skacząc na główkę z zakotwiczonej tratwy, docierało się do głębszych, chłodniejszych warstw wody. Mamy siedziały pod sosnami na jaskrawo pomalowanych plażowych krzesłach i wydzielały swoim pociechom drobniaki na lody w waflach i batoniki.

Ollie Fowler, jednonogi listonosz, jechał powoli z opuszczoną szybą, zbierając listy z pięciu znajdujących się w Swan skrzynek pocztowych. Po powrocie usiadł za spuszczoną kratą i przystąpił do sortowania jakichś trzydziestu listów, które miały opuścić miasteczko. Zauważył, że ojciec Tyson znów napisał do biskupa. Nieco zaciekawiony, podniósł kopertę do światła i odcyfrował słowa: „być użytecznym”. Urząd pocztowy o marmurowych kontuarach, zamknięty w godzinach popołudniowych, pachniał kurzem, klejem i mosiężnymi spluwaczkami.

Drzemiąca w fotelu Eleonora ocknęła się gwałtownie. Holta Juniora już nie było. Postanowiła upiec dla niego coś specjalnego. Wydawał się jakiś nieobecny. Może babkę cytrynową, którą tak lubił? Podrzuci mu ją później w drodze do Ronniego, swojego fryzjera. Była też umówiona z jego żoną Tiną na manikiur i pedikiur (nie była już w stanie dosięgnąć swoich palców u nóg). Bała się i równocześnie nie mogła się doczekać rozmowy na temat Masonów.

Kilkoro nastolatków piło mleczne koktajle w Świętej Świnie. Jedną z nich była Francie Lachlan, córka burmistrza, z burzą jasnych loków, których aniołowie mogliby jej pozazdrościć, opalona po miesiącu spędzonym na Carrie's Island. Miała na sobie obcisły pomarańczowy top, niesięgający talii, demonstrujący, jak powabne może być młode ciało. Jej ojciec nazywał „muchami” chłopców, którzy się zawsze koło niej kręcili. Miał niemało powodów do zgryzoty. Francie szalała za Richardem Rookerem, który ustawiał kręgle w pobliskim klubie. Środowisko zdecydowanie nieciekawe i mnóstwo testosteronu.

Hurtownie tytoniu w Swan mogłyby iść o lepsze z najgorętszymi punktami na ziemi. Słoneczny żar lał się na dachy z blachy falistej, wysyłając w przestrzeń fale oślepiającego, migotliwego światła, które byłyby widoczne z Marsa. W rozświetlonych słonecznym blaskiem drzwiach na obu końcach

baraku unosiły się złociste drobiny pyłu z suszących się cierpkich liści, spiętrzonych w długich rzędach. W pierwszej chwili człowiek mógł ulec złudzeniu, że znalazł się w świątyni, w wirze złotego kurzu, w czarodziejskiej komnacie, gdzie niezrozumiały, krzykliwy zaśpiew licytatora zwiastował mający się za chwilę dokonać cud. Ale po kilku krokach gryząca, sucha, kwaśna woń zaczynała cię palić w nosie i wrzynać się do płuc, a żar chwycił w swoje szpony niczym jastrzęb spadający na ofiarę. Rzecz absurdalna, licytatorzy palili. Przez całe popołudnie pod budynek zajeżdżali farmerzy z paletami tytoniu na jutrzejszą giełdę. Nabywcy z fabryk tytoniu w Karolinie Północnej ciągnęli tłumnie do sklepu Scotta po przeciwnej stronie ulicy, żeby się napić czegoś zimnego. Pierwszą butelkę z reguły wychylali jednym haustem, drugą pili powoli. Dwanaście łyżeczek cukru, dwadzieścia cztery... Mindy i Scott co dzień napełniali lodówki napojami chłodzącymi, a mimo to zawsze ich w końcu zabrakło. Za to mieli pełno lodu w zamrażarce. Mindy otwierała butelkę za butelką, a Scott nalewał. Mindy lubiła tych mężczyzn. Flirtowali z nią i zapraszali ją na tańce, ale wiedziała, że wszyscy są żonaci i tylko się wygłupiają. Co noc miała nadzieję, że jaguar J.J.-a zatrzyma się pod jej domem.

Ulice Swan, kiedyś brukowane, teraz pokryte asfaltem, miękkie, powracając do swoich płynnych, organicznych prapoczątków w głębi ziemi. Mała dziewczynka, biegnąca do sąsiadów, żeby się pobawić lalkami, była w połowie ulicy, kiedy poczuła, że gorąca smoła czepia się jej bosych stóp.

Rosemary Tyson siedziała przy stole w jadalni i pisała: *Kochany Tatusiu, myślałam o Tobie dziś rano, o tym, jak polerowałeś moje lakierki wazeliną przed szkołą niedzielną, kiedy byłam małą dziewczynką. Pamiętasz? Kiedy miną upały, mógłby przyjechać do niej w odwiedziny. Chodziliby razem na spacer, a po powrocie pili w kuchni kawę, pogryzając owsiane herbatniki ze słodkim twarożkiem. Gdyby jej mąż tamtędy przechodził, mógłby zobaczyć w lustrze wdzięczną linię jej szyi, podkreśloną przez upięte włosy i pochylenie głowy nad listem w łagodnym kremowym świetle, zwielokrotnionym przez odbicie. Mógłby się nachylić, ucałować to delikatne wygięcie i poczuć przyływ radości z powodu jej urody. Mógłby szepnąć: „Przepraszam”.*

Na zamienionych w klomby wysepkach, ciągnących się wzdłuż Alei Centralnej, świeżo wyklute kurczaki tarzały się w piasku i dziobały ziemię pod palmami. Przed laty miejscowa ferma drobiarska postanowiła zaeksperymentować z hodowlą egzotycznej rasy birmańskich kurcząt, o rdzawym ubarwieniu, opierzonych nogach i niebieskich piórach na głowie. Kiedy tucz się nie powiódł i było jasne, że nie nadają się na patelnię, po prostu je wypuszczono. Nikt nie przewidział, jak szybko potrafią się mnożyć. Niektórym podobało się ich upierzenie i wygląd. Która miejscowość oprócz Swan mogła się poszczycić takimi okazami lokalnej fauny? Mając dość przeganiania ich ze swoich grządek pomidorów i kwiatowych rabat, Billie i Margaret Alice zaczęły wykladać zatrute ziarno. Ptaki zawędrowały nawet do centrum, gdzie obsiadały cembrowinę fontanny w Oazie.

Trzy siostry skończyły szorowanie blatów. Czwarta po południu, czas do domu. Spakowały reklamówkę jedzenia na kolację: szynkę i sałatkę pomidorową, którymi będą się delectować, siedząc na osłoniętym ganku przy dzbanku herbaty i rozwiązując krzyżówki w zapadającym powoli zmierzchu. We trzy bez trudu rozprawiły się z każdą krzyżówką z codziennego wydania, a nawet niedzielne zajmowało im nie więcej niż dwadzieścia minut. O dziewiątej będą rozmawiać ściszym głosem, słuchając świerszczy. W drodze do domu śpiewały na głosy „In the Sweet Bye and Bye”*. Marta wskazała wysokie chmury, napływające od wschodu - być może szkwał nad Atlantykiem, przemieszczający się w ich stronę, niosący wytchnienie.

* Pieśń gospel, popularny hymn Armii Zbawienia (przyp. tłum.).

15. Słodka, leniwa..

GINGER ZOSTAWIŁA LILY KARTKĘ na stole w jadalni. *Jesteśmy w szoku po tym, co usłyszeliśmy od Ralpha, i wiemy, że Ty też. Przepraszam, że Ci nie powiedziałam. Myślę, że przenocuję w domku nad rzeką i pozwolę Ci spędzić wieczór w spokoju.* Miała nadzieję, że Lily usiądzie na ganku z robótką i doda parę ściągów do dzieła swojego życia: kompletu dwunastu haftowanych siedzeń do krzeseł. Może weźmie jedną z tych swoich różowych tabletek, które pomagały jej usnąć.

Otworzyła na przestrzał obie pary drzwi wynajętego samochodu; musiał się przewietrzyć, zanim będzie można dotknąć kierownicy. Ponieważ Dom stał na wzniesieniu, miała rozległy widok na ciągnące się od zachodu pola kukurydzy i bawełny. Farmerzy robili już podorywki po zbiorach, wznosząc kłębu pyłu, które rozszczepiały słoneczne światło, barwiąc niebo pasmami niesamowitego różu i fioletu. Wybrała długą, okrężną drogę, objeżdżając Swan, mijając po drodze zakręt w kierunku lasów, gdzie Jefferson Davis został w końcu ujęty przez 1. pułk kawalerii stanu Wisconsin i 4. pułk kawalerii stanu Michigan, które zyskały nieśmiertelność w historii Południa tym, że nadeszły z dwóch różnych kierunków i otworzyły do siebie ogień. *Czego się można spodziewać po zakutych jankeskich łbach?* Jechała przez sosnowy starodrzew, wdychając kojącą woń. Czy za kolejną dekadę lub dwie nastąpi trzeci akt dramatu, który znów wyrwie ją stamtąd, gdzie uda jej się w tym czasie dojść? Może to jest jej droga oświecenia? Pięć aktów z długimi antraktami. Właśnie, gdy zaczynała wierzyć, że rodzice nic już nie są w stanie jej zrobić. W świadomości Ginger, tuż pod powierzchnią, wciąż dźwięczał dzwonek telefonu, który rozległ się tam, w Monte Sant'Egidio, kiedy sortowała

swoje pudła kamieni. Telefon od Ralpa. *Squillare* - po włosku „dzwonić” - przenikliwy skowyt, zamknięty w słowie. Dopiero teraz późniejsze wypadki zaczynały spychać na dalszy plan ten pierwszy cios, który zadał jej jego łagodny głos.

Przez całe popołudnie przeglądała szkicowniki, które matka zapakowała razem z ciężowymi sukienkami, z ubraniami, które nosiła, kiedy oczekiwała jej narodzenia. Jeśli Ginger miałaby kiedyś zostać sławnym archeologiem, odkrywcą korzeni etruskiej cywilizacji, zaginionego miasta, zatopionego kontynentu, statku Argonautów czy czegokolwiek innego, żadne odkrycie nie będzie dla niej znaczyć tyle, co to. Był dzień wczorajszy, a po nim nastął dzisiejszy. Wczoraj nie wiedziała o ich istnieniu, dziś stały się jej drogą. Z długiego nawyku starała się kontrolować swoje reakcje. Zaczekaj, powtarzała sobie szeptem. Zaczekaj na J.J.-a. Ale nadal siedziała po turecku na łożku, chłonąc każdy rysunek, każde słowo zapisane na marginesie: *pelerynka, akwamaryna, węgiel drzewny i: namalować mur z zielonym kręgiem*. Odkryła, że jej matka lubiła wyliczanki:

Do załatwienia: rozpracować stare francuskie róże sprawdzić rezerwacje w lipcu nad morzem przepisy mamy - ciasto Emmy Lane, ciasto orzechowe Willsa,

tort cytrynowy Besty, jej bułeczki z brązowym cukrem zadzwonić do Charlotty w sprawie pasteli żywoplot z tyłu? taśma ze skosu - żółta, czarna.

Skrawki materiałów były poprzyklejane obok rysunków plażowych sukienek i wieczorowych peleryn. Catherine wypisała słowa, które musiały się jej podobać: *fluwialny, preklu-zyjny*. Ginger nie miała pojęcia, co znaczą. Dalej były łatwiejsze: *dytyrambiczny, oniryczny*. Ogarnęła ją fala ciepła, kiedy rozpoznała narysowaną kredkami, młodszą Tessie z ręką wspartą na biodrze, okno jadalni w ich dawnym domu, w obramowaniu dzikiego wina, profil ojca, widok Domu, kilka stron róż (nie całkiem udanych), przyjaciółkę matki, Charlotte, w jakimś kostiumie i kapeluszu z piórami.

Patrząc, odnajdywała prawdziwą matkę, nie tylko tę z oficjalnego rejestru swoich wspomnień. Ostatnia strona pierwszego szkicownika będzie jej skarbem. W roku, w którym się urodziła, Catherine narysowała swój autoportret w zaawansowanej ciąży. Postać ujęta z profilu, twarz, uśmiechnięta -o, tutaj ta minimalna przerwa między zębami - zwrócona w stronę widza. Na tle zarysu pomarańczowej ciąży sukienki Catherine naszkicowała skulone dziecko. Dziecko, którym była ona, Ginger.

Wiedziała, że drugi szkicownik będzie bezcenny dla J.J.-a. Wręczy mu go i będzie obserwowała jego twarz, gdy będzie oglądał, strona za stroną, swoje portreciki, od pierwszego tygodnia życia, aż po dwudziesty trzeci miesiąc, kiedy urodziła się Ginger. J.J. w ramionach Dużego Jima. J.J. w koszyku. J. J. w wysokim krzeselku, z rączkami uniesionymi nad głową. J.J. na kucyku. Dar, niewiarygodny dar miłości, błogostan, niemający nic wspólnego z tamtym artykułem w gazecie, z ciągłymi oskarżeniami Lily, ze zwłokami, z pustką w oczach ojca. Całe strony czystej miłości, owoc fascynacji tym małym chłopczykiem, który był jej pierworodnym dzieckiem, jej synkiem. Na ostatniej stronie było jej imię, Wirginia Mason, i data urodzenia, wypisane czerwonymi literami. Pod spodem Catherine naszkicowała J.J.-a, trzymającego nowo narodzone maleństwo. Ginger zamknęła szkicownik i padła na poduszki, zasypiając od razu. Na dole trzasnęły zamykane drzwi, wyrywając ją ze snu z nagłym uczuciem, że wyciąga rękę do klamki, tamtego dnia, pod zamkniętymi drzwiami kuchni mamy. Ale to była tylko Tessie.

MINEŁA ROGATKI SWAN, niskie ceglane sklepiki z alkoholem, kino dla zmotoryzowanych i drogę do młyna, po czym wyjechała na otwartą szosę, biegnącą przez dziewiczy las, wznoszącą się i opadającą, z rozlewiskami czarnej wody po obu stronach. Na siedzeniu obok niej leżały szkicowniki, szpula z filmem, notatnik i paczka listów, które miała zamiar przeczytać razem z J.J.-em. Muzyka płynąca z radia, niebo, z każdą sekundą bardziej spektakularne, obrazy ze szkicowników przelatujące jej przez głowę, nowa świadomość, straszna i wyzwalająca, wszystko to splątane razem sprawiało, że czuła, jak przez jej ciało przebiega dreszcz emocji. Było jej

z tym dobrze. „Dytyrambiczny” to było jedno ze słów zanotowanych przez mamę, czyż nie? Czerwonogłowy sęp, obrzydliwa kreatura, zanurkował, szukając padliny na drodze. Ginger nacisnęła klakson i przyhamowała. Kiedy znów dodawała gaz, wyciągnęła rękę, żeby popchnąć szkielety z powrotem na tył siedzenia.

W chwili gdy spuściła wzrok, ciężarówka z ładunkiem drewna z wyrębu, wyprzedzająca inną ciężarówkę, jadącą z naprzeciwka, zjechała na jej pas. Chromowana osłona chłodnicy wyrosła przed nią niespodziewanie, pędząc prosto na nią. Ginger wcisnęła hamulec do deski i szarpnęła kierownicą, wyskakując na pobocze. Trzymając się kurczowo kierownicy, gnała na łeb na szyję wzdłuż rowu, podskakując na wertepach, ścinając karłowate palemki, przeskakując strumyczki, aż w końcu stanęła. Ciężarówka zjechała na pobocze kawałek dalej, kierowca wyskoczył z szoferki.

Kiedy zobaczył, że wysiadła z samochodu, że nie stoczyła się z nasypu i nie złamała karku, że nie utonęła w głębokim na dwa metry bagnie, pomachał jej po prostu ręką i wskoczył z powrotem do ciężarówki. Ginger wybiegła na szosę, krzycząc:

- Stój, zaczekaj, ty sukinsynu, stój!

Ale on wyjeżdżał już z powrotem na szosę, holując ostrożnie swój ładunek sosnowych pni.

- Ty gnoju! - wrzasnęła. - Ty dumny wieśniaku. Kierowca odjechał, wyrzucając przez okno puszkę po napoju.

- Ty... Co za bezczelny cham.

Znów poczuła, że ciężarówka pędzi z rykiem prosto na nią. Zginęłaby na miejscu, gdyby zderzyła się z tą górą drewna. Czerwona chorągiewka na najdłuższym balu trzepotała na wietrze, coraz mniejsza, aż znikła. Policja stanowa zawiadomiłaby J.J.-a. „Przykro nam, ale zdarzył się wypadek”. Jej brat nigdy potem już by nie wyszedł z lasu. Marco. Marco! Lily. Tessie. Sądny Dzień, jak na tych tablicach przybitych do drzew, zapowiadających koniec świata. Niech to szlag, szlag, szlag! Tupnęła nogą. Czy to by nie była kropka nad „i”? Jej własne szczęście, równie parszywe jak jej matki, jej ojca? Szkielety by spłonęły i J.J. nigdy by się o nich nie dowiedział. Pochowałby ją i matkę za jednym zamachem. Próbowала pohamować wściekłość, ale nie zdołała. Odwróciła się i za-

częła walić pięściami w maskę samochodu. Dygocąc na całym ciele, wydała przeraźliwy krzyk, który poszybował w niebo, trwając tam nadal, kiedy zamknęła usta. Życie jest zbyt przypadkowe, to ponad moje siły, pomyślała. J.J. byłby skończony. Usiadła na masce samochodu, myśląc, że z rozkoszą udusiłaby tego idiotę, zaciskając mu drut na szyi. Powoli, dopóki oczy nie wyszłyby mu na wierzch. Zamknęła oczy. W kompletnej ciszy czuła, że jej serce za chwilę eksploduje, słyszała chrapliwy łomot krwi we własnych uszach. Droga była pusta. Nie pozostawało nic innego, jak wsiąść z powrotem do samochodu.

Koła pontiaca buksowały przez chwilę w piaszczystej ziemi, aż wreszcie zaskoczyły i samochód wyprysnął na szosę. Jak gdyby nic się nie stało.

Żyje, pomyślała.

J.J. ZŁOWIŁ TRZY PSTRĄGI. Czyścił je przy zlewie, kiedy zobaczył, że Ginger pokonuje ostatni zakręt białej drogi i zatrzymuje samochód. Przyjechała o tej późnej godzinie, kiedy leniwy nurt rzeki ciemniał, przybierając ton czarno-zielonego, przetykanego złotem jedwabiu. Delikatna mgiełka wstawiała znad wody, zabarwiając błękitem powietrze pod drzewami.

Woda wydawała się cudownie radosna i piękna po przeżytych strachu, który przeszył Ginger do szpiku kości. Kiedy ojciec takłował łódkę, miał zwyczaj nucić „Ol'Man River”, naśladując głos Paula Robesona. Wciąż się toczy...* Ginger stała i patrzyła. Podniecenie, które czuła-wcześniej, powróciło. Jej wynajęty, kamienny dom nad włoskim strumieniem był zamknięty we wnętrzu bańki mydlanej, która mogłaby wylądować tu w cudowny sposób, nie rozpryskując się. Wyobraziła sobie Marca stojącego za nią - jej plecy przytulone do jego ciała, jego ramiona zaplecione wokół niej. Co by powiedział?

- Witaj, dziewczę hoże. - J.J. płukał ręce po rybach. Na twarzy miał cień dwudniowego zarostu. - Co tam masz?

- Przynoszę prezenty. Jestem czarodziejką, która spełnia życzenie. Moje czary potrafią odstraszyć Cyganów, cmentarnych rabusiów i rodowe klątwy. Poza tym powracam z tamtej strony do krainy żyjących. Niewiele brakowało, a wpra-sowałoby mnie w asfalt jak królika. - Opowiedziała mu, co się stało.

- Zapisłaś numer rejestracyjny albo nazwę firmy?

- Nie, omal nie wydzwoiłam czołowo w drzewo. Ten du-

* „Keeps on rolling”... - słowa z refrenu piosenki Paula Robesona „Ol'Man River” (przyp. tłum.).

pek obejrzał się za siebie jak jakiś kretyn i odjechał. Ciężarówka była zielona, w kolorze tych wszystkich drzew, które oni tu niszczą.

J.J. był, bądź co bądź, wnukiem Dużego Jima. Nie było tutaj zbyt wielu firm zajmujących się wyrębem lasów na pulpę. Jutro namierzy tego kierowcę. Przypuszczalnie prowadzili wycinkę na terenach Masonów. Chyba sobie przypominał odsprzedawanie praw do wyrębu. Będzie to ostatni szosowy wyczyn tego gnoja. Jego szef połknie go żywcem i wypluje resztki.

- Czasy kawalerii minęły.

- Nie śmieję się. Będzie pstrąg z rusztu na kolację?

- Tak, ale najpierw idziemy popływać. Musisz zmyć z siebie cały ten strach.

- Już jest w porządku, naprawdę. Chciałam ci powiedzieć, co znalazłam w szopie.

- Rozdział z „Tajemnicy starej szopy”? - J.J. zwinął ścierkę do naczyn i „strzelił” nią w jej kierunku.

- Ty to napiszesz, panie Faulkner. Jak myślisz, co się stało z wszystkimi rzeczami mamy?

- Piaski czasu...

Po OBIEDZIE Ginger posadziła J.J.-a na sofie i po prostu podała mu szkicowniki. Postanowiła zostawić go z nimi samego.

- Idę się wykapać. Potem obejrzymy resztę. Ja też jeszcze nie wszystko widziałam. Jak myślisz, czy ten stary projektor jeszcze tu jest?

- Uhum, mogę go poszukać. - J.J. potarł nieogoloną szczękę. Zazwyczaj człowiek widzi swoje przeznaczenie po wszystkim, z dystansu, a nie w postaci pędzącej na niego ciężarówki z materiałami łatwo palnymi. Szkicowniki były oparte o jego pierś. Lotne opary, wiedział o tym. Temperatura zapłonu. Ale po tym, co im powiedział Ralph, był wreszcie gotów spojrzeć w przeszłość.

GINGER WRÓCIŁA ubrana w bawełnianą piżamę, zalatującą stęchlizną. Piżama musiała wiele razy zamoknąć i wyschnąć w dolnej szufladzie jej komody.

J.J. podniósł wzrok na siostrę.

- To niewiarygodne. Nie masz pojęcia, jak bardzo niewiarygodne. Ja robię dokładnie to samo. - Wskazał gestem sło-

wa na marginesie, rysunek trzech włoskich orzechów na tkaninie w kwiaty. - Jak moje. Mama pracowała w taki sam sposób jak ja. Albo ja tak jak ona. Nie zdawałem sobie sprawy, że dzień po dniu nasiąkałem tym, co robiła, kiedy miałem dziewięć, jedenaście lat. Myślisz, że czytała też tak jak ja, rzucała się na książkę, nie odrywając się ani na chwilę, dopóki nie skończyła? - Pamiętał jej notatniki, wystające z torebki albo leżące na tylnym siedzeniu samochodu. Pamiętał jej pokój na facjatce, pomalowany w szerokie niebieskie pasy. Ale musiał też chłonąć jej rysunki, musiała mu na to pozwalać. Strona za stroną, ukazujące jego dziecinną buzię i ten autoportret w ciąży, z mającą się narodzić Ginger. Nie miał słów. Podniósł wzrok na siostrę, zaglądającą mu przez ramię. - Byłem małym białym szkaradzieństwem.

- Wyglądasz na wesoluszkę. Na pewno było z ciebie bardzo kochane bambino.

W całym jego życiu, które wstrzymało swój bieg w dniu śmierci Catherine, po czym, po przestawieniu zwrotnicy, ruszyło dalej inną trasą, nic nigdy nie chwyciło go za gardło, tak jak to.

- Gin, myślę, że więcej chwilowo nie zdzierzę. Chodźmy na pomost.

Ginger otoczyła go ramieniem.

- Ach, południowe noce. Królestwo za taką noc, z którą nic na tym zielonym ping-pongu Pana Boga nie może się równać. Zapach kapryfolium? Przenosi mnie natychmiast - bez pośredników - w tamtą noc, kiedy przeżyłam swój pierwszy pocałunek. Na jednej z tych bocznych dróg, w furgonetce, którą ojciec Tony'ego Pappasa woził owoce na targ. Tony podniósł zieloną gałązkę, włożył mi ją za ucho i pocałował mnie tymi swoimi soczystymi, greckimi wargami. Pachniał cytrynami.

- Decydująca chwila, nie ulega wątpliwości. Zaszczepił ci upodobanie do cudzoziemców.

- Urodził się w Swan. Tatuś odbierał poród.

- Ale tu w Swan ich rodzina to zawsze będą Grecy.

- Słuchaj, masz uczucie, że odzyskaliśmy mamę?

- Tak. - J.J. wyciągnął z wody siatkę z arbuzem, którego zostawił wcześniej, żeby się ochłodził w nurcie rzeki.

Rozciął skórę kieszonkowym nożykiem i rozłamał go w rękach na pół.

Oboje z Ginger jadali tylko soczysty środek. - Twój ulubiony smak po ustach Tony'ego Pappasa. - J.J. podał jej kawałek. Opłukali dłonie w rzece, po czym oparli się o filary pomostu i patrzyli na Drogę Mleczną - ten szeroki niebieski trakt, wybrukowany diamentami.

- Wygląda jak naszywany cekinami tren sukni niebiańskiej panny młodej. Jeśli będziesz patrzeć w to samo miejsce przez jedenaście minut, zobaczysz spadającą gwiazdę, gwarantowane. - Nie powiedziała mu o Monte Sant'Egidio, gdzie w sierpniu, w dniu świętego Lorenza, wszyscy wylęgali na wzgórza, spacerując tłumnie w tę noc pikujących gwiazd, które wydawały się swojskie, być może dlatego, że patronował im konkretny święty. To była jego szczodrość, jego fajerwerki dla przyjaciół tam, w dole. Tutaj brodate gwiazdy wypalały dziury w niebieskim firmamencie.

- Jak będę patrzył przez dwadzieścia minut w jedno miejsce, to kark mi trzaśnie. - J.J. wyciągnął się na pomoście. -Przychodzę tutaj przez cały czas. Wystarczy popatrzeć przez chwilę na te gwiazdy, takie piękne i ogromne, i problemy znikają. Leżąc tutaj, można się wyluzować, odpłynąć. Wracajmy do środka.

J.J. ustawił projektor na stoliku przy sofie, a Ginger zawiesiła białe prześcieradło na kominku. Krucha taśma pękła, gdy tylko krążek zaczął się obracać. J.J. obrócił go kilka razy, przewijając kawałek taśmy, i jeszcze raz uruchomił projektor. Przez kilka sekund nic, potem na ekran nasunęło się niebo i drzewa. Biały budynek, w którym rozpoznali hotel Marhes na Carrie's Island.

- Ale kim jest ten człowiek? - zastanawiała się Ginger. Mężczyzna w białym garniturze, którego twarz skrywał cień tropikalnych ogrodowych palm, schodził ze śmiechem po schodach. Scena się urywała, pojawiał się widok targów, Światowej Wystawy w Nowym Jorku. Lśniące pawilony wystawowe, a w oddali linia nowojorskich dachów na tle nieba. Potem pojawił się chybotliwy obraz Catherine. Na głowie miała duży słomkowy kapelusz, który przytrzymała, żeby wiatr go nie zdmuchnął. Siedziała na poręczy ganku żółtego domu, obok kołysała się huśtawka, z której ktoś musiał przed chwilą zejść. Obiektyw kamery przesunął się w prawo, pokazując białe drzwi, po czym wrócił do Catherine, tym razem

w większym zbliżeniu. Ginger i J.J. patrzyli, jak jej młoda twarz zakwita uśmiechem. Uniosła dłoń i pokiwała leciutko, gestem królowej przejeżdżającej w kawalkadzie samochodów. Przez chwilę ekran był pusty, potem mignął na nim cocker spaniel z wywieszonym językiem, po czym taśma zafurkotała i zsunęła się ze szpuli.

- Kiedy byliśmy mali, chyba nie zdawaliśmy sobie sprawy, jaka była ładna. To była po prostu mama. - Ginger była olśniona jej uśmiechem, jej delikatnymi rysami.

- Ja wiedziałem. - J.J. przewinął taśmę i puścił film jeszcze raz. - Dziwne, że znalazł się wśród rzeczy, które schowała w tym pudle. Nie sądzę, żeby chodziło o Światową Wystawę. Najwyraźniej chciała go zachować ze względu na tego mężczyznę na Carrie's Island. Albo na siebie, gdziekolwiek się wtedy znajdowała.

J.J. nalał Ginger soku pomarańczowego, a sobie kieliszek szkockiej.

- Oboje się śmiali.

Pięć listów, niedatowanych, pochodziło od kogoś imieniem Austin. Stanowiły mieszaninę poetyckiej, dramatycznej epi-stolografii miłosnej i relacji z podróży. Wyglądało na to, że ich autor był pilotem marynarki wojennej, mieszkającym niedaleko Macon. Myślał o niej w Filadelfii, brakowało mu jej w Nowym Jorku, tęsknił za nią na swojej farmie, gdzie urodził się nowy żrebak, któremu dał na imię Cathy. Pragnął jej poprzedniej nocy, kiedy na niebo wszedł srebrny półksiężyc, zespół śpiewał „How High the Moon” i wszyscy tańczyli. *Gdzieś jest muzyka, Cath. To tam, gdzie ty jesteś**.

- Co za romansowa głowa. Posłuchaj. *Kiedy myślę o tym, jak bym najchętniej spędzał swoje dni, widzę wyłącznie ciebie. Catherine rano, Catherine w południe, Catherine w nocy.*

- Wygląda na to, że miała romans.

- Dlaczego tak sądzisz? Nie widzę żadnych dat. Ten ktoś musiał być przed tatusiem.

Ginger otworzyła zeszyt.

- Mam czytać? Pierwsze zdanie brzmi: „Piszę dziś fioletowym atramentem, jak w paryskich kartach dań”. Nigdy nie była w Paryżu.

* Aluzja do tekstu piosenki „How High the Moon” (przyp. tłum.).

Ginger przewracała kartki. Cytaty, gryzmoły, rysunki przeplatały się z kilkoma stronami dziennika. Ginger i J. J. siedzieli, zwrócenii twarzami do siebie, na przeciwległych krańcach kanapy, jak siadywali przez tyle lat, czytając głośno na zmianę dowcipy z niedzielnego dodatku, książki o Indianach, o odkryciu Troi, o przygodach szwajcarskiej rodziny na bezludnej wyspie*, o romansie w sercu tropikalnej dżungli**.

Dom ma wiele przestronnych, chłodnych pokoi. Podłogi, których gładkość wyczuwa się pod stopą, były tyle razy woskowane, polerowane przez tyle wydeptujących je stóp, że lśnią jak woda. Popołudniami, gdy nadciągają deszczowe szkwały, wiatr thucze drzwiami od domu. Kiedy zaczyna padać, budzę się z drzemki, zrywam się z szerokiego łóża z grubymi, staroświeckimi prześcieradłami, obrzeżonymi szydełkowym ażurem, wymyślnym niczym pajęczka koronka, i biegam po całym domu, zamykając drzwi na zasuwki. Dom jest stary i melancholijny - pachnie olejkiem do włosów Dużego Jima, czosnkiem, tostami, które Lily przypala każdego ranka, i czymś zawieszonym - ciastem owocowym Florence, nasączonym burbonem? Poduszki na sofie wydzielają ciężką, orientálną woń perfum Lily. Chciałabym pootwierać wszystkie okna na oścież, wpuścić do środka chłuszczące bicze deszczu. Duży Jim nienawidzi przymusowego leżenia w łóżku, nienawidzi uzależnienia od Florence, Lily i ode mnie. Ściska mnie za rękę i patrzy mi żałośnie w oczy, niczym wierny pies myśliwski, zamknięty w kojcu. Choroba go odmieniła, zrobił się miły. Wydaje mi się, że zawsze był odważny: poskramiał wzrokiem strajkowych prowodyrów i trzymał twardą ręką związki zawodowe. Ileż to razy słyszałam tę historię? Goście przychodzą i odchodzą. Codziennie po południu zmieniam Lily i Florence, żeby mogły pójść do swoich klubów brydżowych. Mały śpi, a ja piszę do Willsa albo kładę się w pokoju, do którego wstawiliśmy kołyskę.

* „The Swiss Family Robinson”, powieść przygodowa, autorstwa szwajcarskiego pastora J.D. Wyssą (przyp. tłum.).

** „Green Mansions” W.H. Hudsona, brytyjskiego pisarza urodzonego w Argentynie (przyp. tłum.).

Otwieram szufladę w jednym z pokoi na drugim końcu domu i wyjmuję poślódką kartę z tłoczonymi literami, zapraszającą na chrzciny, które się odbyły sześćdziesiąt cztery lata temu. Pod spodem fotografia tego samego niemowlęcia, Calhouna, zmarłego brata Dużego Jima, koło trzydziestki, już tysiącletni i z brzuszkiem. Jak dawno przeminął z wiatrem i deszczem. Wzdrygam się mimo woli. Czuję nieubłagane nożyce czasu przez duże „C”.

W barku jest pudełko pałeczek do mieszania koktajli z lat trzydziestych. „Poradnik barmana”, wydany w 1928 roku, uczy mnie, jak przyrządzić Cios między oczy, Szczekającego psa, Muła znad Missisipi i Diki-Diki. Ale my pijemy wyłącznie dżin. Codziennie po południu zanoszę Dużemu Jimowi szklaneczkę dżinu z sokiem z limonki - o tej porze, kiedy upływ godzin zaczyna mu działać na nerwy, kiedy nie ma nic do roboty poza czekaniem na kolację. Oczywiście nie powinien pić alkoholu po zawale, ale kto mu się odważy cokolwiek powiedzieć? W szufladzie kredensu plik starych fotografii. Wśród nich tak dzisiaj bujny ogród (w tym roku Florence nadal dosadza ołowniki), istna dżungla splątanych pnączy, kaskady róż i pokrzywy, na myśl o których skóra mi cierpnie - na zdjęciu niemal nagi, ujęty w karby, wytyczony i wystrzyżony, tło dla młodej żony Mary, trzymającej jednego, potem dwóch chłopczyków: Dużego Jima (wówczas Jamesa) i Calhouna. Mary jest z każdym dzieckiem chudsza i bardziej poważna. Umarła młodo. Ten szpaler drzew pod murem już nie istnieje. Czas. Mary, cała rodzina z wyjątkiem Dużego Jima - nie żyją. Ale na tej fotografii Mary uśmiecha się do kogoś - do mnie, której nigdy nie widziała. Do kogoś, kto używa jej ręcznie malowanych półmisków, jej ręczników z monogramem i przepisów.

To jest tak, jakby nagle otwierała się zapadnia - spadam pomiędzy stare książki, wycinki, listy. Mary, John oraz ich dwaj uwiecznieni na zdjęciu następcy życzą ci wesołych świąt, zanim się urodziłeś. Chłopcy, Duży Jim i Cal-houn, w podkolanówkach, z rękami wyciągniętymi sztywno wzdłuż ciała. Mąż, który za bardzo lubi swój pudding z Yorkshire i kapustę zasmażaną z ziemniakami. Ostatnie zdjęcia są nowsze, czarno-białe, zamiast sepiowych z zęb-

kowanymi brzegami. Florence i Duży Jim w Manatee Springs, odbijający łódką od nabrzeża. Proszę, więc kiedyś z nią podróżował! A tu wpatrzeni w wodę. O czym myśleli w tamtej chwili? (Co można myśleć o zwalistych cielskach tych niemal wymarłych stworzeń, przemierzających czarne, wodne głębiny?). Lily i Florence na różowej plaży na Bermudach, Lily w okropnym wełnianym kostiumie kąpielowym, Lily w koledżu, Wills oparty o samochód. Ja, obejmująca Florence i Dużego Jima. Śluby. Twarze uśmiechające się do przyszłości, pełne życia, patrzące ufnie w obiektyw. I na mnie, szukającą w tej zamkniętej jadalni serwetki dla chorego mężczyzny. O, jesteśmy w domu.*

- Spójrz, narysowała szklanek pełną pałeczek do koktajli. Zamiłowanie do pisania też masz po niej. - Ginger podała bratu zeszyt. - J.J., my nic nie wiedzieliśmy.

- Fajne. Podoba mi się. To jest dobre. Czytaj dalej.

Dużemu Jimowi się pogorszyło. Wills dostał przepustkę i Duży Jim odżył. Podziwiam go, chociaż wiem, że potrafi być jadowity jak wąż - i że zawsze się uganiał za innymi kobietami. Lily myśli, że zostanie wzięty żywcem do nieba i zasiądzie po prawicy Pana. Wills mógł zostać tylko cztery dni. W mundurze wygląda na starszego. W jego twarzy widzę powagę wojny. Kiedy staje w drzwiach, zawsze czuję, że się rozprzestrzeniam. Czuję światło. Lubi jadalnię, odkąd ją pomalowałam na żywy, brzoskwiniowy kolor. Mówi, że to kolor flaminga. Czy jestem dla niego równie realna jak skała, fala, burza czy chleb? Rzadziej zachodzę do Domu. Mały ma wysypkę. Lily często przychodzi na kolację, ale nie proponuje, że pójdzie z nim na spacer albo zostanie w ciągu dnia. Jest zagubiona, lecz nie wie o tym. Myśli, że świat kręci się wokół Domu. Zabiorę małego ze sobą do Macon.

Znów u siebie, rozmawiam ze swoim zeszytem. A.L. Ostatni prezent od niego to perłowy wisiorek w kształcie

* Jeden z najpiękniejszych parków narodowych Florydy, rezerwat krów morskich, od *manatee* - krowa morska (przyp. tłum.).

dwóch półksiężyców zwróconych tyłem do siebie. Jeździmy z małym nad rzekę. Kocham wilgoć w powietrzu, ścianę deszczu po południu, gwałtowny nurt strumieni. Załatwiam różne sprawunki dla Florence. Zaczęliśmy nazywać ją przy małym Mamą Fan. Nie lubi, kiedy się o niej mówi „babcia” czy „babunia”. Jak o staruszce. Duży Jim życzy sobie raz tego, raz owego. Chce szefować. Jeżdżę też do biura, rozliczam dla niego zamówienia, naliczam wypłaty. Ja - albo Lily - mogłabym kierować fabryką. Florence ma do niego zapiekły żal, ale nie daje tego po sobie poznać. Niczego nie daje po sobie poznać. Dom jest pełen nieskoordynowanych ruchów. Często ciszy.

Duży Jim siedzi na ganku w bujanym fotelu. Wolno mu spacerować po ogrodzie, do rogu i z powrotem. Używa laski. „Żeby oganiać się od kobiet” - chełpi się. Char-lotta przyjeżdża na cały dzień. Z nią naprawdę rozmawiam. Sałatka z kurczaka z orzeszkami hikory.

Listy Willsa są wyłącznie o jego obozie - o pogłoskach,

O rannych wracających zza oceanu bez nóg i twarzy. Nasze życie w Swan wydaje się zbyt odległe, żeby je komentować. Wills to czas terażniejszy, jak wszyscy mężczyźni z jego rodziny, o których słyszałam. Dzień wczorajszy to równie zamierzchna przeszłość, co Wojna Dwóch Róż. Tacy ludzie odnawiają się w nieskończoność, opróżniają i znów odnawiają. Jestem adorowana, kiedy jestem obecna. Choroba, której lekarz nie jest w stanie wyleczyć. Czy nas mu czasem brakuje? Czy „przeżywa” nas tylko, kiedy jesteśmy? Jestem tym zafascynowana, zazdrosna, szycerka. Tacy ludzie są zbyt straszni, sprawiedliwi jak aniołowie. Żyją, jakby ziemia była płaska, choć ona jest ponad wszelką wątpliwość okrągła i w dodatku się obraca.

Lampart znów się pojawił w moich snach. Leżę przytulona do jego muskularnego grzbietu, dotykając ustami gorącego futra. Biegł długo. Nie poruszam się, żeby go nie obudzić. Kim on jest? Boję się ocknąć ze snu.

Moja twarz w jego dłoni była jak pyszczek kota. Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Chwilami się boję. Ale czego?

Czasem majster pod drzwiami jest mordercą - dusicielem w zielonym ubraniu. Ale to tylko ponury Clovis ze swoim małym, ponurym Sonnym, przysłani przez Dużego Jima, żeby naprawić ogrodzenie. Nie jestem w stanie ich zmusić do uśmiechu i nawet nie próbuję. Ludzie Dużego Jima wielbią albo nienawidzą. Perłowe półksiężycy leżą tyłem do siebie na swojej bawełnianej pościeli. Mój ulubiony księżyc, cieniutki sierp. Wills może tej nocy zobaczyć z oficerskich koszar ubywający po pełni, garbaty półksiężyc, unoszący się nad linią samolotów gotowych do lotu na pasie startowym. Perłowe półksiężycy. Jak dwoje ludzi w łóżku, czuwających.

Poniżej miłości, w głębi seksu, kulminacja jak płaska błyskawica, jak krzyk odlatującego ciała.

- Mocne. - Ginger podniosła wzrok. - Rozumiesz coś z tego? - Clovis, pomyślał J.J., jeden z ludzi Dużego Jima, który wykonywał różne naprawy. - Zaczekajmy z rozmową.

Jak aligatory, zanurzone w wodzie po gałki oczne, schodzę każdego popołudnia w chłód rzeki. Mały lubi, kiedy się go zanurza, śmieje się i piszczy.

- Hej, już wtedy lubiłeś rzekę. Mały J.J., ochrzczony z wody. Tutaj jest rysunek dziecięcej stopki - twojej.

*Resztki, skrawki, okruchy. **

Nie będę jedną ze złamanych. Trzymaj się prosto, przestrzegaj przepisów, nie depcz trawników, nie depcz po mnie.

Jeśli pozostawi się okostną, usunięty fragment żebra odrasta. Jeśli nie - regeneracja nie następuje... Mały płacze.

Jest kochany i chyba zaczyna wyrzucać przedpołudniowe spanie.

Zabrałam małego w odwiedziny do mamy. Nie miałam pojęcia, że jej babka nazywała się Sarah America Gray. Lubię każdą część tego imienia. Malutka dziewczynka, nazwana Ameryką.

Jeżeli do ciebie przyjdę, to tylko po to, żeby pożyczyć szklankę soli.

- Czyżbym coś przeoczyła? Mógłbyś otworzyć tylne drzwi? Przez to okno nie wpada ani odrobina powietrza. Szklanka soli? Bardzo zagadkowe.

J. J. uważał, że nie tak bardzo.

- W tym jest smutek. Szklanka soli nie jest czymś, co człowiek pożycza, więc chodzi o łzy. Spójrz, to jest jak wiersz, streszczony w jednej linijce. Zaczynający się wielkim „jeżeli”. - J J- rozpoznawał tę technikę. Metodę kamuflażu. Sam miał ich wiele. Nawet jeśli nie sądzisz, że ktokolwiek będzie czytał twoje zapiski, piszesz nie to, co masz na myśli, ale to, co ci przypomina o tym, co masz na myśli.

- Niewiele zostało. - Ginger kartkowała zeszyt. Niebieski, fioletowy, czarny, purpurowy, ciemnozielony atrament. Pamiętała jak przez mgłę, jak wyciąga rękę do małych buteleczek, stojących na biurku, i słyszy: „Nie”. W miarę jak czytała, ogarniał ją coraz większy smutek i współczucie dla matki - pełnej pomysłów, artystycznej natury, tkwiącej w Swan, bez męża, z toczącą się gdzieś daleko wojną, otoczonej jego irytującymi krewniakami. Pamiętała trwające całymi dniami bóle głowy, kiedy matka nie wstawała z łóżka. Czy cierpiała na migrenę, jak J.J., czy przeżywała depresję? Taktownie nie wypowiedziała tych myśli na głos, gdyż jej zdaniem, J. J. również ugrzązł w Swan. Zastanawiała się, czy on też tak to widzi. - Dla mnie to my byliśmy zawsze biedni i godni współczucia. Na nią byłam przede wszystkim wściekła. Nie mogłam pojąć, jak nasze życie mogło doprowadzić do takiego czynu. Teraz wyszło na jaw, że nie była samobójczynią, nie zarzuciła nam tego koca na głowy. Znalezienie szkicowników, dziwnego notatnika - ukazuje mi całą tę historię jako labirynt.

- Bo to jest labirynt.

- Wiesz, że w zeszłym roku pojechałam na Kretę. Badałam ruiny na Knossos. Cykady darły się jak opętane, a ja krążyłam, potykając się wśród tych ruin w czterdziestostopniowym upale. Nie widziałam żadnego prawdziwego labiryntu dla byka, tylko rozgałęzioną budowlę z tysiącem pomieszczeń, dobudówek, przybudówek, zakamarków, w których każdy mógł-

225. Słodka, leniwa...

241

by się pogubić. Mimo wszystko kocham opowieść o Ikarze wyfruwającym stamtąd na woskowych skrzydłach. Morał, którym nas karmiono od dzieciństwa, brzmi: „Nie lataj za blisko słońca”, ale prawdziwy morał musi brzmieć: „Przymocuj skrzydła do pleców i leć!”. Lubię sobie wyobrazać, jak Ikar wlatuje w niebo ponad wyspą. J.J. uniósł swój kieliszek.

- Za Ikara, który utonął w morzu.

- Nawet jeśli nie uda nam się rozwikłać wszystkich rodzinnych tajemnic, myślę, że cała historia musi zostać napisana od nowa. Tragedia mamy - nasza — zmienia charakter, zostaje wywrócona podszewką do góry. My przynajmniej mieliśmy wszystkie te lata w słońcu, ją tak szybko pochłonęła ciemność.

Każde słowo tych zapisków chwyciło J.J.-a za serce, od chwili, gdy usłyszał: „...jesteśmy w domu”. Przy każdym słowie czuł, co Catherine chciała powiedzieć.

-1 za mamę, Gin - dodał cicho. - To był ktoś. Nie mamy pojęcia, ile ciszy mieści się pomiędzy jedną stroną a drugą.

- Oto reszta.

Moje dni powinny być czymś naturalnym, jak nalewanie wody na kąpiel. Och, być naturalnym. Czy mogłabym być spalona przez słońce, poruszana wiatrem, splukiwana deszczem? Czy powinnam hodować pszczoły? W świetle poranka są jak złote iskry. Jest ich tyle w gałęziach katal-py. Mruczą.

Róża koloru wielkiego sińca.

Potężny grzmot. Z gatunku tych, od których plomby obluzowują się w zębach. Nadrzewne żaby i wędrujące chmury. Malwy i „koronka królowej Anny” dotrzymują małemu i mnie towarzystwa przy stole. Mam nadzieję, że moje życie zrobi ze mnie pełny użytek.*

Liliowa zieleń. Czerń sadzy. Migdałowa zieleń. Palisada światła.

* Marchew zwyczajna, roślina o dużej ilości drobnych, białych kwiatków (przyp. tłum.).

Fragmenty, drobiny, łaty, drzazgi, resztki.

Wisiorzka z perłami już nie ma. Kiedy po raz ostatni otworzyłam pudełeczko, zaiskrzyły smugą galaktycznego blasku. Kropka nad „i”. Jestem równie rzeczywista jak chleb czy mech. Wkrótce moje małenstwo nabierze rozpędu. Rusza lawina życia, przenosząc nas w nowy świat. Świat Willsa, kiedy werble obwieszczą jego powrót do domu. Świat Austina. Deszcz róż. Świat małego. Jego stopki zanurzone w rzece. Małenkie X w oceanie łona. Pływak. Mój. Barwny, wirujący krąg.

Ona. Alicja, Aleksandra, panna X, o stopkach mniejszych niż ziarnko ryżu. Ukryta w kopercie schowanej na dnie szuflady. Małenki cierni. Małenki migdał. Małenki paluszek. Dzika różyczka.

- To znaczy, że jest w ciąży?

- Tak sądzę.

To prawda. Będę miała dziecko. Ma już mikroskopijne blaszki skrzeli - małenka, prymitywna istota, kropelka, która stanie się kimś. Jaka to prozaiczna rzecz, mieć dziecko. Przycupnąć na polu, urodzić i dalej zbierać bawełnę. Ale jaki zarazem cud. Muszę myśleć: to moje dziecko. Nie powiedziałam mamie. Na razie powiem tylko sobie.

kurczak po kapitańsku zielona fasolka z estragonem babeczki z brązowym cukrem ciasto z kajmakiem

- Co za zakończenie. Szkoda, że tylko na papierze. - Ginger zamknęła zeszyt i położyła go na stoliku. Żadne z nich się nie odezwało. Zielona jaszczurka precisięła się pod okienną siatką i skoczyła bokiem, przelatując nad kamieniami paleniska. - Wiesz, że jest wpół do trzeciej?

- Austin. Romansowa głowa. Myślisz, że ten wisiorzka z perłami był od niego? Nie przypominam sobie żadnych perłowych półksiężyców wśród jej biżuterii.

227

- Musiał być. - J. J. chciał jeszcze raz przeczytać dziennik w samotności. Kiedy Ginger czytała na głos, on chłonał to, co nienapisane. Atmosferę tajemnicy. Zasłona spadała z przeszłości, jak wtedy, gdy odsłania się kolejne warstwy anatomiczne, ukazując mięśnie, układ krwionośny, kości. Czy matka była w ciąży z Austinem?

Kiedy Ginger już spała, J. J. usiadł z notatnikiem przy kuchennym stole, tym samym, przy którym Catherine siadywała przed laty, o cichej, nocnej godzinie, gdy świerszcz sunął wolno po podłodze, a umyte naczynia suszyły się koło zlewu. Zeszyt sprawił, że matka ożyła. Znow siedział obok niej w kościele, tamtego dnia, gdy zerwał się sznurek od jej koralu i złote paciorki rozbiegły się po podłodze przy akompaniamencie chóru, piejącego „Jeruzalem”. Pamięć urywa się i znow powraca, myślał. Widzi półksiężycę potu pod jej pachami, Ginger się wierci, ojciec siedzi z rękami opartymi na kolanach, nieruchomy jak Sfinks. Wszyscy wstają. Znow młodzi. Błogosławieństwo.

Laurowo-cytrusowy zapach wody kołońskiej ojca, cikliwy smrodek długo niezmiętej wody od kwiatów przy ołtarzu i zaraz potem przepychanki o „kość życzeń”, dopytywanie się, co będzie na deser. Wracamy do naszych dziecięcych kolorowanek, pomyślał, znowu łączymy punkty. Gotowy obrazek nigdy nie przypominał tego, co miał przedstawiać. Wciąż widział konstelacje punktów. Otworzył własny notatnik. *Rzeka w płomieniach*, napisał na ostatniej pustej stronie.

GINGER, leżąc w ciemności z otwartymi oczyma, zaczęła analizować wszystko, co kiedykolwiek słyszała na temat swojego podobieństwa do ojca. Była pewna, że J.J.-owi lektura zapisków matki też dała do myślenia, ale żadne z nich nie oswoiło się jeszcze na tyle z tą nową myślą, żeby podjąć rozmowę. Wykształcony w ciągu długich lat odruch chronienia siebie nawzajem hamował ich nawet teraz, po nokautujących wstrząsach ostatniego tygodnia. Zazwyczaj słyszała, że jest „wykapana mamą”. Odwracając poduszkę chłodną stroną do góry, przypomniła sobie słowa z notatnika: „to moje dziecko”. Miała dość wąskie usta swojej matki i ten sam wymowny gest wzruszania ramionami. Ale miała też kwadratowe paznokcie i płaskie, zwarte pośladki Willsa - z pewnością były

to identyfikujące geny. „Płastuga”, to było jedno z poufanych przezwisk, jakie mu z J.J.-em nadali. Wyobrazila sobie swoje odbicie w lustrze, z linią nagich, widzianych z boku pośladków. Obwiodła wskazującym palcem paznokcie przy kciuku. Jutro będzie się musiała przyjrzeć paznokciom J.J.-a. Jej włosy, ich jasna, jedwabista czerwień, wzięły się nie wiadomo skąd. Duży Jim, Florence, Lily z włosami barwy stalowej wełny, rodzice Catherine - oboje ciemnowłosi. Musiał być jakiś przodek, może ta Sarah America Gray, z tym samym kolorem włosów, co ona. Jak wiele pytań się jeszcze pojawi?

Równoległe z nagim szokiem przebijał się strumień radości. Wciąż przychodziło jej na myśl słowo „odkupić”. Odkupić, czyli spłacić, wziąć z powrotem w posiadanie. My spłaciliśmy. Nie będziemy... szukała właściwych słów... nie będziemy mieli piętna „samobójstwo” wypalonego na twarzach. Nie musieliśmy uprawiać szkoły przetrwania w dżungli przez te wszystkie lata, ucząc się, jak sporządzać chroniące przed słońcem kapelusze z palmowych liści i pić, przykładając język do mokrych sosnowych igieł. Straszliwy, ogłuszający wstrząs ostatnich wydarzeń wzbogacił J.J.-a o wiedzę, że jego najgłębsze „ja” pochodzi wprost od matki. Został uratowany, pomyślała. Matka zdołała mu przekazać swoje najcenniejsze dziedzictwo. Czy przekazała coś mnie? Ginger, która nigdy nie płakała, zaczęła płakać, wtulając twarz w poduszkę. Podała się uczuciu ulgi, pomimo całej jego złożoności. Bez względu na to, co miało nastąpić, jej matka została wyzwolona z niewoli samobójstwa, a ona mogła znów ją kochać, tam w przeszłości. Jej obraz, który znała jako dziecko, był prawdziwy.

Na kilka dni przed śmiercią Catherine szyła kloszową spódnicę w sombrero. Ginger siedziała po turecku na tapczanie, bawiąc się swoimi lalkami w ludowych strojach. Przypuszczalnie po raz ostatni otworzyła wtedy to pudełko po butach i wyjęła „małe Polki” w czerwonych, wykończonych ząbkowaną tasiemką spódniczkach, z aksamitnymi wstążkami i czarnymi fartuszkami. Catherine ostro naciskała pedał, stopka maszyny mknęła wzdłuż szwów. Ginger wciąż czuła twarde korpusy bliźniaczych lalek, które ubierała, widziała nienaturalny, pomarańczowy odcień ich twarzy i puste oczy. Naprawdę, wołała „małe Holenderki”.

Okruch pamięci. Coś, co można zachować. Po prostu była z mamą, spędzała z nią spokojne popołudnie w domu. Kiedy czytała na głos zapiski z notatnika, widziała, że J. J. od czasu do czasu marszczył nieznacznie czoło, patrząc w kominek albo na swoje stopy. Był tak skoncentrowany, że wydawał się jak w transie. Ginger odrzuciła prześcieradło i poszła do kuchni. J.J. podskoczył, rzucając zeszyt.

- Pamiętasz przepis na ten chrupki kajmak? Może byśmy sobie trochę zrobili?

11 lipca

MAYHEW, który zawsze był rannym ptaszkiem, zauważył artykuł i poszedł z gazetą do sypialni.

- Charily, Charily, obudź się! Patrz, co tu piszą.

Charlotta wynurzyła się z głębin snu, w którym prowadziła samochód wyścigowy skrajem przepaści, otworzyła oczy i zobaczyła pochylającą się nad nią postać. Jej pierwszą absurdalną myślą było, że wygląda jak gotowany prosiak.

Przyjrzała się uważniej, poznała poczciwego Mayhewa i sięgnęła po okulary.

SPECJALNIE DLA NASZYCH CZYTELNIKÓW RAINEY GROVER „SWAN FLYOVER”

NAGŁY ZWROT W SPRAWIE TAJEMNICZYCH WYPADKÓW NA CMENTARZU

SWAN, GEORGIA, inspektor z GBI, Gray Hinckle, i szeryf okręgu J.E.B. Stuart, Ralph Hunnicutt, badający sprawę niedawnej ekshumacji ciała spoczywającego od dziewiętnastu lat na cmentarzu w Swan, doszli do nieoczekiwanego wniosku, że zmarła, której zgon został uznany za samobójczy, padła w rzeczywistości ofiarą morderstwa. Oficer śledczy i szeryf ze Swan uznali, że kąt, pod jakim pocisk przebił ciało, oceniany na podstawie kształtu rany wlotowej w okolicy serca, wyklucza możliwość, aby denatka sama pociągnęła za spust automatycznej strzelby kaliber 22, znalezionej obok jej zwłok. Badania przeprowadzone przy użyciu bardziej zaawansowanych technik anatomopatologicznych potwierdziły tę hipotezę. Zmarłą była Catherine Phillips Mason, żona dra Willsa Masona, długoletniego mieszkańca Swan. Ciało, rzucone bezceremonialnie obok grobu na terenie kwatery

232

rodzinnej, zostało znalezione przez szwagierkę zmarłej, Lillian Mason, i panią Eleonorę Whitefield, z którymi, niestety, nie udało się skontaktować. Szeryf Ralph Hunnicutt powiedział nam, że jego biuro bada wszelkie możliwe tropy i ma nadzieję ująć sprawcę. Poproszony o skomentowanie nieoczekiwanego zwrotu w śledztwie, stwierdził, że byłoby to przedwczesne.

Charlotta wyskoczyła z łóżka.

- Jezusie, Maryjo, Józefie Święty! Mayhew, to okropne, ale... ja czekałam dziewiętnaście lat, żeby to przeczytać! Wiedziałam, że Catherine nie popełniłaby samobójstwa. Pamiętasz? Wiedziałam o tym. Ona by tego po prostu nie zrobiła.

- Hm, to bardzo dziwne, że ktoś miałby ją zabić, a po latach ktoś inny ją odkopał. Sądysz, że ci dwaj mają ze sobą coś wspólnego?

- Ale jak, kto? Nigdy nie sądziłam, że ktoś, kto ją znał, mógłby być zamieszany w jej śmierć. Kto wie? To jakiś absurd. Ktoś się włamał, za pierwszym i za drugim razem, to jedyne wytłumaczenie.

- Jeśli jedna i druga sprawa to przypadek, to muszę powiedzieć, że miała diabelnego pecha. - Mayhew mocno przygładził jej włosy, gestem, jakim głaszcze się po głowie psa. - Staraj się nie odfrunąć. - Wiedział, że ta nowina przyprawi ją o zawrót głowy.

CHARLOTTA wykręciła zero.

- Mogłabym prosić numer Lillian Mason w Swan? - Ale co miałyby powiedzieć Lily po tylu latach? Ci Masonowie wyciszyli śledztwo, bo obawiali się wstydu. Charlotta nigdy nie lubiła Lily. Prawdę mówiąc, miała ochotę skopać jej tyłek. Zakichana dziedziczka, pani na włościach. Z drugiej strony święta kobieta, że wychowała te dzieci.

- Mogę podać pani numer, kochana, ale uprzedzam, że Lily nie ma w domu, bo przed chwilą widziałam, jak odjeżdżały z Eleonorą Whitefield spod apteki.

- Dziękuję, spróbuję jeszcze raz później - powiedziała. -Zafajdana dziura! - wrzasnęła po odłożeniu słuchawki. Gdyby Catherine nie wżeniła się w ten światek prowincjonalnych bonzów! Gdyby wybrała Austina! Wyciągnęła książkę telefoniczną Macon. Austin. Austin Larkin. Jego cienkie,

niebieskie listy przychodziły do internatu każdego dnia. Wciąż widziała plik tych listów na toalecie Catherine w ich wspólnym pokoju, przyciśniętych lusterkiem w oprawie z kości słoniowej. Catherine, leżąca na wznak na łóżku, z podręcznikiem na piersi, fikająca nogami z uciechy. „On pisze, że powinnam spływać wzdłuż Nilu na barce usłanej kwiatami”. Zastawiła cały parapet podarunkami, które wyjmował z kieszeni w każdy weekend: muszlami, kawałkami skał z kryształkami ametystu, dziewiętnastowiecznymi dagerotypami, przedstawiającymi dziecięce buzie. Kiedy wróciła po tamtym Świącie Dziękczynienia, z kwadratowym, szmaragdowym pierścieniem Willsa na palcu, Austin zawrócił i zszedł po schodach, kręcąc głową. Nigdy nie powiedział na ten temat ani słowa. O ile się orientowała, Catherine nie miała potem od niego żadnych wieści, z wyjątkiem incydentu z różami. Pewnego zimowego popołudnia Austin przeleciał swoim samolocikiem nad kampusem, rozsypując róże dla Catherine, tysiące róż.

Charlotta zastanawiała się, czy nadal mieszka gdzieś w okolicy. Bez względu na to, jak potoczyło się jego życie, na pewno chciałby wiedzieć, że Catherine nie popełniła samobójstwa. Nie miała co do tego wątpliwości. Wychował się o trzy kwadransy drogi stamtąd, w Stonefield. Znowu zadzwoniła do informacji. Nie było abonenta o nazwisku Larkin. Pojedzie tam i spróbuje go odszukać. Austin, ten to był chłop na schwał. „Kawał przystojniaka” - mówiła o nim Catherine. Czy potrafiłaby namalować róże spadające z nieba? Nie widziała, jak spadają, tylko dziedziniec usiany płatkami, pączkami i rozwiniętymi kwiatami, kiedy Austin już odleciał. Do każdej łodyżki przywiązana była nitka z małą chorągiewką, na której wykaligrafowano czarnymi literami: CRP. Rose - róża - drugie mię Catherine. Catherine podniosła tylko jedną. Jakby podniosła błyskawicę, pomyślała wtedy Charlotta. Wciąż widziała ten kwiat koloru krwi na tle jej swetra z różowej angory. Pamięć tworzy dziwne obrazy, pomyślała. Jak łabędź wyrzeźbiony z lodu, pływający w moim układzie krwionośnym.

AILEEN WCZEŚNIE WYSZŁA Z DOMU. Musiała pojechać do Tipton do sklepu Singera, bo ostatnia igła jej się złamała. Potrzebowała też więcej małych perłowych guziczków i trochę gotowej pasmanteryjnej koronki do wykańczania dziecięcych kocyków dla pośledniejszych klientek.

Na drzwiach była kartka: *Wracam za piętnaście minut*. Ponieważ nie wiedziała, kiedy te piętnaście minut się zaczęło, poszła do kawiarni po drugiej stronie ulicy, żeby poczekać przy filiżance kawy. Ktoś zostawił na stole gazetę z Macon. Kiedy wsuwała się do boks, od razu rzucił jej się w oczy artykuł o Catherine Mason.

Me samobójstwo.

Przeczytała tekst dwa razy, nie zwracając uwagi na kelnerkę, która nalewała jej kawy. Filiżanka zaczęła dzwonić o talerzyk, kiedy próbowała ją podnieść. Złożyła trzęsące się dłonie na podółku, udając, że dmucha na gorącą kawę. Po drugiej stronie ulicy kobieta otwierała sklep Singera. Ale jaka siła mogłaby ją, Aileen, w tej chwili zmusić do wstania z krzesła i wysłać między guziki i zamki błyskawiczne?

Obawiała się, że informacja w gazecie jest prawdziwa, chociaż od czasu śmierci Catherine próbowała sobie wmówić inną wersję. Tamtego dnia, kiedy nowina rozchodziła się lotem błyskawicy po fabrycznej wiosce, odetchnęła z ulgą, słysząc, że Catherine nie została zamordowana, że zginęła z własnej ręki. Z początku bała się panicznie, że to Sonny próbował ją zgwałcić, a potem zabić. Często rozwodził się nad tym, że Duży Jim zasłużył sobie, aby odpowiednio potraktować kobiety z jego rodziny. Że należałoby je gwałcić, torturować. Odgrażał się, że nadzieje je na nóż i zobaczymy, jaki Duży Jim będzie wtedy napalony. Pogrożki to była u niego normalna sprawa.

wa, ale mimo to Aileen była przerażona. Słyszając szczegółowe opisy, bała się, że zrobi to jej. Ale śmierć Catherine to było zwykle samobójstwo. Nie istniały dowody na inny przebieg wydarzeń. Domu nie przewrócono do góry nogami. Szeryf wiedział, jaką śmiercią Catherine zginęła, myślała. Potrafił to ustalić na podstawie tego, w jakiej pozycji została znaleziona, z jakiej broni strzelano. Mówili, że trzymała strzelbę. Kto wie, co przeszła? Może z jej męża też był lepszy numer? Szeryf wiedział o takich sprawach. Sonny tego nie zrobił, uznała szybko. Po prostu wyjechał, tak jak zapowiadał.

Aileen zawsze miała uczucie, że cień Sonny'ego towarzyszy jej, dokądkolwiek by poszła. Kaznodzieja wyjaśniłby pewnie, że to wyrzuty sumienia ją prześladują, ale ona nie powiedziała o tym kaznodziei ani nikomu innemu, nawet własnej siostrze. W pracy, kiedy zerknęła w stronę szklanych drzwi biura, bała się, że zobaczy w nich szczurzą twarz Sonny'ego i jego rybnie oczy. Czasem dopadał ją strach, kiedy kochali się z Dużym Jimem w motelu. Nawet gdy miała dość czasu, żeby pozwolić sobie po wszystkim na prysznic, bała się, że Sonny wtargnie do środka i zerwie zasłonę. Sonny mógł ich wytropić. Kiedy była sama w domu, wciąż jej się zwidy-owało, że dyszy pod drzwiami. Kiedy Duży Jim nagle umarł, byle gałąź uderzająca o szybę sprawiała, że zastygała bez tchu. I oto pewnego ranka Sonny zjawił się pod domem, otworzył drzwi i wszedł do środka. Wszystkie lęki, nagromadzone podczas jego czteroletniej nieobecności, zmaterializowały się nagle, przybierając postać Sonny'ego z krwi i kości. To było jak dalszy ciąg tamtego najścia na biuro. Przerazały ją jego białe, krzaczaste, zrosnięte nad czołem brwi, jego nieobecne spojrzenie. Duży Jim nie żył już wtedy od roku, jego żona również nie żyła. Ale Sonny, który dopiero co wyszedł z wojska, nadal tokował o zemście. Chwycił ją za włosy, odciągnął jej głowę do tyłu i splunął w twarz.

- Ty parszywa suko. Ty cuchnąca szmato. On może nie żyć, ale zasłużył na to, żeby go odkopać i poćwiartować. Jego ojciec pieprzył moją babkę. Co oni sobie wyobrażają, że kim są? Na ciebie szkoda ręki. Ale ich dorwę, wszystkich po kolei, żalonych skurwieli. Ten nadęty doktorek. Zobaczymy, jak mu się spodoba, kiedy ktoś sprawi jego kobietę.

- To nie było tak, jak myślałeś - skłamała ze strachu. - Duży Jim robił różne podchody, ale ja go nie chciałam. Te rzeczy, które znalazłeś, to dlatego, że chciał mnie zdobyć. Nigdy mi nie ufałeś, nigdy. Człowiek nie żyje. A my jesteśmy roz-wiedzeni, na litość boską. Myliłeś się co do mnie. Bardzo się myliłeś. Teraz zostaw mnie w, spokoju.

Zapomnijmy o tym. -Starła się zachować spokój, nie tracić panowania nad sobą, choć miała ochotę go skopać i opluć.

Sonny usiadł. Wspomnienie imienia Dużego Jima nadal go rozwścieczało. Rąbnął pięścią w blat kuchennego stołu. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, zgrzytając zębami. Nagle machnął ręką, zmiatając na podłogę galaretkę, sól i pieprz.

- Proszę cię. Idź. Proszę, zostaw mnie, wyjdź. Zostaw tych ludzi w spokoju, oni ci nic nie zrobili. Jest po wszystkim, on nie żyje. - Oparła głowę na rękach i rozplakała się.

Sonny wybuchnął śmiechem. Jego rozbiegane oczy mrugały raz za razem. Górna warga podjechała do góry, jak u psa, który za chwilę zacznie warczeć. Nagle zerwał się i ruszył do wyjścia.

- Dobra, dobra. Wygrałeś, ty ścierko. Jadę na zachód, do Arizony. Więcej mnie nie zobaczysz. - Wyrzekł to tonem groźby, kładąc nacisk na każde słowo, potrząsając uniesionym w górę wymownym gestem środkowym palcem.

Aileen odetchnęła z ulgą.

- Mam nadzieję, że tam ci się lepiej ułoży - powiedziała, żeby go ułagodzić. - Nigdy ci źle nie życzyłam. - Potarła skórę na głowie w miejscu, gdzie ją szarpnął za warkocz. Zamknęła drzwi i zasunęła zasuwkę. Życzyła mu śmierci.

Wyobraziła sobie, jak go szlachtuje nożem do indyka.

Miesiąc później, tego wieczoru, kiedy usłyszała o samobójstwie Catherine Mason, wsiadła do samochodu i pojechała do swojej siostry, mieszkającej o czterdzieści mil stąd. Czasem, w ciągu dziewiętnastu lat, które upłynęły od tamtej chwili, wyobrażała sobie, jak Catherine Mason zastanawia się, co sprowadza do niej Sonny'ego, robotnika z fabryki, którego przysyłano czasem, żeby dokonał jakiejś drobnej naprawy. Widziała w wyobraźni, jak Sonny się na nią rzuca - ona chwyta za strzelbę, on jej ją wyrywa, mierzy i strzela, zatrzymując się tylko po to, żeby włożyć jej strzelbę do ręki, pod-

czas gdy z niej życie uchodzi wraz z krwią. Ale Catherine popełniła samobójstwo. Sonny wyjechał i słuch o nim zaginął. Z czasem jego wspomnienie zbladło. Zaczęła zostawiać drzwi otwarte, jak wszyscy w Swan. Nie widziała go od tamtego dnia - dziewiętnaście lat. Czy po tak długim czasie coś może się jeszcze jątrzyć? Czy to on zrobił ten numer na cmentarzu? Nie mogła opanować gonitwy myśli. Przypominając sobie jego błędny wzrok, nie dałaby głowy, że to nie on.

Aileen zerknęła na swoje odbicie w szybie. Wyglądam jak własny cień, pomyślała. W czasach, gdy Duży Jim okrywał pocałunkami jej usta i twarz, lustro w motelu ukazywało pełne, różane liczko. Dwadzieścia minionych lat wyrzeźbiło jej twarz, wydobywając kości policzkowe. Jej usta robiły teraz wrażenie zaciśniętych, policzki były zapadnięte. Wyglądam, jakbymssała cytrynę, pomyślała. Włosy wciąż miała gęste i lśniące. Zdołała jakoś dopić kawę i zapalić papierosa. Wypuściła dym w stronę swojego odbicia w szybie. Spojrzała jeszcze raz. Jej oczy miały niepokojący wyraz. Ujrzała lisi pyszczek, dzikie stworzenie o błyszczących ślepiach, które wychyło z lasu. Mogłaby być siostrą bliźniaczką Sonny'ego.

Postanowiła, że pojedzie do swojej siostry do Tyler. Będzie musiała się zastanowić, jak to rozegrać z szeryfem, wnukiem Hunnicutta. Wiedziała, że powinna do niego pójść, ale w głowie miała mętlik: „chcieć” i „móc”, konieczność i gotowość, wszystko zmieszane razem. Czy dałoby się nie powiedzieć mu wszystkiego? Nie chciała, żeby jej starannie ukrywane podwójne życie zostało wydobyte na światło dzienne, bardziej haniebnie niż dotknięte rozkładem ciało Catherine Mason. No i Duży Jim, prezes banku, burmistrz, właściciel fabryki... Nie, zaczeka i zobaczy, co wyjdzie na jaw.

Siostra, teraz wdowa, ucieszy się z jej towarzystwa. Będą mogły robić razem śliwkową galaretkę, Jeannie mogłaby jej pomóc przy szyciu. Gdyby Sonny złożył wizytę w fabrycznej wiosce, nie będzie miał na kim się wyżywać. Potem przyszły jej na myśl inne kobiety z rodziny Masonów - jeśli Sonny był na tyle szalony. Ale tak naprawdę nie wierzyła w jego powrót po tylu latach. Może by tak z kimś porozmawiać? Lubiała kaznodzieję z Kościoła Prymitywnych Baptystów, do którego należała jej siostra. Wygłaszał ewangelię z oczyma wzniesionymi do nieba, po czym opuszczał głowę i wbijał w zgroma-

dzonych swoje płonące spojrzenie. Aileen lubiła jego niesforne brązowe loki i nabrzmiące żyły jego szyi. Wyobrażała sobie, że omiata włosami jego bezgrzeszne ciało. Kiedy go słuchała po raz ostatni, doznała uczucia, że jest niemal zbawiona. Pojadę, pomyślała. Wstanę i pojadę. Gazetę zostawiła na stole dla następnego czytelnika, odwróconą zdjęciem Catherine Mason do góry.

TELEFON RALPHA, W DOMU i w biurze, nie przestawał dzwonić. Odkąd wiadomość trafiła do porannych gazet, reporterzy z całego stanu, a nawet z Tallahassee i Mobile na Florydzie wciąż telefonowali po informacje. Gray, wspierany przez ludzi z GBI, prowadził własne śledztwo. Po przesłuchaniu Will-sa wyszedł z domu Pod Kolumną przekonany, że Wills nie miał nic wspólnego z ekshumacją.

- Dziadek ledwie sobie radzi z myciem zębów. Czy kiedyś pociągnął za ten cyngiel, tego się nie dowiemy, o ile coś niespodziewanie nie wyskoczy - powiedział.

Ralph przeczesał cmentarz i nie znalazł żadnego listu. Nic. Gray poprosił go, żeby sprawdził J. JV-a. Zakłopotany perspektywą dzwonienia i pytania, co ten robił w ubiegłym tygodniu, wstąpił do sklepu Scotta, żeby zapytać o ich wędkarską wyprawę do St. Clare.

Scott wycierał zapocone ścianki zamrażarki do lodów. Miał nadzieję, że J.J. się pojawi, żeby omówić z nim niektóre zamówienia, do których się przymierzał.

- Zgadza się - powiedział szeryfowi. - Wynajęliśmy na miejscu łódź, żeby łowić marliny. - Scott podał mu nazwiska i numery, nie wspominając, że przez cały czas spał na pokładzie, bo J.J. poderwał w sklepie wędkarskim dwudziestoletnią dziewczynę, Gay Nix, z którą we dwójkę trzęśli kabiną. To nie powinno nikogo obchodzić. Wielka dziewczucha, która przyniosła na łódź torbę smażonych ryb i kukurydzianych kulek ze smażalni swojej mamy, sąsiadującej ze sklepikiem wędkarskim taty. Miała piskliwy śmiech i Scott starał się koncentrować na chlupocie fal uderzających o dziób łodzi. Zazwyczaj J.J. nie robił mu takich numerów podczas wspólnych wypadów. Musiało go bardzo przycisnąć, skoro poleciał na

17. Słodka, leniwa..

240

tę grubokościstą śmieszkę. O ile się orientował, J. J. nigdy nie pytał tych dziewczyn o imiona. Do tej zwracał się przez cały czas per „słoneczko”. Nie ma potrzeby mówić o tym wszystkim szeryfowi.

Oddali w St. Clare do spreparowania dwie ryby, które złowili. Scott pokazał Ralphowi pokwitowanie. Mnóstwo kontaktów. Ulga. Ralph nie miał powodu mu nie wierzyć, ale, na litość boską, ktoś musiał wykopać to ciało, i być może był to J.J. i ten jego lojalny osiłek. Nie chciał postępować jak jego dziadek, który pozwolił Masonom się wyslizgać. Choć musiał przyznać, że nie było widać żadnego sensownego motywu, poza ewentualnym aktem szaleństwa. Cokolwiek by o nim mówić, J.J. z pewnością nie był szalony. Ani na jotę.

Mindy zerknęła na Ralpha znad kasy. Sympatyczny chłopak. Bardzo sympatyczny, pomyślała. Ta blizna przez całą rękę to pamiątka z Wietnamu. Kto to mówił, że wzięli go za martwego i zostawili, i musiał przekradać się pod ogniem do swoich?

Ralph wziął z półki butelkę Dra Peppera i orzeszki ziemne.

- Co tam u pani słyhać, panno Mindy?

Mindy miała na sobie lawendową koszulkę z półokrągłym dekoltem i Ralph zagapił się na wspaniałą przełęcz między jej ujętymi w wysoki stanik piersiami. Mindy zauważyła jego spojrzenie i sięgnęła do włosów, żeby poprawić upięcie, przy okazji eksponując biust. Ralph uszczypnął się w ucho i spuścił wzrok na drobniaki leżące na ladzie.

- U mnie jak w kinie.

- Jasne. Miałaby pani ochotę wyskoczyć jutro wieczorem do Tancbudy? Mają niezłą kapelę. - Nie tańczył od lat. Ta afera z Masonami sprawiła, że miał ochotę walić w piłkę, biegać, tańczyć, pieprzyć się, przyciskać gaz do dechy. Cokolwiek, żeby się upewnić, że świat znów nie oszalał. Spojrzał w jej śmiałą, otwartą twarz. Nic nie wie o wojnie, o horrorze martwych ciał. Od czasu wojny wciąż zdumiewała go ludzka nieświadomość. Wpatrywał się w rząd płynów do naczyń i detergentów, żeby wyprzeć ze świadomości obraz Tommy'ego Melto-na, w jednej chwili czołgającego się obok niego, w następnej - bez głowy, bluzgającego krwią z tego, co przed chwilą było szyją... jego twarz w błocie jak rozjechany melon. Były mąż Mindy, teraz Holy Roller, z jedną nogą krótszą o dwa cale,

uniknął poboru, jak tyłu innych, na przykład J.J., skoro o tym mowa. Niektórzy mówią, że to dzięki kontaktom Masonów, chociaż Ralph nie bardzo to sobie wyobrażał, skoro komisja poborowa była aż w Dannon. _

- Musiałabym się upewnić, czy moja siostra będzie mogła zostać z małą. Myślę, że tak. Wie pan, gdzie mieszkam. Fabryczna wioska, domek koloru morskiej piany. - Patrzyła mu prosto w oczy. Wyobrażał sobie, że podciąga jednym ruchem ten podkoszulek i nagle ma pełne ręce jej ciała.

- Mindy - powiedział. - Od czego to zdrobnienie?

- Po prostu Mindy. Mindy Marie. - Włoży białą bluzkę z haftem angielskim i dużym dekoltem, zapinaną z przodu. Za sobotnią wypłatę kupi te liliowe sandały na koturnie, które widziała w obuwniczym u Bustera. Podobały jej się równe zęby Ralpha i złote włosy na piersi, widoczne w wycięciu koszuli. Miała nadzieję, że nie rosną również na plecach, jak jej byłemu mężowi. Ile można czekać, aż J.J. Mason się wreszcie pojawi? Ona w każdym razie nie miała zamiaru tego robić. - Mama nadała mi imiona po swojej mamie, Sugar Marie i po babci, Mindy Lou. . . .

- Bardzo ładnie. I dużo lepiej niż Sugar Lou. Chociaż, jak się nad tym zastanowić, Sugar Lou to też całkiem przyjemne imię. To co, jutro koło ósmej?

Jest naprawdę miły, pomyślała Mindy. Sugar Lou, ale wymyślił, no, no.

RAINEY GROVER, SIEDZĄCA ZA SWOIM BIURKIEM w redakcji „The Swan Flyover”, odsunęła zdecydowanym ruchem krzesło. Dieta słynnego doktora miała gwarantować, że nie będzie czuła głodu między posiłkami, tymczasem w brzuchu jej burczało, jakby żołądek usiłował strawić sam siebie. Po dwóch tygodniach głodzenia się nie straciła nawet pół kilo. Spodziewała się dwóch, dwóch i pół, po cichu liczyła na cztery. Otworzyła szufladę i wyjęła paczkę krakersów serowych z masłem orzechowym, sto dwadzieścia pięć kalorii sztuka. Zamknęła oczy i zjadła powoli jedno małe ciasteczko, wyrzucając resztę do kosza na śmieci. Miała dwadzieścia kilo do zgubienia. Ostrożnie szacując, według książki poświęconej diecie, powinna najdalej w lutym wejść w swoją najbardziej obcisłą małą czarną. Natychmiast pożałowała, że zjadła wyglądającego na truciznę pomarańczowego krakersa, posmarowanego złowieszczy orzechowym masłem. W porze lunchu zrezygnuje z przysługującego jej owocu. Spędziła przedpołudnie, telefonując do kolegów, których spotkała w marcu na konferencji w Atlancie. Była przekonana, że tym, kto zbecześcił grób, nie był nikt z Masonów. Kiedy - od czasów legendarnego Dużego Jima - ktokolwiek z nich wykazał się energią niezbędną do takiego wyczynu? Jej mąż, Johnny, był tego samego zdania. Chciałaby, żeby to jej powierzono śledztwo. To, że Lily lub Wills mieliby zorganizować akcję otwarcia grobu, było po prostu groteskowe. J.J.? Ale dlaczego? Poza tym był w tym czasie daleko na rybach, jak zwykle bawił się w dziecko natury z tym czarnym mięśniakiem, który dla niego pracował. J.J. - odpowiedź Swan na mit Tarzana. Tylko Ginger wciąż gdzieś nosiło, nie mogła sobie miejsca znaleźć, wpadając z deszczu pod rynnę.

Nowina, że ich matka nie zginęła z własnej ręki, musiała wyrzucić ich cały świat do góry nogami. Kiedy jej własna mama po prostu zmarła na cukrzycę, Rainey była oburzona. Przez wiele lat na wpół oczekiwała, że zadzwoni lub napisze.

Jej koledzy rozrzućeni po całej Georgii byli ogromnie podekscytowani wypadkami w Swan, ale nie mieli nic do dodania, u nich nic podobnego się nie zdarzyło.

- Ani chybi Marsjanie - skwitował sprawę redaktor Cleveland Ledger".

- Czemu u nas nigdy nie dzieje się nic ciekawego? - biadali inni.

Rainey podeszła do wysokich okien, wychodzących na ulicę Główną. Przepływające chmury odbijały się w szybach. Cliff Bryant, wyprowadzający na spacer swoje dwa spaniele, wyglądał, że swoją również nieco przypominającą psi pysk fizjonomią, jakby i on miał czekać zamiast mówić. Agnes Burkhart, wyglądająca ze swoimi krótko ściętymi włosami i sznurowanymi butami o kwadratowych obcasach, jakby wiatr przywiał ją tutaj z jakiejś ulicy w starej Europie, wyszła z apteki z małą torebką, pewnie lekarstwem dla swojej cierpiącej na ataki siostry. Francie Lachlan zahamowała z piskiem opon i wysiadła, wraz z trzema chłopakami, ze swojego nowego żółtego samochodu ze składanym dachem. Zakli-naczka szczurów? Uważaj, Francie, pomyślała Rainey. W swoim czasie chłopcy też do niej ciągnęli jak muchy do miodu, chociaż nie miała tatusia, który daje córeczce takie zabawki za dobre sprawowanie.

Normalny, zwykły dzień. Cusetta Fletcher, tutejsza nowobogacka, wkroczyła dumnie do sklepu meblowego.

Pomachała Bunky'emu, swojemu sąsiadowi, którego zauważyła, kiedy przejeżdżała obok niego. Strumień samochodów sunął powoli, jak we śnie. Rainey kochała Swan. Zawsze uważała, że nie ma pod słońcem lepszego miejsca do życia. Nawet jako dziewczynka czuła, że nie potrafiłaby stąd wyjechać. Lubiła pracować z Johnnym w ich biurze w centrum miasteczka, gdzie znad biurka miała widok na Oazę, lubiła swój południowy spacer do Trzech Sióstr, gdzie zdobywała większość informacji. Lubiła nawet pełzającą plotkę, szerzącą się wszędzie tam, gdzie brak wiadomości to najgorsza wiadomość.

Spojrzała na zegarek. Jeszcze godzina do marchewki, zupy z kurczaka i małej porcji sałatki. Siostry układające na kredensie swoje kokosowe torty będą pełne współczucia. Rainey ucisnęła brzuch, przypominający piłkę do koszykówki, gardząc sobą za fantazje, w których trójkątny kawałek tego grubego przekładanego kremem ciasta lądował na jej talerzu. Teraz, kiedy kochali się z Johnnym, ona nigdy nie była na górze. Choć był zbyt taktowny, żeby to powiedzieć, wiedziała, że musi czuć się przyduszony, skoro przed nie tak znów wielu laty potrafił objąć dłońmi jej talię.

J.J. w KOŃCU ZASNAŁ. Kiedy schodził do wody, była prawie dziewiąta. Cztery żółwie, w tym jeden piękny okaz żółwia jaszczurowatego, wygrzewały się na pniu przyniesionym przez wodę, który zaklinował się między palami pomostu. Patrzyły na niego bez szczególnego zainteresowania. Miał zamiar dać Ginger pospać tak długo, jak się da. Była piąta rano, kiedy skończyła wylizywać swój talerzyk po kajmaku. Kiedy wstanie, zadzwonią do Macon do Charlotty Crowder. Zdążył już zatelefonować do Scotta i ustalić, że zielone ciężarówki, wożące drewno na pulpę, należą do Tali Pine Company z siedzibą w Flanders, trzydzieści mil stąd. Była to firma, której J.J. odsprzedał prawa *db* wyřębu. Zadzwonił do Andy'ego Fostera i zapowiedział mu, że nie zetną więcej ani jednego drzewa w okręgu J.E.B. Stuart, jeśli będą się zadawać z gnojkiem, który poprzedniego dnia omal nie przejechał jego siostry.

- A, ten pokurcz z zębami jak u wiewiórki. Zatrudniłmy go w zeszłym tygodniu. Dopilnuję sprawy - obiecał Andy.

J.J. popłynął do piaszczystej łachy i z powrotem, po czym położył się na plecach na pomoście, ze stopami zanurzonymi w wodzie, obserwując tęcze i świetlne rozbłyski, powstające między jego mokrymi rżęsami, dopóki nie zapadł z powrotem w sen pod czystym niebem.

GLÓWNA I ZARAZEM JEDYNA ULICA W STONEFIELD przypominała, zdaniem Charlotty, przygnębiające zdjęcia z czasów wielkiego kryzysu, publikowane przez federalną agencję do spraw bezrobocia. Chylące się sklepiki z blaszanymi dachami i szyldami jak z poprzedniej epoki „Bunny - Sklep żelazny”. W odróżnieniu od drewnianego? Na środku szerokiej ulicy spał pies, omijany przez nieliczne samochody. Teraz, kiedy już była na miejscu, nie bardzo wiedziała, co dalej robić. Weszła do małego sklepiku na rogu. W środku pachniało stęchłym popcornem i klatkami z papużkami. Charlotta pomyślała, że czyściec, gdyby istniał, powinien przypominać prowincjonalny sklepik typu „szuwaks, mydło i powidło”. Jej wzrok przyciągnęły zajmujące całą ścianę barwne, lśniące motki kor-donku w kształcie ósemek. Wybrała śliwkowy, szkarłatny, jasnozielony i rdzawy.

- Nie orientuje się pani, czy w Stonefield mieszka ktoś nazwiskiem Larkin? - zapytała sprzedawczynię, płacąc za sprawunek.

- Nie wiem, ja nietutejsza. Jestem z Lux. - Lux znajdowało się o całe osiem mil stąd.

Charlotta przeszła kawałek jedną stroną ulicy, zawróciła i ruszyła z powrotem drugą stroną. Przed zakładem fryzjerskim trzech starych oryginałów raczyło się tabaką, wydymając policzki i odchylając się do tyłu na swoich krzesłach. W aptece połączonej z drogerią i barem zauważyła dystrybutor napojów. Zamówiła koktajl mleczny. Chłopak, który go przygotowywał, gwizdał, ku jej radości, „Uwerturę akademicką” Brahmsa.

- Czy zna pan tu jakichś Larkinów? - zapytała.

- Tak, psze pani. Pan Larkin wciąż ma farmę przy autostradzie, po wschodniej stronie, ale nie mieszka tutaj od stu

lat. Przyjeżdża od czasu do czasu. Osiedlili się gdzieś na Zachodzie. Dom się sypie.

- Gdzie to jest? Czy daleko? Chciałabym coś dla niego zostawić. - Co za łągarstwo. Co miałyby mu zostawić, kordonek?

- Od tego czerwonego światła - pokazał ręką - będzie około mili. Przy dwóch dużych sosnach skręci pani w drogę, którą dojedzie pani do domu. Teraz to jest właściwie bardziej ścieżka niż droga.

Charlotta znalazła dwie sosny, a pod nimi przekrzywioną skrzynkę pocztową. Otworzyła ją, nie wysiadając z samochodu, ale w środku było tylko trochę liści i gęsta pajęczyna.

Gałęzie i palemki szorowały o maskę samochodu. Jechała pomalutku, czując, że drapie podwoziem o podłoże, aż w końcu stanęła pod hikorą. Dom Austina był rozległą, piętrową, nieforemną budowlą z biegnącym dookoła gankiem i okrągłą wieżyczką. Obłaząca biała farba odsłaniała pod spodem żółtą warstwę, pewnie ze szczęśliwszych czasów. Charlotta uważała, że ludzie, którzy malują swoje domy na żółto, są optymistami. Zza otwartych drzwi prawego, niższego skrzydła wyjrzała wysoka, czarnoskóra kobieta.

- Dzień dobry! - zawołała Charlotta. - Jestem znajomą pana Larkina z dawnych lat. Zastałam, go może? - Podeszła do kobiety, która trzymała w ręku wierzbowe witki.

- Nie, nie ma go, wyjechał. Długi czas, jak wyjechał. - Kobieta zaprosiła Charlotte gestem do chłodnego wnętrza. Stół pokrywały okorowane wierzbowe witki. - Jestem Edwina - powiedziała kobieta, kiedy Charlotta się przedstawiła. - Mieszkam tu i pilnuję panu Austinowi domu, od kiedy wyjechał na Zachód.

- Wypłata pani koszyki? - Charlotta spojrzała na ławki otaczające stół. Zobaczyła świetny koszyk na jajka i kilka mniejszych, okrągłych, idealnych na chleb - nie, na jej kolekcję kulek do gry. Mogłaby zanurzyć w nim rękę i przesypywać je między palcami. - Jakie to piękne.

- Tak, psz'pani. Dla zabicia czasu. Ciężko tak siedzieć samemu. Męża nie ma przez cały dzień.

- Współczuję. Ale przynajmniej jest tu spokój. - Charlotta wskazała gestem okno, za którym widniał zapuszczony ogród z na wpół uschlým geranium wokół poidelka dla ptaków, drzewka samosiejki oraz pole porośnięte wysoką, falu-

jącą trawą, przetykaną rukinią. - Sprzedaje je pani? - zapytała, podnosząc koszyk do góry.

- Skąd, daję swoim dzieciakom i tyle. Zawsze im się do czegoś przydadzą. Kto by chciał wydawać pieniądze na jakiś koszyk? - Pomachała zgrabnym, owalnym koszyczkiem, wyplecionym z łożyny. - Stare przyzwyczajenie, jeszcze po moim dziadku. - Jej długie palce wydawały się równie giętkie jak witki, z których wyplatała swoje kosze.

- Chciałabym zadzwonić do pana Larkina. Byliśmy w ko-ledżu w tym samym czasie, potem straciliśmy ze sobą kontakt. Ma pani jego numer tam na Zachodzie?

- Nie, proszę pani. U nas nie ma telefonu. Pan Larkin wpada od czasu do czasu. Nie wygląda mi, żeby chciał tu wrócić.

- Kiedy był po raz ostatni? Może się z nim minęłam?

- Zdaje się, że w listopadzie. Przyjechał polować na jakieś ptaki. Napiłaby się pani herbaty? Zaparzyłam świeżą dziś rano.

- Chętnie, dziękuję bardzo. - Charlotta oglądała koszyk na jajka. Na kościelnym świątecznym jarmarku szłyby takie jak świeże bułeczki. Austin nie Austin, ale na pewno tu jeszcze wróci, żeby porozmawiać z Edwiną w sprawie wykonania ze trzech tuzinów takich koszyków. Ciekawe, czy będzie zainteresowana.

Edwina poruszała się jak królowa, majestatyczna w swoich dużych butach. Powoli naląa herbatę do szklanki i postawiła przed Charlottą, jakby to było wino mszalne. Jej dwa niemal puste pokoiki wyglądały jak z igły. Przez uchylone drzwi Charlotta widziała łóżko pościelone bez jednej fałdki i białe, wykrochmalone zasłony w oknie (zrobione ze starych worków po mące?). Charlotta poczuła ukłucie podziwu dla pustelniczego życia, jakie wiodła Edwina w tym wiejskim ustroniu, dla uprawianej przez nią sztuki, która w tak naturalny sposób wyrastała z ziemi. Wyobraziła sobie, jak kobieta zbiera swój surowiec w podmokłych miejscach, gdzie zwykle rosną wierzby.

Człowiek mógłby tutaj odpocząć, pomyślała. Własne życie rozsadzało jej głowę - zbyt wielu ludzi, zbyt wiele eksponatów, dzieci, obiadów, interesów Mayhewa, klubów, spraw, w które się angażowała. Czasem czuła się jak mała skacząca z drzewa na drzewo. A jej malarstwo cisnęło się gdzieś na obrzeżach. Ten koszyk, z przegródką przez całą długość, żeby jajka o siebie nie stukały - jaka to piękna i użyteczna rzecz. Gdyby Catherine tu była, chciałaby zostać przez całe popo-

ludnie, dowiedzieć się, jak Edwina to robi. Czasem wydawało jej się, że Catherine wiedziała wszystko. Ale czy to możliwe? Pochodziła przecież z surowej, protestanckiej rodziny, w której równie ochoczo mówiono „nie”, jak w jej własnej. *Obrazy... czy nie przywiązują cię do siebie tak, że już nigdy nie będziesz chciała się uwolnić?* Patrzyli z gniewem na album Matisse'a, oszołomieni. *To jest tak cudowne, że przenika cię na wskroś, od stóp do głowy.* Nic dziwnego, że Austin ją wielbił. A może przypisujemy zmarłym wiedzę o życiu, biorąc ich milczenie za potwierdzenie? Charlotta zawsze się zastanawiała, co Catherine by powiedziała, kim by była, jak by się razem rozwijały... Zmarła, Catherine stała się dla niej nigdy nieotwieranym sejfem dla wyobraźni. Charlotta podziękowała i powiedziała, że musi już iść. Strasznie ją korciło, żeby zajrzeć do okien głównego skrzydła domu, ale pomachała Edwinie na pożegnanie i poszła w stronę samochodu. Po chwili kobieta znów pojawiła się w drzwiach.

- Proszę zaczekać. - Znikła w ciemnym wnętrzu domu, by po chwili pojawić się z koszykiem na jajka. - Proszę to wziąć. Cieszę się, że się pani spodobał. Każdy ma w domu jakieś jajka.

KIEDY PRZEJEŻDZAŁA KOŁO POCZTY, doznała olśnienia. Austin powinien zostawić tu swój adres, żeby mu odsyłano korespondencję. Uzyskanie go okazało się nadzwyczaj proste. Powiedziała po prostu, że jest jego starą znajomą, że nie zastała go w domu i chciałaby do niego napisać. Urzędniczka zerknęła do przegródek na listy, wyjęła jakąś kopertę i przepisała adres.

- Poczta już do niego nie przychodzi. Za długo go nie ma. Myślę, że nawet urząd podatkowy o nim zapomniał.

- Jak dawno wyjechał? - Charlotta zerknęła na karteczkę: 1518 Whitman St., Pało Alto, Kalifornia.

- Och, jeszcze w czasie wojny. Nie był zwykłym żołnierzem, jak inni. Latał na jakichś wielkich samolotach. Potem słyszałam, że przeniósł się w okolice San Francisco, też w związku z samolotami. Tak mi mówili. Przyjeżdża czasami. Wciąż przystojny z niego mężczyzna.

- Dziękuję pani serdecznie. - A więc opuścił Południe przed śmiercią Catherine. - A czym się zajmował, kiedy tu mieszkał? Straciłam z nim kontakt po studiach.

- Zdaje mi się, że był przedstawicielem handlowym. Jeździł po kraju, sprzedawał urządzenia do zakładów włókienniczych. Potem fabryki zaczęły bankrutować z powodu Japończyków, więc pewnie się zajął czym innym.

- Jeszcze raz dziękuję. - Zdumiewające, czego człowiek może się dowiedzieć, pomyślała, całkiem zadowolona ze swojej detektywistycznej roboty. Jaki użytek zrobi z tej informacji, nie miała pojęcia. Pomimo czasu, jaki upłynął, nie miała wątpliwości, że Austin powinien wiedzieć o Catherine. Może do niego zadzwoni. Nie, to jakoś niezręcznie. Napisze. Powie, że go doskonale pamięta, a ponieważ oboje kochali Catherine, chciała, żeby o tym wiedział.

Spotkanie z Edwiną sprawiło, że miała ochotę pójść do swojej pracowni nad garażem, usiąść pod świetlikiem, naprzeciw okna w kształcie litery „A”, z widokiem na morze drzew pod ogromnym niebem. Namaluje nie zgrabny koszyk, wypełniony jajkami, ale Edwinę, wysoką, długokościstą, z oczyma czarnymi jak azbest, obrysowaną słońcem na tle otwartych, drzwi, trzymającą coś w ręku. Podarunek.

W POWOLI ZAPADAJĄCYM LETNIM ZMIERZCHU Marco obchodził pola otaczające teren wykopalisk. Chociaż obecne stanowisko, najostrożniej kalkulując, kryło z pewnością jeszcze wiele niespodzianek, oczyma duszy widział prace prowadzone na o wiele potężniejszą skalę. Miał nadzieję, że uda mu się pozyskać większe fundusze, co umożliwiłoby rozpoczęcie wstępnych badań okolicznych terenów bez przerywania prac prowadzonych przez jego ekipę. Chciał zacząć z jedną grupą, dokładnie obchodząc kontury każdej warstwy, zbierając przy okazji, co się da, po czym wyznaczyć parę punktów pod próbne wykopaliska. Sam znalazł już kilka porozrzucanych w różnych miejscach okruchów, przypuszczalnie rzymskich. Zawsze fascynowało go, że mimo iż wokół rozciągały się bezkresne połacie ziemi, starożytni budowali wprost na tym, co się tam znajdowało przed nimi. Wiele tutejszych chrześcijańskich kościołów wspierało się na etruskich kamiennych fundamentach, pod nimi były pewnie warstwy pochodzące od wcześniejszych Umbryjczyków. Okoliczne studnie artezyjskie gwarantowały osiedlającym się długie bytowanie na tych terenach.

Właściciel sąsiednich pól nie będzie zachwycony. W zeszłym roku znalazł czarkę z brązu z wyrytymi napisami w języku Etrusków. Przez kilka miesięcy ukrywał ją w stodole pod sianem, ale nie był w stanie utrzymać języka za zębami na *piazza*. W końcu policjanci złożyli mu wizytę i musiał oddać znalezisko. Gdyby Marco zdobył fundusze, a włoskie ministerstwo wydało pozwolenie na prowadzenie prac, człowiek straciłby swój zbiór tytoniu. Mimo iż dostałby odszkodowanie, miejscowi plantatorzy byli niechętni tej inwazji, obawiając się, że ich ziemia stanie się atrakcją turystyczną.

Ten stok wzgórza, z jego łagodnym rytmem tarasów, byłby atrakcyjny w każdej epoce. Szerokie zagony oliwek, przeplatanych mocną, starą winoroślą, zstępowały w dół aż do płaskiego podnóża. Marco omijał krzaczki tytoniu, trzymając się między, wzdłuż której pług pozostawił wyraźną bruzdę. Spacerował, żeby się odprężyć po całym dniu i wypełnić czymś czas oczekiwania na przyjaciół, z którymi mieli razem pójść na kolację. Ginger złapała go przed chwilą pod telefonem u jego mamy. Tam było południe, a ona dopiero co się obudziła. Opowiedziała mu, że znaleźli film, a także rysunki i zapiski jej matki. Zrobili sobie z J.J.-em coś słodkiego, potem wypili trochę wódki z lodem i poszli pływać w środku nocy.

- Nie martw się, robiliśmy to przez całe życie - pocieszyła go.

Tęsknił za nią. W ciągu dnia był zbyt zajęty, ale brakowało mu widoku jej twarzy, skoncentrowanej na pracy, zaskoczonego spojrzenia, kiedy coś do niej zawołał, włosów, wymykających się z uczesania, okalających jej twarz, dopóki ich nie zebrała i nie zwinęła z powrotem z tyłu głowy. Przesunął dwie osoby na miejsce, gdzie do tej pory pracowała, mając w duchu nadzieję, że niczego nie znajdą. Kiedy wróci sama, znajdzie złotą pszczołę albo ucho od dzbanka z glazurą z dającego się ustalić okresu. Najbardziej, jak się przekonał, chciałby móc jej dotknąć. Fizyczna nieobecność Ginger była czymś materialnym, niemal tak, jak obecność. Jej życie tam, na amerykańskim Południu, to był dla niego inny świat. Ten brat wyglądał na niebezpiecznego osobnika, żyjąc swoim życiem odludka. Marco rozpiął koszulę, wystawiając pierś na powiew wiatru. To, że Ginger obijała się kiedyś po San Francisco, Nowym Jorku, była meżatką, wszystkie te fakty wydawały mu się mniej znaczące niż chronologia kolejnych ludzkich sadyb na tej ziemi. Wyczuwał, jak bardzo była poraniona. Znał ją pięć miesięcy, zanim pierwszy raz poszli do łóżka. Inne amerykańskie dziewczęta zrzucały szmatki po kawie wypitej w barze. Czasem jej oczy patrzyły gdzieś poza niego - wędruje, myślał wtedy, jest tam - albo nagle milkła, kiedy byli w większym gronie. Ale czuł, że powoli się zmienia, kocha swoją pracę, jest gotowa wycofać się w każdej chwili, ale mu ufa. Z czasem po prostu zostawi przeszłość za sobą, myślał, ciemna księga historii jej rodziców zamknie się za nią

na zawsze. Jego miłość będzie światłem, które przeświecili ją na wylot.

Czy powinienem pojechać do Georgii? - zapytał sam siebie. Ginger twierdziła, że absolutnie nie ma takiej potrzeby, że sobie radzi. Jej głos w słuchawce wydawał się taki daleki. Niedługo będzie z powrotem, może w przyszłym tygodniu. Prace zostaną przerwane na sierpień, wtedy odsapną trochę, on będzie miał szansę podgonić papierkową robotę, a jego ludzie - rozjechać się na urlopy. Będą mogli wyskoczyć z Ginger na kilka dni na Elbę i leżeć w kojącym słońcu. Wszystko to zdawało się sensowne, ale coś go gryzło. Ginger była jedyną kobietą, z jaką miał kiedykolwiek ochotę tańczyć w kuchni, kiedy woda na makaron zaczyna wrzeć, zaparowując szyby, przy akompaniamencie swoich starych płyt. Johnny Mathis, Domenico Modugno, Plattersi, wielcy bardowie, obrus w zieloną kratkę, miska pomidorów pokrojonych w plastry, wino jego wujka w żółtym dzbanku. Śmiech, spekulacje na temat wykopaliska, Ginger oblizująca palec umoczony w sosie. Nie kochałem jej wystarczająco, pomyślał. Czym jest życie poza tym? Wybory, których dokonujemy na wczesnym etapie związku, determinują jego przyszłość. Czekać na nią, tak jak prosiła, czy to właściwy wybór?

KIEDY GINGER SIĘ OBUDZIŁA, J.J. przypomniał sobie, że miał jej pokazać kościany harpun.

- Znalazłem go na dzień przedtem, nim zastałem Scotta siedzącego na pomoście z nosem na kwintę, z miną zwiastu-
na złych nowin, którym był ponad wszelką wątpliwość.

Ginger sączyła bardzo gorącą kawę, która za długo się parzyła, kiedy ona odsypiała nieprzespaną noc. J.J. podał jej swoje znalezisko.

- Jak ci się podoba?

Ginger aż podskoczyła i od razu zobaczył w jej twarzy radość.

- Ojej, jaki cudny! - Położyła małe cacko na dłoni. - Jest taki precyzyjny, taki piękny. Gdzie go znalazłeś?

- Niedaleko przystani. To najfajniejsza rzecz, jaką znalazłem od czasu tamtego zęba rekina na mieliźnie. - J.J. pokazał jej nawet swoje rysunki harpuna.

Ponieważ zęby rekina odrastają w ciągu życia wiele razy, Ginger wiedziała, że jest to najczęściej znajdowana skamielina z czasów pradawnego, eoceńskiego morza, chociaż tak daleko na południu nie pojawiała się ich zbyt wiele. Spiczasty ząb rekina, niemal tak duży jak dłoń, stał na gzymsie nad kominkiem. Wzięła go do ręki i przyłożyła do swojej szczęki.

- Stary jak świat. Wyobraź go sobie, jak krąży w tym ciepłym morzu przed milionami lat, pożerając jakieś płetwiaste stwory. Dla mnie to jest niepojęte, jak czarne dziury w kosmosie albo inne galaktyki.

- Niepojęte, że możemy go znaleźć w piasku. - Ginger jest jedyną osobą, która może mi towarzyszyć w podróżach, pomyślał. Podróżach wokół przedmiotu, podróżach tam i z powrotem w czasie. - Gin, chyba powinniśmy się przejechać.

- Dokąd? Aha, wiem. Do Charlotty Crowder. Zadzwońmy do niej.

OTOCZENIE DOMU CHARLOTTY WYDAWAŁO SIĘ IM ZNAJOME, chociaż ledwie pamiętali, że kiedykolwiek tu byli.

Ginger zapamiętała wielkiego białego psa dzieci Crowderów.

Charlotta podbiegła do nich, gdy tylko wysiedli z samochodu, ściskając ich i wykrzykując. Zdyszana, z miejsca zaczęła opowiadać, jak kot wślazł pod jej nieobecność na morwę i siedział tam przez całe przedpołudnie, bo nie umiał zejść. Charlotta musiała wejść za nim po drabinie, która się obsunęła, tak że zjechała bokiem, trzymając kota jedną ręką.

- Tak się cieszę, że was widzę. Mamy sobie tyle do powiedzenia. Całe lata do opowiedzenia. - Przyłożyła rękę do szyi, mając nadzieję, że nie usłyszeli, iż jej się gardło ściska. Nie przyjechali tutaj, żeby patrzeć, jak się maże.

Zaprowadziła ich na oszkloną werandę, pełną książek i czasopism. Kot spał, pochrapując, na poduszce w kwiatki, leżącej na wiklinowym fotelu na biegunach. - To jest Jaśminka, winowajczyni. -Przyniosła tacę z herbatą i ciasteczkami. - Ty, Ginger, kiedy byłaś małą dziewczynką, piłaś wyłącznie wodę z lodem i łyżką syropu z trzciny cukrowej.

- Naprawdę? Nic nie pamiętam.

- A ty, J.J., wiesz, wciąż mam list, który do mnie napisałeś, kiedy miałeś siedem lat. Prosiłeś o dwie książki pod choinkę. Zapytałeś: „Czy mógłbym dostać w tym roku dwie?”. Pamiętam tak wiele rzeczy. - Jej oczy znów zwilgotniały, kiedy się pochylała nad szklankami. Rodzice pamiętają dziesiątki tysięcy rzeczy, które ich dziecko mówi lub robi.

Ginger i J.J. nie mieli nikogo, kto by dla nich przechował te okruchy z najwcześniejszego dzieciństwa. - Jaka dumna byłaby wasza matka - i wasz ojciec z pewnością też - gdyby mogli was teraz zobaczyć. Oboje jesteście tacy piękni.

Kiedy na was patrzę, wciąż widzę wasze małe, dziecięce twarzyczki, takie bystre i jasne... Niektórzy ludzie gubią gdzieś swoją twarz z czasów dzieciństwa... - Zdała sobie sprawę, że zaczyna pleść trzy po trzy.

J.J. wyjaśnił, że zobaczyli jej nazwisko w raporcie szeryfa.

- Była pani jedyną osobą, która podawała w wątpliwość samobójstwo. Dowiedzieliśmy się z raportu, że domagała się 18. Słodka, leniwa...

pani dalszego śledztwa. Oczywiście, nic o tym wcześniej nie wiedzieliśmy. Co pani o tym wówczas sądziła?

- Wiecie, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby Wills mógł zrobić coś takiego, to nie wchodziło w grę, ale myślałam, że ktoś wtargnął do domu, chwycił za strzelbę... Może włamywacz, może Cygan, jakiś szaleniec albo półgłówek. Wasza matka, to wiedziałam z całą pewnością, nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego ani sobie, ani wam, bo domyślam się, jakie spustoszenia musiało to poczynić w waszym życiu.

- Mówiąc łagodnie - powiedział J. J.

- Wasza matka, jeżeli chcecie wiedzieć, była osobą niezwykłą. W całym swoim życiu nie spotkałam nikogo takiego jak ona. Od tamtego czasu wciąż chyba szukam jej obrazu w moich przyjaciółach, ale nikt do niej nie dorasta.

- Chcemy wiedzieć - oświadczyła Ginger. - Wczoraj znaleźliśmy jeden z jej notatników i dwa szkicowniki i przeczytaliśmy je w nocy. Zaczynamy ją na nowo poznawać. Zdziwiający, jak samobójstwo wyrugowało ją z naszej pamięci. - Ginger z przyjemnością patrzyła na Charlotte. Rówieśnica ich matki, taka właśnie byłaby teraz Catherine. Podejmowałyby ich w słonecznym pokoju, opowiadała anegdotki z ich dzieciństwa, nalewała herbatę.

Charlotte opowiedziała im o studenckich latach w stanowym koledżu dla kobiet, o ich zafascynowaniu secesją, nowoczesnym tańcem, modą i glinianymi dzbanami-urnami, w których mieszkały dusze. Dowiedzieli się, że Catherine kolekcjonowała ceramikę ludową. I że miała płaszcz koloru sucharka, z kołnierzem z rysia, w którym jej twarz wyglądała świeżo i „dziko”.

- Na drugim roku - ciągnęła Charlotte - Catherine została wybrana na „Różę” przez członków fraternalnego Kappa Alfa z Emory. Miała na sobie białą, wieczorową suknię z lejącego się materiału, a całe bractwo, wystrojone w konfederackie mundury, śpiewało dla niej serenadę. Chodziła wtedy z waszym tatą, zabójczo przystojnym studentem medycyny. Był nią kompletnie zauroczony. Aha, Catherine była „córeczką tatusia”, jego oczkiem w głowie. Wasza babcia uważała, że ojciec ją rozpieszcza. - Zastanawiała się, jak im przekazać, czym była najzwyczajniejsza godzina spędzona w towarzystwie Catherine.

J.J. wziął ze stolika koszyk na jajka i pokazał go Ginger.

- Zobacz, to jest piękne.

Ginger nachyliła się w jego stronę i oboje patrzyli w skupieniu, podczas gdy J.J. powoli obracał koszyk. Charlotta ujrzała jakże znajomy błysk milczącego porozumienia, tej tak rzadkiej więzi, która jest bardziej wymowna niż słowa. Widząc to, doznała pewnej pociechy w swoim smutku. Tych dwoje straciło tak wiele ze swojego dzieciństwa, z obcowania z matką. I katastrofa Willsa - cóż to musiała być za bomba wodorowa. Ale niezaprzeczalnie mieli siebie nawzajem. Kto wie, czy nie była to najważniejsza relacja w ich życiu. I nie wiadomo, czyby tak było, gdyby ich rodzice byli w stanie ich wychować. Zastanawiała się, czy ci dwoje kiedykolwiek to sobie uświadomili. Coś zostało im odebrane, ale też coś otrzymali.

Charlotta usłyszała, że Mayhew wchodzi do kuchni. Po chwili zajrzał na werandę. .

- Niech mnie kule biją. Tak się cieszę, że was widzę, dzieciaki. Już nie dzieciaki, oczywiście. - Uściskał ich i klasnął w dłonie. - Zostajecie na kolacji. Tylko bez protestów. Mam steki, które wystarczy wrzucić na ruszt, a Charlotta jest mistrzynią pieczonego ziemniaka - powiedział, po czym zniknął w spiżarni.

Charlotta usłyszała swój własny głos, poruszający niezręczny temat. .

- Był ktoś jeszcze... Austin Larkin, z politechniki. Szalał za nią. To brzmi jak bajka albo jak mit, ale kiedyś przeleciał samolotem nad kampusem, rozsypując dla Catherine tysiące róż. To było tuż po jej zaręczynach z Willsem, kiedy byliśmy na drugim roku. Zawsze się zastanawiałam, czy to było tak, że Austin ją fascynował, podczas gdy Wills wydawał się kimś, z kim można budować wspólne życie.

- Austin... - Ginger się zająknęła. - Co za bajeczny, niesamowity gest. Uciekłabym z każdym, kto rozsypałby dla mnie róże z samolotu. - Marco, pomyślała. On też ma w sobie tę wrażliwość. Potarła o wargi swój pierścionek z lapis-lazuli. Nagle doznała olśnienia. Marco, to była jej spuścizna po mamie. Może teraz pozwoli sobie na wielką miłość. Uśmiechnęła się do Charlotty.

Jaka ona jest urocza, myślała Charlotta. Te jedwabiste włosy i naturalna, jakby krucha elegancja. Ginger dostrzegła podziw w oczach Charlotty i poczuła, że się otwiera.

- Ten Austin pojawia się w jej notatniku, w zapiskach

z czasów wojny. Chciałabym, żeby pani je przeczytała i powiedziała nam, co o tym sądzi. - Nie wdawała się w żadne spekulacje. Wyjęła z torby szkicowniki i notatnik, razem z taśmą filmową. - Czy macie projektor?

- Mamy, i kilometry filmów z dziećmi. Obejrzymy to, kiedy się ściemni.

- Powinniśmy zadzwonić do Lily.

- Skarbie, gdybyś zadzwoniła z mojego pokoju na górze, ^a ty> JJ-, gdybyś zechciał pomóc Mayhewowi, wtedy ja mogłabym sobie tu usiąść, dokończyć herbatę i poczytać.

Od pierwszej strony była zahipnotyzowana mnogością rysunków, czuła przez skórę radość i mózół Catherine, tak dobrze znane z własnego doświadczenia. Nim przeszła do notatnika, była tak rozdygotana, że omal nie wyskoczyła ze skóry, widząc swoje własne imię, czytając enigmatyczny zapis tego wymykającego się kronikom okresu, wkraczając na zastrzeżony teren delikatnej, emocjonalnej materii, i wreszcie, wyobrażając sobie, jak Ginger i J.J. znajdują zeszyt matki, wieńczący wszystkie te lata ciszy.

PRZY OBIEDZIE Ginger, którą dopadła fala znużenia, oparła łokcie na stole. Stek Mayhewa, podlany obficie „traperskim” sosem jego własnego pomysłu, był wyborny, poza tym nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się stęskniła za wielkimi pieczonymi ziemniakami, każdy z czapą kwaśnej śmietany, masła i szczypiorku. Będzie musiała zrobić je kiedyś dla Marca, pomyślała z roztargnieniem. O ile uda jej się znaleźć we Włoszech coś takiego, jak kwaśna śmietana. Zmęczona, jadła powoli, ale jak zawsze ze smakiem. Charlotta, która wydawała się nie pamiętać o stojącym przed nią talerzu, opowiadała, jak jeździły z Catherine na politechnikę na tańce, o swoich planach co do ogrodu i o wybrykach jej trojga wnucząt. Delikatnie zapytała o Willsa, nie wiedząc, czy tych dwoje dopuszcza myśl, że ich ojciec mógłby być mordercą - myśl, której trudno było teraz uniknąć.

- W tej chwili jest jak duże, niegrzeczne dziecko, które siedzi w wysokim krzeselku i wali kubkiem o stół - powiedział J.J. - Trudno to wytłumaczyć. Kim był wtedy? Do czego był zdolny? Być może pani wie więcej niż my.

Charlotta skinęła głową.

- On nigdy... On ratował ludzi. Pamiętam, jak wiele razy zrywał się od stołu i pędził na ratunek komuś, kto właśnie „rodził” kamień nerkowy albo spadł z drabiny. Ignorował biznes Dużego Jima, na co niewielu by się zdobyło, żeby pomagać ludziom. - Nie dodała, że jak nauczyło ją doświadczenie, dominująca cecha człowieka często posiada równie silną przeciwwagę. Nie wiedziała, do czego Wills byłby zdolny, gdyby został doprowadzony do ostateczności. Czy w wyjątkowo destrukcyjnych okolicznościach niemal każdy nie okazałby się zdolny do morderstwa lub okrucieństwa?

Mayhew ustawił projektor na końcu stołu, a Charlotta zaciągnęła zasłony, zastawiając za nimi zapadającą nad ogrodem noc. Tak, to był Austin, taki, jakim go zapamiętała, na tle różowych oleandrów na Carrie's Island, gdzie ona i Mayhew spędzili tyle weekendów ze swoimi dziećmi. Potem migawka z Wystawy Światowej i nagły przeskok w inne otoczenie. Kiedy na ekranie jadalni pojawił się żółty dom, natychmiast przypomniała sobie łuszczącą się farbę na wiejskim domu Austina.

- Ganek Austina - powiedziała. Mayhew spojrzał na nią, marszcząc brwi, i przypomniała sobie, że nie miała mu jeszcze okazji powiedzieć o swojej wyprawie do Stonefield. - Za chwilę ci wytłumaczę. - Umilkła, wszyscy umilkli, kiedy na ścianie ukazała się Catherine, z twarzą rozjaśnioną smugami słonecznego blasku, wypełniając przestrzeń między oknami.

Charlotta przyniosła na deser ledwie rozmrożone prostokąty cienkiego cytrynowego placka, a Mayhew nastawił dzbanek kawy.

- Pojechałam do Stonefield. Dziś rano, choć wydaje mi się, jakby to było tydzień temu. - Opisała im dom i Edwinę, opowiedziała, jak ją natchnęło, żeby wstąpić na pocztę. - Austin mieszka w Kalifornii, od wielu lat. W tym samym mieście, w którym jest Uniwersytet Stanforda.

- Znacie to powiedzonko - Mayhew odsunął swoje krzesło. - Bóg przechylił Amerykę na wysokości Gór Skalistych i wszystko, co nie było przymocowane, potoczyło się na Zachód.

Ginger zastanawiała się, czy za dwadzieścia lat potrafiłaby na tyle zaufać swojej intuicji, żeby podjąć działanie na rzecz kogoś, kogo nie widziała od czasów studenckich.

J.J. też był pełen podziwu dla Charlotty. Żadnej logiki, myślał. Czysty instynkt.

Lektura zapisków w pełni potwierdziła niejasne podejrzenia Charlotty. Catherine nie spotykała się podczas wojny z tajemniczym nieznajomym, tylko z Austinem. Ale dlaczego? Wiedziała, że jej przyjaciółka była oddana Willsowi. Teraz przed ich oczyma pojawiała się nowa, wielka niewiadoma. Mayhew i pewnie dziewięćdziesiąt dziewięć procent jej znajomych byłoby innego zdania, ale Charlotta uważała, że Austin jako ojciec to nie musiało być wcale takie niefortunne odkrycie, zważywszy los Willsa. Gdyby rodzinna tajemnica wyszła na jaw, do czego każdy południowiec miał głęboko zakorzenioną odrazę, bez względu na to, jak stary i nieistotny był sekret, mogłyby się otworzyć przed nimi nieoczekiwane perspektywy.

W skrytości ducha sama wzdychała w koledżu do Austina, ale ponieważ on był już wówczas zakochany w Catherine, sprawa wyglądała beznadziejnie i ona ledwie była się w stanie przyznać do swoich uczuć przed samą sobą. Na ostatnim roku poznała Mayhewa. Zaprzyjaźnili się natychmiast i, jeśli chodzi o nią, przyjaźń ta pogłębiła się z czasem. Co do niego, ciągnęło go do niej z siłą, jaka prowadzi żółwie morskie poprzez ocean do ich macierzystej wyspy.

Charlotta otworzyła torebkę i odszukała adres, który zapisała jej urzędniczka na poczcie. Podała karteczkę J. J.-owi, nalegając, żeby zostali na noc, ale Ginger powiedziała, że muszą wracać do Lily. Kiedy zadzwoniła do niej z pokoju na górze, Lily jadła właśnie kolację z Eleonorą. Podczas rozmowy wspomniała, że Tessie spędziła ostatnią noc w Domu. Tak byli z J.J.-em pochłonięci własnymi emocjami, że jeśli nie liczyć pierwszego szoku i skaleczonej ręki, nie bardzo do nich docierało, co się dzieje z Lily. Do głowy im nie przyszło, że może się bać zostać sama.

- Mam straszne wyrzuty sumienia - przyznała się Ginger, kiedy wsiadali do samochodu. - Powiedziała mi, że siedziały razem, ubrane w szlafroki, i oglądały „Wichrowe Wzgórza”. Może byśmy coś dla niej kupili?

- O tej porze? Butelkę whisky? Pomyślimy o tym jutro, droga Scarlett.

- JJ-, wyobrażasz to sobie? Lily i Tessie pijące razem kakao w kanciapce i oglądające film? Nigdy o nich w ten sposób nie myślałam.

- Najlepsze przyjaciółki. Tyle że o tym nie wiedzą.

12 LIPCA

GINGER OBUDZIŁA SIĘ W NOCY. W oddali szczełał lis: wysoki, monotony dźwięk, któremu odpowiadało ujadanie innego zwierzaka. Leżała rozbudzona, obserwując, jak siwe smużki światła zaczynają napływać do okien. Usłyszała, że J.J. chodzi po swoim pokoju. Potem coś jakby odgłos przesuwania i wreszcie szum prysznic. Nic na świecie nie było równie przytulne, jak jej własne łóżko w jej własnym pokoju. Cztery poduszki to było to. W ciągu nocy zmieniała wygrzane na chłodne, w końcu dwie grube poduchy wylądowały na podłodze, a pozostały tylko dwa cienkie jaśki spod spodu. Jej myśli skupiły się na Marcu. Gdyby tu był, słuchając naszczeki-wania młodych lisów. Gdyby czuła ciężar jego nogi na swoim biodrze. Gdyby ocknął się w nocy i zapytał: „Co ci się śni?”. Zasnęła, a kiedy się znów obudziła, jasne słońce odbijało się w lustrze, a dom był pogrążony w ciszy.

Kiedy Ginger zawędrowała do jadalni, Lily czytała gazetę. Resztki jajecznicy i boczku na półmisku wciąż były ciepłe. Tessie przyniosła tost posmarowany masłem.

- Kochanie, tak się martwiłam. Nie było was tyle czasu, a teraz J.J. znów się gdzieś wypuścił.

- Co takiego? Gdzie jest? Nad rzeką? - Ginger sięgnęła po dżem.

Lily rozkładała gazetę na części.

- Zostawił tę karteczkę. Nie wiem, gdzie jest. „Siemanko. Wracam za kilka dni”. To była cała wiadomość.

- To wszystko? Nie wierzę.

- Pewnie pojechał na ryby ze Scottem. Wiesz, że nie potrafi za długo usiedzieć na miejscu.

- A my? - Ginger wpatrywała się w karteczkę. Nie, na pewno nie. Przypomniała sobie, że kiedy Charlotta znalazła

adres Austina, J. J. schował go do kieszeni koszuli. Chciała wierzyć, że notatnik i szkicowniki za bardzo go poruszyły, aby swoim zwyczajem znów popłynął z prądem w dół rzeki. Ale trudno jej było uwierzyć, że stało się inaczej, bo do tej pory opuszczał rodzinne strony tylko z okazji myśliwskich czy wędkarskich wypraw, raz z jej byłym mężem, Mitchellem, do Nikaragui na kaczki, dwa razy na łosie do Kolorado, gdzie jego przyjaciel z koledżu miał domek myśliwski. Podróże, które wymagały tylko wetknięcia spodni moro w cholewy długich butów. Kiedy zadała sobie pytanie, co by zrobiła, gdyby z przeczytanych przez nich zapisków wynikło, że Austin mógłby być ojcem J.J.-a, wiedziała, że J.J. pojechał do Kalifornii. Powinien dojeżdżać w tej chwili do Atlanty, jeśli wyjechał około piątej rano. Złapie pierwszy samolot, grzejący silnik na pasie startowym, polecą do Kalifornii, i co dalej? Kiedy wszystko zaczęło się układać w logiczną całość, poczuła dreszcz podniecenia. Pojechał tam dla niej. - Lily, a może my też byśmy sobie zrobili mały wypad?

- Świetny pomysł! Dokąd mogłybyśmy pojechać?

- Mogłybyśmy odwiedzić Culpepperów na wyspie, ale tak naprawdę chciałabym pojechać do Athens i porozmawiać z profesorem Schmittem o moich studiach. Chciałam omówić z nim wszystkie wymagania i zorientować się, ile mi zostało do zrobienia, gdybym zdecydowała się napisać doktorat. Mogłybyśmy przenocować w pensjonacie na terenie parku, zjeść dobrą kolację. - Chciała wynagrodzić Lily swoją dezercję podczas całego zamieszania.

Entuzjazm ciotki wprowadził ją w zakłopotanie. - Mogłabyś zabrać ze sobą swoją robótkę, chciałam ci też pokazać szkicowniki mamy, które znalazłam wczoraj w szopie. Wydaje się, że to cud. - Nie wspomniała o notatniku. Lily nie musi wiedzieć o Austinie i w ogóle o tych sprawach. Dla jej własnego dobra, pomyślała. I dla ich dobra. Jeśli jej mama miała kochankę, to nigdy nie będzie końca uzalaniu się nad biednym Willsem, w tym życiu ani w przyszłym. Tajemnice wychodzą na jaw, ale jak sobie uświadomiła, w ich wnętrzu kryją się inne. Westchnęła. Musi istnieć inny sposób na życie. Tylko że go nie znamy.

Lily sprzątnęła swój talerz i filiżankę.

- Chcesz więcej boczkę, skarbie? - Myślała o kopercie, którą ktoś podrzucił do skrzynki. Czy kiedykolwiek się dowie, kto

ją znalazł na cmentarzu? Nie sądziła, aby był to przestępca, który rozkopał grób. Raczej ktoś, kogo znała, ktoś, kto w tej chwili coś wiedział. Nie za wiele - ale wiedział, że to, co Catherine miała w ręku, nie było jej pożegnalnym listem. Na temat zawartości tej koperty nie zamierzała rozmawiać nigdy i z nikim, f Szczególnie teraz, kiedy Catherine nie była już słabą samobój-

czynią. Pamięć o akcie całopalenia, którego dokonała, paliła ją wystarczająco. Kiedy groby zostaną odrestaurowane, będzie co tydzień zawozić kwiaty na grób Catherine. Do tej pory zawsze jechała w sobotę na cmentarz z dwiema wiązkami, dla matki i dla Dużego Jima. Nigdy dla Catherine, która przyniosła hańbę imieniu Masonów. Miała jeszcze inny pomysł na zadośćuczynienie. Da Holtowi Juniorowi, ile będzie trzeba, pieniędzy, aby co roku posyłać miejscową dziewczynę do koledżu. Mogłaby nazwać to stypendium imieniem Catherine. Ale nigdy się nie przyzna, że spaliła jej osobiste rzeczy. Nie chciała ranić Ginger i J. J.-a, obarczając ich świadomością swojego czynu, wymierzonego przeciwko ich matce. Nie zniosłaby, żeby myśleli o niej jako o kimś, kto jest zdolny do takich rzeczy.

DESZCZ ZACZAŁ PADAĆ godzinę po ich wyjeździe i ścigał je, to mżąc, to zalewając szybę, przez całą drogę do Athens. Ginger wciąż otwierała okno, chłonąc zapach ubitej ziemi, napływającą falami woń dębów i sosen, przesycającą parne powietrze, zalatujący spalenizną smrodek ozonu po uderzeniu błyskawicy, pylisty aromat wilgotnych pól i nawozu. Lily przejrzała szkicowniki bez słowa.

-I co o tym sądzisz? - zapytała w końcu Ginger. - Nie uważasz, że miała talent? - Śmiało, Lily, zachęcała ją w duchu. Daj jej coś po tym, czego się wszyscy dowiedzieliśmy.

- Och, pamiętam doskonale. Była bardzo przywiązana do tych swoich zeszytów. - Gniew, od którego zajęły się ogniem notatniki Catherine, wymazując pamięć o ich właścicielce, wciąż pozostawał najsilniejszym uczuciem, jakiego w życiu doznała, do chwili, gdy się dowiedziała, że jej szwagierka nie była samobójczynią. Wszystkie te lata, zatrute jadem, wzburzeniem. Co za marnotrawstwo. Wszystkie te kąśliwe uwagi, które robiła, w przekonaniu, że Catherine zmarnowała życie jej bratu. - Nigdy nie znamy do końca swoich potencjalnych możliwości - powiedziała wieloznacznym tonem.

Potencjalne, myślała Ginger, siedząc za kierownicą. Jakie to ładne, solidne słowo. Musi pochodzić od *potentia*. Siła. Jeśli jesteś silny, potrafisz trzymać kurs. Chciała myśleć o sobie w ten sposób. Chciała brać odpowiedzialność. Była słabeusz-ką, która nie potrafiła zejść na dół na własny ślub. Stażystką w San Francisco, koczującą na poddaszu, gdzie ledwie się mogła wyprostować, i kręcącą z takim samym nieudacznikiem, pracującym po koledżu jako goniec na rowerze. Ślepym kretem w piwnicznej norze w Nowym Jorku, wlokącym się niczym wyrobnik do pracy w firmie ubezpieczeniowej, gdzie brała zwolnienia chorobowe tak często, że w końcu jej podziękowali, nie wypłacając ostatniej pensji. Wszystkie nieudane podejścia do miłości i seksu. Biegnij, Jane, biegnij. Co za szamotanina, co za kolosalne marnotrawstwo.

W ciągu ostatnich dwóch dni, w miarę jak zaczynała sobie uświadamiać konsekwencje ostatnich wypadków, docierało też do niej, że jest osobą, która ma powody podziwiać swoją matkę. Catherine byłaby dziś taka jak Charlotta. Pełna życia, komunikatywna, ciepła. Rozwinęłaby się w fascynujących kierunkach. I co z tego, że pozwoliła sobie na romans? Miała gorącą krew. Może Wills był kimś takim jak jej, Ginger, mąż, Mitchell, a Austin przypominał Marca? Wyszła za Willsa w wieku dwudziestu lat, o wiele za młodo.

Patrząc wstecz na ostatnich kilka lat, widziała, jak bardzo się myliła co do siebie, i to na każdym kroku. Kiedy poszła do koledżu, nie chciała się uczyć, bojąc się, że sobie nie poradzi, chociaż dobrze wypadła na sprawdzianie kompetencji, a w liceum miała piątki od góry do dołu, choć się wcale nie wysilała. Kiedy wróciła na uczelnię po rozwodzie, przekonała się, że nauka przychodzi jej bez trudu. Ile razy przeglądała albumy ze zdjęciami, zdumiewało ją, jaka była szczupła i ładna. Często źle uchwycona - ręka w ruchu, oczy zamknięte, kolana za blisko obiektywu, ale zdecydowanie ładna, chociaż wcale się taka nie czuła. Inne dziewczęta wydawały się bardziej pozbierane, gotowe spróbować swoich sił z mężczyznami. Kiedy Ginger słyszała: „Masz najpiękniejsze oczy, jakie w życiu widziałem”, albo: „Nigdy nie spotkałem tak interesującej dziewczyny”, od razu wietrzyła typową u południowców przesadę. Nigdy do niej właściwie nie dotarło, że chociaż miała pieniądze na stroje i fryzjera, chodziła w kółko w tym

samym, a włosy puszczała po prostu „w łopot”. Szczęśliwy traf, jeśli to rzeczywiście był traf, zaprowadził ją w końcu do tej sali w Athens, gdzie wykłady profesora Schmitta nie tylko zaangażowały jej umysł, ale wydawały się kluczem do szyfru pozwalającego rozwikłać zapomniane tajemnice świata. Kochała swoje mieszkanko z lodówką sięgającą jej do pasa, deską z materacem, opartą na betonowych klockach, i zaimprovizowanym biurkiem z szafek na dokumenty, z drzwiami zamiast blatu. Kochała swoje podręczniki i profesorów, jak nigdy nie kochała żadnego mężczyzny, dopóki nie pojechała na praktykę do Włoch i nie poznała Marca. Siedząc w łóżku, oparta na poduszkach, obłożona książkami, jadła chipsy z majonezem, pochłaniając równocześnie historię archeologii. Athens, miejscowość, gdzie żyła w cichej rozpaczy z Mitchellem, stała się rajem, gdy znalazła się na uczelni. Spacerowała po kampusie z psem swojej gospodyni, czując energię bijącą ze starych ceglanych murów. Kiedy wjeżdżały do miasta, skręciła w Ridge Street, żeby pokazać Lily wejście do budynku sprzed wojny secesyjnej, w którym mieszkała podczas studiów. Przekąsiły coś w Bide Awhile, po czym zameldowały się w pensjonacie. Doktor Schmitt zgodził się z nią spotkać po południu w swoim gabinecie. Lily postanowiła trochę odpocząć, kiedy Ginger będzie na uczelni. Później mogłaby zajrzeć do pasmanterii, którą pokazała jej bratanica, kiedy miały wystawę. Zauważyła piękny haft florencki, który wspaniale by wyglądał na fotelu z bocznymi skrzydłami. Doktor Schmitt miał być w swoim gabinecie dopiero za godzinę. Ginger zawróciła, okrążając teren uniwersytetu, i wjechała w Cane Street, gdzie kiedyś mieszkali z Mitchellem. O nieba, to był on! Zatrzymała się trzydzieści metrów od domu i opuściła osłonę przeciwsłoneczną. Mitchell otwierał drzwi niebieskiego samochodu. Wyglądał dokładnie tak samo jak kiedyś, tylko włosy miał dłuższe i zaczesane do tyłu. Ruszył, nie spojrzawszy w jej stronę. Ginger wypuściła powietrze, uświadamiając sobie, że wstrzymywała oddech, podczas gdy on rzucał marynarkę na tylne siedzenie, zamykał drzwi i sadowił się za kierownicą. Wiedziała, że wraca po lunchu do biura w centrum miasta. Pracował w soboty. Typowe. Trzymając się w pewnej odległości, ukryta za ciemnymi oku-

larami i osłoną przeciwsłoneczną, Ginger pojechała za nim. Kiedy skręcał na parking przed biurem, odruchowo zrobiła to samo i zatrzymała samochód obok niego. Wciąż nie patrzył w jej stronę. Schylił się i zdjął jakieś źdźbło z podeszwy buta, glansowanego - wiedziała - każdego ranka. Paznokcie też codziennie polerował. Wiedziała, że w środku jest równie schludny i poukładany, jak jego wykrochmalona koszula, świeżo zdjęta z tekturowej wkładki. Ginger otworzyła drzwi samochodu, nie bardzo będąc świadoma, dlaczego to robi.

- Mitchell, hej, Mitchell!

Przez chwilę patrzył na nią, nie rozumiejąc, po czym cofnął się, demonstrując pełne zaskoczenie.

- Uszczypnij mnie, Mason. To ty? - Była ostatnią osobą, którą spodziewał się spotkać podczas sobotniego wypadu do biura, gdzie miał sporządzić pisemne zeznanie uczennicy, która twierdziła, że została zgwałcona przez swojego nauczyciela. Oto Ginger stała przed nim, uśmiechając się do niego. Oczywiście, słyszał od kilkunastu osób, co się stało, i miał zamiar zadzwonić do niej i do swojego dawnego współlokato-ra, J.J.-a, ale nie zebrał się dotąd na odwagę; nie rozmawiał z żadnym z nich przez ostatnie cztery lata.

- Przyjechałam, żeby się zorientować, jak stoją moje sprawy na uczelni. Postanowiłam, że podjadę pod nasz dom, i zobaczyłam cię, jak wychodziłeś.

- Słyszałem o twojej mamie. Mój Boże. Czy mają jakieś pojęcie, co się mogło stać?

- Nie stójmy na tym słońcu.

Mitchell zerknął na zegarek. Spotkanie było ustalone za dziesięć minut. Niech poczekają.

- Wsiądźmy do mojego samochodu, to włączę klimatyzację. Za chwilę muszę lecieć. Może spotkalibyśmy się później?

- Nie bardzo mogę. Jestem tu z Lily. - Ginger usiadła na przednim siedzeniu. - Chciałam ci tylko coś powiedzieć.

Właściwie nie wiem co, ale w każdym razie coś, co ci jestem winna od dawna. Może po prostu, że jest mi przykro. Bo jest. Nie mam nawet pojęcia, czy jesteś żonaty i w ogóle, czy to, co powiem, ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie, ale naprawdę jest mi okropnie głupio, że byłam, jaka byłam, kiedy żyliśmy razem. Z perspektywy czasu widzę jak na dłoni, że zachowywałam się koszmarnie. Nie zasłużyłeś na to. - Spojrzała na

niego jak dziecko, które się przyznaje do podkradania pieniędzy z torebki matki.

- Cóż, sporo zrozumiałem w ciągu tych paru lat. Wiem, że nie dość się starałem, żeby wyjść ci naprzeciw. Czasem wydaje mi się, że byłaś niedostępna, ale kiedy indziej widzę, że jakby na coś czekałaś. Tyle że tym czymś nie byłem ja. W tamtym czasie. - Zastanawiał się nad okreśną drogą, która doprowadziła go od wiadomości o zbezczeszczeniu grobu do tej spowiedzi na parkingu. - Nie mieszkasz we Włoszech?

- Mieszkałam. Mieszkam. Ale musiałam przyjechać z powodu tej obłędnej historii. Mitchell, tak świetnie wyglądasz. Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku?

- Tak, tak. Jestem współnikiem w firmie. Mam dziewczynę z trzyletnim synkiem. Żywe srebro.

- Słyszałeś, że mama nie popełniła samobójstwa?

- Słyszałem. Wyobrażam sobie, jak musicie to przeżywać.

- Właściwie to dobra wiadomość. Dla J.J.-a też. - Opowiedziała mu o szkicownikach i o notatniku, ale nie wspomniała o Austinie. - Przypuszczalnie nie uda się stwierdzić po tak długim czasie, kto ją zastrzelił. Wygląda na to, że nie można nawet ustalić, kto popełnił to ostatnie przestępstwo.

Mitchell zobaczył, że drugi prawnik wchodzi do biura.

- Skoro mowa o przestępstwie, będę musiał już iść, czeka na mnie pewna dość idiotyczna sprawa. Słuchaj...

- To nie jest ostatnia okazja. Zadzwoń do ciebie, kiedy tu będę następnym razem. Cieszę się, że na siebie wpadliśmy.

- Nie wpadliśmy. Jechałaś za mną, ty wariatko. - Pocałował ją w policzek, nie cofnęła się. - Jak twój tata to wszystko znosi? - Domyślał się, że Wills musi być podejrzany, ale nie chciał poruszać tej sprawy.

- Niewiele do niego dociera. Jest bezradny. I wciąż przykry dla innych. Nie zawsze taki był.

Mitchell pamiętał deprymujące niedzielne wizyty, kiedy pakowali Willsa do samochodu, żeby go zabrać na przejażdżkę. Wills siedział na tylnym siedzeniu, próbując trafić papierosem do popielniczki, i wypalał dziury w skórzanej tapicerce. Stary wrak. Mitchell nie przyznał się do tego nikomu z obawy o swoją karierę, ale po rozwodzie przez trzy miesiące jeździł do Atlanty - wystarczająco daleko - na konsultacje do psychiatry. Patrząc na otoczony murem ogród doktora

Pattona, z pozieleniałą od mchu nimfą, lejącą wodę z dzbanka, zrozumiał, że z powodu samobójstwa matki Ginger mogła nie być w stanie go pokochać. Bała się oddać komuś władzę nad częścią swojego „ja”. Choć sobie tego nie uświadamiała, małżeństwo stwarzało znów dla niej realną groźbę samounicestwienia, będącą źródłem jej najgłębszego lęku. Musiała uciekać przed każdą silniejszą więzią. Czego dowodem, zauważył doktor, był dzień weselny. Seks stał się oliwą dolewana do ognia tych lęków. Doktor Patton poprowadził go za rękę od goryczy złamanego serca i czarno-białej optyki prawnika do miejsca, z którego mógł spojrzeć na Ginger i siebie ze współczuciem. Omijając ich potrzaskane małżeństwo, zdołał dotrzeć do Masonów z czasów studenckich, kiedy jeździli z J- J.-em do domku nad rzeką, pływali, polowali na dzikie świnie i całymi nocami grali w pokera. Potem J.J. zaprosił swoją małą siostrzyczkę z koledżu w Wirginii, żeby była partnerką jego, Mitchella, na balu. Miała na sobie koktajlową organdy-nową suknię, obszytą cekinami. Jej włosy były jak czerwono-złota aureola. Pod koniec wieczoru zapytał, czy mógłby ją odwiedzić w Wirginii. Następnego dnia przyniósł jej kilka swoich ulubionych albumów, a potem spacerowali po kampusie pod żółtymi sykomorami, brodząc wśród wilgotnych liści. Odzyskanie wspomnienia tych dwojga sprzed katastrofy nie tylko sprawiło mu radość, ale umożliwiło powrót do normalnego życia.

Natomiast jego matka nigdy nie wyzbyła się gwałtownej niechęci do Ginger i pomstowała na nią, ilekroć ktoś przypomniiał o jej istnieniu.

- Dziwaczka - mówiła. - Niepozobierana. Obcinała paznokcie cążkami. Nigdy w życiu nie spotkałam kobiety, która by obcinała paznokcie cążkami.

Każde najdrobniejsze wspomnienie działało na matkę jak płachta na byka.

- Nawet wody nie potrafiła ugotować. Rozpuszczona pannica. Chciała być równocześnie panną młodą na weselu i nieboszczką na pogrzebie. Mitchell właściwie nie miał nic przeciwko temu wyrzekaniu. Został zraniony i nawet jeśli się zdobył na przebaczenie, uważał, że należy mu się odrobina satysfakcji.

Patrzył za Ginger, kiedy odjeżdżała.

GINGER ROZSTAŁA SIĘ Z MITCHELLEM z uczuciem radości rozchodzącej się po całym ciele. Nie spodziewała się go jeszcze kiedykolwiek ujrzeć po ostatnim spotkaniu w sądzie. Siedział wtedy w płaszczu przeciwdeszczowym, z rękami skrzyżowanymi na piersi, i ani razu na nią nie spojrzął.

A teraz pojawił się tak po prostu, rozmawiał z nią, pocałował ją, cieszył się, że ją widzi, najwyraźniej jej przebaczył, nawet bez przeprosin. Czowała się dotąd piratem drogowym, który zwił z miejsca wypadku, ale wszystko wskazywało na to, że Mitchell przeżył i jechał dalej, tak jak ona.

Tysiąc obrazów Mitchella, które przelatywały jej przez głowę, nie było w tej chwili wartych wspomnienia.

Zatrzymała się na chwilę przy jednym: Mitchell usiłujący zapanować nad wodą tryskającą z pękniętej rury w toalecie, kiedy wrócili późno któregoś wieczoru i zastali powódź w przedpokoju. Jedną ręką próbował zatamować potężny strumień wody, drugą szukając po omacku zaworu, żeby odciąć dopływ. Jego jasny, różowy sweter był kompletnie przemoczony, stopy ślizgały się na mokrej posadzce. Kiedy udało mu się wreszcie przekręcić zawór, przewrócił się i wylądował w kałuży. Zamarła, widząc to z przedpokoju, ale w następnej chwili Mitchell się odwrócił i wybuchnął śmiechem. Zawtórowała mu i do tej pory .słyszała tamten ich śmiech.

DOKTOR SCHMTTT PODNIÓSŁ SIĘ Z FOTEŁA i uściskał Ginger.

- O, moja pierwsza uczennica!

On też już wiedział z gazety, co się stało. Czy wszyscy w całej Georgii o tym wiedzieli? Odsunął się od biurka i wysłuchał jej opowieści.

- I na zakończenie tej sagi chcę powiedzieć, że postanowiłam - myślę, że postanowiłam - dokończyć pracę nad swoim doktoratem. Powrót na studia to był najlepszy ruch, jaki wykonałam w ramach długiej serii falstartów. No i praca we Włoszech... Mogłabym tam zostać na zawsze.

- Słyszałem, że doskonale wam idzie. - Spodziewał się, że miała dość oleju w głowie, aby kontynuować studia. Podsumowali to, co do tej pory zrobiła. Zbadali możliwości, jeśli chodzi o indywidualny tok studiów, i przejrzeni katalog kursów z uniwersytetu w Perugii, gdzie mogłaby zaliczyć niektóre przedmioty. - Wygląda na to, że dwa semestry tutaj załatwią sprawę. Resztę mogłabyś zrobić we Włoszech.

19. Stodka, leniwa..

- Nieźle. Będę panią doktor. Jeśli skończę... Ojej, mój ojciec! - Nie przyszło jej dotąd do głowy, że przejmie jego tytuł. - Mój ojciec był lekarzem w Swan, zanim dostał udaru. - Jej plany na przyszłość nabierały tempa. Nie wiedziała, że będzie mogła przenieść zaliczenia z Perugii. Wróć do Włoch na sierpień, kalkulowała, potem jesień w Athens. Marco mógłby przyjechać na miesiąc w czasie świąt, potem zostałaby na semestr zimowy... i jestem, nowo narodzona, wykluta z jajka, z nasionka, ochrzczona w rzece.

Chciała dać coś doktorowi Schmittowi, ale zapomniała kupić kwiaty albo butelkę dobrego wina. Wsunęła rękę do torebki, badając po omacku jej zawartość, dopóki jej palce nie natrafiły na chłodny krzemień. Wyjęła swój ulubiony grot od strzały, średniej wielkości, barwy ochry, prawdziwe чудо wykonane ręką mistrza, które znalazła, kiedy miała dziewięć lat.

- Taki mały drobiazg ze Swan.

LILY CZEKAŁA NA NIĄ W HOLU nad dubonnetem. Spotkała w pasmanterii inną klientkę i skończyło się na tym, że wypity razem dzbanek herbaty. Była podekscytowana. Otworzyła swoją torbę na zakupy i pokazała Ginger naturalne, wełniane włóczki: błękit, jasny oranż, karmel. Ginger też zamówiła dubonneta, choć uważała, że jest za słodki, ale chciała wziąć to samo, co Lily. Ciotka wyglądała na przeobrażoną, w porównaniu ze straszylem, jakie Ginger zastała po powrocie z Włoch. Siedziała odprężona, oparta wygodnie w fotelu pokrytym kwiecistą tapi-cerką. Jej pantofle wyglądały całkiem gustownie.

Lily zauważyła spojrzenie Ginger i roześmiała się.

- Kupiłam sobie buty. - Uniosła stopę, demonstrując nowy nabytek.

- Bardzo ładne. - W Lily jest coś niezniszczalnego, pomyślała Ginger. Zawsze potrafi wrócić do pionu. Może jest to talent do reorganizowania rzeczywistości w taki sposób, żeby to, co szpetne, zostało odizolowane, niczym ognisko infekcji, a zdrowe komórki mogły się dalej rozwijać. Jest inna niż ojciec: tra-fiony-zatopiony. Cokolwiek by się działo, po kilku godzinach bananowe chlebki Lily będą się zawsze studzić na podstawce.

Nim się obejrzała, opowiadała Lily o spotkaniu z Mitchellem, co skończyło się kolejnym drinkiem i wspominkami z wesela Ginger. Tym razem mogły sobie trochę pożartować.

- Tessie zrobiła się o dwa tony ciemniejsza - powiedziała Lily. Po chwili dodała, patrząc w swój kieliszek: - Zawsze żałowałam, że powiedziałam wtedy, że jesteś równie okropna jak twoja matka. Wiesz, skarbie - wyznała lekkim tonem - byłam trochę zazdrosna o twoją mamę.

Ale Ginger wróciła do tematu swojego przerwane go wesela. Pamiętała plecy matki Mitchella, idącej pośpiesznie w stronę samochodu. Kobieta wyglądała, jakby miała za chwilę pęknąć.

- Stara jędza. Jakim cudem urodziła kogoś tak sympatycznego jak Mitchell, to dla mnie nie do pojęcia.

Według rozeznania Lily, J.J. pokonywał w tej chwili zakole jakiejś rzeki, zarzucając wędkę i podając Scottowi piwo. Ginger żałowała, że nie może do niego zadzwonić, ale nie miała pojęcia, gdzie jest. Mógł być i na rzece. Jej ojciec, wysłany w czasie wojny z misją charytatywną na teren Niemiec, został zrzucony na spadochronie za linią frontu.

Jeśli J.J. pojechał do Kalifornii, też wykonywał niebezpieczne zadanie.

Ginger zabrała Lily do Cue-T, swojej ulubionej knajpki na peryferiach, gdzie serwowano barbecue. Obie zamówiły cieniutkie plasterki wieprzowiny w pikantnym sosie, smażone słodkie ziemniaki i surówkę coleslaw. Na deser placek z orzeszkami hikory. Ginger jadła niczym ofiara klęski głodowej.

Z POWODU RÓŻNICY CZASU J. J. stracił tylko dwie godziny. Kiedy wylądował, słońce wciąż stało wysoko, choć tak zasnuła mgłą, że wyglądało jak księżyc. Wysiadł z samolotu w coś, co nie do końca zasługiwało na miano deszczu. Zimno, czy tu nie wiesz, że jest lipiec? Rozłożył mapę na desce rozdzielczej wypożyczonego samochodu. Pało Alto było dokładnie na południe, San Francisco dokładnie na północ. Po niespełna godzinie zainstalował się w pierwszym miejscu, na jakie trafił: niewielkim, wygodnym hoteliku w centrum Pało Alto. Odszukał na planie Whitman Street i przekonał się, że to zaledwie o jedną ulicę stamtąd. Postanowił pójść pieszo, żeby się odprężyć i zebrać myśli. Wdychał balsamiczne powietrze, takie jak na Kalifornię przystało. Od jak dawna nie był w żadnym mieście poza południową Georgią? Jeździł do Athens zobaczyć się z Ginger w czasie jej rozvodu. W ubiegłym roku pojechał do Atlanty do dentysty, żeby usunąć uszkodzony ząb mądrości, po czym natychmiast wsiadł w samochód i wrócił do domku nad rzeką, jeszcze odrętwiały po znieczuleniu.

Podobały mu się ulice, które mijał: stara, zwarta zabudowa, roje kolibrów brzęczących w fuksjach. Wstąpił do lokaliku wypełnionego ciepłym aromatem palonych ziarenek, żeby wypić filiżankę kawy i poobserwować ulicę. W kinie, którego klasy-cystyczna bryła przypominała weselny tort, wyświetlano „Przeminęło z wiatrem”. Gdybyście chociaż cokolwiek z tego rozumieli, pomyślał. Studenci, profesorskie typy, rowerzyści, kobiety w obcisłych podkoszulkach bez staników i długich spódnicach w indiańskie wzory. Wyzwolone, pomyślał. Diabelnie seksy. Unikał kobiet, które tylko czekały, żeby zrzec się swojej duszy na rzecz męża. Nikt nie powiedział: „Cześć” i ma-
292

ło kto zwracał na niego uwagę, chociaż z przyzwyczajenia patrzył na wszystkich, których mijał. Obyczaj anonimowości był dla niego czymś nowym. Podobało mu się to. W Swan znał każdego i wiedział, co myśli, nim ten ktoś się o tym dowiedział, i vice versa. Wszedł do sklepu papierniczego po drugiej stronie ulicy, żeby kupić nowy zeszyt i pióro. Później opíše wszystko, żeby nic mu nie umknęło, kiedy będzie zdawał relację Ginger. Może powinien się też wybrać do Nowego Orleanu, Richmondu, Charlestonu, zastanawiał się. Pobyć tam trochę, poobserwować i wyjechać. Wszystkie miejsca, które przychodziły mu do głowy, leżały na Południu. Londyn, pomyślał. Ktoś zawiózł tam kiedyś Indian i pokazywał ich w klatce. Przypuszczalnie tak by się właśnie czuł w obcym kraju. Niczym tańczący niedźwiedź. Zastanawiał się, jak musiała się czuć Ginger, kiedy wylądowała we Włoszech i miała zacząć tam żyć. Zająć gromadzić rzeczy, umożliwiające egzystencję. Wyobraził sobie, jak szuka w słowniku słowa „ręcznik”. On kupił zeszyt i pióro. Prześcieradła, patelnia, i można się zacząć urządzać. Kim jesteś, kiedy nikogo nie znasz? Palo Alto było dla niego wystarczająco egzotyczne. Mężczyźni z ogolonymi głowami, w żółtych szatach, tańczący przy dźwiękach tamburynów na rogu ulicy, hinduskie, chińskie, japońskie restauracje, sklepy ze zdrową żywnością, której zapachy zalatywały go, kiedy szedł chodnikiem. Kim był tutaj Austin Larkin? Tak daleko od Stonefield. Skręcił w stronę Whitman Street. Numer 1518 powinien być o dziesięć przecznic dalej. Postanowił pójść w stronę domu Austina. Wszedł szybkim krokiem w otoczenie różniące się od poprzedniego: domy w hiszpańskim stylu, przetykane wiktoriańskimi landarami albo pudełkowatymi klockami jak z obrazów Mondriana. Mijał ulice pisarzy: Cowpera, Melville'a, Byrona, Hawthorne'a. Dziwnie brzmiące nazwiska wyglądały kojąco tu, na tej najdalszej rubieży kraju.

Zatrzymał się przy narożnym domu, pod szpalerem czereśni, nad którymi śmigały sójki, polując na ostatnie owoce. Woń gwiazdzistego jaśminu zza ogrodowego muru, różowe kwiaty pnącego milinu, rejwach czyniony przez ptaki, wszystko to zlewało się ze sobą. Stał i chłonał tę mozaikę wrażeń. Kolor domu o opuszczonych roletach przypominał mu lśniące wnętrze arbuza, w chwilę potem, gdy się go rozłamie na pół. Co by było, gdyby mieszkał tutaj zamiast w Swan? Gdyby wy-

chodził na zewnątrz, żeby przyciąć paprocie, zwieszające się z balkonu na piętrze? Gdzieś w głębi domu widział dziecko w kuchni. Czyjeś życie toczące się w miejscu, którego nie znał. Czar chwili prysnął i J.J. poszedł dalej. Niektóre domy wydawały się składać głównie z garażu. Tak stłoczone, że pewnie się słyszy, jak sąsiad puszcza bąka za ścianą, pomyślał. Zatrzymał się przed numerem 1518. Szary dom, nowoczesny, o nic niemówiącej fasadzie i spadzistym dachu. Piętnaście plus osiemnaście równa się trzydzieści trzy - jego wiek. Obliczenie, które z pewnością wykonałaby Ginger. Cytryny i inne drzewka owocowe - niespliki japońskie, jak to później ustalili - zasłaniały okna. Garaż na dwa samochody, z wjazdem od strony ulicy, był dominującym elementem domu. J.J. patrzył, myśląc, że brakuje mu kontekstu dla tego rodzaju domu. Nagle poczuł się za duży i nie na miejscu, jak wielkolud z tektury, stojący na chodniku przed domem mężczyzny, którego jego matka pożałowała dziesiątki lat temu. Zastanawiał się, ile decyzji, które wówczas podejmowali, przyprowadziło go ostatecznie na to miejsce. Austin. Człowiek, którego matka kochała, choć nie tak bardzo, żeby zostawić tatę. Czy jest kandydatem na mordercę? Niezbyt prawdopodobne, tyle lat po zakończeniu ich krótkiego romansu. Może ojciec w końcu się

O tym dowiedział? Charlotta mówiła, że Austin przeprowadził się do Kalifornii w czasie wojny.

J.J. pragnął się spotkać z Austinem twarzą w twarz. Sprawdzić pierwsze, instynktowne wrażenie. Chciał „tak” albo „nie”, które mógłby przekazać Ginger. Po to tu przyjechał. Nie ma to jak czas terażniejszy, powiedział sobie.

Stał przed domem tylko przez chwilę, po czym uniósł kołatkę. Austin musi mieć w tej chwili około pięćdziesięciu pięciu lat. Nie jest już młodym kochankiem sprzed lat. J.J. przygotował się na widok zażywnego pana z indyjskim podgardlem

I w okularach. Drzwi otworzyła młoda kobieta, narzucająca koszulę na kostium kąpielowy. Była niewysoka, jej proste, ciemne włosy były wycieniowane w skośny klin. Kiedy poruszała głową, włosy wydawały się powtarzać ten sam ruch sekundę później. Zapięła jeden guzik, patrząc na niego z uniesionymi brwiami. Zauważył smukłe nadgarstki i ładne nogi, aurę opanowania, która jej towarzyszyła.

- Dzień dobry. Pan w sprawie czyszczenia basenu?

- Nie. Nazywam się Mason. J.J. Mason. Chciałbym rozmawiać z panem Austinem Larkinem. Czy to jego dom?
- Tak. Taty nie ma.
- Czy prędko się go pani spodziewa? Może wyjaśnię. Jestem J.J. Mason ze Swan, z Georgii, niedaleko Stonefield, gdzie wychował się pani ojciec. W studenckich czasach znali się z moją matką, Catherine Mason.
- Mason - powtórzyła. - Nie pamiętam, żeby tato wspominał to nazwisko, ale Swan tak. Kto mógłby zapomnieć tę nazwę?
- Moja matka nazywała się wtedy Phillips.
- Ach! Catherine Phillips! No tak. Jego studencka miłość. Świata za nią nie widział. Opowiadał o niej. - Wyciągnęła rękę. - Jestem Georgia Larkin. Nazwana tak, wiadomo dlaczego, przez wiernego syna stanu. Proszę wejść. - Jej uśmiech odsłaniał zęby aż po trzonowe. Idealnie równe, jak u gwiazdy filmowej. Dobry dentysta, pomyślał J.J. Drzwi wejściowe wychodziły na wewnętrzny dziedziniec. Anonimowa fasada nie miała nic wspólnego z tym bujnym, kwitnącym, tropikalnym ogrodem z okrągłym basenem. Dom w kształcie litery „U” był od tyłu całkowicie przeszklony. Dostrzegł pokój dzienny z książkami od podłogi do sufitu, sypialnię o jasnożółtych ścianach. Georgia leżała na macie, zanim poszła otworzyć drzwi.
- Robi się późno. Kieliszek wina?
- Dzięki, proszę sobie nie robić kłopotu.
- Georgia poszła do kuchni i wróciła, niosąc tacę z chłodzonym białym winem, kieliszkami i kiścią winogron. Narzuciła luźną białą sukienkę do kostek.
- Winogrona są, niestety, gorące. Leżały w bagażniku mojego samochodu. - Nalała wina i wrzuciła jedno dorodne gronko do kieliszka J. J-a. - Tata wróci dopiero jutro po południu. Będzie pan tu jeszcze?
- J.J. skinął głową.
- Mam parę spraw do załatwienia. - Pozwól mi po prostu siedzieć i patrzeć na ciebie, skarbie, pomyślał. Georgia. Smukłe pęciny i drobne stopy. Ale jej twarz? Czy była piękna? Dziewczyna wyglądała jak ktoś, kto jest do głębi sobą. Co by zrobiła, gdyby wyciągnął rękę i musnął palcem jej gęste brwi? A więc to mieli na myśli ci, którzy mówili o kalifornijskich dziewczynach. Niezwykła, pomyślał. - Jest pani jedy-

naczką? - zapytał. Przyglądając jej się, stwierdzał - punkt po punkcie - brak jakiegokolwiek podobieństwa do Ginger. Ale jedna rzecz przypominała mu w niej siostrę. Jej wyciszenie.

- Tak, widać to? Moja mama umarła, kiedy byłam na ostatnim roku koledżu. Tata nie ożenił się po raz drugi, chociaż teraz być może to zrobi. Podróżuje w tej chwili z kobietą, z którą się spotyka od jakiegoś czasu. Ona zajmuje się handlem nieruchomościami tu, w Palo Alto. Dorosła, dzięki Bogu. Wszyscy ojcowie moich koleżanek żenią się z osobami w naszym wieku.

- Cóż, mam nadzieję, że uda mi się zobaczyć z pani ojcem. Przykro mi z powodu pani matki. Ja też straciłem swoją.

- J.J. skubał podbródek. - Gdybym mógł jutro do niego zadzwonić... O jakiej porze byłoby najlepiej?

- Myślę, że koło czwartej. Co pan robi dzisiaj wieczorem? Chciałby pan może pozwiedzać Palo Alto? Właściwie to mam dziś trochę roboty w księgarni, koło dziewiątej, ale mógłby pan tam wpaść.

- Jasne. Z przyjemnością. Gdzie pani pracuje?

- To nie jest moja praca. Pomagam od czasu do czasu. Tata ma trzy księgarnie w rejonie Zatoki. Firma Stonefield, jeśli ta nazwa coś panu mówi... Dziś wieczorem jest małe spotkanie. Mam przedstawić czytających. Co do mnie, to w tej chwili uczę jazdy konnej i układania koni. Pracowałam przez dwa lata jako nauczycielka w czwartej klasie i teraz zdecydowałam się na roczną przerwę, żeby się zastanowić, co chcę dalej robić.

- Mogę zaprosić panią przedtem na kolację? - Wśród najróżniejszych myśli, które chodziły mu po głowie podczas tej podróży, nie pojawiło się podejrzenie, że jego wyprawa może przybrać taki obrót. - Jest pani dla mnie wizytówką Kalifornii. Chciałbym, żeby mój pobyt wypadł jak najlepiej.

SPOTKALI SIĘ NA ST. MICHAEL'S ALLEY. J.J. przebrał się w zapasową białą koszulę. Obawiał się, że jego dzinsy mogą być nie na miejscu, tymczasem czuł się jak sztywniak wśród mężczyzn w *dashiki**, greckich koszulkach w pasy i koszulkach z krótkimi rękawami. Kilku mężczyzn było w garniturach koloru khaki i jedwabnych krawatach w ukośne pasy. Wiele kobiet mia-

* Barwna, wzorzysta koszula w afrykańskim stylu (przyp. tłum.).

ło bujne fryzury, sukienki z bawełnianej gazy i etniczne paciorki, ale niektóre były dobrze ubrane, jak kobiety w Swan.

Georgia siedziała już przy stoliku. Odwrócona, rozmawiała z grupą ludzi, którzy mieli przed sobą książki i podawali sobie z rąk do rąk kartki papieru. Wyciągnęła do niego rękę. Pierwsze dotknięcie. Cześć, cześć.

- To są ludzie, którzy mają dziś czytać w księgarni swoje utwory. Ron, Suze, Abby, Dickie, Cady, Herbert - pokazywała po kolei, a oni machali mu, uśmiechając się do niego. - To jest J.J. Mason. Przyjechał do nas ze Swan w Georgii, niedaleko miejsca, z którego pochodzi mój tato.

J.J. skinął każdemu głową.

- Kim oni są? To sami pisarze? - zapytał, kiedy usiadł. Kelner się przedstawił, co go ubawiło, po czym przyjął od nich zamówienie na wino i wołowinę po burgundzku.

- Tak, duża grupa przyjaciół. Jest ich więcej, zobaczysz. Wszyscy są starsi ode mnie. Większość z nich brała udział w warsztatach, tutaj albo w San Francisco. Są po trzydziestce i spotykają się bez przerwy, żeby krytykować nawzajem swoje prace i pić wino. Świetnie się przy tym bawią.

- Dobrzy są?

- Tak. No, różni. Niektórzy wydali książki. Herbert jest, moim zdaniem, najlepszym pisarzem w Pało Alto, ale nigdzie niczego nie wysyła. Trzyma się z boku.

- Dlaczego? Skoro jest taki dobry... - Kelner, Kipper, przyniósł małe bochenki ciepłego chleba i wino.

- Nie wiem. Może się boi. Co robisz w Swan? J.J. pociągnął łyk wina i pokręcił głową.

- Nie mam jednego, konkretnego zajęcia. Można powiedzieć, że jestem kimś w rodzaju zarządcy mienia. Ale wypijmy twoje zdrowie - powiedział, unosząc kieliszek. - Dzięki, że przyjęłaś moje zaproszenie. Nie sądziłem, że będę miał tyle szczęścia.

- Szkoda, że tata jest w Los Angeles. Co cię tu sprowadza? J.J. spojrzał na nią. Nie był gotów, żeby jej to powiedzieć. Ale nie chciał też kręcić. Był to ten moment, ta pora, kiedy, jak to sobie uświadomił, zaczynał się zazwyczaj rozglądać, jak by tu zwiać. Czuł się zdezorientowany. Przy całej życzliwości, jaką mu okazywała, nie dostrzegł w jej zachowaniu ani cienia flirtu. Tym samym promiennym uśmiechem obdarzała pisarzy, kelnera i kromkę chleba, którą posmarowała masłem i podała mu.

- Uwielbiam tutejszy chleb. Pieką go sami każdego popołudnia.

J.J. patrzył, jak Georgia przeżuwa. Z reguły nie lubił się przyglądać jedzącym. Ona była schludna jak kot. Pewnie oczko w głowie tatusia od małości. Mała księżniczka. I raczej nie przepadał za brązowymi oczami. Pomyślał o Mindy, o Julianę, o tym, jak każdy drobiazg go irytował. Czuł, że zbacza w stronę swojego typowego krytycyzmu, ale nie znalazł nic, do czego mógłby się przyczepić.

Zaryzykował odzywkę ze swojego repertuaru. - Twoje oczy... Zastanawiam się, jaki mają kolor. Brązowe, ale widzę złote plamki. Jakby się patrzyło na dno rzeki.

- O, jakie to ładne. Mój tata mówi, że są koloru dobrej sherry. A twoje wyglądają jak mokre agaty, które znajdujemy w Pebble Beach. Są takie piękne, dopóki nie wyschną. Wtedy robią się matowe i białe od soli.

- Wracając do twojego pytania. Odpowiedź nie jest prosta. Zapukałem do waszych drzwi, pojawiając się znikąd.

Historia mojej rodziny jest skomplikowana. Pomyślałem, że twój ojciec mógłby rzucić trochę światła na sytuację, która ostatnio wynikła w naszym domu. - Przed oczyma pojawiła mu się scena ekshumacji. Umilkł.

Kelner przyniósł ich sałatki i ceremonialnie zmełł pieprz, trzymając młynek wysoko w górze. Georgia przyglądała się J.J.-owi z ciekawością. Podobał jej się. Jego rzeźbiona twarz o surowych płaszczyznach wydawała się spięta, ale łagodniała, kiedy mówił. Doszła do wniosku, że J.J. wygląda jak marmur: twardy, ale równocześnie miałoby się ochotę go pogłodzić. Było coś, czego jej nie mówił i, dziwna rzecz, to coś miało związek z jej ojcem.

J.J. dolał wina.

- Porozmawiajmy o tobie. Przeszłość może poczekać jeszcze jeden dzień.

W głębi pisarze śmiali się i czytali na głos fragmenty tekstów. Usłyszał kilka toastów. Mała, zatłoczona knajpka stała się wirującym tłem dla Georgii, siedzącej naprzeciw niego, z twarzą ożywioną rumieńcem, z nagimi ramionami w cieniu. Chciałbym pić źródlaną wodę z tych delikatnych zagłębień nad jej obojczykami, pomyślał.

- Nie ma tego za wiele - powiedziała ze śmiechem. - Poszłam do Stanforda, wróciłam, kiedy umarła mama. Nie chciałam zostawiać taty samego. Studiowałam nauki polityczne -bardziej duch czasu niż rzeczywiste zainteresowanie - ale przede wszystkim studiowałam konie. Trzymałam konia w uniwersyteckiej stajni od czasu, gdy miałam osiem lat. Lubiłam uczyć, ale wolę robić coś na świeżym powietrzu. Jestem zbzikowana na punkcie swojej pracy w stajni, choć wszyscy mi mówią, że to taka młodzieńcza pasja, że nie powinnam traktować koni jako zajęcia na całe życie. Tylko że nie mam ochoty kierować księgarnią. Uwielbiam czytać, ale sprzedawanie mnie nie pociąga. Więc się rozglądam, bez wielkiego pośpiechu. Może pójdę na weterynarię. Chcę mieć pewność. Na razie jest mi dobrze.

J.J. co chwila gubił wątek myśli. Georgia postawiła tamę jego nawykowemu krytykanctwu. Ponieważ nie znalazł nic, do czego mógłby się przyczepić, zwrócił ostrze krytyki przeciwko sobie. Rzut oka na inne życie, nawet tak pobieżny, kazał mu wziąć pod lupę własną samotną egzystencję. I własny ośli upór. Włóczę się po lasach, umizgając się do okoni, podczas gdy ona żyje swoim życiem trzy tysiące mil stamtąd, pomyślał. Jeśli z tego nie wytezę, skończę jako jeden z tych starych borsuków, którzy wysiadują pod sklepem z przynętami. Co nie znaczy, że chciałbym siedzieć przy stole i czytać na głos swoje próbki literackie, jednocześnie się posilając.

- Jak ci smakuje *boeuf bourguignon*? Sycące, prawda? Opowiedz mi o sobie.

- Jestem starszy od ciebie. Chrystusowe lata, trzydzieści trzy. Niektórzy nazywają to wiekiem perfekcji. - Uniósł kieliszek w kpiarskim toście. - Mam siostrę Ginger, młodszą o dwa lata. Co jeszcze? Skończyłem Emory... ile? Dziesięć lat temu. Spodziewano się, że pójdę na medycynę, wzorem mojego ojca, ale ja zająłem się tak użytecznymi sprawami, jak literatura i filozofia. Nie ożeniłem się. Nie przymierzałem się nawet. - Ko-ledź wydawał mu się zamierzchłą przeszłością. Jakby mówił o kimś innym. - Mamy letni domek nad rzeką. To jest - urwał - to jest szczególne miejsce. Spędzam tam wiele czasu.

- Co lubisz robić?

J. J. zaczął mówić o łowieniu ryb, o polowaniu na przepiórki, ale przerwał.

- Trochę piszę. I rysuję. - Wskazał ruchem głowy stolik za jej plecami, gdzie tęga kobieta z czarną, nastroszoną fryzurą dźgała widelcem powietrze, powtarzając: „Nędzna metafora, nędzna”. J. J. pomyślał, że z tymi ciemnymi obwódkami wokół oczu wygląda na leśnego luda.

Georgia wyobraziła go sobie w biurze, przeglądającego dzierżawy, chociaż zupełnie to do niego nie pasowało.

- To bardzo odległe od zarządzania mieniem. Czy nie mówiłeś, że tym się zajmujesz? Południe wydało tylu wielkich pisarzy. Skąd to się bierze?

Rozmawiali. Przy kolacji, deserze, kawie. Nagle Georgia się zorientowała, że pisarze znikli. Oni byli spóźnieni, co zresztą nikomu nie przeszkadzało. Poszli pieszo do księgarni, znajdującej się o kilka ulic dalej. W pomieszczeniu na zapleczu pufy z gąbki były porozstawiane po całej podłodze. Kierownik już przedstawił czytających i zażywna niewiasta zdążyła nabrać rozpędu. Opadli na pufy pod ścianą. J.J., który nigdy w czymś takim nie uczestniczył, szybko poddał się nastrojowi. Georgia, zabierana na wieczorki literackie, odkąd pamiętała, mogła się wyłączyć i pomyśleć o nim. Zerknęła na jego profil, jego koszulę z podwiniętymi rękawami, zastanawiając się, co J.J. o niej myśli. Nie ulegało wątpliwości, że zlustrował ją dokładnie. Nigdy nie czuła się w tym stopniu poddana oględzinom podczas zwykłej kolacji w restauracji. Jego oczy nie zatrzymywały się ani na chwilę. Błądziły po niej, wygłodzone, chociaż w tej chwili robił wrażenie nieobecnego. I właśnie w tym momencie przerzucił ramię przez oparcie jej pufa i mrugnął do niej. Mrugnął. Czy ludzie wciąż jeszcze robili takie rzeczy? Herbert zaczął czytać i próbowała się skupić. Coś w J.J.-cie wydawało jej się z innej planety. Bez udziału jej woli i świadomości jakaś myśl usiłowała się przebić na powierzchnię, kiedy próbowała dojść do ładu z uczuciami, jakie w niej wzbudzał. To, co czuła, to nie był nawet pociąg, chociaż J.J. był bardzo atrakcyjny. To raczej jej instynkt na niego reagował. Zapatrzyła się na ich równoległe ustawione nogi, niemal się dotykające, ich stopy. Drgnęła.

J.J. uśmiechnął się do niej.

Odwzajemniła jego uśmiech. Ich oczy się spotkały.

- Podoba ci się to, co czyta?

- Jest dobry. Trafia w sedno. Myślę, że wie, o co chodzi. -Uniósł kciuk do góry.

TOWARZYSTWO MIAŁO ZAMIAR SIĘ PRZENIEŚĆ do domu Abby, żeby kontynuować dyskusję na temat wykorzystania metafory. Ron obwieszczał jej zgon, Abby twierdziła, że gada bzdury po roku spędzonym we Francji, że to właśnie dzięki metaforze język się rozwija. J.J.-a ciągnęło do ciepła i światła, którym emanowali aktywni, żyjący pisarze, ale się wymówił.

- Jestem jeszcze na wschodnim czasie. Dla mnie jest trzecia w nocy. Ale dzięki za zaproszenie.

- W Kalifornii zawsze jest równocześnie wcześniej i później - dodał Herbert.

J.J. i Georgia wrócili do jego samochodu i pojechali aleją wysadzaną palmami. Przy końcu zostawili samochód i poszli pieszo przed dziedziniec Uniwersytetu Stanforda. Złote płytki mozaiki zdobiącej fronton kaplicy połyskiwały w świetle księżyca. Stali na opustoszałym dziedzińcu. Jego usta niemal dotykały jej włosów. Wdychał jej zapach.

- Pachniesz jak lody waniliowe.

- Jesteś niesamowity. Dżentelmen z Południa.

Jego wzrok podążał za rytmem ciemnych łuków, otaczających dziedziniec.

- To miejsce wygląda, jakby za chwilę miał tu wjechać Don Kichot na swoim koniu. - Całkiem nie po amerykańsku.

Usiedli na cembrowinie fontanny. Kalifornijski krajobraz - tyle, ile zdołał z niego zobaczyć - stanowił dla niego „mocne uderzenie”.

- Wzgórza były złote, kiedy jechałem z lotniska. Lato na Południu jest zielone, tysiąc odcieni zieleni. To nie znaczy, że mi się nie podoba. - Palmowe liście nad ich głowami grzechotały w lekkim powiewie. - Tyle czasu tkwiłem w jednym miejscu. To jest surrealistyczne.

- To czyjaś wizja. Założyciele stracili syna, więc zbudowali mu pomnik. Kocham to miejsce. Te wszystkie palmy.

Urodziłam się w ośrodku zdrowia na terenie kampusu, więc muszę się tu czuć jak w domu. Kiedy jeżdżę z tatą na Południe, tamta bujna roślinność wydaje mi się egzotyczna. Pnącza potrafią wpełznąć przez okno w jedną noc. Kiedy byłam mała, myślałam, że nasza farma to miejsce z bajki o Jasiu i fasoli.

- Uśmiechnęła się. Ich ramiona się stykały. - Dobrze mi tu z tobą - powiedziała po prostu. To był dla niej pępek świata. Ta kamienna wyspa z bajki na suchym lądzie. Zachwyciło ją, że J.J. pomyślał tutaj o Don Kichocie. Było to bliskie jej własnym odczuciom. Niejasne wrażenie, które kryło się gdzieś pod powierzchnią przez cały wieczór, wypłynęło, przybierając postać słów. Rozpoznaję go, pomyślała. Po sześciu godzinach spędzonych z nim. Absurd. Jak gdyby słyszał jej myśli, J.J. się nachylił, tak że ich głowy prawie się stykały.

13 Lipca

Po ŚNIADANIU RAINEY ZOSTAWIŁA JOHNNY'EGO, czytającego niedzielne wydanie gazety z Atlanty. Nie lubiła teraz siedzieć za długo przy stole po żadnym posiłku. Ostatni kawałek tosta, trzy plasterki szynki... nie. Waga wskazywała, że straciła następne ćwierć kilograma, chociaż gdyby wypła szklanę wody, wskazówka wróciłaby natychmiast na miejsce, które tak niechętnie opuściła. Potrzebowała chwili spokoju, żeby napisać tekst, który jej chodził po głowie. Właściwie miała pomysł na cotygodniowy felieton, który uwolniłby ją raz na zawsze od kolumny towarzyskiej. Tym, czego im brakowało, jak poinformowała Johnny'ego, było spojrzenie z lokalnej perspektywy na wydarzenia krajowe. Nie użyła określenia „z kobiecej perspektywy”, bo nie chciała usłyszeć, jak jęknie. Zachowując to dla siebie, oszczędzała ich oboje: on nie musiał zajmować nużącego, przewidywalnego stanowiska, a ona nie musiała wymyślać zastępczych powodów, żeby przeprowadzić to, czego chciała.

Wieści o kobietach biorących swoje sprawy w swoje ręce coraz częściej przenikały na południe, docierając do Swan. Ona osobiście witała z radością każde doniesienie o triumfalnym pochodzie kobiet, zakładających gazety, przejmujących stery. Uważała jednak, że jej własny głos jest apolityczny. Będzie zamieszczać co tydzień najzupełniej bezstronną, prywatną opinię, która - tak się składa - będzie opinią kobiety.

Zostawiła na swoim biurku włączony wentylator. Jej papiery unosiły się i opadały, unosiły się i opadały... relacja ze ślubu, przepis na babeczki z kwaśną śmietaną, przemieszane z wynikami jej „dziennikarskiego śledztwa” w sprawie warunków panujących w szpitalu. W zeszłym tygodniu na tacy, na której podano pacjentowi kolację, znalazł się oprócz sa-

20. Słodka, leniwa...

286

łatki karaluch. Zakręciła krzesłem, sadowiąc się przy maszynie. Jak powinna zatytułować swój felieton? Sprawy większe i mniejsze? Nie, to jej się źle kojarzyło. Przypomniała sobie znajomą dziennikarkę z Tipton, której felieton nazywał się „Między młotem a patelnią”. Coś okropnego. Zadzwoił telefon.

- Redakcja „Swan Flyover” - powiedziała do słuchawki.

- Cześć, Rainey, tu Angela Kinsella z Simmonsville. Spotkałyśmy się w zeszłym roku na konferencji.

- Witaj, jak miło usłyszeć twój głos.

- I twój. Jak tam, wszystko u ciebie w porządku? Słyszałam, co się stało w Swan. Peter Drew z Knightsborough mówił mi, że do niego dzwoniłaś, bo chciałaś się dowiedzieć, czy tutaj nie wydarzyło się nic podobnego.

- Zgadza się, dzwoniłam. Tutejsze GBI i szeryf nie wpadli na żaden trop. - Rainey wzięła pióro do ręki.

- To się nie da porównać ze sprawą tamtej kobiety, wyrzuconej z trumny na deszcz i w ogóle, ale chciałam ci powiedzieć, że ubiegłej nocy tu, w Simmonsville, ktoś zniszczył kilka krzyży na cmentarzu i przewrócił urnę nagrobną. Co gorsza, wyłamał drzwi do jednego z grobowców. Wiesz, coś w rodzaju małego mauzoleum, jakby w kształcie kufra.

- Tak, wiem. Wiadomo, kto to zrobił?

- Nie. Może jakiś bandzior albo półgłówek, może moczy-morda, który zapił w sobotni wieczór, a przedtem sobie przeczytał o Swan. Ale może to być ta sama osoba, która pojawiła się u was. Takie sprawy nie zdarzają się co dzień.

- Dzięki, Angelo. - To było małe piwo, ale na wypadek gdyby istniał tu jakiś związek... - Mogłabyś powiedzieć mi jeszcze raz po kolei... - poprosiła.

RALPH WSTĄPIŁ PO KOŚCIELE DO BIURA. Dzwony wciąż jeszcze biły o dwie przecznice dalej, czyniąc radosny rejwach nad całym miasteczkiem. Ojciec Tyson wezwał zgromadzonych do modlitwy za Catherine Mason i za całą wspólnotę, pogrążoną w smutku z powodu zbrodni, która wydarzyła się pośród nich. Amen, bracie, pomyślał Ralph. Podniósł słuchawkę telefonu. Dzwoniła Rainey.

- Dobra, dzięki za wiadomość. Zawsze to lepsze niż nic. Zadzwoił do Graya do domu.

- Hm, wygląda na to, że mamy do czynienia z fetyszystą. Przyjrzymy się temu. Nie trapij się tym w niedzielę. Znajdziemy go prędzej czy później.

Ralph pomyślał, że będzie musiał znaleźć w słowniku wyraz „fetyszysta”. Czyżby ktoś, kto za bardzo lubi huczne imprezy? Nalał sobie kawy, zapominając, że to resztką z poprzedniego dnia. Postanowił przejść się do Trzech Sióstr. Jak większość mieszkańców Swan, uważał, że w niedzielny poranek nie ma nic lepszego niż gorące pączki. Niech GBI tropi tego czubka, który się włóczy po całej Georgii.

Ralph przypomniał sobie Koziarza, który czasem przechodził przez Swan, kiedy był małym chłopcem. Może amator grobów był kimś takim, jak on? Koziarz siedł obok drewnianego wózka, obwieszonych podzwaniającymi rondlami i nożycami. Towarzyszyło mu stadko kóz, każda z dzwoneczkiem. Czasem zatrzymywał się na polu za miasteczkiem. Ten i ów przemykał się wówczas do niego, żeby dać mu noże do naostrzenia. Ralph poszedł tam raz ze swoim dziadkiem, który traktował Koziarza podejrzliwie. Wciąż widział jego kościstą postać, odwieczną brodę i zaczerwienione, nieobecne oczy. Koziarz, to była malownicza postać. Ten cmentarny szczur to pewnie gładki facecik, który chodzi do pracy, płaci podatki, uchodzi za normalnego.

Kiedy przechodził przez ulicę, zobaczył, że jakaś kobieta macha do niego ręką. Stała obok swojego samochodu, opierając się o drzwi. Rozpoznał mieszkankę fabrycznej wioski, która szyła dziecięce ubranka. Zobaczył, że zagryza wargi i krzyżuje ramiona na piersi. Wyglądała, jakby była zziębnięta, co zdawało się niepodobieństwem w tym upale. Ale może była chora.

- Co się stało, proszę pani? Źle się pani czuje? - Ralph zawrócił.

- Mogłabym z panem porozmawiać? To ważna sprawa. Pański dziadek pomógł mi parę razy. Nazywam się Aileen Boyd.

- Miło mi słyszeć, że mój dziadek mógł być w czymś pomocny. A co ja mogę dla pani zrobić? - Była całkiem ładna, choć wyglądała mizernie. - Chodźmy do biura. - Ralph ujął ją za łokieć i zaprowadził na górę, do małego pomieszczenia na zapleczu, w którym przeprowadzano przesłuchania. Aileen opadła na sofę, opierając głowę o zagłówek i zamykając oczy. - Co się stało? - zapytał Ralph.

- Wszystko. Chodzi o Catherine Mason. Od czego by tu zacząć? Chyba od Sonny'ego. Sonny był moim mężem. Od czasu, gdy Ralph przeczytał raport swojego dziadka na temat samobójstwa Catherine Mason, wciąż nie dawały mu spokoju gryzmoły na odwrocie teczki. „S”, napisał jego dziadek, a potem „B” albo „D”. Sonny Boyd. Podejrzewał go. Bingo! Bingo!

GINGER i LILY WYJECHAŁY z ATHENS około dziesiątej. Wracały do Swan przez Matteson Junction, skąd pochodziła dziewczyna, z którą Lily dzieliła pokój podczas studiów i gdzie kiedyś spotkała na potańcówce mężczyznę, któremu się chyba podobała, chociaż się potem nie odezwał. Patrzyły na ulice zabudowane starymi domami, których Sherman nie spalił podczas swojego marszu w stronę morza. Potem Ginger dodała gazu, mknąc wśród pól porośniętych kudzu do Milledgeville, gdzie jej matka poznała Charlotte, gdzie Austin zasypał kampus różami. Wciąż starała się otrząsnąć z sennego koszmaru, który ją obudził ubiegłej nocy. Stała na ramionach matki na środku rzeki, jej twarz ledwie wystawała nad wodę, mogła oddychać tylko dzięki temu, że mama ją podtrzymywała, sama całkowicie zanurzona. Usiadła na łóżku zlna potem, powstrzymując krzyk.

Kiedy wysiadły z samochodu, żeby zjeść lunch, otuliła je parna wilgoć, pozostała po wczorajszym deszczu. Centrum Milledgeville robiło wrażenie świeżo osuszonego bagna. Chwilę później znówjechały przez głęboką prowincję: koguty biegające pod domami z desek, wspierającymi się na kamieniach, tablice przypominające o dniu Sądu Ostatecznego, słupy telefoniczne z tykwami służącymi jako domki dla ptaków, geranium rosnące w oponach samochodowych, pranie łopoczące na sznurach, jeleń z białym ogonem skaczący w poprzek szosy. Późnym popołudniem wjechały do Swan. Miasteczko lśniło po kolejnym deszczu, skąpane w złocistym blasku. Kiedy zajeżdżały przed dom, zobaczyły na ganku Tessie podlewającą paprocie i mężczyznę stojącego w drzwiach. - O, J.J. wrócił - ucieszyła się Lily.

Ginger zmrużyła oczy przed blaskiem bijącym od upstrzonej muszkami szyby.

- To jest Marco! - krzyknęła. - To nie J. J. To Marco! - Zahamowała gwałtownie i wyskoczyła z samochodu.
- Ach, ten Włoch - powiedziała Lily na głos. - A więc Włoch przybył do Swan. „Mogłem wiele, póki nie ujrzałem Elby”*, przeleciało jej przez myśl. I jeszcze Cezar przekraczający Rubikon. Ujrzała jego niedźwiedzi uścisk, Ginger podskakującą jak piłka, uśmiech Marca ponad jej ramieniem. Marco machał do niej, schodząc ze schodów.
- Jestem bardzo szczęśliwy - powiedział. Jego angielski brzmiał miękko, kojarzył się z czymś futerkowym. Ucałował jej dłoń niczym hrabia ze starego filmu. Lily też poczuła dyskretny dreszcz radości.
- Miło nam, że możemy pana gościć w Swan. A więc zdążył już pan poznać Tessie i CoCo?

* *Able was I erelsaw Elba*. Apokryficzna sentencja, przypisywana Napoleonowi Bonaparte, która zyskała sławę głównie dzięki temu, że jest angielskim palindromem (przyp. tłum.).

W NIEDZIELNY PORANEK PALO ALTO stawało się na powrót senną miejscina, którą było przed inwazją ruchu hipisowskiego. Rowerzyści brali gazety u Dana, właściciel sklepu z jogurtem nastawiał głośniej radio nadające jazz i zamiatał chodnik.

J.J. wszedł do kawiarni, w której był poprzedniego dnia. Usiadł przy oknie, gapiąc się w puste kartki zeszytu, który kupił. Zamierzał się spotkać z Austinem, potem złapać samolot odlatujący o dziewiątej wieczorem do Atlanty.

Wylądowałyby o świcie, byłby w Swan o dziesiątej. Mnóstwo czasu, żeby zająć się sprawą pogrzebu.

Kelnerka, która przyniosła mu *awę i rogaliki, uśmiechnęła się do niego promiennie, lustrując go otwarcie. Pachniała owocami, kiedy się pochylała. J.J. uniósł twarz, też uśmiechając się do dziewczyny i patrząc jej prosto w oczy.

Stuprocentowy efekt.

- Nie jest pan tu stałym bywalcem - powiedziała. - Nazywam się Ariel. Ten lokal należy do mojej cici. Pracuję tu, żeby zarobić na swoje słabostki. - Z jej uszu zwieszały się kryształowe pryzmy. Miała na sobie indiańską patchworkową spódnicę i sandały od Birkenstocka.

- Jakie słabostki?

- Och, książki i buty. Nic zdrożnego. Coś jeszcze?

J.J. ugryzł się w język, żeby nie zrobić jakiejś poufalej uwagi. Podobała mu się bezceremonialna otwartość kalifornijskich kobiet.

- Dzięki, to wszystko. - Miał ochotę zadzwonić do Georgii, ale się powstrzymał. Pewnie nie chciałyby zostać obudzona przez jakiegoś wariata, któremu dotrzymywała z grzeczności towarzystwa poprzedniego dnia. Nie, wiedział, że jej się

podobał. Był poruszony tym, jak swobodnie się czuł w towarzystwie Georgii. Ten sam komfort psychiczny co z Ginger, bez tygrysięgo instynktu, żeby bronić i chronić. Wyglądało na to, że Georgia potrafi sobie poradzić. Chwała Bogu. Spacerując po mieście, zauważył wystawę z damską jesienną konfekcją. Idąc za pierwszym odruchem, wszedł do środka. Długi zielony golf dobrze by wyglądał na Ginger. Metka z ceną powstrzymała go na chwilę, ale mimo wszystko go kupił. Obejrzał bladożółty rozpinany sweter z kaszmiru i kupił go dla Lily. Zobaczył różowy atlasowy szlafrok i kazał go sobie zapakować z myślą o Tessie. Udreka kupowania świątecznych i urodzinowych prezentów nie była mu obca, ale nigdy dotąd nie kupił nikomu prezentu z własnej inicjatywy. Patrzył na ekspozycję, zastanawiając się, co by się spodobało Georgii. Wziął do ręki chustę, ręcznie tkaną z czegoś miękkiego, w barwach rudych liści i czarnej jagody. Kupił ją.

Po drugiej stronie ulicy otwierano księgarnię Stonefield. Najwyraźniej nie było tu zakazu pracy w niedzielę. W domu musiał zamawiać dla siebie książki korespondencyjnie. Nie przeszkadzało mu, że musi czekać. Otwieranie paczki było dla niego jedną z największych przyjemności. Zostawił swoje nieporęczne pakunki na ladzie i zaczął przeglądać książki, wybierając kilkanaście pozycji, które przyciągnęły jego uwagę. Nawet księgarnia miała bufet, gdzie można było napić się kawy. Zabrał swój stos książek do stolika i siedział przez godzinę nad kolejną filiżanką. Cieszył się, że znalazł listy van Gogha. Siła koloru i obrazu w dziełach tego malarza podważała jego namiętą polemikę z aktem pisania, którą próbował podzielić się z Ginger tego wieczoru, kiedy przyjechała do domu. Pomiedzy tym, co chciał napisać, a tym, co pojawiała się na papierze, ziała otchłani. Żółte krzesło van Gogha, płonące własnym światłem, promieniujące zdolnością do bycia krzesłem samym w sobie, nie potwierdzało istnienia tej otchłani. Być może w listach znajdzie odpowiedź na pytanie, dlaczego tak było. Kartkował książkę, żałując przez chwilę, że nie jest w domku koło przystani, przy własnym biurku, z rzeką płynącą za oknem. Podniósł wzrok. Jakaś para, pewnie studenci, całowała się na chodniku, nie zwracając uwagi na przechodzących ludzi, którzy przyglądali im się z uśmiechem. Znajdowali się w swoim własnym świecie, unoszącym się na falach. J.J. wrócił do van

Gogha. *Widzimy Holendrów, malujących przedmioty po prostu takie, jakie są, jakby nie angażowali w to rozumu* - przeczytał. Pomyślał o szkicownikach swojej matki. Zerknął niżej: *Możemy namalować atom chaosu, konia, portret, twoją babcie, jabłko, krajobraz*. Podobało mu się to „możemy”.

Wybrał kilka powieści dla Ginger i książkę o angielskich ogrodach dla Lily. Stwierdził zaszokowany, że wliczając w to prezenty - wydał blisko tysiąc dolarów. Prawie nigdy niczego nie kupował, ale kiedy to robił, myślał o Dużym Jimie: o jego machinacjach, dziewczynkach, werwie, zadęciu. Dzięki za van Gogha, Duży Jimie.

Zapytał o drogę do uniwersyteckich stajni i pojechał przez kampus, mijając ośrodek zdrowia, gdzie Georgia musiała ujrzeć światło dzienne. Aleja, którą przejeżdżały dziewczęta w sztywnych kaszkietach, dosiadające koni pełnej krwi, zaprowadziła go do dużej, czerwonej stajni. Podszedł do zadaszzonego kręgu, wdychając miły zapach skóry, końskiego nawozu, lucerny i trocin.

Zobaczył Georgię na wielkim wałachu, szykującą się do poważnego skoku. Musiała to robić już wcześniej, pomyślał, ale mimo to zmarszczył brwi i wstrzymał oddech, kiedy najeżdżała na przeszkodę, sztywno wychylona do przodu, a koń zdawał się wydłużać, odrywając się od ziemi i wyginając się w łuk nad poprzecznym drągiem.

- Do diabła - powiedział na głos.

Mógł na nią patrzeć tak, że o tym nie wiedziała. Georgia kontynuowała przejazd, jej koń pokonywał kolejne przeszkody, ale jak sobie w duchu pomyślał, nie bez wysiłku. Każdemu najazdowi towarzyszyło napięcie. W pewnym momencie go zauważyła i podjechała do niego klusem.

- To jest Winkie. Spokojnie, Wink. - Jej włosy z tyłu głowy były mokre od potu pod aksamitnym kaszkietem. W koszuli do konnej jazdy, bez rękawów, zapinanej pod szyję, wyglądała zachwycająco.

Chłonał wzrokiem każdy centymetr jej nagich ramion, jej długich czarnych butów.

- Ten koń ma w oczach jakiś dziki błysk. Wygląda, jakby miał zamiar się stąd wyrwać i już nigdy się nie zatrzymać. Wiedziałem, że jesteś piękna, ale nie wiedziałem, że jesteś odważna. Ja bym go nie dosiadł za żadne skarby.

- Prawda, że jest cudowny? Kupiliśmy go prosto z toru. Dlatego jest taki niecierpliwy. - Powiedział „piękna”. Kiedy jeździła na Południe, wszyscy wciąż jej mówili, że jest piękna.

Szli powoli ścieżką, Georgia prowadziła swojego konia, żeby ochłonał.

- Masz ochotę na lunch?

- Chętnie.

- Zaczekaj, aż go wyszczotkuje i wezmę szybki prysznic. Będę musiała tu wrócić na zajęcia ze średnio zaawansowanymi.

GEORGIA ZAPROWADZIŁA GO DO POBLISKIEGO BARU o nazwie Roundup. Usiedli na zewnątrz przy drewnianym stole i zamówili hamburgery. Nad nimi splecione gałęzie potężnych dębów odcinały się na tle błękitnego nieba.

- Przychodzisz tutaj codziennie?

- Nie. Staram się zabierać drugie śniadanie ze sobą. Trójka instruktorów zazwyczaj jada razem.

Opowiedział jej, co porabiał przed południem.

- Zdaje się, że podkręciłem dzisiaj obroty u Stonefielda. Wiesz, w promieniu stu mil od Swan nie ma ani jednej księ-garni. A na jedynym stoisku w domu towarowym w Macon będzie raptem Dickens i Kahlil Gibran.

- Jesteś taki odcytany. Czemu tam tkwisz? Poczul się, jakby go dźgnęła pogrzebaczem.

- Wcale nie. Jestem przede wszystkim rybakiem. Trochę też poluję. Nie wiedziałbym, co ze sobą zrobić, gdybym nie miał rzeki o rzut kamieniem.

- Mój tato tęskni za Południem. Zostawiłam mu wiadomość, że jesteś w mieście.

- Pewnie się już nie zobaczymy, chyba że będziesz w domu, kiedy przyjdę.

- Kończę dziś lekcje o szóstej. Niedziela to dla mnie pracowity dzień. Dzieciaki mają więcej czasu w weekendy.

- Weź zwolnienie. Zatrucie pokarmowe w barze Roundup. Moglibyśmy pojechać na wybrzeże.

Jest strasznie zarozumiała, pomyślała. Kobiety na Południu pewnie za nim szaleją. Ja nie jestem taka. Czy gdyby został tu dłużej, też bym się taka stała? Jego tupet - coś czego zazwyczaj nie cierpiała - nie drażnił jej, bo wyczuwała, że

ta pewność siebie wobec kobiet to tylko naskórek, w dosłownym sensie. Ilekroć wypływała sprawa jego życia lub przeszłości, natychmiast chował się w swojej skorupie.

JECHALI DŁUGO wśród cienistych sekwoi i melancholijnych wzgórz. Słońce przesiane przez długie gałęzie nie rozjaśniało półmroku, w którym pogrążona była szosa. Kiedy skręcili na północ, w stronę wybrzeża, J.J. przestał mówić. Atlantyck, jak widział, był czymś zupełnie innym niż Pacyfik. Kopulaste wzniesienia, płowe jak skóra lwa, opadały w kierunku piaszczystych plaż, obramowanych płatami piany. Georgia wyciągnęła rękę.

- Stańmy w San Georgio. Może zobaczymy foki. Spacerowali wśród dzikich róż, prawie nie rozmawiając.

W oddali J.J. widział wysepki, odcinające się ostro niczym puzzle.

- Będę musiała wracać - powiedziała w końcu Georgia. - Cindy mogła wziąć tylko dwie grupy. - Fale załamujące się na skałach opryskiwały ich delikatną mgiełką. Chciałby tu zostać przez cały dzień. Wracali wąską ścieżką. Georgia szła przed nim. *Zawsze targaty mną pospolite, zwierzęce żądze*, przeczytał w jednym z listów van Gogha.

Nie, pomyślał. Chciałby delikatnie przyciskać wargi do każdego fragmentu jej ciała. Chciałby dotknąć językiem jej twarzy. Jej jasnoniebieski zakiet do konnej jazdy pachniał na wietrze piaskiem zmieszany z gliną i był pewien, że jej twarz, tak samo jak jego, jest pokryta cieniutką warstewką soli. Dotknął łokcia dziewczyny.

- Georgia.

Odwróciła się, a on położył jej dłonie na ramionach.

- Mogę? - zapytał tak cicho, że ledwie go usłyszała. Pocałował ją bardzo ostrożnie, po czym delikatnie przyciągnął do siebie.

PRZED WYMELDOWANIEM SIĘ Z HOTELU zadzwonił do domu. Tessie odłożyła słuchawkę na dobrych pięć minut, zanim ktokolwiek się pofatygował, żeby odebrać telefon. Lily, zdyszana, nawet go nie spytała, skąd dzwoni.

- Mieliśmy tu wielką niespodziankę! Kiedy wróciliśmy z Athens, czekał na nas Marco, chłopak Ginger z Włoch.

- Pojechaliście do Athens?

315

- Tak, było cudownie. Teraz robimy kolację. Zdasz?

- Na co?

- Na pogrzeb. Jutro o jedenastej. Jesteś nad rzeką?

- Będę jutro rano. Dzwonię, żeby uprzedzić. Wszystko u was w porządku?

- Tak. Marco właśnie pokazuje Tessie, jak zrobić coś z ziemniaków. Wrzuca się małe kuleczki do wody i... aha, zapomniałam ci powiedzieć wielkiej nowiny. Właśnie dzwonił Ralph. Przemiliły młody człowiek. Powiedział, że ma nowe informacje, ale na razie nie może o tym rozmawiać. Mówił też, że w Sim-monsville był jakiś drobny akt wandalizmu na cmentarzu, który może mieć związek z naszą sprawą. Ginger nie posiada się z radości, ale też się niecierpliwi, znasz ją. Próbowałam dzwonić do ciebie do domku, ale cię nie zastałam. I doktor Schmitt mówi, że Ginger może bez problemu dokończyć swój doktorat. Zobaczymy. Upiekę trochę bułeczek. Widziała się też z Mitchellem. Wszystko ci opowiemy, jak wrócisz. Zawsze mówiłam, że to bardzo sympatyczny chłopak. Co nie znaczy, że Marco nie jest sympatyczny. Do zobaczenia jutro.

Lily. Ach, ta Lily. Wyprodukowali tylko jeden taki egzemplarz.

J.J. jechał wzdłuż Whitman Street. Wpół do piątej. Austin powinien być w domu. W lusterku wstecznym widział malejącą postać Georgii. Nie powiedział jej, że działała na niego z siłą, jakiej nigdy w życiu nie doświadczył. Nie obiecał, że zadzwoni. Pocałunek miał przekazać to wszystko, czego nie powiedział. Zapomniał dać jej chustę w kolorze śliwkowym.

Chciał spotkać się z Austinem i wracać do domu. Tęsknił za leniwymi dniami w domku nad rzeką, podczas których mógłby przetrwać tę wyprawę na drugi koniec kontynentu. Zaparkował samochód o przecznicę dalej, nad łożyskiem wyschniętego strumienia. Spojrzał w dół, na wyrzeźbiony w piasku kształt potoku. Georgia powiedziała mu, że każdego dnia, około czwartej po południu, zaczyna wiać wiatr od oceanu. Podniósł głowę, spodziewając się słonej bryzy, ale zamiast tego wciągnął w płuca stęchły, ziołowy zapaszek eukaliptusa. Obezwładniał go lęk, podobny do tego, jaki czuł zawsze przed wejściem do domu Pod Kolumną. Pochodząc z miejsca, gdzie każdy dom i ulicę ożywiała jakaś opowieść, uważał, że otoczenie złożone z niskich domów o zamkniętych fasadach wyglą-

da jałowo. Ale Georgia otworzyła przed nim wczoraj drzwi jednego z tych domów. Przed dwudziestoma czterema godzinami.

Austin otworzył, nim J.J. zdążył zastukać.

Stał naprzeciwko mężczyzny, który nie wyglądał na swoje lata. Charlotta powiedziała mu, że był w koledżu dwa lata wyżej niż one, więc powinien mieć jakieś pięćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt osiem lat. Pod luźną jedwabną koszulą i lnianymi spodniami kryło się niewątpliwie wysportowane ciało. Zaczesane do tyłu siwe włosy podkreślały wymodelowaną twarz. Grube wargi, jak na białego, taka była pierwsza myśl J.J.-a. Zauważył surowy profil i opaleniznę. Austin, pomyślał. Ojciec Georgii.

- Panie Larkin - wyciągnął rękę - jestem J.J. Mason. Syn Catherine. Przysłowiowy głos z przeszłości. Przepraszam, że pana nachodzę, kiedy dopiero co wrócił pan do domu.

- Ależ nie, cieszę się, że pana widzę. Proszę wejść, proszę bardzo. Georgia zostawiła mi wiadomość, że pan wpadnie dziś po południu. - W jego głosie słychać było jedynie ślad akcentu.

- Miałem przyjemność zjeść wczoraj kolację z pańską córką. Dzięki niej czułem się w Pało Alto jak w domu. - J.J. rozglądał się po salonie, do którego zerknął poprzedniego dnia przez okno. Dwie nowoczesne sofy, kryte ciemnozielonym lnem, naprzeciw kominka i abstrakcyjne płótna w żywych kolorach. Ściany obite seledynową tkaniną. A więc to tu mieszka Georgia, pomyślał, wyobrażając ją sobie skuloną na sofie, czytającą przy kominku, kiedy smugi deszczu zasnuwają wysoką szklaną ścianę.

- Czy mogę zaproponować panu drinka? Whisky, soda, wino?

- Dzięki, szkocka byłaby super. - Ściana w głębi pokoju była wyłożona książkami. Kiedy Austin wyszedł do kuchni, J.J. przyjrzał się tytułom. Z przodu na półkach ułożone były kawałki skał, szlachetnych kamieni, a także kilka muszli. Wziął do ręki ciemną bryłkę, połyskującą drobnymi ametystami.

Austin wrócił, niosąc tacę.

- Jestem pies na minerały. Większa część mojej kolekcji znajduje się w biurze. Od lat kolekcjonuję też podpisane wydania książek. Kiedy się jest właścicielem księgarni i wciąż ma się do czynienia z autorami, nie jest to zbyt pracowite hobby. - Postawił tacę na stoliku. - Co pana do mnie sprowadza?

- Długa historia sprzed trzydziestu lat albo więcej. Ale pozwól pan, że zacznę od tego, co się stało w ostatnim tygodniu. Proszę mi wierzyć, że nie narzucalibyśmy się w ten sposób, gdyby sprawa nie była ważna. Nie opuszczałem Swan od wielu lat - przyznał. Zwięźle i rzeczowo opowiedział Austinowi o ekshumacji i o stwierdzeniu przez GBI, że Catherine nie zginęła śmiercią samobójczą.

Austin siedział pochylony, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy, w milczeniu rozwierając i łącząc czubki palców, nie spuszczać wzroku z J.J.-a.

- Pańska matka, Catherine... poznałem ją, kiedy miała dziewiętnaście lat. Najcudowniejsza kobieta, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi. Wszyscy, którzy ją znali, czuli się w jakiś sposób pogiębieni, kiedy się dowiedzieli, że popełniła samobójstwo. Mieszkałem wtedy tutaj. Dawny znajomy z politechniki przysłał mi artykuł. Nie mogłem pojąć tego, co się stało, ale nie widzieliśmy się z nią już wówczas od wielu lat i nie miałem wyobrażenia, jakie okoliczności mogły ją do tego popchnąć.

J-J- wyjaśnił, że zdaniem GBI nie da się w tej chwili zidentyfikować mordercy, chyba że pojawiłyby się czyjeś nieoczekiwane zeznania.

- Moja rodzina jest przekonana, że to przypadkowe zabójstwo.

- Gdyby ją pan znał w tym czasie, co ja, sądziłby pan, że należy do wybrańców losu. Szła naprzód z przekonaniem, że świat jest zdumiewającym, niezwykłym miejscem. Widzę tę samą wiarę u swojej córki.

- To sprawa, o której najtrudniej mi mówić. Znaleźliśmy w szopie parę rzeczy, należących do mamy.

Najprawdopodobniej zapakowała je do pudła po urodzeniu Ginger. Zaklejony karton był upchnięty na strychu, inaczej zostałby po jej śmierci wyrzucony, jak wszystko, co do niej należało. Ginger przetrząsnęła cały majdan, który został przetransportowany do domu mojego dziadka, kiedy się tam przeprowadziliśmy. Znalazła karton ciężowych ubrań, szpulę filmu, dwa szkicow-niki i notatnik. I cztery czy pięć niedatowanych listów od pana. Pamięta pan może przyjaciółkę mamy, Charlotte?

- Oczywiście. Również nietuzinkowa postać.

- Wyświetliliśmy u niej ten film i rozpoznała na nim pana. Po lekturze notatnika pojawiły się zupełnie nowe pytania

i właściwie z tego powodu tu przyjechałem. - Opowiedział Austinowi o perłowych półksiężycach, o pełnych niedomówień zapiskach, o napięciu, które się wyczuwało, i wreszcie o swoich przypuszczeniach, że Austin może być ojcem Ginger. - Przepraszam. Musi się pan czuć, jakby Marsjanie wylądowali.

- Nie ogarniam tego. Tego wszystkiego. Może dałby się pan namówić na jeszcze jednego drinka? Musimy porozmawiać.

J.J. poszedł za nim do kuchni. Na gzymsie zobaczył zdjęcie Georgii na koniu, ze wstążką zwycięzcy w dłoni i fotografię kobiety wyglądającej jak jej starsza wersja.

- Matka Georgii? - zapytał.

- Tak. Zmarła pięć lat temu. - Oczy Austina zwięzły się z bólu. - Poznałem ją na przepustce pod koniec wojny. Latałem na myśliwcach nad południowym Pacyfikiem. Pilot marynarki. Nie myślałem, że stracę ją tak wcześnie. Miała dopiero pięćdziesiąt dwa lata. Dopadła ją choroba szpiku. Osłabienie, a po miesiącu już nie żyła. Usiądźmy na dworze.

Austin siedział pochylony na swoim krześle. Za jego plecami lekko falowała powierzchnia wody barwy akwamaryny. Biały kot, którego J.J. nie widział poprzedniego dnia, dotknął językiem wody, po czym umościł się u stóp Austina.

- Nie jestem w stanie opisać, kim była Catherine, wiem o tym. Na pewno nie osobą, którą podejrzewałoby się o romans, i nie myślałem o tym w tych kategoriach. Szalałem za nią. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, grała w jakiejś greckiej sztuce. Przyjechałem wtedy do Milledgeville na weekend. Dziewczęta miały na sobie te białe szaty, coś jak peplo-sy, i tańczyły. Wyglądała, jakby się przy tym świetnie bawiła. Wiem, że dziś uważa się miłość od pierwszego wejrzenia za anachronizm, ale tak to było. Wsiąknę z kretesem. Byłem szczęśliwy i nieszczęśliwy równocześnie. Nieszczęśliwy, kiedy umawiała się z innymi i wydawała się nie zauważać, że zostawia mnie na lodzie. Gdy byliśmy razem, pamiętam przede wszystkim, że śmialiśmy się w tych samych momentach. Czułem się kompletnie zdruzgotany, kiedy się zaręczyła z Willsem.

- Charlotta opowiedziała nam, jak pan rozsypał róże nad kampusem.

- Zawsze miałem nadzieję, że wielkie, romantyczne gesty są w stanie ją poruszyć. Dzwoniłem do niej nawet w dniu jej

ślubu, błagając ją, żeby nie wychodziła za Willsa. Powiedziała, że czuje się okropnie, ale że to słuszna decyzja, że wie

o tym. - W miarę jak mówił, południowy akcent, zneutralizowany przez lata spędzone w Kalifornii, stawał się coraz wyraźniejszy. Skoro mowa o samobójstwie, nazajutrz po jej ślubie wsiałem w samochód, pogałem na łeb na szyję na Carrie's Island i poważnie rozważałem grzotnięcie w filar mostu łączącego wyspę z lądem. Nie zrobiłem tego. Pozbierałem się z czasem i życie potoczyło się dalej.

- Ale jak...

- Nie widziałem się potem z Catherine przez jakieś trzy lata. Wpadłem na nią - dosłownie - podczas meczu futbolowego Georgia - Alabama. Byłem na przepustce po operacji wyrostka. Pan był wtedy małym szkrabem. Chyba został pan w domu. Wills był w mundurze. Zawsze patrzył przeze mnie na wylot, jakbym był zrobiony ze szkła. Kordialny, nigdy przyjacielski. W następnym tygodniu zadzwoniłem do Catherine. Wybierała się do Macon. Zjedliśmy razem lunch. Potem spotkaliśmy się jeszcze kilka razy. Dla mnie wszystko odżyło. Trudno mi powiedzieć, jak to wyglądało z jej strony. Być może wie pan z jej zapisków, co czuła. Była samotna. Widzi pan, życie kobiet wyglądało wtedy inaczej, a ona powinna była coś zrobić ze swoim. Przyjechała do mnie na farmę. Cztery razy. Powiem po prostu. Spaliśmy razem. W wyboistym wiktoriańskim łożu moich rodziców. Nie wydawało mi się, żeby miała poczucie winy. Wills przyjeżdżał do domu, kiedy mógł. Wspomniał pan o perłowych półksiężycach. Należały do mojej matki. Dałem je Catherine, kiedy po raz pierwszy przyjechała na farmę. Pewnego dnia odesłała mi je z powrotem. Nigdy nie wspomniała o zabezpieczeniu się, o możliwości zajścia w ciążę. Nie kłopot się, powiedziała. Oczywiście słyshałem później, że urodziła drugie dziecko.

- Ginger. Moja siostra ma trzydzieści jeden lat. Kiedy pan i moja matka byliście razem?

- Latem czterdziestego trzeciego roku. Mniej więcej o takiej porze jak teraz. Pierwsza połowa lipca. Pamiętam, że byłem prawie cały czas sam na farmie podczas tej fali wielkich, lipcowo-sierpniowych upałów. Miałem kilka tygodni na rekonwalescencję, zanim wróciłem na front.

- Ginger urodziła się pierwszego maja w czterdziestym czwartym.

- A więc - Austin odliczył wstecz - bardzo mało prawdopodobne, ale niewykluczone. - Ukrył twarz w dłoniach. - Potam widziałem się z Catherine tylko raz. Wstąpiłem do baru na drinka z człowiekiem o imieniu Paul, który pracował dla pańskiego dziadka. Po wojnie wróciłem na krótko do swojego dawnego zajęcia. Sprzedawałem wrzeczona do maszyn, robiłem trochę interesów z fabryką. To był bar przy klubie golfowym w Swan. Nagle zobaczyłem Catherine, samą. Właśnie miała wybić piłeczkę z rzutni. Wybiegłem i rozmawialiśmy przez kilka minut. Jej mała córeczka bawiła się nieopodal. Wtedy miałem już to wszystko za sobą. Był rok pięćdziesiąty. Pod koniec wojny poznałem Clare i niedługo miałem się tu przeprowadzić na stałe, żeby być z nią. Mimo wszystko, gdyby padła wtedy ze strony Catherine choćby najlżejsza sugestia, nie rękę, czy me wyjechałibyśmy stamtąd razem moim samochodem. Wydawała się taka jak zawsze, ale myślę, że po wojennych doświadczeniach pańskiego ojca było w niej więcej powagi.

- Jego wojenne doświadczenia? Był w służbach medycznych, większość czasu spędził w Karolinie Północnej.

- Wie pan z pewnością, że był w jednostce, która zajmowała się więźniami po wyzwoleniu Dachau.

- Nie wiedziałem. - J.J. przełknął whisky, czując palenie we wnętrzościach.

- Nie powiedzieli panu?

- Nie. Mówienie o nieprzyjemnych sprawach nie należy u nas do rodzinnych tradycji. Wiedziałem, że został raz zrzucony na spadochronie na teren Niemiec. Zawsze sobie wyobrażałem, jak opada powoli na ziemię.

- Tak mi przykro. Opiekował się tymi wycieńczonymi, zmaltretowanymi ludźmi przez całe tygodnie. Przykro mi, synu. Mój kolega z politechniki był w tej samej jednostce. Od tamtej pory nigdy nie doszedł do siebie.

- Niech mnie kule biją. - J.J. opowiedział mu o desperackim picu Willsa i udarze, którym się to skończyło.

- Co za piekielne fatum. Przed wojną wydawało się, że ma przed sobą wyłącznie świetlaną przyszłość.

- Cóż.... Był dobrym ojcem, nim to się stało. Tak z ciekawości. Jaką ma pan grupę krwi?

- A.

- Niewiele z tego wynika. Moj ojciec też ma A.

21. Słodka, leniwa...

302

- Jestem gotów zrobić, co pan uzna za stosowne.
- Nie wiem, co by tu można zrobić. Powiem Ginger, że istnieje bardzo niewielkie prawdopodobieństwo, że jest pan jej ojcem. Może uda mi się dowiedzieć od Lily, czy moja siostra nie urodziła się przed czasem albo po czasie. To powinno rozstrzygnąć sprawę.
- Dolać?
- Nie, dziękuję, zaraz jadę na lotnisko. Może wypiję jednego w samolocie. Ta nowina o Dachau... trudno to przełknąć. A jutro pogrzeb.
- A więc nikt panu nie powiedział o Willsie. Typowe, prawda? Ale ci ludzie nie lubią opowiadać o wojnie. Ci, co widzieli wielkie okropności. Ja byłem w powietrzu. Wyspa Midway, to był wystarczający horror. Przeszli przez ogród. Słońce zapadło już za koronkowe chińskie wiązki i drzewka oliwne.
- Kalifornijskie światło - powiedział J.J. - Jest inne niż u nas. Kontury rzeczy są tu ostrzejsze. Chciałem panu podziękować. Przepraszam za to grzebanie się w przeszłości. Wydawało mi się to ważne ze względu na Ginger.
- Tak. Ulżyło mi w jakiś sposób, że Catherine nie odebrała sobie życia. Jeśli chodzi o pozostałe sprawy, musi to do mnie dopiero dotrzeć. Pański ojciec... Podejrzewają go o morderstwo?
- Tak sądzę. Z braku innego kandydata. On by tego nie zrobił. Nigdy w życiu. - GBI wzięłoby pod lupę również Austina, gdyby J.J. wspomniał o notatniku. Nie miał zamiaru tego robić. Austin prowadził księgarnię, miał rodzinę w czasie, kiedy zginęła Catherine. W jego oczach była sama uczciwość. J.J. nie dziwił się zauroczeniu swojej matki. W studenckich czasach musiał być, jak to określiła Charlotta, zabójczy. - Ci panowie muszą być podejrzliwi, ale prawdopodobieństwo jest równe zeru.
- Darowałbym sobie na ich miejscu tę podejrzliwość, synu. Zupełnie szczerze. Winny czy niewinny, z tego co słyszę, Wills tak czy inaczej odsiaduje dożywocie.
- J.J. poczuł bolesne ukłucie. Austin po raz drugi powiedział „synu”. Słowo, którego dawno nie słyszał.
- Panie Larkin, pańska córka zrobiła na mnie podobne wrażenie, jak moja matka na panu - wtedy, w tej greckiej

sztuce. Mam nadzieję, że ją jeszcze kiedyś zobaczę. No, chyba nie tylko na to. - J.J. zaśmiał się z własnych słów. Austin mu zawtórował.

- Jeszcze jedna szprycha w kole, które, jak widać, musi się kręcić. Jeśli Georgia ma jakieś niedoskonałości, nic mi o nich nie wiadomo. To kryształ czystej wody. Z mojego doświadczenia, coś takiego przeżywa się tylko raz. Dwa razy, jeśli człowiek ma diabelne szczęście. Ja należałem do tych szczęściarzy. W tej chwili spotykam się z pewną miłą, sympatyczną, towarzyską osobą. Atrakcyjną, wie pan. Myślę, że tak to zostawię, choć ona chętnie by się wprowadziła i poprzestawiała meble. Nie wiem, czy byłbym gotów zrezygnować ze swojej prywatności, nie mając pewności, że dawka szczęścia mi to zrekompensuje.

- Osobiście bym się na to nie pisał, jeśli sytuacja wygląda tak, jak pan mówi. No, ale ja jestem wielkim samotnikiem.

- Ku jego zaskoczeniu, Austin go uściskał.

Miał mnóstwo czasu, żeby zdążyć na samolot. Pomimo godzin szczytu ruch na autostradzie odbywał się sprawnie, nie-opóźniany przez traktory czy wieśniaków w furgonetkach. J.J. trzymał się prawego pasa, bez zwykłego pośpiechu. Kiedy szli ścieżką nad brzegiem morza, widział, jak Georgia dotyka językiem zmoczonego przez fale krzewu, tak jak robili to z Ginger. Zastanawiał się, czy Catherine podpatrzyła dawno temu ten gest u Austina i przekazała im. Zastanawiał się, czy swoim zamiłowaniem do skał i minerałów zarazili się również tą drogą.

Miał ochotę zawrócić i pognać z prędkością stu mil na godzinę do tej stajni, gdzie Georgia siedziała na ogrodzeniu i wołała: „Hop!” do swoich uczennic, a słońce przefiltrowane przez gałęzie dębów i kurz wzniecony końskimi kopytami pogrążało kryty padok w łagodnym sepiowym świetle z minionego stulecia.

14 Lipca

J.J. PRZYJECHAŁ DO SWAN trzydzieści minut przed planowaną godziną pogrzebu. Ginger powiedziała ojcu Tysonowi, że nie chce żadnej ceremonii. Im mniejsze zainteresowanie, tym lepiej. Będą asystować przy złożeniu zwłok do grobu, potem wstąpią do Willsa, zjedzą późne śniadanie u Trzech Sióstr, po czym życie potoczy się dalej.

Mając przy sobie Marca, wykazywała większe zdecydowanie. Odbył dla niej długą podróż do tego dotkniętego nieszczęściem miejsca. Tylko dla niej. Nawet ona nie mogła dłużej wątpić, że mu na niej naprawdę zależy.

- Tu jest pięknie - powtarzał, kiedy obwoziła go poprzedniego dnia po okolicy przed zapadnięciem zmroku. - Jak we śnie Wszystko jakby zakotwiczone w błękitnym powietrzu. - Widziała, że polubił Lily i Tessie. Natychmiast zaprosił obie do Włoch. Siedzieli oboje wczoraj na ganku do późnej nocy i rozmawiali. Ginger dygotała mimo upalnej nocy, opowiadając mu o tamtym dniu, kiedy wróciła ze szkoły i znalazła mamę. Powiedziała mu o Willsie, o jego bólu po śmierci zony, o udarze i jego nieludzkich następstwach, o ich „szkole przetrwania”.

- Później pojedziemy do domku nad rzeką. Tam mogliśmy z J.J.-em dotrzeć do źródła. Tutaj, w Domu, też byliśmy u siebie ale zawsze był to dom Dużego Jima. Domek nad rzeką należał do naszej rodziny. Był dla nas kamieniem probierczym. I nadal będzie.

Siedząc bez ruchu w bujanym fotelu, Marco po prostu słuchał. Nigdy dotąd nie słyszał tak pełnej życia nocy, jak ta, która była tłem dla głosu Ginger. Wpatrywał się w ciemny ogród, pod który, z tego, co wiedział, musiały w tej chwili podpełzać krokodyle. Od czasu do czasu CoCo naśladowała od-

głos młota utracającego rurę wydechową albo świder elektryczny, odkręcający śruby mocujące koło. Położył dłoń na dłoni Ginger, spoczywającej na poręczy fotela, a ona mówiła i mówiła.

JJ. WSZEDŁ PO SCHODACH GANKU, mając pełne ręce prezentów. Ginger szybko przedstawiła mu Marca.

- Cześć, chłopie. Przywiózłbym coś i dla ciebie, gdybym wiedział, że tu jesteś. Witaj w raju. - JJ. poklepał Marca po ramieniu i skinął Ginger głową gestem, w którym rozpoznała aprobatę.

Podczas rozpakowywania prezentów JJ. przyglądał się Marcowi. Robi przyzwoite wrażenie, pomyślał. Solidny obywatel. Obywatel Włoch, oczywiście. Lily i Ginger były zaszokowane drogimi swetrami. Tessie przytuliła policzek do miękkiego szlafroka.

- Idź się przebrać. Porozmawiamy po drodze. Zmieścimy się wszyscy do jednego samochodu. - Ginger chciała mieć to za sobą.

- Tessie, jedziesz z nami? - zapytała Lily.

- Nie. Mówiłam Ginger, że chcę się zająć obiadem. Lily wróciła do domu po torebkę.

Cass Deal wysprzątał kwaterę, poprzącał nawet róże, które się osypały. Trumna stała już obok otwartego grobu, teraz wyrównanego i wygrabionego do czysta. Dwie godziny szorowania przywróciły granitowi na grobie Dużego Jima nieskazitelną biel. O nagrobek oparta była gałązka czerwonych róż. Niżej ktoś postawił wazon letnich ogrodowych kwiatów. Czworo żałobników stało przy grobie, patrząc, jak grabarze opuszczają powoli trumnę. Czy ktokolwiek jest w stanie uwierzyć, że czerwona pompa serca po prostu staje, że zamykają nas w skrzyni, a ci, których kochamy, pozostają z pytaniem, jak znieść tę brutalną eliminację ze świata żywych? Ginger pochyliła się, wzięła garść ziemi i wrzuciła do grobu. JJ. zrobił to samo.

Wytarł ręce o spodnie i powiedział ściszym głosem do Ginger:

- Czy jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy chowają swoją matkę dwa razy, za każdym razem po jakiejś cholernej makabrze?

- Chciałam coś powiedzieć - oznajmiła Lily drżącym głosem. Zrobiła krok w przód, odwróciła się i spojrzała na nich. JJ. widział, jak przetyka dwukrotnie ślinę, rozkładając kawałek papieru. Przeczytała powoli:

Piękno jest czymś co sięga poza grób To jasne olśnienie bez skazy Nigdy nie rozsypie się w proch I prędzej czas zaćmi księżyc Nim zblaknie albo przeminie Nasze tutaj, w tym krótkim życiu Spełnienie.

Stali w ciszy. JJ. zacisnął dłonie z całych sił, żeby powstrzymać łzy napływające do oczu. - To jest genialne, Lily. Dziękuję.

Ginger otoczyła ciotkę ramieniem i zaprowadzili ją z Markiem do samochodu. Lily zaczęła popłakiwać. J J. stał przez chwilę z zamkniętymi oczyma i spuszczoną głową, zastanawiając się, jak Lily wpadła na wiersz D.H. Lawrence'a. Podejrzewał, że stoi za tym coś więcej - coś, czego może im nigdy nie powie, albo co wypłynie na powierzchnię z czasem. Dziwna sprawa: odkąd Ralph im oznajmił, że ich matka nie popełniła samobójstwa, doświadczał przyływu ciepłych uczuć dla Lily, jak gdyby głąz przywalający źródło został zepchnięty i woda mogła swobodnie popłynąć.

Podczas gdy grabarze usypywali kopczyk ziemi nad trumną J J. przeczytał kartkę przy wazonie z kwiatami. „Spoczywaj na wieki w pokoju, Eleonora Whitefield”. Pochylił się nad czerwonymi różami i wyjął spomiędzy nich bilecik z kwiaciarni. „Od Austina i Georgii, z miłością”. Pomyślał o Austinie leżącym nisko nad kampusem i rozsypującym róże dla Catherine. Włożył obie kartki do kieszeni. Miał tyle do opowiedzenia Ginger.

GINGER STARAŁA SIĘ SKRÓCIĆ do minimum czas wizyty u Will-sa. Nie wspomnieli o Catherine i o tym, w czym przed chwilą uczestniczyli.

- Tatusiu, to jest Marco, z którym pracuję we Włoszech.

Wills wyciągnął rękę, ale się nie odezwał.

- Ginger opowiadała mi o panu. Miło mi pana poznać - powiedział Marco. Lily poszła na drugi koniec korytarza i przyniosła dla Willsa colę. Marco jeszcze raz spróbował uzyskać jakąś odpowiedź.

- Ginger mówi, że jest pan lekarzem. Mój ojciec też jest lekarzem. Przyjmuje wszystkie porody w Monte SanfEgidio. Wills wyciągnął rękę po colę, jak gdyby nie pił od nie wiadomo jak dawna. Ginger zaczęła mu opowiadać o wykopalisku Marca, ale Wills tylko zamachał rękami.

- Dobra, dobra.

- Tatusiu, będziemy szli - zarządziła Ginger w chwilę potem. - Zobaczymy się jutro.

Marco wyciągnął rękę, ale Wills go zignorował.

- Zaraz was dogonię. - rzucił za nimi J.J., kiedy wychodzili z pokoju. Odwrócił obrotowy fotel i usiadł na nim okrakiem. - Tato, posłuchaj. Chcę zadać ci jedno pytanie. Czy coś ci mówi słowo *Dachau*?

Wills wyjął słomkę z ust.

- *Dachau* - powtórzył. - Straszne, straszne.

- Byłeś tam? Wills skinął głową.

- Straszne.

- Słyszałem, że tam byłeś. Nic nam nie powiedziałaś. Byłeś odważny.

Wills otarł rękawem pot z górnej wargi.

- Byłem odważny - powtórzył.

Po ŚNIADANIU u TRZECH SIÓSTR Lily stwierdziła, że jest wykończona. Marco oświadczył, że też miałby ochotę się przespać, bo nie zdążył się „przesunąć” po locie.

- Wykluczone - zaprotestowała Ginger. - Jedziemy wszyscy nad rzekę. Poza tym mówi się „przestawić”.

- *Va bene, va bene*. Pozwólcie mi się przespać w samochodzie.

- Odwieźcie mnie do Domu - powiedziała Lily. - Chcę wpaść do Eleonory. - A potem nie mam zamiaru wychodzić z łóżka aż do obiadu, pomyślała.

W domku nad rzeką Marco natychmiast wypatrzył kolekcję grotów od strzał nad kominkiem.

- Sami to wszystko znaleźliście? Muzeum historii naturalnej nie powstydziliby się takiej wystawy. - Zachwycił się

no-

wym harpunem J.J.-a, po czym podszedł do regału, pełnego książek z historii i archeologii.

- Wychowywali się w opłotkach, ale czytaliśmy - powiedziała Ginger.

Oprowadziła Marca po pozostałych pomieszczeniach, zaprowadziła go nad rzekę, po czym pozwoliła mu się położyć w swoim pokoju. Z początku leżała obok niego, ale niemal spadała z wąskiego łóżka, a on zasnął twardo już po kilku sekundach. Ginger otworzyła okno, skierowała na niego wentylator i wymknęła się do J.J.-a, który ustawił swój stolik pod wiatą, przeglądając stos świeżo kupionych książek.

- Kupiłem ci parę powieści. Dobra rzecz na długi lot.

- Wciąż jestem w szoku, że to wszystko kupiłeś. Sweter jest cudowny. Kochany J.J. - Ucałowała go w czubek głowy.

- Masz ochotę się zamoczyć?

- Dobra myśl. Zmyć z siebie troski tego świata. - Kiedy schodzili na przystań, Ginger zaczęła podśpiewywać, jak zawsze: *Zgromadzimy się nad rzeką, nad przepiękną, nad przepiękną rzeeką**, akcentując każdy takt głośnym pohukiwaniem.

- Czy naprawdę tydzień temu Scott czekał tu na mnie z wieścią, która zakolebała naszynrmałym wszechświatem? Wydaje się, że rok minął od tego czasu. Jak myślisz, co Ralph tam wyniuchał?

- Był bardzo tajemniczy. Powiedział, że te nowiny mogą stanowić przełom.

- Boże. Stary poczciwy Sherlock. No, jazda - J.J. popchnął ją lekko i Ginger skoczyła do wody, zatykając nos.

GINGER WYCIĄGNĘŁA SIĘ na starym aluminiowym leżaku i rozpuściła włosy, żeby wyschły. J.J. opowiedział jej o dwóch dniach, które spędził w Palo Alto.

- Jak by to było, gdyby mama wyjechała z nami do Kalifornii i gdybyśmy się wychowywali z Austinem? - zastanawiała się Ginger.

- Wtedy Georgia by się nie urodziła. To byłby fatalny błąd. - J.J. leżał na plecach, opierając się na łokciach. Prze-

* *Shall we gather at the river...*, pieśń gospel, wykonana m.in. w filmie

P. Matersona „Droga do Bountiful” (przyp. tłum.).

kazał Ginger wszystko, co Austin mu powiedział na temat romansu z ich matką. - Musimy podpytać Lily, czy nie urodziłaś się przed albo po terminie. Może to nam coś powie, ale wygląda na to, że jednak się od tatka nie wykręcisz. - Próbował opisać jej Georgię, ich szklany dom z cytrynowymi drzewami, potężną kipieli dymiącą w przybrzeżnych skałach, kiedy szedł z nią ścieżką nad brzegiem morza, niezwykle światło przy stajniach, kiedy odjeżdżał. W końcu powiedział jej, czego się dowiedział od Austina na temat Willsa. - Sądziłem, że niespodzianki, jeśli jakiegokolwiek się pojawia, będą dotyczyć mamy, a wyszedłem stamtąd zaszokowany tym, co usłyszałem o ojcu. Zapytałem go o to dziś rano, kiedy byliśmy Pod Kolumną. Widziałem, że pamięta jakąś potworność.

- Pamięta bardzo niewiele konkretów. To musiało się odcisnąć na każdej komórce jego ciała. - Ginger już myślała o przetrząśnięciu szopy i zapchanej szafy, stojącej w komórce, w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów, jakiejś starej fotografii z harcerskich czasów czy listu. - A więc miał inne smutki. Niewypowiedziane. Ciekawe, czy Lily o tym wie. Chyba nie. Na pewno coś by o tym napomknęła, skoro tak się ciągle użala nad biednym Willsem. -

Przypomniała sobie ojca, siedzącego samotnie w nocy na pomoście.

Ginger opowiedziała mu o wyjeździe do Athens, o spotkaniu z Mitchellem i wizycie u doktora Schmitta w związku z jej planami, dotyczącymi doktoratu. - Mogę to zrobić! Po prostu. Od myślenia, że „mogłabym spróbować”, przeszłam do myślenia, że nie może się nie udać. W ciągu ostatnich kilku lat prawie nie pamiętałam o Mitchellu, a w drodze powrotnej przypomniałam sobie tyle rzeczy. Wiesz, że kiedyś przyniósł mi ogromne naręczce białych lilii? Cały dom przesiąkł tym zapachem. Tak się ucieszyłam, że dobrze mu się układa.

Usłyszeli stuknięcie drzwi i pojawił się Marco z wielką książką pod pachą. Pomachał im i usiadł na ganku.

- Ginger, wygląda na to, że Marco jest ekstra prima super - J.J. uniósł kciuk do góry.

-Może to koniec naszej złej passy? Koniec z zamienianiem w słupy soli, z odsyłaniem na zimowisko do Hadesu?

- Nie róbmy sobie nadziei. Może bogowie naradzają się właśnie w tej chwili, może zaraz wysmażą jakiś nowy piorun.

Wciąż jeszcze się ruszają, ci Masonowie. Wiesz, wybrałbym się na trochę do Kalifornii. Podobało mi się tam.

- Georgia ci chodzi po głowie, co? Jest ładna?

- Bez skazy. I ma coś w sobie.

- Marco, chodź tutaj! Musisz skoczyć do źródła! - zawołała Ginger. - Jutro moglibyśmy pojechać na wyspę - powiedziała do J.J.-a. - Przedstawiłabym Marka Caroline. Masz ochotę się wybrać? Marco, idziesz czy nie? - przynagliła go. - Obiad jest o siódmej. Chyba nie chcesz, żeby cię ominęły przysmaki Tessie?

J.J. wstał i przeciągnął się.

- Nie, potrzebuję trochę czasu. Zabierz Marca. Idę teraz do siebie. Muszę zapisać parę rzeczy, zanim mi ulecą. Marco schodził ostrożnie ścieżką, zanurzając się w kolejne fale gorąca. Ginger opowiadała mu o grzechotnikach i wodnych mokasynach, grubych jak jej udo. Karłowate palemki, dęby z festonami mchu, rzeka, wszystko to było dla niego jak amazońska dżungla. Przez głowę przemknął mu tchnący spokojem obraz *piazza* w Monte SanfEgidio. Nie wyobrażał sobie, żeby miał wskoczyć do tej zielonej, wirującej wody i pływać. Ale zrobił to.

J.J. NAPEŁNIŁ PIÓRO czarnym atramentem. Odszukał w podróźnej torbie swój nowy zeszyt i usiadł przy oknie. Siegnął na półkę po książkę i otworzył ją na przypadkowej stronie. Jego palec trafił na słowa: *tu rosły powoje*. Zgadza się, właśnie dzisiaj zobaczył nowy, stulony pęd powoju, który zaczynał się pięć po balustradzie ganku.

- Marco Polo! Marco Polo! - rozległo się wołanie Ginger.

Był to ich dawny okrzyk, gdy jako dzieci bawili się w rzece w chowanego. Ale tym razem był z nią prawdziwy Marco. J.J. widział, jak płyną szybko w górę rzeki. Przy zakolu wdra-pią się na brzeg i pobiegną do źródła. Późne słońce połyskiwało na ich wynurzających się na przemian z wody ramionach. Kiedy byli mali, wkładali karteczki do szczelnie zamkniętych słoików po majonezie i rzucali najdalej jak się dało, mając nadzieję, że prąd wody zanieśie je aż do oceanu. Wciąż jeszcze czuł tamten wysiłek mięśni, gdy starał się ze wszystkich sił dorzucić słoik do głównego nurtu. - „Leć!” - wołała Ginger, kiedy zataczał łuk w powietrzu. Stali na po-

moście, śledząc połyskujące szkło, dopóki nie znikło pod wodą. Wydawało mu się, że pamięta głos Catherine, tuż obok nich: *Jaki świetny pomysł*. Ktoś znajdzie słoik na plaży w innym kraju, otworzy go i przeczyta:

Mieszkamy w Swan, w Georgii.

Jeśli znajdziecie tę kartkę, napiszcie do nas.

Pozdrowienia,

Ginger i J.J. Mason.